



# PAMIĘTNIKI

do

panowania

**Augusta III. i Stanisława Augusta**

z rękopismu

**X. ANDRZEJA KITOWICZA**

wydane

przez

*A. Woykowskiego.*



**POZNAŃ,**

Czcionkami W. Deckera i spółki.

**1840.**

112 050 .H



1922.10840 a

## P r z e d m o w a.

**O**d środka siedemnastego wieku, całą Europę zachmurzyła gruba ciemnota, skąd na zachodnie kraje aż w system rządowy królewskich kochanek poszła, w Polsce zaś podrosły krzyki szlacheckie, a na nich zakwitło liberum veto. Król francuzki otoczony pochlebniemi sługami z duków, markizów, hrabiów, wice-hrabiów, baronów, kawalerów i jeszcze szlachty, rozkazywał samowładnie; król zaś polski przewodniczył tylko sejmowi. Jeżeli rozdawał starostwa, to podług pewnych zwyczajowych zasad: był co do słowa pierwszym między równymi. Dawniej taki stósunek, nietylko posłuszeństwa nieślabił, ale je mocniejszém czynił; bo nie z przymusu, lecz z przekonania obywatelskiego istniało. Zepsucie to jest egoizm, zawsze po ciemnocie, jako chmiel po tyce się pnący; przewiodł łatwo, że króla w Polsce ledwie sam mieszczanin słuchał.

W ciągu panowania Augusta III., Leszczyński trzymał dla Polaków otworem dwór królewski w Lotaryn-

gii, nadto dwunastu młodzieńców polskich swoim kosztem po instytucjach Francji uczyć kazał. Coraz silniej zachodnie pojęcia wpływały do Polski: co było francuskie, było we Francji wyrozumowane, a przez to Polakom zdawało się nietylko rozumném, ale i konieczném dla wszystkich. Ludzie cudzoziemskiego wychowania mniemali i jawnie ogłaszali, że jest ogólna formuła rządu na wszystkie ludy przystająca. Oświata obca wygwizdywała wieczny słowiański pierwiastek; chwaliła i podawała to romanizm, to germanizm feudalną zasadą żywiony i coraz śmielej polityka ukołysana na łonie odalisek króla, chrześcijańskim zwanego z urzędu, przystrojona w dwudziesto-cztero-piętrową pudrowaną perukę, biła w Warszawie i po całej Rzeczypospolitej na złotą wolność szlachecką, która sama już widziała, że jej z głową goloną najbardziej do twarzy.

W tym czasie pojęciowej walki żył i myśleć zaczął Andrzej Kitowicz, człowiek bystry, wesół, dowcipny, wychowany w kraju; niebył może bez wady w urzędzie historyka, ale ci, którzy mu zarzucają namiętną nienawiść przeciw Czartoryskim i to z przywiązania do partyi saskiej, mają zupełną niesłuszność. Kitowicz niezachwala, ani nieosłania partyi saskiej; Radziwiłłowi wytyka głupstwo i pijaństwo; Potockiemu, wojewodzie kijowskiemu, tchórzostwo; Sołtykowi dumę; Branickiemu brak myśli i próżność w zgrzybiałym ciele; a sejm konwokacyjny, dzieło samych

Czartoryskich, chwali. W téj tak zwanéj nienawiści maluje on się wyraźnie tylko przyjacielem legalności, a stąd wrodzonym nieprzyjacielem prywaty. W Czartoryskim, kanclerzu litewskim i wojewodzie ruskim, Kitowicz widzi spekulantów, którzy nie wioskę, ale kraj wielki chcą na własność przysposobić dla swego rodu, a na to zgodzi się i najodleglejsza potomność. Że nieprzebierali w sposobach, jakie się pod ręką nawijały, a mianowicie rwali sejmy i kleili ze swoich sług trybunały, toż tego znajome fakta przeczyć niepozwalają.

Prawo, wojna, zabiegi polityczne, obyczaje i wszystkie stósunki i okoliczności Kitowicz jasno i ze znajomością rzeczy opisał. W wielu względach pokazuje brak teoretycznego ukształcenia, ale to umie zastąpić wiadomością praktyczną. Pięknie czasem mówi o bitwie w polu, ale niema żadnego wyobrażenia o fortyfikacyi. Takie rzeczy i ludzi krajowego wychowania były téż wtedy niemieckie, albo zamorskie. Będzie Kitowicz jednak zawsze miłym historykiem, bo jest czysto swoim. Unosi się nad czasem, w którym rudowano lasy, sprowadzono osadników, bagna w łąki i pastwiska zamieniano, a stąd uważa Polskę za najszczęśliwszą pod Augustem III. Aleć wszystkich entuzyastów przemysłowych jest wada, że nigdy niewiedzą, na jaki rachunek przyszłości będzie zapisany dzień dzisiejszy. — Trudno bez surowszój przygany

pominać, że poddanie się Zaremby z płaskości i nicości charakteru wynika, Kitowicz uważa tylko od strony indywidualnej i stąd naturalnie za rozumne i chwalebne uznaje. Jego postrzeżenia, które może już w starości, przy słabszym wieku, a silniejszym egoizmie zrobił, niechcemy mu pamiętać, kiedy tyle wybornych, prawdziwie polskich uwag i rzetelnych skarg dla potomności zostawił.

**Wydawca.**

## ***Panowanie Augusta III.***

---

O początkach panowania Augusta III. niepiszę, bo w tych byłem dzieckiem, ani nie wziął przed się pisanie dawniejszych dziejów, tylko tych, które się za używaniem rozumu mojego zdarzyły. To jedno przytaczam, co ulgnęło w moją młodą pamięć: że w dzień koronacyi Augusta III. w Krakowie odprawionej, po wszystkich miastach publicznych, z rozkazu rossyjskiego, była palona illuminacya. Każdy mieszkaniec musiał oświecić okna domu swego. Niebyła to tak przednia illuminacya, jaka dała się widzieć palona Stanisławowi Augustowi (o której będzie w swoim miejscu), ale tylko świeczki łojowe i lampy także wystawiono w oknie na prostej deseczce; a w niektórych pałacach świece woskowe i lampy oliwne, bez żadnych figur malarskich i snycerskich. Ktoby zaś niepałił świeczek przynajmniej dwóch w oknie, byłby poczytany za nieprzyjaciela króla Sasa, a partyzanta Leszczyńskiego, i jako taki źle od Rossyjan traktowany; dla tego najuboższy gospodarz wolał stracić dwie świeczki, niż nabyć na grzbiet sto knutów czyli batożków. Ta illuminacya zaczęta w wieczór trwała do wypalenia się świec.

Drugi obmiot, który do dziś dnia nieuszedł z pamięci mojej, był następujący: Żołnierze rossyjscy, mający kordygardę w domu rodziców moich, nalawszy wody w dużą misę, śledzia surowego z łuską w drobne kawałki pazurami szarpiąc w tęż

wodę wdrebili, potem sucharów podobnież nadrobili, a nażegnawszy się nad nią i nakiwawszy, z wybornym apetytem owę zupę jedli. Pieniądze kopijkami zwane nosili w gębie między wargą spodnią i zębami. Gdy mieli co jeść lub pić, owe kopijki brali do ręki. Grubsze zaś pieniądze chowali w kieszeniach. Niechłujstwo ich w jedzeniu, piciu i odzieży było aż do obrzydzenia: rozrabiając w dzieży ciasto na chleb, z którego potem robili suchary; takim chlebem albo sucharami wcale się niebrzydili. Oficerowie niżsi, wyjąwszy sztabowych, mało co byli ochłodniejsi od gminnych żołdatów; dla uniknienia gadu, używali koszul kitajkowych rozmaitego koloru, w której materji ile śliskiej robactwo niekowane, nie tak łatwo jak w płótnie utrzymać się mogło, i kitajka nie tak często prania potrzebowała.

### ***O głodzie pod panowaniem Augusta III.***

Po wyjściu Rossyan z Polski, jakoś w drugim czy w trzecim roku po koronacyi, nastąpił głód, którego te okoliczności pamiętam: najprzód, że żadna potrawa tak niesmakowała jak chleb, nawet ludziom dobrze się mającym, i w inne czasy chleba mało używającym; powtórę, że w Warszawie pełno było ludu zgłodniałego, schodzącego się do niej z okolic. — Panowie i majątniejsi obywatele czynili składki wielkie na tych nędzarzów, których mimo tę opatrność co dzień wielka liczba umierała, grzebiona w wielkie doły po cmentarzach i po polach, przez grobarzów umyślnie na to wysadzonych, którzy zmarłych zbierali po ulicach, kładli na kary i do dołów zwozili. Żywym dawano pewną porcyą chleba co dzień, w pewnych miejscach murem albo parkanem opasanych. Byli ludzie z długimi biczami, od nich zwani bicznikami, którzy przed godziną dystrybucyi chleba zganiaли ubóstwo do owych miejsc, zajmując wspomnionemi biczami i pędząc jak bydło. Wielu albowiem z tych mizeraków, z łakomstwa głodem rosnącego, spodziewając się większego pożywienia w pojedynczej od domu do domu żebraniu, unikało zajmu do gromady. Wpędzonych w zamknięcie czyli plac, wypuszczano po jednemu tąż samą bramą, dając każdemu pod równą miarę sztukę chleba; i tak czyniono co dzień. — Umierali jednak i przy takiej opatrności, mianowicie ci, którzy niewstrzymując apetytu, prócz chleba rozdanego, szukali większego gdzie mogli posiłku; a na-



wet końskie mięso z zdechłych koni żarli. Wielu zmarłych znajdowano z kawałkiem chleba u gęby; gdy ściśniony żołądek niemogąc trawić pokarmu chciwie jedzonego, odejmował jedzącym życie.

Od roku 1743. zacząłem notować moją chronologią; którego roku jakoś ku jesieni pokazała się gwiazda wielka, ogromności księżyca w pełni, z ogonem naksztalt miotły długim i szerokim, była figury okrągłej, gładkiej, bez promieni do koła. Jasność miała bystrą, tak w swojej kuli jak ogonie równą. Wschodziła i zachodziła ta gwiazda przez niedziel sześć po zachodzie słońca, równo z księżcem; widziana nietylko na horyzoncie polskim, ale też nad całą Europą, jako o niej były zewsząd uwiadomienia. Odbywszy swoją wizytę więcej się niepokazała. Za pierwszym swoim zajaśnieniem nabawiła ludzi wielkiej trwogi. Jedni mówili: iż kto się téj gwiazdce przypatruje, ten roku niedożyje; drudzy: że któryś monarcha europejski umrze; inni: że będzie głód; inni: że powietrze; iinni: że wojna. Tego, co nastąpiło, nikt jednak niezgadł, to jest powietrza na bydło (o którym zaraz), i prócz którego Polska nie miała szczęśliwszych czasów, i podobno więcej takich mieć niebędzie, jak były pod słodkim panowaniem Augusta III., przeciw któremu niewdzięczność Polaków, sprawiedliwie ukarały niebiosy następnym panowaniem.

### ***O powietrzu na bydło.***

1774. roku powstało powietrze na bydło rogate najprzód na Rusi, a potem rozszerzyło się po całej Polsce i Litwie, z kąd znowu z wołami ruskimi postąpiło do Szląska, Pruss Brandenburskich i do innych niemieckich krajów. Zabijało powszechnie i gęsto przez cztery lata, potem obrzednio pokazywało się po różnych miejscach i dotąd pokazuje. To jednak podziwienią godne, że przy takim upadku milionowym niebrakowało bydła w Polsce; oprócz krajowych potrzeb, tysiącami woły wychodziły za granicę, i choć w jednym miejscu wypadło co do sierci (jak mówią), za kilka lat znowu były napelnione obory i jatki rzcześnie, co większa, iż po zaczętych pomorku na bydło więcej nierównie było w Polsce gąb do mięsa niż przedtem, bo surowość postu z laty coraz wolniała między katolikami, dyssydentów do Polski i żydów przybywało, ludność się pomnażała, Moskwy w ostatnich leciech Augusta III.

podczas wojny z królem pruskim Fryderykiem II. w Wielkiej Polsce było pełno, ztąd w ogólności daleko większa niż lat dawniejszych mięsa konsumpcya. Przypisać to należy nie jakiej cudownej, nadprzyrodzonej sprawie, ale rozszerzonemu w słodkim pokoju pod panowaniem Augusta III. gospodarstwu: wytępieniem po wielu miejscach nieużytecznym borom, wysuszonym bagnom, wykarczowanym zarośłom, a na tych miejscach pozakładanym wsiom, polom, łąkom i pastwiskom, w których się bydło karmiło i rozmnążało.

### *1744. O zabiciu Tarła.*

Tegoż roku 1744. dnia 16. Marca, pod Marymontem, młynem sławnym z mąki pszennej, o ćwierć mili od Warszawy, zginął w pojedynku sławny reputacją między pany i męstwem Adam Tarło, wojewoda lubelski, z okazji takowej: miał on żonę, ale starą babę, z którą w dobrach osadzoną Niemieszkął, ale pilnując publik jako senator, a do tego młody i hoży, idąc za zepsuciem serca, kochał się w niejakiiej Anusi (tak ją powszechnie zwano), naturalnej córce Lubomirskiego, wojewody krakowskiego, spółdzonej z Krysty mieszczi krakowskiej przed ślubem, którą Lubomirski mężowi Krystowi odmówił, a potem za pośrednictwem wielkich pieniędzy nabywszy, i o rozwód postarawszy się, we dwa roki po narodzeniu Anusi za żonę pojął. Anusia wyrosłszy na piękną pannę, haniebnie wypadła w serce Tarłowi, wojewodzie lubelskiemu, który nieśmiając opuszczać swojej babki dla pieniędzy i zapasów, a spodziewając się lada kiedy sprawienia jej pogrzebu, jako dogorywającej w latach, zawczasu sobie serce i rękę do przyszłego ślubu u Anusi wysługował, czyniąc jej w każdej kompanii pierwsze honory.

Na balu u Bielińskiego, marszałka wielkiego koronnego, wziął najpierw w taniec swoją Anusię; udał się potem do Poniatowskiej, wojewodzianki natenczas mazowieckiej, potem Braniczkiej, hetmanowej wielkiej koronnej. Lecz damy urażone tem przeniesieniem Anny nad siebie, zaraz uradziły między sobą, ażeby żadna z wojewodą nie szła w taniec. Gdy tedy zapędzony do wojewodzianki mazowieckiej Tarło, odebrał od niej tę odpowiedź: „z kimeś WPan tańcował pierwszy taniec, z tą tańcuj i drugi“, jak był ognisty człowiek, tak zaraz obróciwszy się do kompanii, zawołał na cały głos:

„będę go miał za szelmę, kto z wojewodziańką mazowiecką pójdzie w taniec!“ Wojewodzina mazowiecka, matka, baba dumna i męskiego serca, na te słowa rozkazała Kazimierzowi, podkomorzemu koronnemu, synowi swemu, aby natychmiast szedł do tańca z siostrą; — skoro z nią stanął do tańca podkomorzy, wojewoda lubelski zawołał na niego: „otóż jesteś szelma!“ Podkomorzy odbił to słowo na wojewodę, ztąd rozruch i rwetes do szpad (oba albowiem nosili się w francuzkim stroju). Ale gospodarz balu surowy, pogroziwszy obie-  
ma aresztem za porwanie się do oręża pod bokiem królewskim, i za nieuszanowanie domu swego, kazał natychmiast obiema wynieść się z kompanii. Posłuszni rozkazowi, którego lekce ważyć u Bielińskiego niebezpieczno było, wyszli, a wychodząc dali sobie parol na pojedynek, który podług zmowy odprawili trzeciego dnia pod Piasecznem, o mil 3 od Warszawy na pistolety z koni. Wojewoda zabił konia pod podkomorzym, który, padając na ziemię, wołał przejęty strachem, ile młody i w pierwszym połu takowej okazji: „kocham pana wojewodę“; za pośrednictwem sekundantów ścisnęli się na placu i z dobrą manierą rozjechali. Nim przybyli do domów swoich, już w każdym wiedziano, co się stało na pojedyнку. Gdy podkomorzy stanął przed matką, chcąc ją w rękę pocałować, zamiast znaku ukontentowania, że zdrow powrócił, odebrał od niej policzek, z takim przywitaniem: „Wolałabym cię widzieć trupem z placu przyniesionego, niż z taką ohydą powracającego. Niezów się synem moim, jeżeli téj hańby niepowetujesz.“ Podkomorzy ledwo przez połowę czując w sobie takiej zręczności, jaką miał do oręża wszelkiego rodzaju wojewoda, nieradby się był więcej z nim kłócić; ale dla matki rad nierad musiał. Pogodziwszy się więc i pokwitowawszy z zatargi po pierwszym pojedyńku, trzeba było szukać nowéj do kłótni przyczyny. Tę dały paszkwile z obu stron biegające. Wojewoda srodze tchnięty honorem swojej Anusi, najbardziej w tych paszkwilach szarpanym, wyzwał powtórę podkomorzego, dawszy mu na wolą wybór placu i oręża. Podkomorzy determinował plac pod Puławami, majątnością wuja swego Czartoryskiego, wojewody ruskiego; — oręż — pistolety. Pojedynek ten niedoszedł, przeszkodzony aresztem królewskim (o który, jak mówiono, postarała się faniilia podkomorzego, nieufając szczęściu i widząc możniejszego

w partyą wojewodę). Pogodzili się powtórnie i przeprosili za wdaniem królewskiem, przez posłanego z aresztem. Lecz to było na pozór tylko i do czasu nastrojenia pewniejszej zguby wojewodzie. Jakoż skoro tylko król wyjechał do Saxonii, podkomorzy dotąd wyzywany, wyzwał wojewodę, plac pojedynku pod Marymontem wyżej nadmienionym, termin dwóch niedziel dla przygotowania się słusznego w sekundantów i przyjaciół, naznaczywszy. Na nieszczęście nikogo niebyło pod ten czas w Warszawie z rodziny wojewody, przeciwnie zaś z strony podkomorzego wszyscy się pojeżdżali. Domownicy wojewody i konfidenci, przenikający rzeczy z obu stron, odradzali mu wszelkimi sposobami, aby na ten termin niepozwał, aby go na inny czas odłożył, ażby się w równą partyą przyjaciół i krewnych przysposobił. Ale wojewoda jak był serca wielkiego, tak niechciał słuchać żadnej perswazyi. Obrął sobie jednego towarzysza hussarskiego za sekundanta, o którym przy kilku sługach swoich ten pojedynek odprawił. Zrobił testament i cały dom swój rozporządził. Gdy mu do siadania wyprowadzono konia, ten, lubo w inne czasy powolny, tak rżał, miotał się i nogami grzebał, że dół nie mały na dziedzińcu wykopał. Mówili tedy słudzy z płaczem do pana, aby tą razą niewyjeżdżał; że oto koń miotaniem swoim nadzwyczajnem i dołem wykopanym przestrzega pana, że zginie; — lecz wojewoda niedbając na żadne prognostyki, dosiadł gwałtem konia niespokojnego. Gdzie tylko przejeżdżał przez ulicę, wszędzie lud pospolity klękał na kolana i w głos Pana Boga prosił, aby Poniatowski zginął, a wojewoda zdrów powrócił. Taką miał miłość powszechną u ludzi wojewoda, a nienawiść podkomorzy, czyli raczej matka jego, którą dla ponurego wzroku i surowości pospolicie zwano gradową climurą. Ona rej wodziła w domu i mężem rządziła; ona była główną podniętą tego pojedynku, niemogąc trawić owego twardego kąska, że syn jej w pierwszym szwankował. Zawsze mu wymawiała, iż wstyd zrobił rodziny owemi słowami upodlającemi: „kocham pana wojewodę“; że mając więcej braci nieosierociłby domu, choćby sam zginął. Ztąd nienawiść ludu, powzięta ku matce, spływała na syna w życzeniu mu zguby. Ale się inaczej stało.

Gdy stanęli na placu, zaczęli rzecz najprzód od zwady o owe paszkwile, które dobyte z kieszeni wojewoda zatknął na szpadę, obiecując przybić je do serca podkomorzemu, łącz

go ostatniemi słowy; nieskąpił i podkomorzy dla wojewody podobnych karczemnych panegiryków, a tak cokolwiek jest w języku polskim słów uszczypliwych, obelżywych, grubiańskich, wszystkie na siebie za koleją wyexpensowali.

Wojewoda chciał koniecznie potykać się na szpady, podkomorzy zaś nie, tylko na pistolety. Gdy tak w złości zając się chwilę, żaden żadnego na swoją wolą przeciągnąć nie mógł, nareszcie wojewoda pozwolił na pistolety, a pokazując serce, metę od sekundantów wymierzoną na 20 kroków, skrócił do pięciu, na której stanąwszy pieszo, wypalili obaj do siebie po dwa razy bezskutecznie, tylko któryś z nich przebiegającego przez plac pojedynku jakiegoś chłopca postrzelił w zadnią ćwierć. Wojewoda po dwoistém wystrzeleniu, niedbając więcej na sekundantów, ani na nikogo, rzucił się z szpadą na podkomorzego, podkomorzy wzajemnie na wojewodę; po kilku sztychach i skokach ku sobie uczynionych, wojewoda pchnięty szpadą w samo serce, w słowach: O Mon Dieu! chwytając się ręką za bok, padł i umarł. — Podkomorzy bledniejąc powoli z rany po żebrach sobie zadanej, porwany od swoich do karety, złożony w koszarach gwardyi koronnej nad Zdrojami, tam się kurował przez kilka niedziel.

Rozruch wielki po Warszawie, płacz pospólstwa i przeklinanie Poniatowskiego sprawiły, iż się cała jego familia przez czas niejaki miała na ostrożności, dla tego i podkomorzego rannego umieściła w koszarach, ażeby tam lepsze miał bezpieczeństwo od gwardyi, której wojewoda ruski, wuj jego rodzinny, był generałem, mianowicie, iż rozumiano, że Tarło, wojewoda sandomirski, bliski stryj zabitego, pan burzący i zuchwały, z Mikołajem Potockim, starostą kaniowskim, w żołnierstwo nadworne możliwym, szaląputem koronnym, krwią z Tarłami złączonym, na stypę za nieboszczyka wojewodę zechce zabić którego ciółka czyli Poniatowskiego (bo ciółek jest herb Poniatowskich). Długo trwało takie mniemanie, lecz nieprzyszło do żadnej rozterki krwawej. Obróciły się partye do prawa, toczyła się przez kilka trybunałów sprawa, skończyła się na grzywnach i więzy, którą podkomorzy koronny przez pół roku w zamku warszawskim na górze, nie in fundo, przy balach i kompaniach wesoło wysiadywał. — Tarło, wojewoda sandomirski, w lat 6 po tym pojedynku umarł; starosta kaniowski, małym tylko straszny i pod wiechami rycerz, nigdy się na dom

Czartoryskich i Poniatowskich, które się trzymały w kupie i znałyby jedném nazwiskiem: Familia, porwać nieodważył. Anusia, przyczyna kłótni między familiami, poszła za mąż do Węgier za grafa Esterhazego, majątnego pana. — Z Potockich, ani z Tarłów, dumnych tchorzów, żaden nie miał serca, pojedynkiem rewanżować śmierć wojewody, i tak zamachy wielkie, domową wojną grożące, powoli czas uspokoił.

Wiadomości z placu, przyniesione do Warszawy, dwoiste były: jedni mówili, że wojewoda zaślepiony passyą, nacierając bez uwagi na Poniatowskiego, z jego ręki zginął; drudzy twierdzili, że niejaki Korf, rodem Kurlandczyk, major w regimencie saskim generała Szybilskiego, Czartoryskich przyjaciel, sekundant w tym pojedynku podkomorzego, wnięszawszy się między bijących pod pozorem dodawania serca, z pod ręki podkomorzego ranionego, zadał sztych śmiertelny wojewodzie. Opinia, czyniąca Korfa zabójcą, była zawsze mocniejsza, ale dekret trybunałski nieobwinił Korfa, tylko podkomorzego; lubo i to pomnażało podejrzenie, że Korf po tym pojedynku wyjechał za granicę, i niepowrócił do regimentu aż po skończonej sprawie, choć wraz z podkomorzyn był do trybunału pozwany. Ponieważ ten pojedynek był publicznie ogłoszony i doniósł się aż do konsystorza warszawskiego przez rek wizycy stron pojedynekować mających, aby spowiednicy mieli pozwolenie odebrać od nich spowiedź przed pojedynkiem sakramentalną, co być żadną miarą niemogło; zatem konsystorz przeciwnie wydał rozkaz do wszystkich kaznodziejów warszawskich, aby ogłosili z ambon: iż ktoby się ważył znajdować na tym pojedynku, wpadnie w klątwę papieżką zarówno z tymi, którzy pojedynekować będą. Lecz jakby na przekorę zwierzchności duchownej, polowa Warszawy wysypała się na niego, choć setny dla mnogiego tłoku nie niewidział. Studenci nawet opuścili tego dnia szkoły, jedni dla przypatrzenia się pojedynkowi, drudzy dla swawoli. Ze wszystkich potem, którzy biegali pod Marymont umysłem widzenia pojedynku, choć go niewidzieli, zdejmowano exkommunikę obrządkiem kościelnym w nuncyaturze i po klasztorach przez przełożonych do tego unocowanych; nikt nie był przyjęty do sakramentów przed zdjęciem klątwy. Z studentów zaś exkommunikę zdejmowali professorowie w szkołach batogiem boczkowskim: każdemu, który dnia pojedynku nie był w szkole, niewchodząc w żadne wywody, gdzie

był, po siedm plag odlewanych wyliczywszy. Wojewoda nie miał żadnego pogrzebu, lubo się mocno o niego u zwierzchności duchownej starano; ciało wywiezione z Warszawy, gdzieś w dobrach schowano.

Od téj awantury zaczęła się nienawiść między domami Czartoryskich i Potockich (bo z Tarłów niepozostał tylko jeden starosta poszczyński, małej konsyderacyi). Dom Potockich złączył się przyjaźnią z dworem; dom Czartoryskich z Poniatowskimi składał przeciwnictwo. Na te dwie partye dzieliła się cała Rzeczpospolita; jedna partya zwała się dworską, druga partya familii.

### ***O sejmie wałnym 1746.***

Party a familii zawsze niszczyła sejmy. Obiedwie partye na przemianę rządziły trybunałami, utrzymując je, albo zrywając podług okoliczności swoich interesów.

Po wielu sejmach, od początku panowania Augusta III. zerwanych, odprawiony w Warszawie roku 1746. w ordynaryjnej kadencyi, czynił nadzieję dobremu królowi i wszystkim kochającym ojczyznę, że dojdzie szczęśliwie. Laskę marszałkowską piastował na nim Lubomirski, starosta kazimierski. Szedł ten sejm pomyślnie do ostatniego momentu, to jest niedziel sześć. Uchwalono na nim aukcyą wojska do sześciudziesiąt tysięcy, płacę dla niego obmyślono, i gdy już wszystko ukończono i napisano, tak, iż nie zostawało nic więcej, tylko przeczytać cały akt sejmowy i podpisać, zaczęli się posłowie różni pojedynczo przymawiać do konstytucyi, jeden chcąc przydać coś do niej, drugi ująć z niej, albo poprawić; toż znowu inni wprowadzali partykularne materye, rozwodząc się z temi perorami tak długo, że już dobrze zmierzchło i czytać bez świecy niemożna było. Trzeba było koniecznie światła, które gdy kazał przynieść marszałek sejmowy, krzyk po wielu ławkach dał się słyszeć: „niemasz zgody na światło! sejm się powinien odprawiać w dzień!“ Kto krzyczał, rozeznąć po ciemku niemożna było, ani głosu poznać z kilku ust razem brzmiącego, żeby marszałek, wielce od wszystkich poważany, mógł sprzeciwiających się do lepszych sentymentów zobligować. Po kilka razy ukazujące się świece we drzwiach izby czapkami i chustkami zgaszono. Prosił marszałek na miłość ojczyzny, kiedy się niezdawało kończyć przy świecach, aby do jutra akt podpisu mógł być odłożony, który niebędzie nowym czynem, ale dokończeniem dzisiejszego. Przy-

wodził na przykład wiele publicznych aktów i sejmików, które się zapisują pod jednym aktem, choć przez więcej niż jeden dzień ciągnione; lecz i na to huk: „Nie masz zgody. Sejm dziś skończony być powinien!“ Widząc marszałek, że się darmo sady na racye, że już jest stryczek założony na uduszenie sejm, w boleści serca i w gorzkości słów, pożegnał izbę temi ostatniemi słowy: „Kto temu okazyą, stet diabolus a dextris ejus.“ Król z senatem do dziesiątej godziny w noc, która była przy pożegnaniu, siedział w senatorskiej izbie, wyglądając momentu szczęśliwego owój sprzeczki o świecę załatwienia, nie doczekawszy się go, pojechał smutny do pałacu swego; i tak ten sejm, ani zerwany, ani skończony, zgasł na świecy. Mówiono zaraz, iż to była robota Czartoryskich, którzy skrycie starali się o to, aby żaden sejm niedoszedł pod panowaniem Sasa, zachowując tę pociechę dla przyszłego, na którym się omylili, „swego Adasia, wojewodzica ruskiego.“

### ***O szarańcy 1748.***

W roku 1748. szarańcza z Turek czyli z Wołoszczyzny wyleciała na Ukrainę w niezmierniej liczbie, a potem się wysypała na całą Polskę, Litwę i prawie na całą Europę, gdyż o niej donoszono z Pruss, Saxonii i innych różnych państw niemieckich, żaląc się zewsząd na wielkie szkody przez nią poczynione. Na Ukrainie sprawiła głód, przybywszy tam na wiosnę i pożarłszy zboża jeszcze zielone; w niedostatku chleba lud pospolity żywił się żołędzią i pąkowie drzew, ususzoném, wraz zmeloném. Pomykając się coraz dalej w Polskę, nie tak szkodziła zbożom już dostałym, jak tym, które jeszcze uapadła zielone, łąkom i ogrodom, mając większy apetyt do świeżej zieleniny, niż do suchej słomy. Ciągnęła niezmiernemi tłumami na kilka mil w szerz i dłużej tak gęsto, iż ćniła słońce nakształt chmury. Tumany te straszne następowały jedne po drugich w przedziale dni kilku. Gdzie zapadła na popas, który regularnie odprawiała o południu, bawiąc najwięcej parę godzin, tam była mniejsza szkoda; gdzie na noc zapadła, tam nierównie większa. Z noclegu nieruszała się aż po opadnięciu rosy. Padła grubo na ziemię na pół łokcia, nie żeby w tak gęstym kłębie leżała jedna na drugiej, ale niskim podlotem jedna przez drugą przeskakując. Na noclegach pokładała się cienie, przykrywała jednak ziemię dwiema lub trzema warstwa-



mi, siadając jedua na drugiej. Zapadając na popas lub nocleg, niepsuła porządku lotu dla wyboru miejsca spoczynku, ale tam, gdzie się której dostało, padała: na pola, na domy, na ogrody, na rzeki i stawy, w których tonęła. Naksztalt wojska miała przednią straż i odwód, w których była rzadsza od korpusu. Ten wzbijał się w górę swoim wierchem na 50 łokci, a spodem dotykał do samej ziemi, czyniąc bryłę gęstą, okiem nieprzejrzaną. Ślepym lotem dla swojej gęstości uderzała w to wszystko, z czém się potykała. Podróżny musiał przed nią chronić oka jak przed gradem, gdy jest w oczy, konie broniły swoich ustawiczném łbów kiwaniem. Trzeszczała pod nogami i kołami jak śnieg zmrożony. Z bobków jój, na stanowiskach ziemię okrywających, wychodził fetor, lecz nieszkodliwy. Trzoda chlewna jadła ją chciwie i pasła się nią. (Niemasz złego, żeby na dobre niewyszło). Pod jesień, gdy téj szarańczy brakło na lepszym pożywieniu, obgryzała suopki na dachach i ryska w polach. Postrzegłszy ją ludzie, zabiegali jój z kosami, siekaczami i różnemi brzękadłami, tudzież z rusznicami; brząkaniem, strzelaniem i krzykiem odwracając ją od swoich pól w inną stronę, co tylko wtenczas służyło, gdy wczas zabieżono, lub gdy nie z daleka ruszyła. Jeżeli niewczas, albo już była znordowana, padała, nieważając na żaden hałas. Na zimę zapuszczała ikry w ziemię w gruntach piaszczystych; stara zdychała. Ciekawi, wykopawszy takie zarody, liczyli w jednym pęcherzyku po 150 ikier. Młoda szarańcza wychodziła z ziemi w Maju; póki jój skrzydła niepodrosły, pomykała się skokiem koników z miejsca na miejsce. Póki więc niedowiedzieli się ludzie, zkąd się wzięła ta młoda szarańcza, brali ją za piechotę owiej pierwszej lotnej niby konnicy. Po odrośnięciu skrzydeł ulatywała sposobem pierwszej. Dwa sposoby były do gubienia młodej przed nabyciem skrzydeł: jeden, potrząsając te stada słomą i paląc, drugi, kopiąc długie rowy i napędzoną w nie szarańczę ziemią posypując. Mimo jednak tych sposobów, mnogości znajdowały się w Polsce po wielu miejscach aż do roku 1750., w którym wyginęła, to jest przez lat trzy, jużto niszczona ludzkimi sposobami, już niewygodnym do swojej natury polskim krajem. W ziemi jednak wschowskiej, w suche piaski i gorączce dostatniej, widziałem ją jeszcze w kilku miejscach okrywającą i psującą zboża w r. 1785. Kształt tego robactwa z Turek czy Wołoszczyzny w Polsce

zjawionego, był kształtem konika polnego, „cicada“ po łacinie zwanego, długości calów trzy, miąższość pół cala, nóg sześć, skrzydeł po każdej stronie cztery, prążkami i kropkami nakształt liter greckich centkowanych, z których dziadowie i biegasi ludowi prostemu dla wyludzenia obfitej jałmużny rozmaite nieszczęścia wyczytywali. Kolor z wierzchu ciemnoszary, spodem jaśniejszy; w pyszczku ośm zębów ostrych; oczka małe, czarne. Zrodzona w Polsce była mniejsza, koloru i kształtu jednakowego z pierwszą.

### ***O różnych zdarzeniach w roku 1749.***

1749. roku Jan Klemens Branicki, hetman polny koronny, zaślubił Poniatowską, wojewodziankę mazowiecką. Niemasz w tém nic osobliwego; ożenił się równy z równą — lecz, iż brał ślub nie za indultem, tylko się dał zapowiadać, to osobliwość, dla której, między pany wtenczas i teraz rzadkiej, zdało mi się ten maryasz podać potomności. Za jego przykładem rzucili się panowie do zapowiedzi, lecz niedługo zaniechali. Ślub i wesele odprawiało się w Warszawie, gdzie matka panny, wojewodzina mazowiecka, ustawicznie, Braniczki zaś hetman często przemieszkiwali.

Tegoż roku Adam Ignacy Komorowski, proboszcz katedralny krakowski, po Szembeku zmarłym, otrzymał nominacyą na arcy-biskupstwo gnieźnieńskie, z prymaturą korony polskiej i wielkiego księstwa litewskiego nierozdzielnie chodzące, z podziwieniem i niesmakiem wszystkich biskupów, których ta godność minęła. Mówiono, iż August król wyświadczył Komorowskiemu tę łaskę za uczynioną sobie przysługę wydaniem ze skarbu krakowskiego koron, do koronacyi tego króla potrzebowanych, których pod ten czas był kustoszem. Był pan wspaniały, urodziwy, dwór chował okazały, wino pijał stare węgierskie i gościom go nieżałował. Głos miał ogromny, przytém wdzięczny; ton kościelny i inne obrządki duchowne umiał doskonale. Jedną miał wadę, szpecącą jego figurę, że dla szkorbutu z rady doktorów żując często tytoń, wprawiał się w nałóg przewracania ustawicznie językiem, jakby dużą jaką sztukę w gębie mastykował, co czynił nawet przy ołtarzu, lub siedząc na biskupim tronie. W porównieniu panów o interes ordynacyi ostrogskiej, przeszedł był na stronę familii, lecz niedługo odstąpił od niej i pojechał się

z królem. Żył Komorowski prymasem lat 9 i coś miesięcy, przeznaczeniem (jak wielu trzyma) na praktyce od czasu niepamiętnego aż dotąd zasadzoném, niepozwalającém prymasom przeciągnąć lat dziesięciu (zostawmy to późniejszemu doświadczeniu). Umarł na gangrenę w nodze kiedyś skaleczonej, zbytkiem wina tęgiego sprawioną w Sierniewicach roku 1759. Odstąpiony od doktorów (których panowie nadaremnie trzymają nadwornych od przypadku śmierci), wezwał zachwalonego w Łowiczu bonifratra. Ten się go wyleczyć podjął. Póki rzezał zboliałe ciało, prymas nieczując bólu, wołał: „o bonus frater“; gdy mu zaś dojął do żywego, wrzeszczał: „o malus frater“, i niemogąc wytrzymać bólu, nie dał skończyć operacyi i tak przejęty do serca boleścią umarł. To o Komorowskim. O ordynacyi zaś wyżej namienionej będziesz miał w swoim miejscu.

◀ Tegoż roku 1749. w Łucku na Wołyniu odprawiła się koronacya Najświętszej Maryi Panny w kościele dominikańskim, z dawną cudami słynącej. Koronował obraz Kobielski, biskup łucki, na hakach do obrazu przyprawionych koronę na głowie obrazu zawiesiwszy, przy solenném, do takiego aktu stósowném, podług ceremoniału z Rzymu przysłanego, nabożeństwie, na którem, przez całą oktawę trwającém, znajdowało się kilku innych biskupów łacińskiego i greckiego obrządku, tudzież wielu prałatów, i niezmierna moc panów, pań, szlachty, szlachcianek, ludu rozmaitego płci obojć. Assystowali téj koronacyi żołnierze z różnych regimentów, kommenderowani z armatami i kilka chorągwi polskich usarskich i pancernych w zbrojach i pancerzach. Obóz był założony na błoniach pod klasztorem za rzeką Styrem. Z armat dawano ognia w obozie, z ręcznej broni przed kościołem, przed którym w dzień koronacyi szykowały się do parady wojska. Fundatorem téj koronacyi, między wielu składkę czyniącymi, najznaczniejszym był Potocki, wojewoda wołyński, który w niedostatku kwoty pieniężnej przysłał dominikanom znaczne srebra, aby je zastawili na pieniądze, czego oni, mając skądinąd dosyć, zażyli na rozprzestrzenienie murów klasztornych i zakupienie kilku domów i placów klasztorowi bliskich. Prokuratorem rzeczonej koronacyi był Piotr Szczerbiński, przeor natenczas klasztoru, rodu szlacheznego i wielkiego rozumu, z dominikana ksiądz świecki, przez lat 18 proboszcz w Słomczynie pod Warszawą i napo-

wrót dominikan. Ten w dziecinnym wieku piorunem zabity, od rodziców strapiionych do Łucka przywieziony i przed ołtarz Matki Boskiej złożony, podczas litanii na te słowa: „Consolatrix afflictorum“, to jest: pocieszycielko strapiionych, ożył i żył do lat blisko sześćdziesiąt. Sam o sobie tę relacją wielom czynił, a prócz jego relacyi, ten cud zaraz, gdy się stał, w kronikach miejscowych był zapisany.

Tegoż roku 1749. zerwał się trybunał. Potoccy i do nich należący, mając zawziętą nienawiść od zabitego w pojedynku Tarła, wojewody lubelskiego, do Poniatowskich i Czartoryskich, jednem słowem familią zwanych, uwzięli się, niedopuszczyć żadnego deputata, stronnika familii. Prawo było starodawne przysięgać deputatom na funkcję przy reassumpcyi trybunału w Piotrkowie w farnym kościele przed ziemstwem tamtejszém i przed niém okazywać swoje lauda, czyli obrania sejmikowe. Podobnież familia starała się niedopuszczyć żadnego deputata z strony Potockich. Obydwie strony sprowadziły wielką liczbę przyjaciół, szlachty i dworskich. Podkomorzy koronny trzymał czoło w swojej partyi, ale pomiarkowawszy mocniejszą stronę przeciwną, przestrzeżony o zamachu na życie, umknął pocichu z Piotrkowa. Rzecz zapalczywości skończyła się na wzajemném niedopuszczeniu żadnego deputata. Cały dzień wołając „vacat“ (było to słowo, które znaczyło, iż deputata nie-masz z téj ziemi, którą sędzia ziemski z rejestru czytał, albo jest źle obrany, albo kondemnata okryty,) i grożąc sobie szablami dobytymi, o ciemnym mroku wyszli z kościoła i rozjechali się z Piotrkowa, gdy im ten ciołek, którego mieli apetyt zrabować na sztukę mięsa, uszedł z placu.

### ***O różnych zdarzeniach w roku 1750.***

Pierwszy raz w Warszawie za wieku naszego widziano publiczny luterski pogrzeb. Był to generała saskiego Pepelmana, prowadzonego na wozie wysokim sześciokonnym, żałobą okrytym, z końmi w kapy tegoż koloru przybranemi, z Marywillu na Leszno, gdzie mieli dyssydenci cmentarz bez kościoła. Assystowało przed ciałem temu pogrzebowi 500 gwardyi pieszej koronnój, za którymi następowało 200 konnych z regimentu Bryllowskiego. Za ciałem prowadzono 12 armat z kilkudziesiąt puszkarzami od artyleryi konnej. Z tego składała się cała parada pogrzebowa, odprawiona w dzień po południu

dnia 5. Marca 1750. Przy złożeniu ciała do dołu, artylerya wydała ognia z armat razy 36, gwardya piesza trzy razy. Jazda zaś siedząca na koniach młodych, niedawno z Ukrainy sprowadzonych, dawszy raz ognia, rozniesiona po polu, więcej do sprawy nieprzyszła. A lubo ten pogrzeb, nie miał żadnej assystencyi kościelnej, ani mistrza dyssydentskiego, tylko samych żołnierzy i lud cisnący się zwyczajnie na widok nowy i okazały; królowa jednak, dowiedziawszy się o nim (będąc z mężem królem natenczas w Dreźnie), jako żarliwa katoliczka i święta pani, tak mocno nalegała na Czartoryskiego, biskupa poznańskiego, o ten pogrzeb, że musiał złożyć z officjalstwa warszawskiego Grzegorzewskiego, który na wspomnioną expor-tacyą dał konsens.

Tegoż roku 1750., szelągi nowe, sprowadzone z Saxonii, podstępem królewskim i rzeczypospolitej bite, pokazały się w Warszawie, a z niej rozeszły się po kraju z ukontentowaniem publiczności, wielki niedostatek monety tak srebrnej jak miedzianej cierpiącej. Czerwony złoty w towarze niekursował, tylko tyńfów 13, co czyniło na dzisiejszą monetę złotych polskich 16 groszy 14; w zmienianiu za monetę tylko tyńfów 12 i szóstaków dwa, wynosząc na dzisiejsze pieniądze złot. polsk. 16 grosz 1 i szeląg jeden. Tego niedostatku monety przyczyną było: najprzód odebranie królom prawa mennicy; powtóre że **rzeczpospolita** przez niezgody w nierządzie ostatnim zostając, niemogła przysnąć do uregulowania i otwarcia mennicy swojej; potrzebie, że starą monetę srebrną szlachta, sadząc się w srebra w modę wchodzące, przerabiali na półmiski, puchary i inne naczynia, kotlarze zaś, groszów i szelągów miedzianych, lepszą miedź w sobie niż w blachach mających, najprędzej zażywali do łatania starych garnców i kotłów. Używając temi sposobami, a nieprzybywając znikąd, naturalnie niedostatek monety coraz był większy, i ten sprawił akcepcyą łatwą szelągom saskim.

Tegoż roku Jerzy Mniszek, marszałek nadworny koronny, pojął za żonę Brylównę, ministra królewskiego córkę, przykładem z Branickiego wziętym, wyżej wspomnianym, za zapowiedziami. Ci panowie, czyli z uszanowania praw kościelnych dawali się zapowiadać, czyli téż drogo opłacać indultów niechcąc, a miernie wstydząc się przez dumę panom zwyczajną, przy nich wiadomość: przy czytelniku opinia

zostawiona. Ślub dawał Komorowski, prymas, w kaplicy królewskiej, przy pałacu saskim będącej, dnia 14. Lipca.

### **O poście tatarskim.**

Tegoż roku przybył do króla i do Rzeczypospolitej poseł tatarski z oświadczeniem przyjaźni od swego hana. Wjazd jego do Warszawy był konny. Assystowała mu chorągiew lekka przedniej straży татарów litewskich i dworzanie panów polskich. Za nim wlokła się jego czereda na koniach chudych, odziana ubogo w matcrys i sukna swego kraju. Mieli przy bokach szable i strzały z łukami. Lecz na audyencji publicznej w senacie niemieli więcej, jak tylko szablę. Godzien wspomnienia ceremoniał, użyty z Tatarami, wchodzącymi do senatu. Oni zwyczajem tureckim nicodkrywają głów, senatorowie zaś przy królu zasiadają z odkrytymi. Zeby tedy równe uszanowanie majestatu królewskiego wydawało się na wszystkich głowach, we drzwiach izby senatorskiej postawieni umyślnie dla tego odzwierniowie, Tatarom wchodzącym, zacząwszy od posła, zdejmowali, a niektórym sprzecznym z bojaźni utraty, zdzierali czapki z głów, wkładając je nazad powracającym.

Z tureckimi posłami inaczej się obchodzono. Turcy zdjęcie turbanu, czyli zawoju, z głowy, wzięliby za affront. Przeto kiedy turecki poseł z swoją assystencją wchodził do senatu, senatorowie wszyscy, za znakiem przez wielkiego marszałka danym, nakrywali głowy, i póty z nakrytymi głowami byli, póki niewyszedł.

### **O sejmie extraordinaryjnym 1750.**

Król serdecznie pragnął, aby za jego panowania doszedł który sejm, i tak po zerwanym jednym, składał drugi. Więc i w tym roku złożył sejm extraordinaryjny dwuniedzielny w Warszawie. Aukcja wojska, tego sejmu, jako i innych, pierwszym obmiotem była. Lubo posłowie w izbie poselskiej wolnemi głosami obierali z pomiędzy siebie jednego marszałkiem, to jednak obieranie było tylko czczą formalnością, czyniącą zadosyć prawu; prawdziwe obranie marszałka sejmowego działo się przez umowę dworu z magnatami, i z tym, kogo do tej godności przypuścić mieli, co robiono na kilka niedziel przed sejmem. Umówiony do łaski starał się zostać posłem z którejkolwiek ziemi tej prowincyi, na którą turnus,

czyli kolej pierwszeństwa przypadała, z prowincyi wielkopolskiej pierwszy raz, z prowincyi małopolskiej drugi, z księstwa litewskiego trzeci raz obierano marszałka, i ta kolej od niepamiętnych czasów zachowana; sejmu, o którym piszę, przypadła na prowincyą małopolską. W tej najzdatniejszym do laski sejmowej zdawał się Wacław Rzewuski, pan rozumu wielkiego, łagodnego unysłu, dobra publicznego miłośnik prawdziwy, skąd miał poważenie tak u dworu, jak u familii. A że był aktualnie senatorem, wojewodą podolskim, trzeba było dla laski sejmowej, stanowi tylko rycerskiemu służąc, złożyć z siebie godność senatorską i wniknąć w rząd rycerskiego stanu: co też uczynił. Złożywszy województwo, został posłem. Ta sztuka utrzymania marszałkiem wojewody i sejmu przez niego, nieudała się dworowi; ledwo bowiem Siemieński, starosta dembowiecki, stariej laski marszałek, zagaił sejm, zapraszając posłów do elekcji nowego marszałka, natychmiast dały się słyszeć liczne głosy, niepozwalające przystępu do wotowania, z przyczyny, iż między posłami znajduje się senator, który bez pomieszania stanów i szkodliwych nadal dla stanu rycerskiego konsekwencyj, w izbie poselskiej zasiadać niemoże. Nadaremnie partya, systema dworskie utrzymać pragnąca, odpowiadała, że pan Rzewuski, po urzędownem w metryce koronnej złożeniu województwa, niejest więc senatorem; że tu zasiadł nie jako senator, lecz jako poseł; że wolno każdemu senatorowi złożyć godność senatorską i wrócić się do stanu rycerskiego. Przeciwnicy takie racye zwali obłudą; — „wiemy, — mówili — i pewni jesteśmy, że pan Rzewuski po skończeniu sejmu znowu będzie tym samym, którym był wojewodą“ (jakoż tak było). Trwała o to wrzawa przez trzy dni, w nadziei, że się uśmierzy. Na końcu trzeciego dnia przyniesiono do izby manifest o nieważności sejmu dla tego, że senator obrany jest posłem, uczyniony w grodzie warszawskim przez Wydzgę, posła bełzkiego.

Po takim manifestie reprezentacya sejmu ciągnęła się do zamierzonego kresu dwuniedzielnego. Król z senatorami do senatu, a posłowie do izby poselskiej zjeżdżali się codziennie. Prawili perory, ubolewając nad nieszczęściem ojczyzny, które sami psuciem sejmów sprawiali. Naprawiwszy perorów nudnych przez kilka godzin, za zgodą całej izby marszałek stariej laski wyznaczał po dwu posłów do szukania w murach warszawskich jmc pana Wydzgi i upraszania go: aby izbie powró-

cił *activitatem*; lubo wiedzieli wszyscy, iż ten, przekupiony na zepsucie sejmu, zaraz po uczynionym manifestie wyjechał z Warszawy. Delegowani czynili nazajutrz raport izbie, iż po najpilniejszym szukaniu nigdzie jmc pana Wydzgi wysledzić nie mogli; i tak było codzień. Oszczercy niedosyc mieli, że psuli sejmy, jeszcze z dobrego króla komedya stroili, zwabiając go codzień i fatygując do senatu obłudną nadzieją. Gdy wyszły dni sejmu, marszałek pożegnał izbę. Zaczął się ten sejm 4go, skończył 18go dnia miesiąca Sierpnia. W tym roku niebyło sejmu ordynaryjnego, choć być należało.

Rzecz uwagi godna, że Rzewuski, przyczyny zepsucia sejmu tego, nieuprzątnął przed manifestem, usunięciem się od poselstwa; tym krokiem byłby zepsuł okazyą do zerwania sejmu z osoby swojej, od zdrajców chwyconą; byłby ich nabawił przynajmniej mozołu do szukania innej, sobie zaś byłby przyczynił sławy wiekopomnej: — lecz to nieszczęście, że nawet u dobrze myślących ambicya przeważała nad dobro ojezyzny.

### ***O staroście warszawskim.***

Stanisław Ludwik Bryl, syn ministra, wjeżdżał na starostwo warszawskie tegoż roku 1750. dnia 2. Września z pałacu saskiego do zamku w asystencji wielkiej, dworzan, panów i karet. Czynił przysięgę przed wojewodą mazowieckim Poniatowskim, który w przemowie swojej do szlachty obecnej, oznajmił: iż, ponieważ nowy starosta nie miał lat, do tego urzędu prawem przepisanych, przeto jego królewska mość z mocy swojej przydaje mu lat sześć. Miał potem mowę nowy starosta, obracaną po kolei, do wojewody, przed którym przysięgał; do urzędników grodzkich, których postanowił; do panów i szlachty, którzy mu do tego aktu asystowali. Zaprosił nakoniec wszystkich na chleb przyjacielski, częstował wspaniale i suto w kilku salach na zamku. Obchodził stoły z kielichem, pijąc zdrowie goszczących, polecając się ich braterskim sercom: acz pod ten czas niebył prawdziwym szlachcicem polskim, a zatem ani bratem, chyba po chrzcie świętym. Szlachectwo jego polskie, które kapacjuje do urzędów i honorów, było zmyślone na kilka lat przed otrzymaniem starostwa warszawskiego, w trybunale piotrkowskim zrodzone przez szlachectwo Działyńskiego, podkomorzego poznańskiego, sposobem następującym.



### ***O szlacheckie Bryla.***

W wdztwie poznańskim, pow. kościańskim, jest wieś Brylewo, którą natenczas posiadał szlachcic, niezły wartogłów, nazwiskiem Gronowski. Działyński, wyżej wspomniony, szukając po kancelaryach transakcyów sobie potrzebnych, napadł na rezygnacyą lat kilkaset starą, którą transakcyą szlachcic piszący się hrabia z Ocieszyna na Brylewie Bryl sprzedał innemu szlachcicowi, aż spadkiem, bądź sukcesyi, bądź kupna, dostała się pomieniona wieś Brylewo wyżej wspomnianemu Gronowskiemu. Uchwyciwszy pomienioną rezygnacyą Działyński, a oraz wykalkulowawszy, jak wielkie może mu przynieść fawory u ministra, łaskami królewskimi władającego, a chciwego zostać szlachcicem polskim (gdy przez sejmy, zrywające się, tego szczęścia dostąpić niemógł), pobiegł do Gronowskiego, dziedzica Brylewa i otworzył mu planetę, przez którą obadwa wiele od Bryla profitować mogą. Gronowski, nie w ciemie bity, upewniwszy sobie, żeby mu wieś dobrze wprzód zapłacona i po skończeniu tej kabały odrezygnowaną została, pozwolił na wszystko. To mając podkomorzy, udał się do grafa Bryla, z doniesieniem, iż wynalazł ślady, okazujące, jako niegdyś Brylowie byli szlachtą polską, i że go (jeżeli zechce) tymi śladami do szlachectwa polskiego czysto doprowadzi. Uradowany minister, przy obietnicy niezmiernych łask i swoich i królewskich, w czém téż niezawiódł, prosił podkomorzego, aby podług mądrości swojej kierował rzeczy do pożądanego skutku.

Nastroiwszy rzeczy, jak iść miały, podkomorzy, imieniem grafa Bryla zapozwał Gronowskiego najprzód do ziemstwa, potem do trybunału, o wieś Brylewo. Genealogie z strony grafa Bryla, przez najmędrszych wykrętaczów ułożone, dowiodły oczywiście pochodzenie Bryla, o którym mowa, od tego wyżej wspomnianego. Gronowski, dobrze zapłacony, niewywiódł prawa do wsi (którą po sprawie, od grafa Bryla, jego własnymi pieniędzmi, prezentowanemi w kancelaryi, a potem sobie obróconemi, odkupił), przegrał ją zatem. Tym sposobem graf Bryl został szlachcicem polskim, i pisał się odtąd, jak jego zmyślony przodek, hrabią z Ocieszyna Brylem. Uchodziło takie szlachectwo jemu i synom jego do różnych honorów i łask królewskich kapacytowanym aż do roku 1762., którego Poniatowski, stolnik litewski, na sejmie, wspomnianemu Brylowi, staroście warszawskiemu, zadał nieślachectwo; o czém w swojém miejscu.

***O trybunale i księciu Sanguszk. 1750.***

Po zerwanym trybunale w poprzedzającym roku, doszedł w teraźniejszym spokojnie czasu zwyczajnego, to jest w poniedziałek pierwszy po świętym Franciszku Serafickim. Marszałkiem tego trybunału stanął zgodnie od wszystkich obrany Janusz książę Sanguszko, ordynat ostrowski, miecznik wielkiego księstwa litewskiego, kawaler orderu Orła Białego, syn Pawła, marszałka wielkiego litewskiego, który tegoż roku umarł w Czerwcu. Nic osobliwego na tym trybunale widzieć się nie dało, prócz okazałości marszałka, którą wszystkich swoich poprzedników i następnych marszałków zgasił. Chował on zawsze dwór ludny, a we dwoje powiększył go, zostawszy marszałkiem trybunałskim. W Piotrkowie niezbyt figurował i niedługo w nim bawił, jako pan ruski, niemając interesów żadnych ani swoich, ani przyjacielskich, któreby utrzymywał. W Lublinie dopiero odkrył się z całą wspaniałością i ludzkością swoją: Stoły otwarte i biesiady dawał niemal dzień w dzień, a kiedy do tego stołu zasiadało tylko trzydzieści osób, to już to był prywatny obiad. Poił winem węgierskim do zbytku nie tylko znaczniejszych gości, ale też i dwornych, nawet i dworskich, panom swoim assystującym; w służbie zaś jego znajdujący się w trzeźwości trzymać się musieli. Miał kapelę troistą: jedną swoją własną, drugą pożyczoną od księcia Lubomirskiego, podstolego koronnego, — te dwie kapela grały co dzień na przemianę za kolejną do stołu i tańców; trzecia była uformowana z dwunastu górali na dudach i bębenkach grających. Tych nieużywał, tylko czasem i na krótką chwilę, dla uciechy kompanii, i dla ocucenia swoim hałasem zmysłów jego, winem zamroczonych. Prócz tego po gankach w sali jadalnej byli rozłożeni waltorniści i trębacze, którzy partyami, instrumentów swoich, trąb z waltorniami niemieszając, za każdym zdrowiem spełnianém vivat wytrębowali. Na ostatku był dobosz, który na dwóch kotłach przy fraktowaniu kapeli rozmaite sztuczki muzyczne z partytury solo wybijał. Ten także, jako i górale, rzadko bywał używany. Kiedy się znajdował w małej kompanii w pałacu swoim (co się rzadko trafiało), wtenczas najmilsza jemu była muzyka dwóch skrzypków i basetlisty. Sam mało tańczył i to dla honoru jakiejś damy; — najwięcej bawił się kielichem i śmieszkami z jakich bagatel. — Miał także ten zaszczyt, że oprócz garnizonu gwardyi pieszej koronnej,

zwykle trybunałom assistującego, przydano do jego assystencyi kilkadziesiąt piechoty z regimentu buławy polnej koronnej. Prócz tego żołnierstwa komputowego miał swoją dragonią nadworną, paradnie umundurowaną, i chorągiew Węgrów, Potockiego, starosty łódzkiego, nadworną. Jeden oficer od każdego z tych korpusów odprawiał przy boku jego dzienną służbę ordynansa, czego innym marszałkom nieczynili, tylko podoficerowie. Niemieli sobie komputowi oficerowie za podłość, być na ordynansie u niego; — sute stoły dla wszystkich dzień w dzień i hojne podarunki znęcały ich do jego boku. Pierwszą straż główną przy bramie dziedzińca trzymali Węgrzy; drugą, przed pokojami, piechota buławy polnej; trzecią, dragonia jego nadworna, w sali przedpokojowej; — zgoła wszystko po królewsku. Gwardya zaś koronna pilnowała ratusza: — w dni jednak godowe, kiedy książę miał mieć ogień żołnierski, przychodziła i ta przed jego pałac. Tam buczały, najprzód za zdrowie królewskie, potem innych panów, armaty i moździerze, toż karabiny, począwszy od obiadu, do późnej nocy. Wiarusy niegniewali się o takie mozoly; — karmiono ich przy tej pracy chlebem i mięsem, chłodzono zmordowanych obficie piwem i oprócz tego każdemu strzelającemu dawano dzienny żołd — oficerom zaś komenderującym do ognia, podarunki w zegarkach, tabakierkach, albo ładunkach dukatowych.

Co zaś do sądzenia, tém się niezatrudniał; — przybywszy na ratusz na jaki kwadras, oddawał łaskę marszałkowską deputatowi starszemu, pod pretekstem słabości powracając do pałacu, w którym się zwykłemi rozrywkami swemi — kielichem i kapelą — zabawiał.

A jednak żaden z marszałków niebył nad niego mocniejszy w utrzymaniu sprawy w protekcyą wziętej. Mało który deputat z ruskich był, żeby od niego nietrzymał wsi dożywociem w ordynacyi; inni, hojnością podarunków ujęci, kreskowali za jego stronę; — zgoła, wszyscy go respektowali, bo wszystkim dobrze czynił, wszystkich kapłował szczerobliwością swoją. Tej jednak mocy marszałkowskiej mało używał, z trudnością wielką interesując się za kim serio. Dla naprzykrzających się częste bilety do izby pisał, i wyrazami jak najmocniej obligującami, ale te nic nieważyły. Komu chciał usłużyć, używał do tego innych środków, osobistością nalegając

i obietnicami do ucha łask swoich niepłonnych. Ten tylko raz jeden w całym życiu swoim służył dobru publicznemu, prócz którego oko ludzkie niewidziało go na żadnej funkcyi. Zanurzony w próżnowaniu, rozrywkach i pijaństwie, domowemi nawet interesami nie lubił się zatrudniać, poleciwszy o tém staranie kommissarzom i plenipotentom. Mieszkał pospolicie w Dubnie, przejeżdżając się czasem do Lubomirskich, krewnych bliskich swoich. Żonę miał piękną panią i wspaniałą, Denhofównę z domu, wielkiej także fortuny dziedziczkę. Lecz jakimś wstrętem, wkrótce po ożenieniu, do niej i do wszystkich kobiet przejęty, niemieszkał z nią, lubo na oko, ze swawoli pustej, nie z podniety miłosnej, umizgał się do białej płci i koperczaki natrętne stroił, aż do urazy wstydu. Obmiotem passyi jego był jakiś hoży młodzieniec, na którego wysypywał niemal wszystkie skarby swoje. Ten władał sercem jego, odzierał księżęcia z pieniędzy, z klejnotów i z tego wszystkiego, co mu się podobało. Nic niepowściągało faworyta od takowych grabieży, tylko jedna bojaźń odwrotu szczęścia, na niebezpiecznych fundamentach stojącego. Choć jednak wypadł z łaski faworyt, odchodził ze wszystkim nabytkiem; — przeto każdy, który wpadł w to szczęście, uwijał się rączego z łaskami księżęciami, póki pole przepiórcze służyło. Wielu z tych faworytów wyszło na słusznych obywateli i majątnych panów. Jeden tylko, Kazimierz Chyliński, doznał losu przeciwnego; — odarty ze wszystkich zbiorów, okuty w kajdany, i do gdańskiego cuchthauzu odesłany, w którym pokutował lat dwanaście; — wypuszczony z tamtąd, ale do majątku nieprzypuszczony, po śmierci Pawła Sanguszka, marszałka w. ks. litewsk., ojca ordynata, który to ojciec wstręt czyniąc synowi do podobnych faworytów i chcąc go nakłonić do mieszkania z żoną, taki bankiet sprawił Chylińskiemu. Ale to nic nienadało: — sprowadzona żona do Dubna, nieodbierając od męża żadnych dowodów małżeńskich, prócz jednego „dzieńdobry“ zrana, a „dobranoc“ na wieczór, pomieszkawszy przy nim w osobnych apartamentach z pół roku, odjechała nazad do swego Baranowa, z którego była sprowadzona. Ojciec nieśmiało syna ostrzód gromić, obawiając się, aby, wzięwszy go w kuratelę, — sposób jedyny do powściągnięcia jego rozpusty — nie dał pochopu Lubomirskiemu do wydarcia mu ordynacyi, jako suksessorom prawym do całej fortuny po tym Sanguszkę bezdzietnym, gdyby przez kuratelę

uczynionym był niezdolnym do rządzenia się. Cała ordynacya ostrogska i inne wielkie dobra dziedziczne spadły na Janusza po matce, z domu Lubomirskiej. Ojciec Paweł był ubogi, lubo książęcej dawniej familii. Syn po śmierci matki odziedziczywszy wszystkie dobra, uczynił donacyą ojcu księstwa zastawskiego, które posiadają dzisiejsi książęta Sanguszkowie, bracia Janusza, społeczni z Łabęckiej, powtórnej żony Pawła. Z tych przyczyn ojciec dyssymulował synowi, i ledwo ten raz jeden odważył się zażyć surowości w porwaniu Chylińskiego i zgromieniu syna, czego zręcznie użył, otrzymawszy najprzód od syna, różgami nastraszonego w pokoju zamkniętym, komendę na piśmie nad garnizonem dubieńskim i rząd nad całym dworem. To zrobiwszy, zaprosił do siebie Chylińskiego, i tak z nim, jako wyżej, postąpił. Rozpustny książę Janusz aż do śmierci ojca nie miał żadnego faworyta jawnego i kosztownego, jak przed tém nastraszeniem, tylko sekretnych; ale po śmierci tegoż znowu ich miewał, wyjąwszy trybunał, któremu faworyta w Dubnie zostawionego niepokazał, utrzymując w takiej figurze, jak pierwszych, w czém miał gust zaślepiony. Księżna żona, za życia Janusza sekretna, a po śmierci jego długo jawna wdowa, chcąc przynajmniej przed śmiercią skosztować małżeńskiej rozkoszy, posłała sześćdziesiątletnia baba za Rogalińskiego, młokosa w zakonie jezuickim, który po rozsypaniu zakonu, niemając więcej ochoty do duchownego stanu, udał się był do jednej panny z frauencymeru księżnej, prosząc o nią za żonę. Ta zaś, myśląc już dawniej o Rogalińskim, odesławszy pannę co prędzej do rodziców, sama mu rękę do ślubu, w Gdańsku natenczas mieszkając, ofiarowała. Niepoprawiła sobie losu, na wdowi stan przez całe życie ją wskazującego; — Rogaliński, bujak młody, zostawszy panem, babę przy szczupłych dochodach osadził w Warszawie, tak, iż nieraz krawcowi nie miała czém zapłacić od roboty milionowa pani. Sam, pod pozorem rządu w dobrach, zabierał z nich wszystkie intraty, hulał z przyjaciółmi, i trzymał młode stworzenia, które księżną jejmość staruszkę w obowiązkach żony wyręczały, a ta w Warszawie usychała z żalu, aż téż uschła i umarła, zostawiwszy przestrożę podobnym sobie paniom, aby się na młodych gołców niełakomiły. Ten maryasz trafił się pod panowaniem Stanisława Augusta, około roku 1780., lecz tu go umieściłem dla związku rzeczy.

### ***O obrazach.***

Za laski tegoż księcia Sanguszka, jakiś człowiek niewiadomy, poprzeczynał po twarzach i ręku obrazy u dominikanów dyspensatów i u karmelitów w kościele w Lublinie. Postrzeżono te kresy w obrazach dnia 4. Maja roku 1751. Szukano złoczyńcy, ale nieznaleziono. Musiał być jaki hussyt sekretny, który taką szkaradę obrazom zrobił.

### ***O sejmie 1752. w Grodnie.***

Sejm ordynaryjny sześcioniedzielnny w roku 1752. w poniedziałek po Śtym Michale według zwyczaju zaczęty, ciągnął się cztery niedziele, zerwany przez Morskiego, posła sochaczewskiego. Zerwanie tego sejmku, jako i innych poprzedzających, przypisywano Czartoryskim, według wierszyków prostych, po tym sejmie rozrzuconych:

Oj Polacy, Polacy, coście uczynili?  
Czarci sejmku niechcieli, Czarci go też wzięli.

### ***O groszach nowych.***

Gdy się nadał dobrze pierwszy kurs szclągów w r. 1750. z Saxonii do Polski przysłanych, sprowadzono znouu w roku 1752. grosze miedziane. Te tak łatwy miały kurs, jak i szclągi; — a gdy niemal cała Polska niemi zasypana była, już ich nierachowano, kupując co, albo sprzedając, tylko ważono; odliczywszy jedne dziesięć złotych, drugie sypano na wagę, do równości pierwszych, i tak postępując aż do przeważenia całej kwoty, jaką kto miał liczyć. Kupcy po sklepach mieli gotowe ładunki od dziesięciu złotych, w papier lub bibułę pozawijane, w którychli brakowało zawsze dwóch albo trzech groszy, które detruszkowali za papier i za pracę. Wolał każdy, biorący kilka dziesiątków, przyjąć tę małą szkodę, niż się mozolić nad rachunkiem i ręce brudzić miedzią, zazwyczaj smolącą. Gdy kto sprzedał na rynku rzecz jaką znaczną, np. furę jedną i drugą zboża, albo wołu, albo konia, niezgodziwszy się z kupującym na złoto lub białą monetę, albo, choć się ugodził, ale kupujący, wzięwszy rzecz, innych pieniędzy uieniał, i kupioną rzecz oddać niechciał, to sprzedawca za kilka fur zboża, przywiózł do domu groszów furę; lub za konia, albo wołu, sakwy miedzi na plecach.

**O Sulerzyckim straconym 1752.**

Jędrzej Sulerzycki, rodem z województwa rawskiego, człowiek zuchwały i gwałtowny, podczas wojny między Maryą Teresą i Augustem III. królem polskim, z jednej, a Fryderykiem II. królem pruskim, z drugiej strony, toczącej się, służył rotmistrzem królowi polskiemu w pułku Bartoszewicza, sławnego swoich czasów wojownika. Po skończonej wojnie i wziętym pułku, udał się w służbę Rzeczypospolitej, gdzie także był rotmistrzem w przedniej straży, a towarzyszem znaku pancernego. Ożenił się potem z wdową Młodzianowską, z okazji którego ożenienia zabrnął w wielkie kłótnie z Młodzianowskimi o sukcesyą czyli fortunę, nieprawnie posiadaną. Miał na sobie kilka kondemnat, tak w tym procesie, jakoteż z innych jego gwałtowności na niego spadłych, z którymi Młodzianowski jeden wybrał się do Piotrkowa na reassumpcyą trybunału, przeszkadzać Sulerzyckiemu do przysięgi na funkcya, deputatem z rawskiego za faworem przemocy mimo kondemnat zarzuconych, obranemu. Pewny Sulerzycki przeszkody od Młodzianowskiego, dobrał sobie partyą ludzi gwałtownych i rębaczów dogodnych, za pomocą których postanowił, co bądź to bądź, utrzymać się deputatem. Niebył i Młodzianowski bez przyjaciół, między tymi zaś był Rudziński, wojewoda mazowiecki, stary żołnierz i niegdy regimentarz, który nie tak siłą, jak powagą, ile przy prawie, pod kondemnatami będących od wszelkich funkcij publicznych wyłączającem, spodziewał się zgasić imprezę Sulerzyckiego. Gdy przyszła wokanda na województwo rawskie i Sulerzycki zabierał się do przysięgi, ledwo Młodzianowski odezwał się przeciw niemu z kondemnatami, Sulerzycki z partyą swoją rzucał się do szabli, zrobił tumult i zamieszanie w kościele, Młodzianowskiego zrąbał ledwo nie na śmierć, partyą jego rozproszył, na wojewodzie, starcu pochylonym i między ławkami schronienia szukającym, szubę w kilkoro przeciął. Uprzątnąwszy tym sposobem przeszkodę, Zarembe, sędziego ziemskiego sieradzkiego, także starca poważnego, wielce od największych panów z przyczyny głębokiego rozsądku i biegłości w prawie szanowanego, obłożywszy plagami, do dyktowania sobie rotę przysięgi przymusił, i położywszy jedną rękę na Ukrzyżowanym, w drugiej trzymając szablę skrwawioną, przysiągł na świętą sprawiedliwość. Tak utrzymawszy się deputatem, poszedł z drugimi na ratusz, wotował

na marszałka, którym tego trybunału stanął Karwicki, regent koronny, pan niewielki, ale powagę prawa utrzymać umiejący. Nazajutrz, gdy deputaci zeszli się na ratusz, przełożyli Sulerzyckiemu, iż lubo wczoraj wotował na marszałka, to jednak niestanowi prawności jego funkcji, gdy wiadomo wszystkim, że kondemnat zarzuconych niezniosł z siebie legalnie, tylko je gwałtem przytłumił: póki ich tedy niezagodzi i niezłatwi dobrym sposobem, zasiadać z nimi niemoże; a zatem prosili go o ustęp. On w mniemaniu, że tylko chodzi o kondemnaty, wyszedł bez sporu, obiecując wkrótce oczyścić się z nich. Lecz skoro uczynił krok za drzwi, warta w przysionku zasadzona porwała go i zaprowadziła do kordygardy. Nieszarpał się, ani niebronił, ile że tego dnia nie miał przy boku tylko lekką karabelkę, którą mu najpierw przy chwytaniu odebrano. Trzeciego dnia przyniesiono mu dekret śmierci, niewyprowadzając go zwyczajem innych kryminalistów do słuchania onego w izbie sądowej, a to wszystko dla odsieczy jakiej, której się obawiano. Po przeczytaniu dekretu dysponował się na śmierć z przykładną skruchą, i dał szyję pod miecz katowski; ścięty w kordygardzie dodnia przy pochodniach. Co tylko był porwany z ratusza, brat jego rodzony Sebastyan udał się do Grodna do króla, tam natenczas agitującemu się sejmowi przytomnego, dla wyrobienia bratu glejtu, czyli listu żelaznego, i powrócił z nim trzema tylko godzinami po ścięciu brata; — w tak krótkim czasie obrócił z Piotrkowa do Grodna i napowrót, mil przeszło 120 zrobiwszy. Dekretowano z nim razem pod miecz Trzińskiego, podczaszego rawskiego, Bębnowskiego, Chojckiego, Rapackiego i piątego któregoś, lecz tego nazwiska nie pamiętam, i pięciu innych na grzywny i więź roczną in fundo, — lecz ci wszyscy umknąwszy z Piotrkowa z gorącego prawa, zaraz po wzięciu Sulerzyckiego, relewowali się na następującym trzecim po tym trybunale, za wdaniem się za nimi różnych panów, na grzywny i więź górną osądzeni.

Karwicki, tą surowością, na Sulerzyckim wykonaną, uczynił sławną funkcją swoją marszałkowską, przywrócił powagę i respekt reassumpcyom trybunałów, tak, iż przez kilka lat następujących nikt nieśmiało popierać szablą legalności swojej do funkcji deputackiej.

Gdy tenże Karwicki jednego razu w Białymstoku u Braniczkiego, wielkiego hetmana koronnego, siedział przy stole,



Leon Sulerzycki, najmłodszy brat Andrzeja, w Piotrkowie straconego, pod ten czas pokojowiec hetmański, obyczajem owych czasów, służąc z talerzem do stołu, pchnął się nożem w rękę, i natoczywszy krwi na farfurkę, podał ją Karwickiemu, mówiąc: „naści Karwicki, nasycić się krwi naszej!“ — za co hetman porwanemu kazał wyliczyć sto batogów.

Było tych Sulerzyckich pięciu braci, wszyscy, jeden w drugiego, dorodni i zawołani zuchterowie. Jeden z nich, Józef, zabił, upiwszy się, Biernackiego w Dusznikach nad Wartą, gościem u niego będąc, dosiadłszy konia, na pożegnanie wypalwszy z pistoletu i postrzeliwszy Biernackiego w nogę, z którego postrzału trzeciego dnia umarł. Niestracił za to zabójstwo głowy, tylko wieś, zabitego braciom przysądzoną; — sam zaś Sulerzycki, prócz wsi straconej, na złapanie i ucięcie głowy dekretowany, tułając się lat kilka po tém zabójstwie między przyjaciółmi, umarł śmiercią przyrodzoną.

### ***O ordynacyi ostrogskiej.***

Ordynacya ostrogska, inaczej dubieńska, fundowana od księcia Ostrogskiego, składała się z tysiąca wsi i pięćdziesiąt dwóch miast i miasteczek po nazwiskach swoich z dokładem powiatów, w których leżały, podanych do grodu i do wiadomości publicznej w taryfie wydrukowanej w czasie rozterków o też ordynacyą wszczętych między panami koronnymi i litewskimi. Inne dobra tej ordynacyi były stołowe ordynata, drugie rozdawane między szlachtę dożywociem, z obowiązkiem płacenia pewnych summ na milicyą ordynacką, której fundator naznaczył 600 głów, na każdą potrzebę rzeczypospolitą stawiać mających. Ta milicya składała się z piechoty i z dwu chorągwi konnych; jedna była husarska zwana złotą, druga lekka, zwana białą. Porządek następstwa na tę ordynacyą po wygaśnięciu linii męskiej książąt Ostrogskich (która zgasła na samym fundatorze bezdzietnym) spadał na książęta Zasławskie, a po tych mieczu także zgasłym, na kądziel, a po zgasej kądzieli tego domu, fundator też ordynacyą legował kawalerom małżeńskim. Ta ordynacya, na kilku sejmach za życia fundatora popierana, nieotrzymała approbacyi, ale zawsze w recess do innego sejmku odłożona.

Z tego powodu Janusz książę Sanguszko (o którym wyżej), ostatni suksessor po kądzieli z Lubomirskiej, posiadacz

téjże ordynacyi, niemając jéj za taką, jako nieapprobowanej, ale za dziedziczne dobra, postanowił za życia swego z warunkiem jednak posiadania do śmierci, rozdać ją i rozprzedać między krewnych i niekrewnych, a to dla zgarnięcia wielkich summ i zaspokojenia niemi po części niezmiernych długów, w które zabrnął. Uczynił tedy generalną donacyą rozmaitych dóbr rozmaitym głowom, aktem jednostajnym w grodzie sandomirskim roku 1752. Przyjęły taką donacyą różne znaczne familie: Czartoryscy, Lubomirscy, Małachowski, kanclerz wielki koronny, Poniatowski i bardzo wiele innych znacznych i nieznacznych, ale piéniężnych. Gdy się ten nowy fenomen zjawił na polskim horyzoncie, panowie, którzy do niego niewchodzili, zebrawszy się we Lwowie, najpierwszy przeciwko donacyi sandomirskiej w roku 1754. zanieśli manifest, jako o fundusz rzeczypospolitej, przez księżęcia Sanguszka i donataryuszów rozszarpany. Za przykładem lwowskich obywateli, poszło wiele innych województw. Branicki, hetman wielki koronny, uznawszy się być stróżem najczulszym całości dóbr rzeczypospolitej, Dubno, stolicę ordynacyi, żołnierzem komputowym zajęchał, donataryuszów z dóbr, za kontraktami arędownemi już posiadanych, powyganiał. Ztąd wrzawa powszechna w koronie i Litwie, manifesta, remanifesta, listy wzywające do ratunku jednej strony przeciwko drugiej, pisma publiczne, ważność i nieważność transakcyi sandomirskiej dowodzące i materya do zrywania sejmów nagalona. Król był natenczas w Saxonii. Przybywszy do Polski, przyjął stronę obrońców ordynacyi. Komorowski, prymas, trzymał za donataryuszami, ale niedługo odstąpił i jedno rozumiał z dworem.

Zaczął się sejm ordynaryjny w Warszawie, którego materyą pierwszą była ordynacya ostrogska. Niedługo trwał; — donataryuszowie zerwali go w kilka dni po zaczęciu, przez obawę, aby nieapprobował ordynacyi, a tym sposobem ich donacye zniszczone nie zostały. Instrumentem do zerwania obrali i przekupili Michała Strawińskiego, stolnika i posła powiatu starodubowskiego.

#### 1754.

Po zerwanym sejmie król wydał administracyą do dóbr ordynackich, uczyniwszy administratorem Szoldrskiego, wojewodę inowrocławskiego, generała wielkopolskiego, pana niestronnego, przydawszy mu kilku kommissarzy do rządzenia do-

brani. Sanguszek, wyrzuty z dóbr, szukał klemencji u króla i u hetmana, nieodstępując jednak od donacji raz uczynionej. Zmiłowali się nareszcie nad nim panowie przeciwni, mianowicie hetman, a król, jako pan dobry, polskich zaś interesów mało pojmujący, pozwolił na wszystko, czego po nim żądano. Rewokował administracyą, hetman wojska z ordynacyi wyciągnął, więc znowu książę Sanguszek stał się jej panem. Donataryuszowie zaś, wypłoszeni od hetmana, więcej w nią wkraczać nie śmieli, i tak ta burza, kilka lat klóścąca panów, ustała. Po śmierci Sanguszki, pod panowaniem Stanisława Augusta, sejmowym wyrokiem ordynacya pomieniona została podzieloną na kilka przeorstw kawalerów maltańskich, na regiment pieszy nowy, który dano książęciu Kalixtowi Ponińskiemu, i na dziedziczne dobra, z miastem Dubnem oddane książęciu Lubomirskiemu, Sanguszkowi krwią najbliższemu.

### *O poście tureckim.*

1755. roku stanął w granicach polskich ostatnich dni miesiąca Lutego poseł turecki, z oznajmieniem o wstępie na tron ottomański nowego sułtana i z oświadczeniem jego przyjaźni ku królowi i Rzeczypospolitej polskiej. Odprawił audyencyą swoją najprzód u samego króla w pałacu saskim, a potem w senacie w zamku około ostatnich dni Maja lub pierwszych Czerwca w Warszawie, do której wjechał zwyczajem swego narodu konno, w asystencyi swoich Turków po podróznemu ubranych, za któremi szła kareta poselska w kilka koni zaprzężona. Był to zaś wóz prosty, jak nasza bryczka furmańska, ponosowem suknem aż do szynków opuszczonem przykryty, za którym wlokła się reszta motłochu tureckiego w krótkich siérniężkach z piersiami rozmamanemi, w szerawarach płóciennych, w zawojach brudnych. Sam poseł, poważny starzec z brodą siwą i kilku innych przy nim, był dobrze ubrany, siedział na koniu siwym, nie wielkim, sprawnym, w bogatym siedzeniu z buńczukiem u łba. Konwojowały go dwie chorągwie polskie przedniej straży, jedna przed nim, druga za jego czeredą wolnym krokiem postępując. Zajechał do pałacu hetmana wielkiego koronnego, z kąd po przywitaniu zaprowadzony był do kwatery dla siebie wyznaczonej.

Gdy w kilka dni odprawił audyencyą u króla i senatu, nie jechał na swoim koniu, ale na królewskim bogato i ko-

sztownie ubranym. Niemiał przy sobie wtenczas owęj hałstry, tylko kilku ministrów, także na królewskich koniach paradnie ubranych siedzących. Assystowali mu dworzanie od wszystkich dworów w rzędach sutych i na dzielnych koniach. Od bramy dziedzińca do pokojów królewskich stała gwardya piesza koronna we dwa rzędy po każdej stronie uszykowana dawaniem ognia trzykrotnie momentalnego, wjeżdżającego w dziedziniec posła salutująca. Gdy zaś powracał od króla, taż gwardya sypała ogniem ciągłym, po niemiecku Lauffeuer zwanym, który szedł po żołnierzach za koleją nieprzerwanie do trzech wystrzałów od każdego, i wydawał huk grzmotu długiego.

Po audyencyi królewskiej miał audyencyą w senacie, na którą wjeżdżał z takąż jak do króla paradą, wyjąwszy strzelanie.

Bawił w Warszawie blisko trzech niedziel podejmowany kosztem rzeczypospolitej od wstępu w granice polskie, aż do wyjścia z nich. Panowie pierwszej rangi zapraszali go na obiady i obsypywali na przepych różnemi kosztownemi podarunkami; on zaś nawzajem oddarowywał się lulkami, cybuchami, kapczuchami, t. j. workami do tytoniu, i tytoniem. Królowi w podarunku od sułtana przyprowadził trzy dzielne konie z bogatemi siadzeniami i kilka makat, czyli obiciów ściennych kosztownych. Wziął zaś od króla nierównie kosztowniejsze podarunki w naczyniach stołowych, w ruchomościach rozmaitych srebrnych, złotych i porcellanowych dla sułtana i dla siebie. August albowiem, monarcha, wspaniałością i hojnością celował między wszystkimi monarchami współczesnymi.

Wzajemnie od króla i rzeczypospolitej wyprawiony był do Turcyi z powinszowaniem tronu nowemu sułtanowi Jan Mniszech, podkomorzy litewski, ostatnich dni Października w roku tymże.

Wyprawa tych posłów wzajemna między Turkami i Polską za każdym wstąpieniem na tron nowego monarchy, początek wzięła od traktatów karłowieckich i trwała aż do początków Stanisława Augusta, który wyprawił w poselstwie do Turcyi z oznajmieniem wstąpienia swego na tron, Alexandrowicza, szambelana swego. Ten długo w Stambule niebył za posła uznany, ani Poniatowski za króla polskiego, lecz za uzurpatora tronu, aż po konferencyi (o której będzie w swoim

miejscu), atoli za wdawaniem się Rossyi, dostąpił audyencyi. Taż Rossya przemożna, wymusiła na Turczynie, że przysłał do Stanisława Augusta swego posła, i ten był ostatni, którego widziała Polska, granicami od sąsiedztwa z Portą później odsunięta.

### ***• wojnie ogranicznej siedmioletniej.***

Ta wojna, siedm lat prowadzona, zaczęła się 1756. roku. Tej wojny, jako zagranicznej, tyle dotknę, ile skutków jej doznała Polska; gdyż nieprzedsięwziętem opisać dziejów Europy, ale tylko Polski, kochanej ojczyzny mojej, a to tylko tyle, ilem przez wiek mój zaznał i napatrzył się rozmaitych jej przygód, zostawując ogrom i całość historii piórom doskonalszym.

Fryderyk II. król pruski wtargnął do Saxonii pod pozorem przemarszerowania do Czech około Września w roku 1756.; lecz gdy się w niej zaczął rządzić po nieprzyjacielsku, werbunkiem, furażami, kontrybucjami, zabieraniem intrat elektorskich i innemi uciążliwościami, okazując jawnego nieprzyjaciela, wówczas król polski zostawiwszy w Dreźnie królową małżonkę i całą swoją familią, sam ze 14 tysięcy wojska swego saskiego okopał się w obozie pod Pirnau. Wtenczas król pruski hawił się w Lipsku. Niezdążył król polski opatrzyć się w żywność i inne wojenne potrzeby przed rączyim nieprzyjacielem, który wnet opasał go do koła ogromném wojskiem swoim; dla tego też król polski, ściśniony głodem, musiał się poddać, wymówiwszy sobie, aby mógł wolno przejechać do Polski, gdzie bytność jego na sejmie, w tym roku przypadającym, potrzebną była. Chętnie na to król pruski pozwolił; — wypuszczonego polskiego króla kazał pod swoim konwojem przeprowadzić przez Szląsk aż do granic polskich; wojsko zaś jego zabrał i między swoje regimenta podzielił, a całą Saxonią, ogołoconą z żołnierza, opanował. Królowa z familią została w Dreźnie w mniemaniu, że jej przytomność przynajmniej to miasto od exorbitancyi i uciążliwości obroni. Umarła tam, drugiego roku zaczętej wojny, z żalu, pobożna i święta pani, bez ucisku duszy, niemogąc patrzeć na ucisk ludu i rozpustę, która nawet do jej frauencymeru dosięgnęła, wciągnawszy niektóre damy dworskie w serwitoryat sekretny osławionej Krepsowej.

### *O królu w Warszawie.*

Król przybył do Warszawy po czasie sejmowi należącym. Uniwersały na sejniki podług zwyczaju wydane były z Dreżna pod datą warszawską (jaką dawano wszelkim instrumentom królewskim, z Saxonii wychodzącym), a to poniekąd bez fałszu, ponieważ pieczęci do nich i podpisy pieczętarzów dawano w Polsce, a do metryk wciągano w Warszawie; tym sposobem prawdziwe było datum Varsoviae, — datą, przed zaczęciem wojny niespodziewaną. Gdy się zatem zjechali do Warszawy senatorowie i posłowie na dzień sejmu, a króla niebyło, Komorowski, prymas, zaproszonych do swego pałacu i uczęstowanych podziękowaniem za pilność około dobra publicznego pożegnał i do Skierniewic odjechał. Niemiała rzeczpospolita szkody na tém, że sejmu niebyło; — chociażby był, zerwano by go, tak, jak inne wszystkie. Od tego czasu mieszkał król ciągle w Warszawie, aż do skończenia wojny i uwolnienia od wojsk pruskich Saxonii.

Urzędy i starostwa dotąd darmo dawane, zaczęły być sprzedawane więcéj dającemu. Graf Bryl, minister, i zięć jego Mniszech, wymagali od konkurentów znacznych summ, udając, że król potrzebny, jakoż takim był w samej rzeczy, niemając żadnych dochodów z Saxonii, od króla pruskiego opanowanej, a z dóbr stołowych polskich nie więcéj nad sześć milionów złotych polskich, ledwo na kuchnię wystarczające. Lecz pewniejsza jest, że pieniądze, od przywilejów zdzierane, spływały do szkatuły grafa Bryła, o czém król niewiedział; — bo na cóż tak wielkie miliony długów, jakie się po jego śmierci pokazały i obciążały następców elektorów, jeżeli pieniądze panów polskich szły do skarbu królewskiego, i czemu Bryl, wraz z królem z intrat złupionych w Saxonii, przy rozrzutności swojej, żadnych długów na swojej substancyi niezostawił? — Sze-mrano o to zdzierstwo na Bryła i Mniszcha, nieposadzając króla, którego umysłu wspaniałość całemu narodowi dobrze znajoma była.

Tegoż roku w Grudniu pojmano w Warszawie człowieka, o którym mówiono, że był przysłany na podpalenie magazynów rossyjskich i zgładzenie króla i grafa Bryła, co fałszem być musiało, ponieważ w tym roku żadnych magazynów rossyjskich niebyło w Polsce i Litwie, ani wojska rossyjskiego. Było jednak coś podobnego do drugiego punktu, ponieważ

król po uchwyceniu tego człowieka przeniósł się z pałacu swego do zamku, jako miejsca bezpieczniejszego; warty zaciągały na straż królewską z ostremi ładunkami i armaty tak około zamku, jak około pałacu pozataczano; — taka ostrożność trwała kilka niedziel, po której król powrócił do pałacu i rzeczy wróciły się do pierwszej spokojności. Jeżeli był jaki zamach, to najpewniej na porwanie grafa Bryla i uwięzienie go z Warszawy, którego rząd pruski żądał dostać w ręce swoje, dowiedziawszy się z archiwum drezdeńskiego, że ten minister wciągnął pana swego w allians z Maryą Teresą, cesarzową, przeciw królowi pruskiemu, na wydarcie mu Szląska, a który zamach monarcha, na wszystkie strony obrotny, uprzedził zajechaniem Saxonii i wpadnięciem do Czech. Minister tedy bojaźliwy, żeby kogo z Polaków niewzięła pokusa, porwaniem jego przysłużyć się rządowi pruskiemu, udał przed nimi, iż wraz z nim jest gaz na życie królewskie; — dowiedziawszy się zaś lepić, iż żądanie króla pruskiego niebyło takie, uwolnił od bojaźni i króla i siebie. Co do owego człowieka złapałego, tego nikt niewiedział, czy był, czy niebył; rzecz została w ciemności przed okiem publiczném.

### ***O księżęciu Sułkowskim.***

Sułkowski, ojciec czterech synów, Augusta, Alexandra Franciszka i Antoniego, niegdy przed grafem Brylem minister Augusta III., zniechęcony od królowej za to (jak powiadano), że dla uniknienia sypiącego się na świat licznego potomstwa, doradzał królowi używanie metres, i za jęj naleganiem dysgracyonowany, mając wielkie dobra, okupione w Wielkiej-Polsce po Stanisławie Leszczyńskim, królu polskim wygnanym, mieszkał w Rydzynie, miasteczku bliskim granicy pruskiej, w pałacu, nad wszystkie inne pod ten czas pałace polskie najokazalszym. Na dwa lub trzy lata przed wojną kupił księstwo Bielskie, w górnym cesarskim Szląsku leżące, z przyczyny którego przedtem z grafa zrobił się księżęciem. Miewał on zawsze nadworną milicją; a gdy pod zaczęłą wojnę, wyżej wspomnianą, zaczął werbować większą kwotę i został udanym, że werbuje na cesarzową i dosyła jęj rekrutów z powodu wazalatatu, przez księstwo Bielskie obligujące go do przysługi takowej swojej monarchini, — król pruski, który się największej siły nielekkał, ale też najmniejszej lekce sobie nieważył, kazał

go wziąć z całym domem jego, bez wywodu o prawdzie lub nie tego podejrzenia. Przyszło sześćset ludzi pruskich do Rydzyny, zabrało księcia z całym dworem i żołnierstwem nadwornym, dwieście ludzi wynoszącym; — żołnierzy aplikowano do wojska, księcia osadzono w Głogowie, w fortecy mocnej dolnego Śląska. Siedział tam aż do zakończenia wojny, bez wszelkiej innej krzywdy, tę jedną wyjąwszy, że mu wszelkich żywności kupować w Głogowie zabroniono. To wszystko, czego dla liczego dworu swego potrzebował, musiał sprowadzać z dóbr swoich z Polski i dubeltową akcyzę opłacać.

### ***O Rossyanach w Polsce 1758.***

Elżbieta Petrowna, cesarzowa rosyjska, na pomoc cesarzowej niemieckiej i królowi polskiemu przeciw Fryderykowi II., wysłała sto tysięcy wojska pod najwyższą komendą feldmarszałka Fermora. Znajdował się w tém wojsku generałem Kasper Lubomirski, wojewodzie krakowski, owej Anusi, zguby Tarła przyczyny, brat rodzony, po ślubie z Krystą spółdzony, ale według dawnego polskiego prawa (*Filii ex meretrice suspecti omnes sint illegitimi etiam subsecuto matrimonio*) za bękartą poczytany, a zatem naprzeciw tak surowemu prawu, od dziedzictwa wyłączającemu, w służbie obcej protekcji szukający.

Wysłany był od króla posłem do Elżbiety Stanisław Poniatowski, stolnik litewski, następny król polski po Augustcie. Upoważniając go do tego poselstwa król, dał mu order Orła Białego; kamerdyner zaś królewski, dając mu gwiazdę, do orderu należąca, miasto służącej dla panów z literami: „pro fide lege et rege“, dał mu królewską, na której były litery: „pro fide lege et grege“, i to miało być prognostykiem przyszłego jego panowania, który prędzej nikomu niewpadł w głowę, aż dopiero wtenczas, gdy został królem. Podobniejszy był ten prognostyk, że podczas tego poselstwa poznał się z Katarzyną, podówczas wielką księżną rosyjską, Elżbiety następczynią, która polubiwszy go, na tron wyniosła.

Te wojska przez Litwę wkroczyły w Prussy brandenburskie roku 1757. W jednej kampanii opanowały całe. Bito pieńądze w Królewcu pod imieniem Elżbiety, a dalej postępując zwyciężkim krokiem, odebrały Pomeranią i Brandenburgią. Do



tych wojsk rosyjskich król polski wyprawił sławnego swego generała Szybilskiego. Dał mu Fernor komendę nad partyą kozaków; — lecz ten, latami przyciśniony i szybkości kozackiej niemający, w jednej potyczce mało niezginawszy, podziękował Fernorowi i powrócił do Warszawy, dawszy za przyczynę powrotu swego, iż Fernor przez niechęć, aby się w wojsku dystyngwował przybyszowy generał, z umysłu mu dał komendę nad pierzchliwymi kozakami, z którymi nicby niebył dokazał, i tylko hańbę swojej sławie zrobił; co król dobrze przyjął.

Ciż Rosssyanie, ogłodziwszy kraje pruskie, niektóre załogi w kraju zostawiwszy, z większą partyą, 50 tysięcy przechodzącą, weszli w Polskę dla chleba i innych potrzeb wojskowych i stanęli obozem pod Poznaniem na błoniach, ostatnich dni Czerwca 1758., pod którym leżeli blisko dwóch miesięcy, rozsyłając na wszystkie strony do województw komendy za futerażami i furami, których do kilkudziesiąt tysięcy spędziwszy aż z sieradzkiego i rawskiego, weszli z niemi do Szląska i w Pomeranią. Tam rozmaite potyczki zwodząc z Prusakami, pod Kiestrznem na głowę zostali porażeni, straciwszy (jak rachowano) do 40 tysięcy w zabitych, ranionych i w niewolą zabranych. Lecz złączywszy się z resztą niedobitków rosyjskich Austriacy pod sławnym Laudonem, generałem cesarskim, pod Frankfortem zbili na potęgę Prusaków. Rabowali Rosssyanie, osobiłwie kozacy, biednych Szlązaków, prowadząc wszystką zdobycz do Polski, do której często się z Szląska wracali, a z Polski do swego kraju co kosztowniejsze zdobycze wysyłając, podlejsze psując, lub za co to zbywając; tak więc obywatele polscy, za szkody od Rosssyan ponoszone, mieli z drugiej strony dobrą od nich nagrodę przez zdobycze szląskie, których wielka część w Polsce się zostawała, mianowicie między chłopami, którzy zapędzeni z furami w Szląsk, zabrat z kozakami rabowali. Rosssyanie wyciskali od Polaków furaże wielkie, jedne płatnie, drugie niepłatnie, z tém wszystkiem, nigdy niebyło więcej w Polsce, jak pod ten czas pieńędzy. Żołnierz rosyjski hulał za to, co w Szląsku zdobył, a z Rossyi z nowemi korpusami, na dopełnienie uszkodzonych wojną podsyłanemi, nowe ruble przybywały. Niebrakowało na chlebie, choć tak wiele gąb do niego było, i choć go nie w jedném miejscu nad granicą gonitwy między wojującemi

stronami w polskim kraju popsowały. Broni ręcznej i munderunków żołnierskich, pruskich, cesarskich i rosyjskich, było od pełności od dezertarów pierwszych dwóch wojsk, w Polskę uciekających, — i od wszystkich trzech, na przeciwnikach zdobytych, Polakom za bezcen przedawanych. Że zaś Rosyianie, w tej nadziei, iż wojując za królem polskim, z wielą szlachty i ich poddaństwem niedyskretnie się aż do batogów i zabójstw obchodzili, a Polacy nieczuli się być za to wojowanie obligowanymi Rosyjanom, przeto częste i gęste skargi do króla, spokojnie w Warszawie siedzącego, zachodziły. Te ile możliwości graf Brył, Mniszech, marszałek nadworny i Sołtyk, biskup krakowski, trzy meteory dworskie, tłumili, zatykając gęby różnemi sposobami skarżącym się. Kwaśno przyjmowali takie skargi, zowiąc je niedyskrecją na monarchę, z państwa własnego wyzutego, albo też obiecywali pierwsze względy, których niebyło. Jeżeli przybyło dwóch konkurentów po jaki wakans, jeden opowiadający exorbitancje rosyjskie, choćby na własnej skórze wypiętnowane; drugi, frant, udawał, że niecierpi nic kraj od Rosyjan, owszem profituje; — ten, co tak mówił, otrzymał wakans; — pierwszy, który się skarżył, zbyty niczem, jako człowiek nikczemnego animuszu i dworowi nieprzychylny. Takie atoli sposoby nieuspokoily żalów: z prywatnych zamieniły się w publiczną materiją, w późniejszym czasie przez urzędowe poselstwa od województw poznańskiego, kaliskiego, sieradzkiego i kujawskiego przed króla i prymasa zanesione; o czem będzie niżej. Tu tylko wypada dodać, że w tymże roku 1758. niebyło sejmku, choć przypadał. Wszystkim się panom niezdawało sejmowanie pod bronią obcego wojska, którego rozmaitego nawiasem, a rosyjskiego zawsze, w Polsce, w Litwie i na Rusi, ciągnącego ku Szląskowi, i odciągającego stamtąd, tudzież różne marsze i kontramarsze tam i tu czyniącego, wszędzie podostatkiem było.

### **• inwestyturze kurlandzkiej królewicza Karola. 1759.**

Od tego czasu, jak Anna Iwanówna, córka Iwana Alexiewicza, a synowica Piotra wielkiego, poszła za mąż za Fryderyka Wilhelma szesnastego, księcia kurlandzkiego (który w miesiącu po ślubie umarł, co się stało roku 1710.), a potem w roku 1731. dnia 31. Stycznia na tronie rosyjskim osadzoną

została, Rossya niezaniechała wdawać się do interesów Kurlandyi, utrzymując na tém księstwie, albo spychając z niego książąt gwałtowną siłą swoją. Legalizacyą jednak takowych kroków swoich przez inwestyturę zostawiała Polakom, którzy niemając sił do odparcia moskiewskiej przemocy, szli za jój wolą. Gdy książę kurlandzki Biron, w owe czasy pan Kurlandyi, faworami Anny na to księstwo po zgaśłej familii Kietlerowskiej wyniesiony, dalej jeszcze opiekunem Iwana III., cara po Annie, dwa miesiące młodego, i regentem państwa rossyjskiegoznaczony, igrając losem ludzkim fortuną z regencyi zrzucony, na śmierć jako uzurpator tronu i tyran wskazany, znowu za przemianą dekretu śmierci, na wieczną niewolą do Syberyi został zawieszony, August III., król polski, postarał się o to księstwo dla syna swego, królewicza Karola. Stany kurlandzkie, przyjazne Augustowi, z chęcią na to przyzwoliły. Elżbieta, przyjaciółka Augusta, nie tylko żądaniu jego niepokazała się przeciwną, ale owszem przytłumiając niektórych panów polskich skrupuły, nie tak z przywiązania do Birona, żyjącego na Syberyi, jako bardziej z niechęci ku Augustowi, w jego panowaniu zdrożności szukających, pochodzące, przysłała do Warszawy deklaracyą, że Biron za występki stanu na wieczną niewolę osądzony, nigdy z niej niewyjdzie. Tak tedy królewicz Karol otrzymał inwestyturę na księstwo kurlandzkie. Akt ten z zwykłą formalnością odprawił się w Warszawie dnia 8. miesiąca Stycznia roku wyżej położonego 1759., z paradą i okazałością, wszystkie dotąd widziane wjazdy publiczne przewyższającą. Niedługo atoli cieszył się tém księstwem, bo tylko do r. 1763., którego został wyzuty od Katarzyny, wsadzającą nazad Birona rewokowanego z Syberyi, jako o tém zupełnie będzie miał czytelnik w swoim miejscu.

### ***O trybunale 1759. i 1760.***

W zwyczaj weszło od śmierci Tarła, o którym było wyżej, stanowić trybunały gwałtownością: raz partya Potockich, z którą wiązali się hetmani i dwór, drugi raz familia Czartoryskich przemagała spychaniem deputatów przeciwniej partyi, a swoich utrzymując. Rzadko kiedy był trybunał, o któryby te dwie partye nieemulowały, clyba wtenczas, gdy żadna z nich nie miała w nim żadnego głównego interesu. Trybunał, o którym piszę, był dworski (tak się zwała partya Potockich);

— sejmików deputackich bardzo się wiele tego roku pozrywało, tak iż z całej korony polskiej niestaneło na nich tylko siedmiu deputatów. Familia tedy z tak małej liczby wnosząc, że się ten trybunał sam przez się nieutrzyma, nieużyła na zepsucie jego wielkiej forsy. Nieomieszkła jednak zesłać gromady szlachty, z poblizszych Piotrkowa powiatów najętą, którzy groźbą szabel, acz bez krwi добыtych, czterech deputatów, to jest dwóch rawskich i dwóch bełzkich, z partią dworską, podobnie z szlachty zebraną, z kościoła wypłoszywszy, trzech tylko, jako niemogących stanowić kompletu, do przysięgi dopuściła. Lecz ci trzej, dobrawszy do siebie owych czterech, z kościoła wygnanych, na ratuszu przed ziemstwem przysięgi wysłuchanych, obrali z pomiędzy siebie marszałkiem Zboińskiego, kasztelana płockiego, deputata z ziemi dobrzyńskiej. I tak ten trybunał zdesperowany w sposobie ordynaryjnym, dotąd używanym, stanął nowym wynalazkiem. Niemusiało być w ustawie trybunału wyrażone miejsce do przysięgi w kościele, ale tylko zwyczajem wprowadzone: ponieważ o pomienione dorobienie czterech deputatów na ratuszu familia żadnego rozruchu ani skargi nieuczyniła, czegoby niezaniebala uczynić, gdyby przeciw wyraźnemu prawu nastało. Prezydentem tego trybunału był Michał Lipski, pisarz wielki koronny, kanonik gnieźnieński, prałat wspaniały i od wszystkich poważany, który hojnością swoją ten trybunał ubogi utrzymał, dając niemal dzień w dzień obiady i stoły publiczne, chyba wtenczas nie, gdy go czasem marszałek, albo kto z pacyentów w tej ludzkości zastąpił.

Na tym trybunale, do Lublina zwyczajnie w roku następującym 1760. przeniesionym, stracił głowę Piaskowski, który w domu matki Hulewiczowej, wdowy, najechawszy ją zbrojno, porwał córeczkę jedynaczkę, w dwunastym roku panienkę, wysokiego posagu, z którą przed bernardynem, sprowadzonym kształtnie z klasztoru i przymuszonym, wziął ślub bez zapowiedzi i indultu. Jeżdżąc potem z nią po różnych domach, nieśmiejąc zawieźć do swego, aby matka haniebnie o ten gwałt urażona, nieodwizytowała go podobnym sposobem, jak on ją nawiedził i córki mu niewydarła, zajechał do Radziwiłła, chorążego litewskiego, który pau, wiadomy tego gwałtu, przez skargi matki wszędzie głośnego, kazał natychmiast Piaskowskiego okuć w kajdany, i wraz z przywłaszczoną żoną, pod mo-

cujm konwojem żołnierza swego narodowego, odesłał matce; — a ta niebawiąc, zawiozła go do trybunału do Lublina i oddała do więzienia. I tak obiedwie, i matka i córka, niewstydzając się nawet wyznać publicznie pozbytego panieństwa, zawzięcie na niego instygowały, że trybunał, po daremnych litości perswazyach, musiał przystąpić do rygoru prawa, na porywaczów i gwałcicieli panien napisanego, kazawszy mu uciąć głowę.

### ● sejmach.

Nieszczęśliwe sejmy, zrywane regularnie, nieoziębially jednak chęci dobrego króla do składania następnych, to ordynaryjnych co dwa roki, to extraordinaryjnych, na które ten monarcha punktualnie zjeżdżał z Saxonii, do której po zerwanym zwyczajnie sejmie znowu powracał. Przed każdym sejmem na ćwierć roku zjeżdżał król do Wschowy, miasta pogranicznego, gdzie odprawivszy Senatus Consilium w materyach, jakie miały być traktowane na przyszłym sejmie, i uniwersały na sejmiki przedsejmowe podpisawszy, wracał do Saxonii, bawiąc tam aż do zbliżenia się czasu sejmu, uprzedzając czas jego zwyczajnie dwiema lub trzema niedzielami. Takim sposobem August III. panował w Polsce aż do wojny siedmioletniej, od zacczęcia której, jako się wyżej mówiło, mieszkał ciągle w Warszawie.

Zrywacze sejmów różnych do zerwania używali pozorów; nigdy sprawiedliwych, bo te z natury rzeczy takimi być nie mogły. W roku 1758., po obraniu marszałkiem Adama Małachowskiego, krajczego koronnego, sejm zerwany został dla téj przyczyny, że rossyjskie wojska znajdowały się w Polsce. Co za racya płonna? — to i owszem radzić należało, aby niebyły, radzić zaś ważniej inaczéj niemożna było, tylko na sejmie; ale to był tylko wybieg: — przyczyna zrywania sejmów była zawsze jedna, ohydzenie panowania Augusta. Obaczmy pod następném panowaniem, jak ta Rossya, która pod Augustem III. wcale się niewdawała do sejmów, ani żadnych krajowych spraw, pod Stanisławem Augustem zupełnie rządziła niemi i wartami swemi otaczała izby sejmowe, a przecie sejmy się nierwały i za ważne uchodziły, gdy ta familia, która za panowania Augusta III. wszystkie sejmy psuła, za Stanisława Augusta psuć je zaniechała.

W roku 1760. znowu sejm zerwany, z téj saméj, co i poprzedzający, przyczyny, to jest, że Rossyanie w Polsce, że pod bronią żołnierza exotycznego sejm wolny być niemoże. Ten sejm zerwał się przed obraniem marszałka.

Tegoż roku 1760. zgorzał kościół katedralny gnieźnieński, tłustością w pobliskim domu przez nieostrożne smażenie zapaloną, na dach kościelny podczas upałów wiatrem zanieśioną i w szczerbę blachy, pokrywającej dach, na wiązanie drzewiane, wiekiem wysuszone, ściekłą.

Następującego roku 1761. zwołał król sejm extraordynaryjny; zaczął się 27. Kwietnia pod starą łaską Adama Małachowskiego, krajczego koronnego, bawił się na rugach aż do dnia 2. Maja, którego zaszedł przeciwko niemu manifest, nie już od jednego posła, jak przeciw dawniejszym bywało, lecz od trzydziestu dziewięciu posłów w grodzie warszawskim podpisany. Jak liczba zrywaczów wielka, tak przyczyna zerwania mała: — oto, że tego sejmu nieopowiedzieli Senatus Consilium, które nic więcej nie miało w mocy, jak tylko wynajdować materye do przyszłego sejmu; te zaś były w uniwersałach na sejmiki wydanych dokładnie wyłuszczone, i czy wyszły z izby senatorskiej, czy z kancelaryi koronnej, jeden obmiot miały: przygotowanie Polaków, o czém radzić na sejmie mają. Zawzięte duchy na uczynienie niesławne panowania Augusta III., nawet mu pomyśleć dobrze o kraju niedopuszcili, zrywając sejm dla tego, że sam król, nie z senatem, wydał na sejm uniwersały. Ten sejm zerwał się przed obraniem marszałka, lubo się włókł tydzień, mozołąc króla przejażdżką codzienną z pałacu saskiego na zamek do izby senatorskiej, aby momentu drogiego czasu z swojej przyczyny niezwłókł izbie poselskiej, skoroby się z senatorską, po obraniu marszałka, złączyć chciała. Ukaraný król zerwaniem sejmu za to, iż przed nim nie miał rady senatu, złożył ją dnia 13. Maja, nie żeby co pożytecznego na niej przedsięwziął, gdy wszystkie usiłowania jego ku dobru kraju były zesperowane, ale żeby coś czynił i niepróżnował. Jakóż nic na niej wielkiego nietraktowano, jedynie o sposobie zapobieżenia monecie złej, w kraj wchodzącej. W téj materyi resultatum tego Senatus Consilii zostawiło w mocy królowi, złożyć sejm extraordynaryjny, kiedy zechce. Znudzony król sejmami wciąż zrywanymi, nie składał pozwolonego. Jakoż, gdyby był złożony, byłby i zerwany, a materya monety na sejm

wprowadzona, już tem samem, że sejmowa, niemogłaby być od żadnej zwierzchności szczególniej traktowaną i rozwiązana. Podskarbiowie tedy obojga narodów, z innymi panami, rej wodzącymi, zniosłszy się, zrobili redukcją, którą otrąbiono w Warszawie dnia 12. Września 1761.

### ***O drugiej redukcji monety.***

Pod stępem saskim dobrej monety, która po groszach miedzianych z chęcią była przyjęta od Polaków, jako niemających żadnej monety srebrnej, prócz starój; wytartój, Jana Kazimierza, i orlanek cesarskich trochę, — nacisnęła się w kraj polski niezmierna moc białej monety, berlinkami wrocławskiem i bakami zwanój. Tę tedy monetę podskarbiowie wielcy zredukowali w sposób następujący: najprzód tynfom dobrym, próbę osmą i dziewiątą trzymającym, saskim, pruskim i moskiewskim, w Królewcu bitym, naznaczyli kurrencyą po groszy miedzianych 35, innym wszystkim niższej próby, choć tegoż samego stępla, po groszy 15. Niebyło w Polsce innój monety srebrnej, tylko te tynfy nowe, a moc groszów i szelągów; bo starą monetę polską, jako to: szóstaki, tynfy, ćwiartki i talary bite, jedne na srebro poprzerabiano, drugie żydzi wykupili i do Wrocławia wywieźli. Toż samo działo się z tynfami nowemi, na 15 groszy zredukowanemi, między którymi wiele było, które warte były po groszy 35, na czem żydzi dobrze się znali; — zaczęli takie tynfy dobre i moneta polska stara, w mennicy wrocławskiej przebite, powracały nazad do Polski w gatunkach podlejszych, a zawsze pod stępem saskim, który miał na jednej stronie twarz Augusta III., na drugiej herby saskie i polskie. Był też między temi tynfami jeden gatunek, który wyrażał u nosa królewskiego sopel. Temu gatunkowi tynfów, czy z trafunku wyszczerbionego stępla, czy z umysłu na szyderstwo z króla zrobionemu takim, podskarbi w. kor. Wessel uniwersałem swoim wszelkie zabronił kurrency, a że w nim było srebro dobre, wpędce zniknął, przerobiony na łyżki i rządiki, i wykupiony przez żydów. Nigdy w Polsce nie było więcj monety, jak przed tą redukcją, a czerwonego złoto tak trudno było zobaczyć, że dawano za niego po tynfów 36. Im więcj wpływało do Polski złej monety, tem więcza wszelkich towarów i żywności rosła drożyzna, i ta trwała aż do redukcji. Żyta korzec płacono po tynfów 60, co po re-

dukcyi znaczyło złotych 30 — i tak wszelkie inne rzeczy były niezmiernie drogie. Robotnikom jednak przy fabrykach, jako to: mularzom, cieślom i pomocnikom, temi złemi pieniędzmi niepłacono drożej, tylko tak, jak przedtém, gdy dobre pieniądze kursowały; to jest mularze i cieśle brali na dzień po tynie, pomocnicy po groszy  $25\frac{1}{3}$  czyli po 2 szóstaki. Książę biskup krakowski, Sołtyk, murował natenczas pałac w Warszawie, inni także panowie prowadzili fabryki znaczne; umówili się tedy z podskarbin w. kor., aby zatrzymał ogłoszenie redukcji, póki oni tygodniowej płacy robiącym przy ich fabrykach cieślom i mularzom, tudzież zaległej podług kontraktów innym rzemieślnikom, jako to: kowalom, ślusarzom, stolarzom, garncarzom i tym podobnym majstrom należitości niepowypłacają, chcąc tym sposobem szkodę swoją na pomienionej monecie, skarbce pańskie napelniającę, w jakiegokolwiek częstce znniejszyć i między lud drobniejszy podzielić. Gdy tedy wspomniane wyżej należitości powypłacali w sobotę, podskarbi w. kor. namienioną wyżej redukcją kazał otrąbić po Warszawie w niedzielę zaraz po téjże sobocie następującą, która była dniem 12. Sierpnia roku 1761. Razem z redukcją publikowana była taxa wszelkich zbóż, legumin, mięsiw, ryb, tudzież robót rzemieślniczych. Te dwie dyspozycye na krótki czas przecięły cyrkulacyą pieniędzy i towarów w całym kraju. Nikt niechciał przyjmować długów, tylko według redukcji, przeciwnie dłużnik żaden niechciał inaczej płacić, tylko według kursu przed redukcją będącego, skąd wynikły niezliczone kłótnie między wierzycielami a dłużnikami. W Warszawie zaś samej dnia publikowanej redukcji powstał bunt, do kilku dni trwający, żołnierzy i pospólstwa naprzeciw rzeźnikom i piekarzom; te bowiem dwa gatunki karmicieli ludzkich, spodziewając się, iż mianowicie żołnierze będą chcieli kupować podług taxy otrąbionej, a płacić podług dawnego kursu, nietylko jatki, ale i domy nawet swoje pozamykali. Gwardya koronna, do tumultów najśmielsza, zaczęła atak od domów piekarskich; wzięwszy na patrontasze długi kloc drzewa, póty nim bili we drzwi, póki ich niewybili, toż dopiero wpadłszy do kamienicy, zabierali bezpłatnie chleby znalezione. Ta zuchwałość wkrótce była poskromiona i niezasięła więcéj, jak trzech albo czterech piekarzów, rzeźnika żadnego; żądza albowiem gwałtowna mięsa niemogła mieć tego pozoru, co żądza chleba, który jest jedynym i nieodbitym ludu pospolitego



żywołem. Wszakże po uskromieniu pierwszém żołnierzy i odpędzeniu ich od attaku kamienic, gdy tak rzeźnicy jak i piekarze, przymuszeni od zwierzchności, pootwierali nazajutrz jatki z chlebem i mięsem, pospólstwo i żołnierze wielkie w nich gwałty popełnili, chleba i mięsiwa, co mogli porwać na prędce za pieniądze podług kursu dawnego, a tasy nowój, to porywali, zamykających jatki i uchodzących z resztą tych wiktuałów bili, kaleczyli, do zamkniętych w domach drzwi i okna wycinali i wyłamywali, aż nareszcie temi gwałtownościami piekarzom do pieczenia chleba, a rzeźnikom do bicia bydła ogólny wstręt, a sobie i wszystkim mieszkańcom warszawskim trzydniowy głód sprawili, tak, iż ani bochenka chleba, ani kawałka mięsa dostać niemożna było, choćby za najlepszą zapłatę, przez cały ten czas, póki się pospólstwo, głodem przymuszone, nieuśmierzyło, a piekarze i rzeźnicy, zabezpieczeni rentami mocnymi, pod taxę niepoddali.

Od téj tasy początek wzięło przedawanie mięsa i ryb na funty, dawniej nieznane, tylko na sztuki, jak którą mógł kupujący zgodzić u rzeźnika lub rybaka. Mięsa przedniego funt otaxowany był po groszy 6 miedzianych, pośledniejszego po groszy 4; — ryby pomierniej funt po groszy 8, szczupaka misowatego po groszy 24. Rzeźnicy przez tę taxę nie mieli szkody, gdyż sprzedając drobnemu ludowi na funty, tak zacinali sztuki, iż przy mięsistych częściach kawał lub kawałek kości znajdować się musiał; — kto zaś z majątniejszych osób, albo od wielkich dworów kupujący żądał, aby mu sztuka wytworna z bydłęcia lub ćwierci wycięta była, taki nie na funty, ale na sztukę z rzeźnikiem godzić się musiał; ten zaś inaczej jej nie odciął, chyba, że mu wprzód podług woli jego zapłaconą została, niebędąc obowiązany wycinać na sprzedaż funtową sztuk najcelniejszych. — Co zaś do rybaków, tych zdzierstwo przez wagę i taxę wprowadzoną dużo osłabiało. Co przed taxą rybak za szczupaka misowego niepowstydział się zacenić 10, a nie miał skrupułu wziąć najmniej 6 czerwonych złotych, to po ustanowieniu tasy i wagi musiał się kontentować taką zapłatą, jaka z odważonej ryby, by też największej, wypadła, a tak za sztukę główną, ważącą funtów 40, choć w takiej ogromności bardzo rzadką, a przeto szacowną, musiał przyjąć złotych 32, które wynosiły funty wyżej wyrażone, po groszy 24 odrachowane, bo nie chcący tak przedawać, oskarżony przed instygato-

rem taxowym, drogo przypłacił wyższej nad taxę sprzedaży, zapozwany do sądów marszałkowskich i w nich grzywnami dobrze wykropiony. Ten atoli rygor co do wielkich ryb nie trwał dłużej nad pół roku, przywarą powszechną polską, wszystkie, by też najmocniejsze ustawy wątlącą. Rybacy albowiem najprzód po taxie zakupili stawy od marszałka w. koronnego, gospodarza Warszawy i samowładnego stanowiciela taxy na wszelkie wiktuały, zapłaciwszy mu dobrze i jak sam chciał pomienione stawy, potem bardzo mało ukazywali na rynku ryb wielkich, do których, gdy się ubiegali jedni przed drugimi szafarze wielkich panów, wydzierając je sobie bez wagi i podrzucając pieniędzy, rybacy, jakoby gwałt cierpiący od kupujących, sprzedawali tym, którzy więcej płacili; jurysdykcya zaś marszałkowska, przez wdzięczność zakupionych od swego pryncypała drogo stawów, patrzyła na to przez szpary, co się działo wbrew ustanowionej wadze i taxie, a zatem powoli wielkie ryby pozbyły się tego obojga, tak z stawów marszałkowskich, jak z innego jakiegokolwiek rybołóstwa nabyte.

Piekarze, niemogący mieć takich wybiegów, jak rzeźnicy i rybacy, musieli uleść taxie i wadze postanowionej, i zostać pod nią wciąż od roku do roku. Ile razy albowiem który piekarz pokazał się z chlebem, niedoważającym wagi postanowionej, albo dla ważności źle wypieczonym, zabierano mu wszystko wystawiony na rynek, i na szpitala rozmaite, albo dla żołnierzy konfiskowano.

Przeciwko redukcji, dopiero opisaniej, manifestowało się bardzo wiele województw, zadając podskarbiemu w tych manifestach, iż nie miał prawa nazuaczania szacunku monecie, iż zniżony walor monety stał się wielkiem zakłóceniem, tak w interesach obywatelskich, jakoteż w handlu powszechnym. Województwa zaś poznańskie, kaliskie, sieradzkie i obadwa kujawskie, niedosyć mając na zanesionych do grodów manifestach, wyprawili z pomiędzy siebie posłów do króla, do prymasa i do hetmana w. kor., dopominając się, aby powagą tych trzech osób, najpierwszych w kraju, dawny walor monecie był przywrócony. To poselstwo odbyte było z osobna u każdej z tych trzech osób w Warszawie się natenczas znajdujących, przez zwyczajne perory i podanie skargi na piśmie. Jeżeli zaś fundamentalnie obwiniali podskarbiego, że nie miał prawa do redukcji, tém nieprzyzwoicić z tym interesem udawali się do

wspomnionych trzech osób; bo te ani pojedynczo, ani wszystkie trzy razem nie mogły bez innych stanów całego królestwa, bądź w tym, bądź w innym jakim interesie publicznym stanowić; podskarbi zaś, jako z prawa postanowiony rządca i stróż skarbu publicznego, mógł decydować o pieniądzach, bo te są treścią skarbu.

### ***O komissyi rossyjskiej w Toruniu.***

Lecz te skargi na redukcją były tylko pozorem poselstwa wyprawionego do króla w celu pryncypalnym, a niby nawiasem do redukcji przypiętym, ażeby Moskwa od Augusta III. naprzeciw królowi pruskiemu sprowadzona, po zniszczeniu zaś Szląska, Brandenburgii i Pruss, z Polski chleb i inne furaze wyciągająca, a przeto szlachcie uciążliwa, i na sprzecznych w dostawianiu nakazanych prowiantów czasem batoga po swojemu używająca, z kraju polskiego, w którym się rozkładała, podług okoliczności losu wojennego ustąpiła. Poznał to dobrze król, poznali i panowie, co znaczyło to poselstwo, przez affekt ku królowi delikatne. Dla tego pierwsza kategoria, to jest względem monety, jako nie od nich zawisła, do sejmu generalnego była relegowana; w drugiej zaś, do samego króla należąc, dana od tronu odpowiedź: że lubo jego królewska moc chętnie radby widział kraj polski od zagranicznego żołnierza co do jednego uwolniony, ale kiedy skutek tej jego chęci nie jest w jego mocy, więc w tém przynajmniej chce dać dowód ojcowskiej swojej nad polskim krajem pieczołowitości, że się postara u imperatorowej rossyjskiej (tą natenczas była Elżbieta Petrowna), aby szkody i krzywdy wszelkie, Polakom poczynione, nagrodzone były. Jakoż na instancją tegoż króla cesarzowa zesłała komissyą do Torunia i pieniędzy z parę milionów na uznanie i popłacenie szkód, przez swoje wojska w Polsce poczynionych. Z strony imperatorowej był komissarzem Stefan Puczkow, pułkownik rossyjski, a z strony Polski Wychowski, starosta czerwonoogródzki, pułkownik huzarski: z tych dwóch osób składała się ta komissya, oprócz których był przybrany jeden Polaczek, urząd niby regenta sprawujący. Ten zapisywał w registr osoby, mające pretensyą szkód, od wojska rossyjskiego poczynionych; — ale nie zapisywał każdego, kto się skarżył, tylko zapisywał tych, których komissarze zapisać kazali; ci zaś kazali tylko zapisywać osoby najpierwsze w kra-

ju, prymasa, hetmanów, wojewodów, a z pomniejszych tych, którzy przynieśli za sobą instancje od grafa Bryła, od marszałka nadwornego koronnego Mniszcha, od Sołtyka, biskupa krakowskiego, lub od innych magnatów; bez takich zaś instancji przychodzący, tylko ci byli domieszczeni do rejestru, którzy się panu Puczkowi okazali i szumnie prezentowali, uczyli dla niego sprawiali, albo sekretnym kondyktm połowę przyznaną w jego szkatule zostawić przyrzekli. Puczkow był tych pretensyj samowładnym sędzią, Wychowski za nim tylko potakiwał i prośbą wniesieniem do Puczkowa swoich przyjaciół wspierał. Formalność tej komisji była takowa: regent z rejestrem siedział w przedpokoju, z którego czytał po jednemu, kto miał przystępować z pretensjami przed komissarzów, w drugim pokoju samotnie zasiadających. Rejestr pretensyj powinien był być spisany w formie rejestrowej, podpisany ręką podającego bądź pana, bądź plenipotentę i pieczęcią wielką herbową pańską podpieczętowany. Tak uautentowany rejestr przy najniższym ukłonie podający składał na stole przed komissarzami, a sam w też tropy za ich rozkazem wychodził na ustęp. Puczkow spojrzawszy na sumę ogólną, nie wchodząc w żadne szczegóły ani wywody, czy pretensje były sprawiedliwe, czy niesprawiedliwe, ile na dokumentach polskich i piśmie tego narodu mało się znajdujących, samą tylko pieczęć im większą, tem bardziej konsyderując, rzekł do Wychowskiego: Ne dam bulszo temu szlachtyczu albo panu, tolki tyła a tyła, n. p. za stotysięcy wykalkulowanych rejestrem naznaczył 30 tysięcy. Jeżeli Wychowski mógł co więcej na Puczkowie wytargować dla przyjaciela, to łagodnie popierał; jeżeli się Puczkow zaciął na swojej determinacji, to Wychowski na niej przestać musiał, jako niemający w rękę swoich szafunku pieniędzy. Po najdłuższym dwupacierzowym ustępie, był zawołany dzwonkiem podający rejestr, któremu Puczkow ogłosił swój wyrok w tych słowach: Bulszo ne dam kak tolko. — Jeżeli pacjent odezwał się, iż to mało, replikował Puczkow: kogda tolko ne zwolisz, to niczego ne wozmesz; zatem na taką racją każdy przestawał z ukłonem. Więc Puczkow wtenczas pisał assygnacją do swego sekretarza skarbem zawiadującego, który podług assygnacji wyliczał pieniądze, wytrąciwszy sobie ofiarowane za fatygę i dla prędszego wyliczenia kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt czerwonych złotych, do proporcji liczonej

sumny i wspaniałości biorącego, za odebraniem której odbierający dawał kwit liczącemu. A że ta komissya bardzo krótki termin, bo tylko sześćniedzielną miała, i nie była po całym kraju oznajmiona, lecz jedynie w Warszawie, przeto skończyła się prędkiej, nim się połowa obywatelów o niej dowiedzieć mogła. Panowie do tego wielcy, zawinawszy się ręczno, i ponadstawiawszy w dziesięcioro nad prawdziwe zmyślonych pretensyj, w pół czasu komissyi pieniądze owe rozerwali, tak, iż Puszkow ostatnim przybywającym tylko rewersa dawał, jako się im tyle a tyle od najjaśniejszej monarchini za szkody wyżej wzmiankowane należy, które to rewersa pod panowaniem Katarzyny, wkrótce nastąpionem i pod Stanisławem Augustem królem polskim, w Warszawie popłacone zostały szacherskim sposobem, ustępując połowy tym, którzy, mający wpływ do kassy rossyjskiej, toruńskich rewersów od niemających go nabywali.

### ***Powtórna redukcya,***

ogłoszona od podskarbiego w. koronnego Wessla, nastąpiła wkrótce po pierwszej, tegoż roku 1761. Ta się ściągała tylko do jednego gatunku tyńfów, wrocławskimi zwanych, którym podskarbi naznaczył waloru po dwa szóstaki, to jest po groszy miedzianych 25 $\frac{1}{2}$ .

### ***O wojnie w Polsce Prusaków z Rosyją.***

Jako się wyżej rzekło, Rossyanie prowadząc wojnę z Prusami, przebywali często w Polsce, jużto ciągnąc z Prus do Szląska, już w różnych potrzebach wojennych czyniąc sprawy i przysposobiając prowianty i furaże. Przy takich zabawach udybanych Rossyanów, pod Gostyniem w Wielkiej-Polsce obozem do 5 tysięcy wynoszącym, pod klasztorem księży filipinów stojących, Prusacy, znienacka wtargnąwszy w Polskę, pobili i rozproszyli, atakując z armat i ręcznej broni przez godzin cztery i 3 kwadransy, a potem spędzonych z placu goniąc o półtóry mili, to jest aż za wieś Lubień zwaną, skąd się wrócili do Szląska, ale popsawszy wprzód Rossyanom magazyny w Kobylinie, w Gostyniu, w Poznaniu i Stęszewie. Od mąk wysypanych na powietrze bieleły się dachy i ulice, tak jak w zimie od śniegu, choć się to działo ult. Sierpnia r. 1761. Rossyanie zaś po rozsypce pod Gostyniem, nieoparli się aż w wielkim obozie swoim, który natenczas był

w Prusach brandenburskich, zupełnie od Rossyan podbitych i zawojowanych, i na imie Elżbiety cesarzowej jakoby w dziedzictwo wziętych. Pieniądze nawet bite były w Królewcu (jakem już wspomniał) pod imieniem Elżbiety cesarzowej; z jednej strony portret cesarzowej do wpół osoby z napisem: „Elisabetha Petrowna. Imperat. Russ.“, na drugiej był napis do koła: „Moneta argentea Regni Prussiae“ i liczba pieniądza w środku na piersiach orła o jednej głowie pod koroną, z berłem i jabłkiem w szponach, z skrzydłami w górę podniesionemi, wyrażona. — Zemścili się niedługo Rossyanie na Prusakach téj psoty w Polsce sobie wyrządzonej, gdy im szturmem odebrali miasto Kolberg w Pomeranii, jakoś średnich czyli ostatnich dni miesiąca Listopada roku tegoż 1761. Mówiono, że Laudon, sławny generał austriacki, komenderował ostatnim szturmem rossyjskim, gdy poprzedzające, przez rossyjskich generałów kierowane, nie były skuteczne. Wzięcie tego miasta kosztowało Rossyan 24 tysiące żołnierza straconego, ale za to dostał się im skład bogactw całego kraju pomorskiego, do téj fortecy przed rabunkiem pozwożonych, losem zaś ludzkiego nieszczęścia nieuchronnym w ręce rossyjskie nagalonych. Także dziesięć okrętów, żywnością naładowanych, które król pruski od miasta Hamburga zakupił, a które przed obleżeniem właśnie wtenczas pod Kolbergiem stały.

### **● redukcji approbowanej.**

Chociaż według redukcji ustanowionej przez podskarbiego wielkiego koronnego, miała bieg swój niesprzeczny w handlu wszelka moneta, że jednak w wypłacaniu długów wielkie trwało zamieszanie między szlachtą, na mocy manifestów zaniesionych niechcącą słuchać redukcji podskarbińskiej, przeto trybunał piotrkowski pod laską Andrzeja Zamojskiego, wojewody inowrocławskiego, marszałka trybunału, dodając jako tako waloru redukcji uczynionej przez podskarbiego, approbował dekretem swoim pomienioną redukcją dnia 7. Grudnia roku tegoż 1761., powtórzywszy ten dekret w Lublinie w następującej kadencji swojej roku 1762., a tak w całym kraju uśmierzył pieniąctwo o kurs monety.

### **● redukcji IIIciej 1762.**

Podparty dekretem trybunalskim w władzy swojej podskarbi w. kor., kazał publikować trzecią redukcją dn. 8. Marca

roku 1762. Ta redukcya ściągała się do samych tynfów, bi-tych w Wrocławiu, między któremi czyniła różnicę, nadając jednym cenę po groszy 25 miedzianych, drugie zostawując w dawnym walorze po groszy 15. Niepodobala się ta trzecia redukcya Franciszkowi Bielskiemu, Marszałkowi w. kor., a jako miał większą władzę w Warszawie i jej okolicach nad podskarbiego, bo miał w ręku swoich sądy potoczne, do których mógł przytoczyć każdą sprawę jaką chciał uczynkową, a jaką mogła się stać zawsze sprawa o kurs monety; miał do egzekucyi i utrzymania wyroków swoich chorągiew węgierską od rzeczypospolitej nadaną z dawna i płatną; tak też czując się na mocy, sprzeciwił się pomienionej redukcji, kazawszy ogłosić przez trąbę, aby wszystkie tynfy stępla wrocławskiego za równo po groszy 15 kursowały: co iż było wygodniejsze dla wszystkich, niż przebieranie w pieniądzech dużo do siebie podobnych, a przeto do rozpoznania lepszych od podlejszych mianowicie pospolstwu trudne, z ukontentowaniem od całej publiczności, a z niesmakiem samego podskarbiego przyjęte zostało. Z tego postanowienia marszałkowskiego wyniknął szczególny pożytek dla panów i żydów; te bowiem dwa stany ludzi uniwersałem podskarbińskim ostrzeżone, iż są dwa gatunki w tynfach wrocławskich, lepszy i gorszy, a w równej cenie edyktem marszałkowskim zostawione, jak tylko mogli wybierali i wykupowali podrzucając groszem lub dwiema wyżej tynfy lepsze wrocławskie, panowie topiąc i obracając je na srebra stołowe, żydowie zaś szejdując na fajnsylber, albo wywożąc do Wrocławia, i tam na podlejsze z zyskiem swoim zamieniwszy, nazad do Polski sprowadzając. Mennica albowiem berlińska i wrocławska nieustannie naśladowała mennicę saską. Pod jakim tylko stępem bito monetę w Saxonii stopy dobrej, pod takimże stępem bito stopy złej w Berlinie i Wrocławiu, a do Polski rozmaitemi sposobami i drogami pchano. Gdy zaś Polska nie miała żadnej mennicy i dla sejmów ustawicznie zrywanych mieć jej nie mogła, a niedostatek monety stariej cierpiała, nietylko z łatwością, ale i z radością przyjmowała wszelką monetę zagraniczną, by też najpodlejszą.

#### **● cesarstwo rossyjskiem.**

Nie z drogi zboczę, gdy krótko namienię czytelnikowi memu następstwo carów rossyjskich, którzy w czasie tej hi-

stori i mojej panujac po sobie, rozmaity wpływ do polskich interesów mieli.

Elżbieta Petrowna, przyjaciółka Augusta III. króla polskiego i tak jego jakoteż Maryi Teresy cesarzowej rzymskiej czyli niemieckiej aliantka, tocząca wojnę o której wyżej, z Fryderykiem II. królem pruskim, któremu wojskiem swoim już była wydarła całe Prusy, Brandenburgią i znaczną część Szląska, umarła w ten czas właśnie, kiedy ten król acz w samęj rzeczy wojownik wielki wycieńczony siedmioletnią wojną i zewsząd ściśniony od nieprzyjaciół swoich dogorywał, kiedy już owa jego w początkach krociowa armia tylko się w 40 tysiącach rachowała. Nowina o śmierci Elżbiety przyszła do Warszawy o godzinie 10tej w nocy dnia 15. Stycznia r. 1762. Przewróciła się zaraz karta szczęścia Augustowi III. i Maryi Teresie. Albowiem po Elżbiecie objawszy tron Karól Piotr Ulryk z domu Holsztein Gottorp pod imieniem Piotra III., co za życia Elżbiety sekretnie ile mógł sprzyjał królowi pruskiemu prośbami i groźbami ujmując generałów wojujących przeciw niemu, aby Prus oszczędzali, to po śmierci Elżbiety jawnym jego ogłosił się przyjacielem. Oddał mu wszystkie kraje za Elżbiety zawojowane i 20 tysięcy wojska rossyjskiego zostawivszy mu na pomoc przeciw Maryi Teresie, reszcie kazał wyciągnąć jak najspieszniej z krajów pruskich. — Uwziął się był ten Piotr w kraj cały moskiewski wprowadzić rząd pruski i luterską religią, brał potrzebne nauki od króla pruskiego do takiego zamiaru, chcąc koniecznie i siebie i całe państwo swoje na wzór pruski wykształtować i przeistoczyć. Lecz nie miał głowy Fryderyka wielkiego. Nagle i absolutnie pędząc rzeczy do zamierzonego celu, wpadł w nienawiść u większej części narodu, a najpiérwój u duchowieństwa, którzy bolesnie patrzyli na Piotra czi obrazom świętym uwłaczającego i zakazującego, mając takowe zakazy za pierwszy krok potajemny do wprowadzenia umyślnego i w sercu przyjętego luteranizmu. Zapaliwszy tedy Piotr przeciw sobie nienawiść z téj jednéj strony, rozniecił ją z drugieój, kiedy rozkochawszy się w jednéj damie z familii Woronózwów, umyślił z nią się ożenić, a Katarzynę żonę swoją zamknąć do śmierci w jednym monasterze, który na ten koniec jak najspieszniej fortyfikować kazał. Lecz Katarzyna, mędrsza i obrotniejsza od Piotra męża, mając podostatkiem przyjaciół w wojsku, w senacie i u du-



chowieństwa jako udająca zawsze prawowierną i gorliwą schizmatyczkę, uprzedziła go, i wtenczas, kiedy on o dwie mile od Petersburga zabawiał się najswobodniej pijatyką, amorami i przekształceniem formy dawniej rządu, podniosłszy w Petersburgu przeciw niemu rewolucyą, porwała go i wtrąciła do więzienia. — Katarzyna posiadała tron zaraz po mężu wtrąconym do więzienia, którego detronizacya przez dekret senatu nastąpiła d. 29. Czerwca. Gdy go albowiem wezwano do zaprzysiężenia hołdu cesarzowej, odpowiedział: jak ja mam przysięgać nowiej monarchini, kiedy niewidzę na paradnym łożu zwłoków dawniejszego mojego monarchy. Tę subtelną odpowiedź wzięto za radę, iż trzeba zgubić Piotra, chcąc siebie i cesarzową Katarzynę nadal od wszelkiej mogącej wybuchnąć za żyjącym Piotrem rewolucyi ocalić. — Król pruski gdy się dowiedział o śmierci Piotra, rzekł tylko: jam mu radził rozłożyć zmiany na 10 lat, a on chciał je w jednym roku do skutku przywieść i tem się zgubił. To krótko o cesarzach rossyjskich współczesnych memu pisaniu namieniwszy, wracam się do ojczystych dziejów.

Wojska rossyjskie blisko lat pięciu bawiące w krajach polskich, wyciągnęły z nich zupełnie za rozkazem Katarzyny, nie dla przyjaźni Polakom, ale dla potłumienia partyi niektórych, które się po śmierci Piotra przeciw Katarzynie pokazały, a które ona dzielnością swoją pokonała i zgnębiła obyczajem krajowym. Kraj tedy polski nie miał w sobie żadnego Rosyana przez 2 roki następujące.

### ***O sejmie ordynaryjnym 1762.***

Ostatni to był sejm pod panowaniem Augusta III, co do liczby sejmów, pierwszy zaś co do gwałtownego sposobu sejmowania, który da się widzieć w dalszym swoim opisanu, do którego nim przystąpię, muszę wprzód ukazać czytelnikowi przyczynę, która tę gwałtowność spłodziła. Raczy sobie tedy przypomnieć czytelnik to, co się o szlachectwie grafa Bryła, przez dekret trybunałski zyskanem, wyżej powiedziało, i to drugie, że familia Czartoryskich, pół Polaków po sobie mająca, sprzeciwianiem się ustawicznem najlepszym albo najniewinniejszym naczas zamysłom dobrego króla, wszystkie niemal urzędy dla swoich partyzantów na nim, ułagodzić ją sobie pragnącym,

wymuszała. Przydadź jeszcze muszę trzecią przestrożę do pierwszych dwóch: że przy końcu panowania Augusta III. graf Bryl, minister królewski, Jerzy Mniszech, marszałek nadworny koronny, zięć pierwszego, i Kajetan Sołtyk, biskup krakowski, kreatura tych dwóch, składali tróję dworską i nią powszechnie zwani byli, za której zdaniem szedł we wszystkiém August III.; ta trójca szafowała łaskami królewskimi, bez niej nikt niczego od króla niedostał. — Blisko przed tym sejmem zawakowały niniejsze urzędy: pieczęć wielka koronna, pieczęć mniejsza litewska, buława wielka litewska i województwo wileńskie. Te wszystkie urzędy familia Czartoryskich uwzięła się pozyskać dla swoich przyjaciół. Trójca dworska oddawała do jej woli buławę mniejszą litewską (bo większa z dawnego zwyczaju należała hetmanowi polnemu), podkanclerstwo litewskie i województwo wileńskie; zostawiła tylko do wolnego szafunku królowi jmei, a raczej sobie, podkanclerstwo koronne. Czartorysey, jako już dawno postanowili u siebie pokazać jawnie moc swoją, górującą nad mocą trójcy, której nienawidzili, tak na ofiarę niezupełną wszystkich urzędów żądanych, podaną sobie przez Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego, odpowiedział książę kanclerz litewski, Czartoryski, głowa i rządzca familii: „albo wszystko, jak my chcemy, albo nie.“ Mniszech, któremu też niezbywało na dumie, spytał się kanclerza: „a kiedy nie?“ — na co kanclerz: „kiedy nie, to będziemy wiedzieli, co z tém czynić.“ Zirytowany temi groźbami dwór, oddał zaraz województwo wileńskie książęciu Karolowi R., miecznikowi litewskiemu, buławę polną Sapieże, wojewodzie połockiemu, podkanclerstwa zaś koronne i litewskie zachował podług prawa do przyszłego sejmu. Między okolicznościami, wchodzącemi do województwa wileńskiego, godna wspomnienia następująca: gdy Bohusz, sekretarz R., przyszedł do Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego z propozycją wyliczenia zaraz 40,000 czerwonych złotych, byleby pan jego, książę Radziwiłł, otrzymał województwo wileńskie, rzekł do niego marszałek: „Ale mospanie, jakże mu dać tak wysokie krzesło, kiedy to człowiek szalony!“ — Na co Bohusz: „Tém lepiej; jeżeli albowiem dacie ten wakans mądrymu, książę Czartoryski, kanclerz litewski, znajdzie rozum na rozum i potrafi mądrego przeciągnąć na swoją stronę; szalonego zaś przerobić na swoją partją niepotrafi.“ — „Bravo, mospanie! lecz

wać pieniądze!“ — i takim sposobem R. (w samej rzeczy szaleniec) otrzymał województwo. Ta dystrybucya wyżej wspomnianych wakansów przejala do żywego Czartoryskich: postanowili tedy Bryła młodego, cześnika koronnego, posłem ziemi warszawskiej na sejm nadchodzący obranco, wypchnąć z poselskiej izby, jako nieszlachcica polskiego, tylko przez dekret trybunałski piotrkowski (jako na karcie 19.) takim zrobieonego.

To tedy było, co Stanisław Poniatowski, stolnik litewski, na tymże sejmie poseł liwski, chciał Bryłowi zadać, a czego partya dworska Bryłowi nie dopuścić uwzięła się. Gdy tedy Poniatowski jeszcze przed elekcyą marszałka sejmowego chciał ostrzedz sejm, że w izbie między posłami znajdując się jeden poseł nicszlachcic, i na ten koniec żądał od marszałka stariej laski głosu pozwolenia, Radziwiłł podkomorzy litewski, który miał głos mocny, będąc z partyi dworskiej, niemal razem z Poniatowskim zawołał, albo raczej tego krzyknął: Mci panie marszałku, proszę o głos! Co Poniatowski powtórzył: Mci panie marszałku, proszę o głos, to wzajemnie Radziwiłł krzyczał: proszę o głos. Było tego po kilka razy między tymi dwoma tylko sam na sam wołającymi. Lecz gdy Poniatowski, nie dbając już o danie sobie głosu, zaczął wymawiać te pierwsze słowa: „Znajduje się między nami —“ huknęła na niego cała partya dworska; naprzeciw niej nowym hukiem obydwu stron wrzeszczących na siebie „Nie masz zgody na głosowanie przed obraniem marszałka i prosimy o głos dla posła mówiącego“ — dalszych słów Poniatowskiego, które były: „nic szlachcic Brył Poseł Warszawski,“ nikt przed hałasem słyszeć nie mógł, chyba tuż siedzący przy Poniatowskim. Zaczęty ten wrzask od samych posłów stał się powszechnym i arbitrom, którzy się w kole poselskiem między posłami znajdowali, a z tych najwięcej było czeredy służącej Radziwiłłom i Czartoryskim, lub tych dwóch partyj przyjaciółom, uzbrojonej pałaszami i pistoletami pod sukniemi. Trwała ta wrzawa z pół kwadransa, aż nareszcie w dobycie szabel wybuchnęła, co iż się stało w oka mgnieniu, trudno było dostrzedz, z której strony i kto pierwszy dobył szabli. Ilc jednak siedząc w górnej ławie i mając pod okiem całe poselskie koło, mogłem dostrzedz przy roztargnionym wzroku na Poniatowskiego i Radziwiłła, to mi się zdawało, że najpierwsza szabla która błysnęła była lit-

wska, osadzona w furdymencie i trzymana od ręki obleczonéj w rękawiczkę łosią z karwaszami pod sam łokieć długiem; głowa zaś tego junaka nakryta była po same oczy czapką tęgą, drutami i bawełną przesywaną, jakich czapek Litwini do pojedynków i tumultów zażywali, zaczęli rozumieć mogę, że wspomniane dobycie szabel wszczęło się w party Radziwiłłowskiej, a zatem dworskiej. Również z dobyciem szabel, pomieszczone wprzód między sobą ile w ciasnym na taką ludność cyrkule partye, rozskoczyły się i stanęły naprzeciwko sobie w dwóch ścianach, sięgać się ciosami wzajemnie mogących; do czego jednak nieprzyszło, bo Małachowski, krajczy koronny, marszałek staréj laski, biegając od końca do końca między owemi ścianami, stawiając przed oczyma bliską przytomność króla, w izbie senatorskiej z senatorami siedzącego, obrazę majestatu królewskiego przez dobycie szabel, zgwałcenie świątyni praw, przykład straszny zuchwałości i tym podobne uwagi, dokazał tego, że szable pochowano i uciszono się. Po tém uciszeniu marszałek Małachowski miał mowę długą swoim zwyczajem, ubolewając nad tak nieszczęśliwym dla przyszłości przykładem, a dalej ciągnąc rzecz obligował posłów, ażeby dla naradzenia się in plena activitate, co z tym przypadkiem czynić należy, raczyli przystąpić ad turnum, to jest do głosowania porządkiem województw, a że tego roku kolej pierwszeństwa przypadła na prowincyę małopolską, zatem dał głos województwu krakowskiemu, pierwszeństwo w prowincyi małopolskiej trzymającemu. Lecz gdy miasto czekania kolei swojej, Poniąkowski, stolnik litewski, zaczął domagać się głosu, i podobnie jak pierwéj swoim wołaniem o głos zaczął go tłumić Radziwiłł, znowu powstała wrzawa, znowu się zaczęli rozstępować na partye i mieć ku pałaszom, acz ich jeszcze niedobrywając. Marszałek widząc, iż nasadzona jest rzecz na wypchnięcie Bryła z poselskiej izby, co by się stać niemogło bez wielkiej rzezi, odwołał sessyę na dzień jutrzejszy. Takim tedy sposobem przyjaciele dworscy uratowali Bryła od hańby publicznej zarzutu nieszlachectwa. Ale że ten sposób, ile był pomocny w krytycznej owéj godzinie Bryłowi, tyle przeszkadzał sejmowi i przy zaciętości familii Czartoryskich na Bryła, byłyby dni wszystkie jego zniszczył i wycieńczył aż do limity, a możeby przyszło w dalszych sessyach do krwawéj rozprawy, której skutkiem byłoby zerwanie sejmu, zaczęli nie tracąc darmo czasu i nie czekając

jakiego fatalnego skutku, wypadło dworskiej partyi zerwać go bezzwłocznie, niechcąc Bryła exponować na hańbę nieszlachectwa. Jakoż tego samego dnia pokazał się manifest przeciw sejmowi uczyniony w grodzie warszawskim przez Szymakowskiego stolnika i posła ciechanowskiego. Przyczyna w tym manifestcie do zerwania sejmu dana: gwałt wolności przez dobycie szabel w izbie sejmowej zadany, acz może i on sam, razem z drugimi, jako mazur kordyaczny, dobył swojej serpenty. Lecz tak mu podyktowano, bo słusznej przyczyny do zerwania sejmu nigdy wynaleźć niemożna było. Potomność niechaj osądzi, jeżeliby nie lepiej było, skryć grafa Bryła i niepokazywać go na sejmie, niżeli zrywać tenże dla punktu honoru jednej osoby. Gdyby był dwór tak pomyślił, cała wina zepsucia sejmu spadłaby była na Czartoryskich, jako zawsze sejmy psujących, a Brył byłby szlachcicem, jak nim został za dekretem trybunalskim, i mając inne honory i urzędy publiczne, obszedłby się był bez poselstwa przemijającego. Ale ambicya wzięła górę nad wszystkimi z strony dobra publicznego uwagami, i wpisała dwór ten jeden raz w regestr zrywaczów sejmowych.

Jeszcze przez dwa dni po manifestcie Szymakowskiego zjeżdżali się posłowie do izby poselskiej, ale już mów żadnych nie było, prócz jednego marszałka, który izbę zagajał i zaraz po zagajeniu posłów po dwóch do szukania Szymakowskiego i sprowadzenia go, aby izbie sprowadził activitatem, delegował, i to zrobiwszy, natychmiast sessją do jutra limitował, po których dniach, gdy delegowani uczynili izbie wiadomość, że Szymakowskiego nieznaleźli w okręgu Warszawy, sejm pożegnał, wywarłszy w mowie pożegnawczej wszystkie przekłęcia na tego, kto był przyczyną zerwania sejmu. Niewymienił jednak nikogo, lubo dobrze wiedział (bo i sam jako przyjaciel dworu w te rady wchodził), kto go zerwać kazał, i kto się tej przysługi podjął, i że zaraz pan zrywacz sejmu, zrobiwszy tę dobru publicznemu psotę, z dukatami za nią nabytymi z Warszawy prysnął. Szukali go delegowani dla zachowania formalności w zwyczaj wprowadzonej szukania zrywacza od pierwszego sejmu zerwanego, i aby na szukaniu czas trawiając, nieszczęśliwemu sejmowi godzin przyczynili.

Na taką wrzawę i tumult, wszczęty w kole poselskiem (jako się wyżej opisało), arbitrowie siedzący za kołem po ławach

przy ścianach będących, jedni przejęci strachem na łeb pozaskiwali na ziemię, uciekając co ducha w sobie z poselskiej izby i roznosząc fałszywą wieść po ulicach, że się rąbią w poselskiej izbie; drudzy śmielsi, powstawszy na nogi, cofnęli się tyłem z niższych ław na wyższe: raz dla tego, ażeby od szabel, gdyby się te po całej izbie rozpiezchły, po nogach niedostali, drugi raz, ażeby z wyższego miejsca tumultowi w kole poselskiem wybuchłemu lepiej się przypatrzeć mogli, którym cofnięciem nagłem i tęgiem od liczby osób skupionych uczynionem, stojących za sobą naprzeciw oknu dwóch młodych Radziwiłłów, podkomorzyców litewskich, studentów podówczas w konwiktie pijarskim i jednego towarzysza huzarskiego témże oknem na ulicę wypchnęli. Towarzysz, mężczyzna słuszny, a zatem ciężki, uderzywszy czołem o bruk przed kancelaryą, zabił się na miejscu. Radziwiłły, chłopcy lekkie, jeden spadłszy na towarzysza, zdrów przemierzył wysokość trzeciego piętra do ziemi, drugi, niedostawszy żadnej podkładki, tylko trochę błota, złamał rękę; i na tym przypadku skończyło się fizyczne, dobra publicznego, nieszczęście.

Jak partyi dworskiej niebył tajny zamach Czartoryskich na Bryła, tak wzajemnie Czartoryskiemu niebyła tajna tego zamachu przedsięwzięta z strony dworskiej odsiecz; co się stąd pokazać dało: najprzód: że posłowie niezasiadali miejsc swoich podług ziem i powiatów, ale partyami; powtóre: że w koło nieweszli sami jak należało, lecz z wielką i zbrojną assistencyą (jako się wyżej rzekło); potrzecie: że skoro błysnęły szable, natychmiast używającym sukni francuzkiej w miejsce szpad dodano rapirów dragońskich; poczwarte: iż z izby poselskiej niewychodzili razem, lecz partyami, zatrzymując się druga, póki zupełnie niewyszła pierwsza; popiąte: że do domów niepowracali karetami, w których przyjechali, ale na koniach, w mniemaniu zapewne, iż na ulicy jaka walka między czeredą służącą wyniknąć może, z której panowie łatwiej na koniach niż w karetach wymknąby się potrafili. — Te tedy okoliczności mocnym są dowodem, iż ta scena, która się w poselskiej izbie odprawiła, niebyła przypadkowa, lecz urządzona. Że zaś do rozlania krwi niedoszło, przypisać to należy albo jakiegokolwiek na króla refleksyi, albo, że nikt nieśmiały zostać pierwszym w tej jatce publicznej zaręczaczem, albo na ostatek gieniuszo-

wi, wpływającemu już mocno na naród, burzliwemu ale niekrwawemu.

### ***O trybunale roku tegoż. (1762.)***

Po zerwanym sejmie cała forsa Czartoryskich udała się do Piotrkowa ze wszystkimi swymi przyjaciółmi i ludźmi nadwornymi, ażeby zerwać trybunał, jeżeliby partya dworska swoje kreatory na funkcjach marszałkowskiej i deputackich utrzymać chciała. Lecz nieznalazłszy tam nikogo przeciwnego sobie, ustanowiła trybunał z samych swoich przyjaciół złożony. Marszałkiem tego trybunału stanął Siemicki, referendarz koronny, prezydentem Turski, kanonik gnieźnieński i oficyał warszawski.

### ***O Senatus Consilium tegoż roku.***

To Senatus Consilium zaczęło się 25. Października r. 1762. Deliberacye jego były następujące:

- 1) Jeżeli potrzebny jest sejm extraordinaryjny, po zerwanym ordinaryjnym.
- 2) Jakim sposobem zapobiedz na przyszłe czasy podobnym do dzisiejszego na sejmach tumultom.
- 3) Ponieważ coraz więcej złej monety zagranicznej w kraj wpływa, czyby niedobrze było, pozwolić miastom przedniejszym pruskim, ażeby pod dozorem podskarbach obojga narodów były dobrą monetę.

Na pierwszy punkt wszystkie głosy senatorskie były jednobrzmiące za potrzebą sejmu. Na drugi punkt, podaną radę od księżęcia Sołtyka, biskupa krakowskiego, przebudowania izbów poselskich w Warszawie i w Grodnie w taki sposób, iżby arbitrowie z posłami mieszać się niemogli, ale posłowie osobnem wejściem przez warty do cyrkułu swego, arbitrowie zaś do łóżów czyli ganków wysokich także osobno wchodzili, podobnież wszyscy approbowali.

Na trzeci punkt rozdzieliły się zdania senatorów na potwierdzającą i przeczącą stronę. W tych zaś wszystkich mowach z okoliczności tumultu, w izbie poselskiej zaszłego, jedni drugich ucinkami kłębali i szczypali, niewymieniając jednak nikogo, bo też tego niepotrzeba było. Kiedy mówił który senator z partyi dworskiej, każdy słuchacz domyślił się, iż przy-

mówki jego zmierzają do Czartoryskich, i gdy mówił Czartoryczyk, niewątpił podobnież żaden, że strzały języka jego godzą do trójcy dworskiej.

Że zaś król polskiego języka nierozumiał, przeto szczypiący się wzajemnie najpryncypalniejszego zamiaru uszczypków swoich nieosiągli, który był od jednych: przegryźć króla w osobach jemu lubych; od drugich: ukontentować go kąsaniem jego przeciwnika. Więc tylko zostawała w sercu każdego prywatna satysfakcja, gdy przejął do żywego (jak mu się zdawało) swego adwersarza. Skończyło się to *Senatus Consilium* dnia 30go Octobra, po którym publikowano resultatum od tronu dnia 5. Novembra następującej treści:

1. J. k. m., p. n. miłościwy, sejm extraordinaryjny za potrzebny uznaje i zwołanie onego do czasu sobie uwidzianego odkłada. 2. Na zapobieżenie odtąd tumultom wszelkim w poselskiej izbie, zaleca podskarbin wielkim/obojga narodów, ażeby tu i w Grodnie izby poselskie podług rady senatu przebudowali, a jchmość marszałkowie wielcy, aby z pilnością autora dobytcia szabli szukali i znalezionego przykładnie skarali (NB. lecz go nieznaleźli). 3. Zostawuje j. k. mość woli jchmościów panów podskarbin wnijście w ligę, kiedy zechcą, z miastem Toruniem, względem bicia dobrej monety (NB. i ten punkt niebył negocjowany. Na cóż bowiem podskarbiowie mieli się zatrudniać z miastem Toruniem o bicie dobrej monety, kiedy Saxonia dodawała takiej podostatkiem; a kiedy wrocławska mennica pod takimże stępem nieprzestawała nasylać do polskich krajów swojej złej, a wykupować saską dobrą, potrafiłaby toż samo uczynić i z monetą toruńską, gdyby była od wrocławskiej lepsza. Na zatamowanie wpływu do kraju złej monety zagranicznej nienależało robić lepszej, ale gorszą; lecz ten sposób niespodobał się Polakom, dla tego woleli cierpieć obcą monetę złą, niż w swoim kraju robić taką).

### ***0 Senatus Consilium w Warszawie 1763.***

Drugie *Senatus Consilium* odprawiło się w Warszawie w średnich dniach miesiąca Marca, nie na zamku, jak bywały poprzednicze, ale w pałacu królewskim, a to dla słabości króla. Tego *Senatus Consilium* były trzy kategorye następujące: pier-



wsza, utrzymanie na księstwie kurlandzkim królewicza Karola; druga, zapobieżenie inundacyom w kraje polskie wojsk cudzoziemskich; trzecia, nagrodzenie szkód Polakom przez też wojska poczynionych. Na które kategorye twarde jak kość, takie było od tronu resultatum: ad 1mum: zapozwać na sądy relacyjne Birona, jako niesprawiedliwego uzurpatora księstwa kurlandzkiego; ad 2dum: złożyć sejm extraordinaryjny, gdzie i kiedy się królowi jmci będzie podobało; ad 3tium: wyrobić u imperatorowej rossyjskiej otwarcie komissyi w Toruniu, niedawno za-limitowanej. (NB. Żaden z tych punktów niewziął skutku.) Co do pierwszego, król z Warszawy wkrótce po tém Consilium wyjechał, jako będzie niżej. Sądy zatem relacyjne, jako potrzebujące obecności królewskiej, być niemogły, i choćby były i najmocniejszy dekret stanął na nich dla królewicza Karola, na nicby się nieprzydał, kiedy Katarzyna II., następczyni na tron rossyjski po Elżbiecie, przywoławszy z Syberyi wygnańca Birona, mocą wojsk swoich na księstwo kurlandzkie przywróciła, a królewicza Karola, żadną siłą niewspartego, tylko jedną legalnością inwestytury polskiej broniącego się, zabierając mu wszystkie dochody, wyganiając zewsząd jego komisarzów i ekonomów z całego księstwa, nareszcie jemu samemu w Mitawie uporczywie dosiadującemu zabroniwszy wszelkiej żywności, do zupełnego ustąpienia z Kurlandyi przymusiła. Co do drugiego, niebyło po interesie króla mówić do Rosyi, aby ustąpiła z krajów polskich, do których weszła za jego prośbą, aby się biła za niego z królem pruskim; dla tego gładko się zbył tego punktu, odłożywszy go do sejmu, bez determinacyi miejsca i czasu, który sejm choćby i nastąpił, zerwałby się nic nieustanowiwszy, jak wszystkie inne. Co do trzeciego, komissya toruńska na instancją króla do Katarzyny II. cesarzowej rossyjskiej mogłaby być na oko reassumowana, zapłaciłaby niektóre pretensye większym panom polskim, a zresztą schowałaby się tak jak pierwsza. Lecz że król umarł niezadługo w Saxonii (o czém będzie niżej), więc i do tego nieprzyszło.

### ***O wyjeździe królewskim z Polski.***

Wojna siedmioletnia, sławna w historii, nuędzy Fryderykiem II. królem pruskim z jedną, a Maryą Teresą cesarzową niemiecką, Augustem III. królem polskim i elektorem saskim,

i pomocnikami ich Francuzami, tudzież innymi książętami imperii i Rossyanami z drugiej strony na tego jednego małego podówczas króla, ale wielkiego bohatera, bijącymi ustała. Opisywać jej, jako obcej, niebędę, prócz tego, com wyżej dotknął. Po tej wojnie nastąpił traktat w początku roku 1763. Tym traktatem król pruski utrzymał się przy Szląsku, a szkody wojenne z obu stron umorzone zostały bez nagrody, lubo, co się tyczy króla pruskiego, dobrze on sobie nagradzał szkody poniesione w Prusach, Brandenburgii i Szląsku, gospodarując przez cały ciąg wojny w Saxonii, wybierając z niej prócz zwykłych elektorskich dochodów znaczne kontrybucye, furazę, bydło, konie i rekrutów, a oprócz tego wyprowadziwszy z Meissen do swego kraju partycję gliny, do kilku milionów talarów twar-dych szacowanej, z której podziśdzieci robią w Berlinie porcelanę na wzór saskiej.

Jak prędko tedy August król polski dowiedział się, że już zupełnie Saxonia od wojsk pruskich została opuszczona, natychmiast pospieszył do niej na Poznań, dnia 25. Kwietnia roku 1763. o godzinie szóstej wyjechawszy z Warszawy.

### ***O śmierci i przymiotach Augusta III.***

Umarł tenże król w Dreźnie tegoż roku 1763. na apoplexyę dnia 1. Października. Z jego życiem skończyła się szczęśliwość Polski, nareszcie i exystencya, jako się da widzieć pod następnem panowaniem.

Był August co do ciała wzrostu wielkiego, a przytém kształtnego. Nikt go z panów niedosięgał wzrostem, tylko jeden Chodkiewicz, starosta żmudzki, lecz jak był wysoki, tak był chudy, gdy przeciwnie August był tuszy do wzrostu proporcjonalnej. Minę miał wspaniałą i zawsze wesołą, wzrok i chód powolny. Co zaś do przymiotów duszy, te opisać trudno. Niewchodził w żadne poufale obcowania z panami, niezatrudniał się żadnymi interesami publicznymi, w którychto dwóch okazyach własność duszy najlepiej wyszpiegować można. Zdawał się we wszystkich sprawach publicznych i domowych na ministra. Minister był jego natchnieniem, minister był jego wyrokiem. Jak go minister natchnął, tak on postępował; jak minister komu sprzyjał, takiego ten affektu i od króla doznawał. Zgoła królem rządził minister, ministrem zaś Mniszech, marszałek nadworny koronny i Sołtyk, biskup krakowski. —

Król niepokazywał się panom tylko raz na dzień, gdy z pokojów swoich szedł do kaplicy na słuchanie mszy, której żadnego dnia nieopuszczał, chyba wtenczas, gdy był chory. Szedł do kaplicy przez salę, w której się panowie o 11tej godzinie punktualnie zgromadzali i przez długi kurytarz do kaplicy na boku pałacu stojącej prowadzący, z rękami wyciągniętymi, w które go szeregi panów i szlachty z obu stron uszykowane całowały. Kto z pospolitszych obywateli miał jaką suplikę do króla, podawał mu ją podczas tego marszu, nisko nachylony, albo na jedno kolano przykleknąwszy. Król odebrane supliki oddawał paziowi za sobą idącemu, a paź odniósł je do ministra, który podług woli swojej inieniem królewskim dawał na nie odpowiedź, albo też w kąt zarzucał za niewarte lub natrętne uznane. Zawsze przed królem, pokazującym się na widok, postępowało z laskami dwóch marszałków krajowych, a przynajmniej jeden, albo na jego miejscu znajdujący się przy królu pieczętarz koronny lub litewski. Bez laski przynajmniej jednej nigdy król niewychodził z apartamentów swoich na widok publiczny. Nawet gdy się znajdował w innym kościele na nabożeństwie, zawsze mu laska assystować musiała. W drodze do kaplicy szedł za królem tłum panów, biorąc miejsce jedni przed drugimi, podług godności. Wtenczas po słówku posyłali do uszu królewskich jakie potoczne zdarzenia, lub swoje żądania. Powróciwszy król z kaplicy zatrzymywał się w sali przedpokojowej, przez ten czas, który zbywał do godziny dwunastej, przechodząc się między panami, z tym i z owym cokolwiek rozmawiając. O godzinie dwunastej schyliwszy nieco głowy ku panom na znak pożegnania, wchodził do swoich apartamentów, które natychmiast za nim odźwierniowie zamykali. Panowie zaś pobawiwszy się z sobą jaki kwadrans czasu rozjeżdżali się z pokojów, i już od téj godziny król był niewidziany aż do jutra. Kto jednak z panów wielkich miał jaki interes do króla, znalazł przystęp o godzinie wprzód naznaczonej, o którą trzeba się było postarać u grafa Bryła, bo inaczej warta stojąca przy pokojach nikogo niepuściła. Damy pierwszej rangi prezentowały się królowi w jego apartamentach tylko w dni galowe z powinszowaniem jakiego festynu, idąc szeregiem, ubrane w roby i w klejnoty i przystępując do pocałowania ręki królewskiej jedna po drugiej według rangi. Po skończoném całowaniu ręki królewskiej, postawszy przed nim jaką chwilę, którym król

na znak szacunku pokazał jaki wdzięk uśmiechający i przemówił jaki żarcik wesoły, odchodziły tym samym porządkiem, którym weszły. Pojedynczo i prywatnie żądna u niego dama przystępu nie miała. Zachował albowiem ten król czystość swojego stanu nienaruszoną, przykładem od jego dworu bynajmniej nienaśladowanym. Gdy mu królowa umarła w Dreźnie na początku siedmioletniej wojny, graf Bryl chcąc mu osłodzić po swoim smutny stan wdowczy, namówił go na polowanie, w którym się kochał August, do dóbr Brzoza zwanych, o 12 mil od Warszawy leżących, księżnej chorążyny koronnej Lubomirskiej, damy pierwszej urody, z racyi, że była urodzeniem Saska, zawsze przy dworze królewskim przebywającej, mile zawsze od króla widzianej; z tego pochopu rozumiał Bryl, że król incognito skosztowawszy miłości, przybierze ją sobie za sekretną żonę; ja na ten koniec w domu tej pani dano pokój sypialny królowi blisko pokoju sypialnego księżnej, i ta podług instrukcyi ministra przeszła się blisko łóżka królewskiego. Postrzegłszy ją król spoczywający w łóżku, przy świetle błyszczącym się na kominku, zawołał na hajduka: „zamknij drzwi; niech mi tu nikt nieprzychodzi.“ Tak nieudała się ministrowi papięta dla króla przysługa. Król zaś, jakby niewiedział, kto i dla czego się przechodził po jego pokoju, nigdy ani tej damie, ani grafowi Brylowi najmniejszej o to wymówki nieuczynił.

Niemając, czy niechcąc mieć król żadnego zatrudnienia na swojej głowie, cały czas w zimową porę przesiadywał w pokojach swoich, bawiąc się z domownikami swymi potocznymi dyskursami, a najwięcej myśliwskimi, projektując polowania, na które wyjeżdżał często to do Kozienic, ekonomii królewskiej, to do dóbr Radziwiłłowskich w puszcze i wielkie zwierza obfitujących. Lubił także polowanie na głuszcze, na które ordynaryjnie wyjeżdżał na wiosnę. A że ten ptak grę swoją odprawia w głębokich lasach, do jazdy powozem niesposobnych, przesiadał się na konia, na którym dojeżdżał do stanowiska, mając idących wedle siebie hajduków mocnych, którzyby za potknięciem się konia, ciężarem osoby królewskiej zwątlonego, króla od upadku ratowali. Szczęścia posłużonego na tém polowaniu znakiem były pióra tego ptaka, przypięte do kapeluszków albo czapek wszystkich osób, które królowi na tém polowaniu assystowały.

Chował przy dworze swoim błazna czyli trefnisia, który go w melancholicznym humorze będącego śmiesznemi żarcikami i kuglarskiemi figlami rozrywał, i drugiego poetę, który w niemieckim języku z każdej okoliczności dowcipne i śmieszne wiersze nagle składał. Ci dwaj ludzie mieli przystęp do króla wolny każdego czasu. Assystowali mu także podczas publicznych obiadów, i kiedy w ogrodzie do tarczy strzelał. Tytuń palił mocno, a najwięcej po obiedzie, po którym przy tytuniu popijał sobie saskie piwo tegie i tłuste, dla niego robione. Prócz wyrażonych dopiero, miał jeszcze jedną rozrywkę, nie ze wszystkiém przystojną. Kazał przywłóczyć przed okna swego pałacu w miarę strzelania ścierwy zdechłych koni dla zwabienia psów. Te strzelał z wiatrówki, a hycel płatny miesiącami, ubite psy codziennie wieczorem wywłóczył z dziedzińca, i zakładał nowe ścierwy, z gnatów ogryzionych wyczyszczając dziedziniec.

Jadał tłusto i wiele. Kuchnia jego nie miała równiej w Europie, tak co do wytworności potraw, jak co do wielości ich; kucharzy, kuchników, posługaczy kuchennych, pomywaczek, liczbę do setnej dochodzącą. Tożsamo niemal było w cukierni. Choć sam jeden obiadował, zastawiano jednak przed niego najmniej 20 potraw i potem wety i cukry. Ale zato niejadał wieczerzy, chyba bardzo rzadko i to jaki lekki specyjalik. Lecz za niego pili dobrze jego dworscy. Zgoła, co się tyczy stołu, ten był suły aż do zbytku, iż weszło w przysłowie (kiedy kto miał dobry obiad) mówić: „jadłem dzisiaj, jak król polski.“ Go schodziło z królewskiego stołu, rozchodziło się na inne stoły, kapelanów, kamerdynerów, paziów, kamerlokajów, fryzyerów i innych, na stół gotowy, nie na strawne służących, oprócz czego dla wszystkich stołowników gotowano osobne regularne potrawy, schodzące zaś z królewskiego stołu za przysmak poczęści sprzedawano. Niemogąc wszyscy pojeść takiego zbytku, sprzedawali potrawy całkiem nietykane do miasta i była to obrywka kucharzy i szafarzów, pod rękę których czasem potrawy niedane do stołu i schodzące z niego powracały. Toż samo działo się z mięsami surowymi, z drobiazgami, toż samo z innemi ingredyencyami kuchennemi i kredensowemi, jako to butelkami wina i piwa, z cytrynami, fruktami, świecami jarzącemi etc., bo wszystko podług regulamentu od ministra przepisanego szło podług dziennego wydziału, lecz nie,

co się z tego wydziału niestrawiło, niepowracało do spiżarni i piwnicy. Codziennie szły nowe wiktuały i trunki, a o zbywających niepytano się przez wspaniałość za maxymę królowi wrażoną, gdzie się obracały; dla tego wszystko było sprzedawane na pożytek tych, którzy czém zawiadowali, albo czego dopadli. Była to jakaś alegoryczna konfiskacja potraw i trunków. Można było każdego czasu dostać od królewskiego dworu świeżego pasztetu, tortę, garnitur ciast przednich, cytryn, świec jarzących mało upalonych, za połowę ceny takiej, jakaby sprawując to sobie albo kupując od kupców kosztowała. Szambelan, odprawujący dzienną służbę, podawszy królowi pierwszą farfurkę z potrawą, siadał z nim do stołu, i kto jeszcze inny z domowych, kogo król zawołał.

W dni galowe, jako to w dzień narodzin, koronacyi królewskiej i tym podobne, dawał król otwarte stoły dla senatorów i urzędników koronnych, do których zasiadali za biletami liczbowanymi, losem ciągnionymi. Jaką kto wyciągnął liczbę, takie zasiadł miejsce, podobną liczbą do krzesła przypiętą oznaczone, pokazując król tym sposobem, że wszystkich, mimo różnicę godności każdego, równo szanuje. W dzień 3ci Augusta dla samych tylko orderowych dawał król obiad, do którego siadali porządkiem wyżej opisanym. Tego dnia, imieniny królewskie i uroczystość orderu Orła Białego znaczącego, ubierali się wszyscy w suknie jednakowe, to jest czerwoną wierzchnią, białą spodnią.

Kiedy przejeżdżał z Saxonii do Warszawy, albo z Warszawy do Saxonii, albo do Grodna na sejm, lub gdzieindziej na polowanie, czynił to pocztowemi końmi, w pomoc którym panowie przystawiali po stacyach swoje cugi, i kto tylko miał, najmował do tej jazdy swoje konie, od których pocztmajstrowie brali na dwie mile po 5 tyńfów od pary koni, a najemnym płacili po 2 szóstaki na milę od jednego konia, i tak wszyscy znaczne zyski z jazdy królewskiej ciągnęli. Postylioni brali tryngieltu po 3 złote, ci co smarowali powozy, za jedno nasmarowanie tyńfa jednego. Zgoła nikt dla króla nogą ani ręką nieruszył bez dobrej natychmiast zapłaty. Stanowiska w podróży do Saxonii i stamtąd, kiedy jechał na Wrocław, to jedno było w Lubochni, drugie w Sokolnikach; kiedy na Poznań, to w Kleczowie, w których miejscach były pobudowane dla

niego pałace i przy nich utrzymywani kosztem jego murgra-biowie, a po śmierci jego też pałace ze wszystkimi meblami dostały się possessorom dóbr, w których były zbudowane.

Lubił też król strzelanie do tarczy, na którą zabawę, o kilkaset kroków od pałacu odległą, nosili go hajducy w lektyce, na trzy stacye po dwóch rozstawieni, szybko, choć z ciężarem nie lada jakim cetnarowej osoby królewskiej, nogi zbierający. Po obu stronach lektyki biegli paziowie, szambelan i oficer, a za lektyką lokaję, służbę dniową u króla trzymający. Tuż za królem w drugiej lektyce tymż sposobem niesiono ministra grafa Bryla. To strzelanie zaczynało się o godzinie czwartej po południu i trwało do godziny szóstej przez jeden miesiąc Maj, do którego strzelania wzywał król niektórych senatorów i urzędników koronnych orderowych; którzy się ofiarowali do tej zabawy królowi, byli zapisani w katalog, i podług tego katalogu byli przywołani do strzelania. Mający strzelić wchodził do strzelnicy o 300 kroków od tarczy odległej, gdzie mu strzelec królewski podawał sztuciec nabity i odbierał wystrzelony. Kto zaś niechciał strzelać z sztucca królewskiego, wolno mu było strzelać z własnego, od swego strzelca nabitego. Za każdym wystrzeleniem lauffer ubrany w togę kitajkową czerwoną, wybiegał z za tarczy z dołu dla siebie za nią wykopanego, oglądał w tarczy postrzał, zabił go kołkiem, i na tabliczce białej okrągłej pokazał czarno odmalowany numer taki, jaki kto w tarczy ustrzelił. Jeżeli zaś kto wcale tarczy chybił, obiegił ją trzy razy do koła. Poeta królewski za każdym strzeleniem na pochwałę strzelającego; albo na żart z niego, powiedział parę wierszy nicmieckich; błazen zaś ciągle podczas tego strzelania różne figle stroił, albo z drugim nadwornym którego pana błaznem w czuby i zapasy dla rozrywki królewskiej chodził. Gdy się skończył miesiąc strzelania, rozdawał król dziesięć premiów między tych, którzy się najlepiej popisali, mniej zręcznych pominąwszy. Te premie składały się z numizmatów różnego walurowi złotych, albo z sztuk porcelanowych. Nie było obowiązkiem wpisanym w katalog każdego dnia znajdować się na strzelaniu; wolno było czasem niebyć. Przez przypodobanie się jednak królowi rzadko który opuścił bytność swoją. Miły widok króla wspaniałego i wejrzenia wesołego zwabiał licznygo spektatora obojg płci z osób dystyngwowanych, oprócz tych, którzy należeli do strzelania.

Niewypowiedzianą dobroć tego króla ukazać może czytelnikowi następujący przypadek: Gdy razu jednego w Piotrkowie wyrzucił go z królową pocztym, tak, iż oboje, jedno przez drugie wytoczyli się z karety na bruk, i ze strachu uciekać poczęli, złapanego przez ułanów król przed siebie przyprowadzić i rozśmiałwszy się do niego, oraz dawszy mu za tę sztukę dukata jednego, usiąść na konia i jechać dalej z sobą kazał.

Kochał się także ten król wielce w orkiestrze czyli w kapeli, do której dobierano wirtuozów, śpiewaków i śpiewaczek w całej Europie najślawniejszych. Ta orkiestra grała często królowi na jego pokojach w dni galowe, po kościołach, w których się król na nabożeństwie znajdował, i na operach, dobierając do siebie na wspomniane opery kapelów różnych panów, mianowicie Wielhorskiego, kuchmistrza litewskiego, i księcia Czartoryskiego, kanclerza w. lit., tak iż liczba muzykantów, grających operę, przenosiła sto osób. Te opery wielkie odbywały się dwa razy w tydzień, we wtorek i piątek. A lubo dla wielkiego kosztu w odmianie, jedną operę grano przez pół roku, po staremu król bywał na każdej punktualnie, nie tęskniąc sobie w widoku jednej półrocznej reprezentacji, siedział w łożu nieporuszenie, przez trzy godziny a czasem i dłużej trwającej opery, i gdy widział operhausu nienapełnionego spektatorem, dziwował się niegustowi polskiemu, iż się nieubiega do widzenia rzeczy, tak wielce delectującej oko i ucho, darmo, to jest bezpłatnie, której widzenie w innych krajach lud najpospolitszy opłacać nieżałuje. Trzeba bowiem wiedzieć, iż te opery zawsze darmo dawane były; podczas sejmu lub innych zjazdów za biletami dla dystyngwowańszych osób, prócz sejmów i zjazdów bez biletów, dla wszystkich, jakiegokolwiek gatunku ludzi.

Niemiała Polska i niebędzie miała tak dobrego, tak wspańskiego i tak hojnego króla, jak miała Augusta III., a oraz tak nieszczęśliwego dla Polaków: iż mu nic dobrego dla kraju (choć z duszy tego pragnął) zrobić niedozwolili, zrywając sejmy ciągle, a wszystką winę nieładu i nierządu stąd pochodzącego, na niewinnego króla składając. Na ostatek familia Czartoryskich przez fakcye swoje przewrotne i dumne, ohydliwszy przed narodem po większej części zwiedziouym panowanie Augusta, detronizować go postanowiła, gdyby go była śmierć przed tym zamachem wściekłym, a nawet względem dworów



obcych nierozumnie przedsięwziętym, nieuchyliła. Bo August urodzony księżciem dziedzicznym saskim, skoligowany z cesarzem niemieckim i innymi królami europejskimi, miał więcęj reputacyi w całej Europie, wiadomęj przyczyni nierzędu polskiego, niż jeden kanclerz Czartoryski, głowa przewrotna swojej familii, który u cesarzowej rossyjskiej pracował o zepchnięcie króla z tronu, osadzenie na nim swego synowca Adama, generała ziem podolskich, na czem takby się był zawiódł po detronizacyi Augusta, jak się zawiódł w tém przedsięwzięciu po śmierci jego, jako się niżej da widzieć. — Panował August nad Polską lat 30, godzin wspomnienia słodkiego i pamięci nieśmiertelnęj.

***O trybunale i zaczętem interregnum czyli bezkrólewia. (1763.)***

Pierwszy poniedziałek po święcie Świętego Franciszka, według dawnych praw polskich był dniem zaczęcia trybunału piotrkowskiego, a oraz tenże dzień miał być zaczęciem bezkrólewia. Sejmiki deputackie, po wszystkich województwach pod wrzawą i bitwą odbyte, uwiadomiły tak partją dworską, jakoteż partją Czartoryskich, iż zaczęcie trybunału musi być braterską, po dawnemu, a obywatelską po teraźniejszemu zowiąc, krwią oblane. Dla tego tak partja dworska na utrzymanie, jakoteż partja Czartoryskich na zerwanie jego znaczne siły żołnierstwa narodowego i szlachty najemnej do Piotrkowa ściągnęły. Czyby się był pomieniony trybunał przemocą partji dworskiej utrzymał, czyby się był przemocą partji Czartoryskich zerwał, wszystkoby wyszło na jedno: boby się tak pierwsze jak drugie stać niemogło inaczej, tylko przez gwałt mocniejszej partji. Czartoryscy zaś udecydowali u siebie, od tego gwałtu zacząć bezkrólewie, rozrzucić manifesta po kraju, że król kraj opuścił, że niebytność jego w kraju przyczyną jest wszelkich gwałtów i zamieszania między obywatelami, że panowie przychylni dworowi i od niego faworyzowani przywłaszczyli sobie moc nad resztą obywatelów, wynosząc do funkcyi deputackiej przez moc i potęgę swoje kreatury, i spychając sobie nielubych, choćby najpocześniejszych; że takim bezprawiom kładąc oni tamę ile możności (t. j. Czartoryscy), musieli się wziąć do oręźa, że nakoniec niewidząc

innego sposobu do wydzwignienia ojczyzny z stanu powszechnego zamieszania i ucisku, przymuszeni zostali wypowiedzieć królowi jmcj posłuszeństwo, podać tron za wakujący i poszukać do niego kandydata z pomiędzy rodaków, któryby znając prawa polskie, gieniusz narodu, mieszkając pomiędzy nim, i dozierając styru rządu z własnej stolicy, nie o granicę, zepsute rzeczy dobra publicznego naprawić potrafił.

Takie było ułożenie Czartoryskich, i gdy się nazajutrz partye sprowadzone rzezać miały, w wigilią wieczorem nadbiegł kuryer z Drezna, donosząc, że król umarł. Czartoryscy kontenci, że się im zdarzyło samo przez się to, co oni przez ostatnie środki zrobić chcieli. Potoccy, czyli partya dworska, niemogąc trybunału utrzymować, jako niemającego waloru i exystencyi po śmierci królewskiej: po której według praw kardynalnych państwa ustają wszelkie władze sądownicze dawne, a następują sądy kapturowe do spraw uczynkowych po powiatach dla utrzymania spokojuości publicznej — rozjechali się wszyscy z Piotrkowa.

Stanisław Poniatowski, stolnik naówczas litewski, będący w Piotrkowie, co tylko usłyszał o śmierci królewskiej, natychmiast pobiegł pocztą do Petersburga, wyprawiony tam od familii, ażeby co prędzej, nim się kto inny odezwie, ubiegł koronę dla Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. — Lecz Katarzyna II., cesarzowa rossyjska, pamiętna jego zasług, jeszcze za życia Piotra męża doznanych, nieprzyjawszy podanego Adama, mało znanego i niewiele w umyśle jej znaczącego, ofiarowała zaraz w pierwszej konferencyi jemu koronę polską z tym dokładem, iż jeżeliby go naród i familia Czartoryskich nieakceptowały, tedy o innym pomyśli dla Polski królu, nie o Adamie. Poniatowski tedy, jakoby niechęcący, przyjął mile jej obietnicę, z którą powróciwszy do kraju, i doniosłszy ją Czartoryskim, srodze takim sprawunkiem interesu zmartwionym i rozgniewanym, ledwo nieupadł zupełnie na nadziei swojej. Właśnie albowiem wtenczas odezwał się o koronę polską do pryncypalniejszych panów polskich i litewskich elektor saski, syn Augusta III., który z urodzenia nie miał władzy w nogach, lecz za to był mocny w rozum, przez który wyrobił sobie wsparcie u zagranicznych dworów. Cesarzowa nawet, lubo dała Poniatowskiemu przyrzeczenie, że go utrzyma królem, gdy jednak odebrała listy od elektora saskiego, wzywające jej łaski

zarekomendowania go Polakom i dopomożenia mu do tronu, poczęła się nachylać na jego stronę; dała do zrozumienia Poniatowskiemu, iż lubo uprzedzona przyrzekła mu sprzyjać, silnemi jednak interesowaniami się innych dworów za elektorem, musi się skłonić na jego stronę, łaskę swoją tymczasem dla Poniatowskiego do drugiego zawakowania tronu polskiego odłożywszy, które iż niezadługo nastąpi, wnosić można z słabego zdrowia elektora kaleki.

Czartoryscy urażeni na Poniatowskiego, za oszusta poczytanego, chwycili się elektora, któremu się niemal wszyscy panowie polscy uradowali, jedni z przywiązania do domu saskiego, drudzy z nienawiści do Czartoryskich, niewiedząc tajemnicy, iż sami Czartoryscy ubolewali na to, iż Poniatowskiemu, nie swemu Adamowi, swojemi skarbami, swojemi siłami i swemi rozumami drogę do tronu uprzętać mieli.

Lecz na nieszczęście Polski, elektor saski uczyniwszy poprzednicze kroki do tronu polskiego, zachorował dnia 15. Grudnia na ospę, z której 17. tegoż miesiąca roku 1763. z tym się pożegnał światem.

Po śmierci elektora nikt się ani z domu saskiego, ani z innych zagranicznych o polską koronę nieodezwał: zaczęł Poniatowski, pozbywszy tak mocnego, jakim był elektor, rywala, całą protekcją cesarszowej rosyjskiej opanował. Czartoryscy widząc, iż ich Adam, czyli oni dla Adama nieznajdują u żadnej postronnej potencji względu, niechcąc też z domu swego wypuścić korony, chociaż nie na tę głowę, na którą sobie życzyli, spadającej, chociaż z boleścią serca, przystali na Poniatowskiego, wymówiwszy sobie to u niego, iż zostawszy królem będzie we wszystkiém rady księcia kancлера, jako głowy rodziny, słuchał, i że wakanse za rekonendacyami onęj szczególnie i zezwoleniem będzie rozdawał, na co Poniatowski, nietargując się, chętnie przystał, acz wkrótce po dostąpieniu tronu dependencją taką z siebie zrzucił. Cała tedy rodzina Czartoryskich z przyjaciółmi swemi chwyciła się wyniesienia na tron Poniatowskiego. Służyła mu do tak wysokiej promocji radą, siłą i pieniędzmi: bo on sam z siebie był ubogi, nie miał więcéj rocznéj intraty z ojczyństwéj substancji jak 50 tysięcy, co w konkurencji o koronę było prawie niczem. Kancлерz rozporządzał wszystkie środki polityczne; które i przyszły król i przyjaciele rodziny z osobliwszą sprawnością i posłuszeństwem, jak gdyby

w rządzie monarchicznym, exekwowali. Wojewoda ruski dawał pieniędzy na wszelkie potrzeby, Jędrzej Poniatowski, brat Stanisława rodzony, generał austriacki, w trybie wojennym z młodości lat wyćwiczony, komenderował całą siłą zbrojną, tak iż wszystkie orszaki żołnierskie różnych panów i panów sprzyjających familii, największe i najmniejsze nawet od kilku ułanów lub kozaków od swoich panów względnie konserwowane i płatne, od jego ordynansów dependowały. Przysłać do tego należy 5 tysięcy wojska rosyjskiego, przysłanego tymczasem od cesarzowej, które acz miało swego osobnego komendanta, ten jednak stósował się we wszystkim do woli i rekwizycyi familii, a familia do rady jednej głowy swojej, to jest księcia kanclerza. Dla tego rzeczy wszystkie w tej partyi szły porządnie, sprawnie i skutecznie.

Przeciwnym sposobem partya niegdyś dworska, a w czasie bezkrólewia saską zwana, lubo była daleko mocniejsza od pierwszej, nie miała atoli dwóch rzeczy najpotrzebniejszych: jedności i celu; jedności względem operacyi, celu względem kandydata, jako się niżej da widzieć. Książe biskup krakowski Sołtyk chciał rządzić wszystkiemi operacyami, i miał po temu głowę, tylko że pyszną, a to sprzeciwiało się dumie świeckich magnatów, aby rozporządzeniom jednego księdza, ile między nimi wszystkimi najdumniejszego, podlegać mieli. Jan Klemens Branicki, hetman wielki koronny, mając wojsko komputowe, to jest rzeczypośpolitej, do kilkunastu tysięcy pod ten czas liczone, pod swemi ordynansami, mógłby był stać się wodzem całej partyi saskiej i wniwecz obrócić zamiary przeciwnie, ile gdy cesarzowa więcej wojska nad wyżej wspomniane pięć tysięcy dać nie postanowiła, żądając wprowadzić od Polaków, aby Poniatowskiego królem obrali, lecz nie chcąc go upornie utrzymywać, gdyby byli Polacy te pierwsze jej posiłki złamali i z domu saskiego króla sobie obrać uwzięli się. Lecz Branicki, jedno że był stary, do niewczasów rewolucyjnych niezdolny, drugie, że nim rządzili jego nadworni konsyliarze, Starzyński sekretarz i Węgierski koniuszy, a tych znowu nakręcał Mokranowski, starosta ciechanowski, faworyt sekretny żony hetmańskiej, a siostry rodzonej Poniatowskiego, konkurenta do tronu. Dla tych przyczyn hetman starzec wahał się w doradzanych od kogo innego przedsięwzięciach, burząc tylko w pokoju na Poniatowskiego i grożąc mu, iż nigdy na jego elekcyą niepozwoli.

Książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, miał do 6 tysięcy wojska swego regularnego, sprowadził je do Warszawy, rozlokował po kątach pałacu swego i po domach nadwiślanych, do swojej jurysdykcji należących, i na tem przestał. Salezy Potocki, wojewoda kijowski, przyciągnął z sobą także do Warszawy z jaki tysiąc i drugi nadwornéj milicyi i kozaków, i także po kątach jak pierwszy pokrył. Zjechawszy się ci pryncypałowie najczęściej do hetmana Branickiego o naradzenie się, jak mają legalnie oprzeć się Poniatowskiemu na sejmie konwokacyjnym, udecydowali, że gdy się odezwie Poniatowski z pretensją do korony, a opozycja legalna niepomocze, otwartą siłą uderzyć trzeba będzie na partją familii, Poniatowskiego złapać, łeb mu uciąć, familią z adherentami za zdrajców ojczyzny ogłosić, z kraju wywołać, dobra pokonfiskować, z urzędów pospychać i dopiero uwolniwszy się od tych dawnych ojczyzny zdrajców, o kandydacie do tronu pomyśleć. Tym książę biskup krakowski i biskup kamieniecki Krasiecki, z hetmanem, chcieli mieć jednego z pozostałych synów Augusta III., to jest albo królewicza Xawerego, albo królewicza Karola. Radziwiłł z Potockim i innymi drobniejszymi, w przypadku nieakceptowania pierwszych dwóch od dworów postronnych, niechcąc żadnego cudzoziemca, tylko koniecznie Piasta, kładli koronę na głowę Branickiemu. Ten też pochlebiając sobie, iż dla wieku podeszłego, krótko przemijające panowanie jego nie miałyby wielkiej przeszkody, obojętnie miał się ku saskim kandydatom, którzy z swojej strony bynajmniej się z pretensją swoją do tronu polskiego nie zgłaszali. Z tą jednak chęcią swoją Branicki się niewydawał, tylko mile przyjmował, gdy go przyjaciele ze wszystkich panów najgodniejszym tronu uznawali. Należy tu jeszcze wspomnieć o dwóch konkurentach, którzy się przez swoich szachrów do korony rekomendowali, a ci byli: Lubomirski, wojewoda czerniechowski, i Jabłonowski, wojewoda poznański; lecz o tych dwóch żaden z kierujących interesem wakującego tronu i niepomyślał, bo pierwszy mianu był za waryata, drugi nie miał zasług.

Tu mi wypada stanąć z dalszym opisem bezkrólewia, a obrócić pióro do nowego przypadku, w kraju zdarzonego.

**O Paczkowskim, rotmistrzu pruskim.**

Kiedy panowie polscy zatrudniali się przyszlą elekcyą, Fryderyk II. król pruski, chcąc sobie nagrodzić szkody podczas wojny siedmioletniej od chłopów polskich z furami do Szląska przez Rossyan zajętych, i na współ z kozakami tenże Szląsk rabujących, poniesione, wysłał do Wielkiejpolski rotmistrza Paczkowskiego w 60 koni huzarów, pod pretextem szukania zbiegłych poddanych pruskich i dania protekcyi uciemiężonym od panów swoich poddanym Niemcom, w krajach polskich osiadłym. Ten Paczkowski ulokował się w Poznaniu, bynajmniej niezważając, iż tam stał garnizon polski regimentu dragonii generała Skórzewskiego. Ztamąd najpierwszą uczynił rekvizycyą do panów tych, w których dobrach znajdowali się Niemcy: aby mu jako zbiegli z państw pruskich, ex nunc z całym majątkiem ich wydani byli. Który z panów pobiegł do Poznania dla usprawiedliwienia się, tego Paczkowski przytrzymał w areszcie; który niepobiegł, posłał mu kilku huzarów, którzy go w jego własnym domu aresztowali póty, póki ludzi z całym majątkiem żądanym niewydał i pieniędzy za pretensye wyinventowane niezapłacił. Kto był uparty, dręczyli go huzarowie różnemi przykrościami; gdy i to rychłej zapłaty niesprawowało, odsyłał takowych do Drezenka, miasta bliskiego granic polskich w Brandenburgii, gdzie w areszcie, a nawet i w kajdanach aż do zapłacenia co do szeląga wykalkulowanych przez Paczkowskiego pretensyj trzymani byli. Gdy się ta Paczkowskiego protekcyja rozgłosiła po kraju, zbiegali się do niego hurmem chłopci poddani Niemcy i Polacy, różne formując do panów swoich pretensye, które Paczkowski zawsze na ich stronę rozsądzał. Wziętych chłopów w protekcyą, dawszy czasem niektórym cóżkolwiek z wydartych na panu pieniędzy, do Szląska, jakoby na osadę, odsyłał, czasem opatrzonych paszportem, jakoby żelaznym listem, wiekuiście protegować ich mającym, na cztery wiatry puszczał. Rzecz podziwienia godna: najprzód, iż po taką obłudną protekcyą ubiegali się nawet i szlachta, między sobą jakie zawikłania prawne lub krzywdy mający; powtóre, że takiej despotycznej absolutności obcego żołnierza nikt się nieoparł, a nawet niespytał się Paczkowskiego, jakim prawem w cudzym kraju grasuje. Jeden generał Skórzewski, przybiegłszy do Poznania, zapytał się Paczkowskiego, za czym ordynansem wszedł tu: a że to stało się na wychodzie, odpo-

wiedział Paczkowski, iż o to należało się go spytać kiedy wchodził, nie teraz, kiedy wychodzi. I tak grasując tym sposobem po Wielkiej Polsce blisko dwóch miesięcy, zdarł z panów kilka milionów i wyszedł z niemi spokojnie i bezpiecznie.

Druga taka komenda wysłana była do pruskich województw, lecz iż mi się niedostało nic słyszeć o jej dziełach, przeto nic szczególnego o niej niepiszę.

Jeden tylko jeszcze przypadek o Paczkowskim kładę: W dobrach Ludomy zwanych, mil 4 za Poznaniem leżących, od lat kilkunastu przed Paczkowskim osiadł jeden Niemiec z Brandenburgii. Temu zadłużonemu na karczmie pan wziął krowę, którą potem wilcy zjedli. Jak wziął Paczkowski rachować od téj krowy pacht i przychówek i od przychowku znowu przychówek i pacht, wyrachował punktualnie przez te lata, przez które krowa po zabraniu żyła, cztery tysiące pięćset osmdziesiąt złotych polskich, z osobliwszój łaski nierachując mięsa i skóry z krowy przez wilka zjedzonej.

Gdy Łubieński, prymas, na gęste skargi i nalegania panów i szlachty, jako głowa najwyższa w kraju podczas bezkrólewia, napisał do króla pruskiego o tych exorbitancyach Paczkowskiego, odpisał ten słuszny monarcha, iż niewie o niczem, i że natychmiast posyła ordynans Paczkowskiemu, aby wyszedł z Polski, że uczyni surową indagacyą z niego i ukarze go podług przewinienia, dodawszy na post scriptum, iż mogliby Polacy nieskarzyć się o takie bagatele, gdy kraj jego podczas wojny daleko większe od Polaków poniósł krzywdy. Wkrótce potem Paczkowski został pułkownikiem. — Gdy zaś w klasztorze trzebnickim, mil 2 pod Wrocławiem, zawakowało przełożenstwo, i między kandydatkami położona była Paczkowska, król ją uczynił księnią.

### ***O sejmie convocationis 1764.***

Przed tym sejmem, za uniwersalami prymasowskiemi odprawiły się sejmiiki poselskie po ziemiach i powiatach; wszędzie niemal były rozdwojone; w jednym kole partya Czartoryskich obierała swoich posłów, w drugim partya saska swoich; w wielu także powiatach sejmiiki zerwane zostały, oblawszy się krwią braterską.

Sejm convocationis zaczął się dnia 7go Maja roku 1764. w Warszawie. Familia Czartoryskich zaraz od rana nappełniła

ludźmi swymi nadwornymi całą wyższą kontygnacją zamkową i wszystkie wschody i kurytarze do izby poselskiej prowadzące, wolny przystęp do izby senatorskiej zostawiwszy, do izby poselskiej nikogo przed czasem zaczęcia sejmu niepuszczając. — Porozstawiano mocne pikiety po poblížszych ulicach, a nawet w kamienicach i pałacu pod blachą zwaną do koła zamku, z ludzi nadwornych familii i żołnierzy rossyjskich konnych i pieszych; za miastem zaś po wszystkich traktach prowadzących do Warszawy stały pod namiotami dywizye rossyjskie z wyrzchtowanemi ku miastu armatami i zapalonemi lontami. W pałacach także ksiąźęcia kanclerza, ksiąźęcia wojewody ruskiego i stolnika litewskiego, przyszęłego króla, było pełno żołnierstwa. Dziury nawet w parkanie, otaczającym dziedziniec tego ostatniego, były do strzelania powycinane, tak iż postać powierzchowna rzeczy wydawała przygotowanie do bitwy, nie do sejmu.

Przeciwna zaś strona, to jest partya saska, zjehawszy się do pałacu Branickiego hetmana, na Podwalu, blisko zamku leżącego, radziła w pokojach, co miała czynić przeciw tak zuchwałym i gwałtownym zamachom. Niebezpieczno zdawało się im mieszać się z partyą na wszelkie bezprawia odważoną i wchodzić w obrady duchem przemocy tchnące. Przeto postanowili ten sejm zerwać. A że do takiego czynu niepotrzeba było podług dawnego stylu wielkiej liczby, tylko jednego posła, któryby zawołał: „niemasz zgody na sejm!“ więc w tym zamiarze wyprawili Jędrzeja Mokranowskiego, starostę i posła ciechanowskiego, na oko swego, w sercu zaś familii przyjaciela, jako się wyżej rzekło; sami zaś zostali w pałacu, czekając ułożonym dawnym sposobem zerwania sejmu.

Zaczęcie tego sejmu acz gwałtownego, poprzedziło zwyczajne nabożeństwo w kościele farnym Śgo Jana, na którym najwięcej znajdowało się osób nieinteresowanych do żadnej strony, i senatorów, którzy mieli dla siebie otwartą senatorską izbę. Do tój po skończonej mszy o Duchu Świątym, poszli za prymasem i zasiedli miejsca swoje. Poselska zaś izba żołnierzem (jako się wyżej wyraziło) obwarowana, czekała na swoich panów próżna. Ci do nięj przybyli, idąc marszem żołnierskim piechotą z pałacu ksiąźęcia wojewody ruskiego, otoczeni przyjaciółmi i dworskimi ludźmi, uzbrojonymi w łosie kaftany, w czapki drutami żelaznemi przeszywane, w pistolety



na tasakach, w pałasze i w rękawice łosie z karwaszami po łożkieć długimi, mając u czapek i kapeluszków kokardy ze wstążek koloru czerwonego, białego i zielonego. Z partyi hetmańskiej niewszedł nikt do izby poselskiej, tylko jeden Mokranowski i Małachowski krajczy koronny, poseł starszy sieradzki, marszałek stariej laski, przez kilka poprzednich sejmów zerwanych ciągle piastowanej. Niezachowali tego razu porządku przez ostatnie Senatus Consilium przepisanego, aby arbitrowie do cyrkulu poselskiego niewchodzili: bo cała partya Czartoryskich, tak jak szła na zamek, wewaliła się w cyrkuł pomieniony. A że ten niemógł objąć tak licznego zbioru, więc drudzy partyzanci i assystenci familii udali się na ganki i łoże w izbie poselskiej, podług rezolucyi wspomnionego Senatus Consilium porobione, na których gankach prócz dopiero wspomnionych partyzantów, było pełno osób nieinteresowanych do żadnej strony, dla przypatrzenia się i przysłuchania se mowi zebranych. Skoro się ruch wchodzących uspokoił, zawołał ktoś od piszącego tę historiją niepostrzeżony: „Mci panie marszałku, prosimy o zagajenie sejmu!“ Na co odezwał się Mokranowski: „Niemasz zgody na zagajenie sejmu.“ Krzyknęło kilkunastu: „co za racya?!“ Na to Mokranowski: „Moskwa na karku. Jestem poseł, mam liberum veto.“ Ledwo domówił tej krótkiej perory, kiedy ułani familii u drzwi stojący porwali się do szabel, rozumiejac, że książę strażnik koronny Lubomirski i książę Adam Czartoryski, generał podolski, kiwając ku nim rękami w górę podniesionemi, ten im znak na dobyte onych dali. Ci zaś dla tego kiwali, żeby izbę poselską zamknęli, gdy taki rozkaz słowny dla wielkiej wszczętej w tym punkcie wrzawy, niemógł być od ułanów usłyszany. Skoro w izbie postrzeżono ułanów przy drzwiach z dobytymi pałasami, natychmiast cała izba, tak w kole poselskiem, jako i po gankach i łożach porwała się do szabel, które dobyte w okamgnieniu błysnęło po całym zamku, po wszystkich kurytarzach, lubo sami niewiedzieli na kogo, bo z przeciwniej strony nie było żadnej forsy. Ten tumult pociągnął się aż na ulice, na których porozstawiane pikiety poczęły się zbiegać ku zamkowi. Wielu z arbitrów, niemających do żadnej strony interesu, poczęło uciekać hurmem z poselskiej izby, kalecząc się o szable dobyte, na które strachem przejęci oślepi lecieli. Senatorowie, takim tumultem niespodziewanym przestraszeni, uciekli z se-

natu, poodbiegawszy czapek, kapeluszów, nałamawszy szabel, szpad i lasek, naobrywawszy na sobie sukien i nieczekawszy na karety, pieszo z zamku wraz z pospółstwem uciekając. Ledwo to zamieszanie uspokoiłi sprawcy jego, acz niechcący, książę strażnik z ksiąźciem Adamem, aliści powstało drugie na krajczego Małachowskiego, sejmu tak gwałtownego zagając niechcącego: lecz to drugie, ponieważ tylko od niektórych dobyciem szabel sprawione, w punkcie było od starszych głów, fakcją prowadzących, uskromione. Poznał Małachowski, iż tu już liberum veto nic nieznaczy, Mokranowski zaś, jako skryty przyjaciel familii, dobrze wiedział, co ma nastąpić dalej. Więc obadwa pomówiwszy do ucha z ksiąźciem strażnikiem i z ksiąźciem Adamem, wyszli z izby poselskiej, wyprowadzeni od nich dla bezpieczeństwa aż do ostatnich schodów. Małachowski wyszedł z laską i z prótestacją o gwałt wolności. Lecz téj protestacyi nie miał gdzie zapisać, bo kancelarye, w których zwyczajnie manifesta przeciw sejmom czyniono, były zamknięte i żołnierzem obwarowane.

Po wyjściu tych dwóch z poselskiej izby i uśmierzeniu wrzawy, Kossowski, starosta i poseł sieradzki, kolega drugi Małachowskiego, zagaiwszy krótką mową sessyą sejmową, dał głos w porządku wotowania na marszałka województwu krakowskiemu, którym marszałkiem jednostajnymi głosami obrany został książę Adam Czartoryski.

To gdy się w izbie poselskiej działo, doszedł fałszywy odgłos do Branickiego, hetmana w. kor., w swoim pałacu z przyjaciółmi będącego, że się już rąba w poselskiej izbie. Hetman co prędzej kazał bramy pałacowe zamknąć i wartom do broni stanąć. Strach opanował wszystkich tak dalece, iż się niezreflektowali nad fałszem wiadomości, gdy w izbie poselskiej nie było nikogo z przeciwnéj partyi, z którąby się rąbać przyszło, a na jednego Mokranowskiego i drugiego Małachowskiego dobywać tysięcznych szabel za wieleby było, których, gdyby się przy swoim „niepozwalam“ opierać chcieli, wypchnąć za drzwi dosyć było.

Po obraniu marszałka sessya odłożoną została do dnia następującego. Nazajutrz partya saska postanowiła wyjechać z Warszawy i do liczego nadwornego swego wojska, przy sobie będącego, ściągnąwszy za ordynansami hetmańskimi wojska rzeczypospolitéj, po kraju leżące, gdzieindziej założyć sejm

convocationis. Zaraz tedy od rana ruszyły najpierwsze wozy hetmańskie krakowskiem przedmieściem ku Ujazdowu, lecz gdy od Rossyan stojących na tym trakcie zatrzymane zostały, postanowiła wspomniona partya przedrzeć się gwałtem przez obóz rosyjski, do którego obozu spieszyły rotty nadworne familii, szykując się do bitwy, a na ich czele z jednej strony rogatki stanął na koniu książę Kazimierz Poniatowski, podkomorzy koronny, najstarszy pomiędzy bracią Poniatowskimi, po drugiej stronie drugi brat młodszy Jędrzej Poniatowski, generał austriacki, wódz i komendant ogólny nadwornego żołnierstwa partyi swojej familii. Lecz książę kanclerz litewski co tylko usłyszał, że Branicki hetman i książę R. z innymi swojej partyi zabierają się choćby gwałtem wyjechać z Warszawy, z radością przysłał do Poniatowskiego generała rozkaz, aby im podróży nieutrudniać. Zaraz tedy szyki rosyjskie i nadworne familii, przerywając drogę, rozstały się na boki, a partya saska zaczęła marszerować. Najprzód owe zatrzymane wozy, za nimi dywizye konne i piesze, po nich następowała karetka sześciokonna otwarta, w której siedział hetman Branicki, wojewoda kijowski Potocki, książę R., wojewoda wileński i drugi R., podkomorzy litewski. Tę karetkę otaczali żołnierze konni po obu stronach; na koźle przednim siedzieli dwóch strzelców ze sztuczkami skwerującymi, za karetką z takimiż sztuczkami drugich dwóch strzelców klęczało tyłem do karetki, na stopniach u drzwi kareciany stało po dwóch takichże, a raczej wisieli strzelców, trzymając się jedną ręką karetki, w drugiej mając sztuczek złożony do wystrzału z odwiedzionym kurkiem. Niewiem, w coby się był obrócił ten gwałtowny kareciany, gdyby była do niego wypaliła choć jedna rosyjska puszką. Książę R., wojewoda, pijany na fantazję, mijając Poniatowskich szarpał się w karecie i wytrząsał ręką ku podkomorzemu. Ten zaś uśmiechał się na takie głupstwo, stojąc spokojnie na koniu. Za tą karetką szły inne z panami, opasane z obu stron żołnierstwem, dalej rozmaite wozy z czeladzią i rzeczami, na ostatku marszerowały dwa pułki Radziwiłłowskie konne. Wszystko to przewalało się środkiem obozu rosyjskiego i milicyi nadwornej familii, bez najmniejszej zaczepki, lubo przy daleko większej sile, mogliby byli dobrą sprawą rządzeni znieść partję familii, nierównie od swojej mniejszą.

Skoro się pozbyła z Warszawy przeciwników swoich familia, rozpoczęli sejm. Nieprzyjęli do niego żadnego posła, który był obrany na sejmiku nie w ich kole, ale w przeciwnym. Odebrali Bielskiemu, marszałkowi wielkiemu koronnemu, jurysdykcją i chorągiew węgierską, téj lasce dawném prawem służącą, a z skarbu rzeczypospolitój płatną, za to, iż nie dał do izby poselskiej i senatorskiej na wartę tychże Węgrów, lubo według dawnego zwyczaju i prawa dać był powinien. Nie dał zaś dla tego, iż był przyjacielem partyi saskiej, iż izba poselska i cały zamek wprzód były obwarowane żołnierstwem nadworném familii (jako masz wyżej), nim nadeszła godzina zaciągnięcia pomienionej warty węgierskiej, która chcąc sobie uczynić rum, musiałaby się przedzierać przez owe rotty nadworne, a tak mogłaby była wszcząć bitwę mimo woli partyi saskiej. Niemogąc zatem dla wyrażonej przyczyny pierwszego dnia postawić warty swojej, niechciał jój dać drugiego, poczynając ten sejm za taki, jakim był w samej rzeczy, to jest gwałtowny i bezprawny. Przeciwnie zaś sejm, mając moc i ważność w swoich ręku, osądził marszałka za nieposłusznego, wyzuł go wyrokiem swoim z wszelkiej władzy i oddał ją wraz z chorągwią węgierską Ogińskiemu, marszałkowi wielkiemu litewskiemu, człowiekowi prócz wysokiego imienia żadnych talentów niemającemu, a przeto we wszystkiém rozkazom familii powolnemu.

Bielski, marszałek w. kor., wyzuty z władzy, wyjechał w kilka dni potem do dóbr swoich, Obwocka, w których wkrótce, ile stary, umarł.

Pozbywszy familia z Warszawy wszelkie przeszkody osobiste, postępowała w interesach publicznych podług plany ułożonej od księcia kanclerza lit., to jest opanowania całej władzy cywilnej i wojskowej; najprzód co do władzy cywilnej obróciła sejm zacząty, który powinien był być wolny, w sejm konfederacki, w jakim sejmie niema miejsca liberum veto, ale pluralitas, ta zaś pluralitas była cała za familją; potem mocą téj pluralitatis odebrała władzę hetmanom koronnym nad wojskiem, uczyniwszy regimentarzem generalnym nad témże wojskiem księcia Augusta Czartoryskiego, wojewodę ruskiego. Massalski, hetman w. lit., że się trzymał partyi Czartoryskich, przeto wyrokiem sejmu ocalał przy władzy swojej; w konstytucyi, odbierającej władzę hetmanom koronnym, jakoby dla wolności

w ręku jednego obywatela niebezpieczną, dołożyli ten paragraf, że ponieważ hetman wielki litewski statecznie trwa przy rzezypospolitej, znajdując się obecnie na sejmie, przeto go w całości przy prerogatywach jego zachowujemy.

Nowy regimentarz koronny, wojewoda ruski, wydał uniwersały do wojska, oznajmujące, iż odtąd nie do hetmańskiej, lecz do jego władzy należeć i jemu posłusznym być ma. Tym zaś regimentom i chorągwiom, które za Branickim hetmanem pociągnęły, wydał surowe ordynanse, aby natychmiast opuściwszy go, stawały pod Warszawą dla odebrania nowych ordynansów. Co gdy lekce od wojska zważane było, wyprawiono za nimi podjazdy rossyjskie i nadworne familii; lecz te nieznalazły w kupie owój partyi saskiej, która wyszła z Warszawy. Bo zaraz za Piasecznem, 3 mile od Warszawy, książę Radziwiłł z wojskiem swoim odciągnął ku Litwie dla zasłonięcia dóbr swoich od najazdów rossyjskich, nieomylnie (jako się niżej pokaże) spodziewanych. Potocki, wojewoda kijowski, dumny w spokojnym czasie, tchórz w niebezpieczeństwie, porzucił także hetmana, pobiegł co prędzej do dóbr swoich na Ruś, usiadł w nich spokojnie, skąd pisał pokornie do familii, iż gotów jest uznać królem Poniatowskiego, byleby od prześladowania osoby i fortuny swojej był bezpieczny, i toż samo uczynili i inni sascy przyjaciele, niewidząc przed sobą żadnego pewnego widoku, dla któregooby majątności swoje na rabunek i łupiestwo wystawiać mieli. Chorągwie też komputowe niektóre po małym odporze w odwodzie, dały się zabrać Rosyanom; niektóre za ponętą obietnic familii dobrowolnie, prochem nawet rossyjskim nieokurzone, odstąpiły hetmana, za którym wciąż uganiali się Rossyanie. Ten zaś ani słyszeć nie chcąc o królu Poniatowskim, ani też oprzeć się mogąc przełamującej jego partyi, pobłąkawszy się parę tygodni około Lublina, Szamborza i Dukli, nareszcie z biskupem krakowskim Sołtykiem, nieodstępny swoim przyjacielem, udał się do Węgier, prosić o protekcją cesarstwa, w Węgrzech wtenczas będącego, przeciw gwałtownościom familii: komendę zaś nad wojskiem szczupłym, nad 600 głów więcej niewynoszącym, zdał Józefowi Zarembie, majorowi w regimencie konnym Potockiego, podczaszego litewskiego. Taki był niedostatek oficerów do wojny zdatnych w wojsku polskim, że ledwo się znalazł jeden major, który się podjął uprowadzać garstkę ludzi przed nie-

przyjacielem tak długo, nimby hetmanu jakiej nowej z Węgier nienadesłał dyspozycyi. Zaremba wodził po kraju wojsko sobie powierzone przez niedziel sześć tak sztucznie, iż go nigdzie Rossyanie przerznąć ani osiągnąć niemogli. Dopiero gdy hetman nic niewskórawszy u cesarstwa przysłał Zarembie i wojsku dymissyą od posłuszeństwa swego, poszedł pod obóz czyli pogoń rossyjską, kapitulował z nią i tak z honorem przeszedł pod ordynanse regimentarza nowego, który każdej dywizyi kazał udać się na leże swoje. Hetman z Węgier udał się do Lubowla, do starostwa spiskiego, którego był starostą; biskup krakowski do Kielc, dóbr swoich biskupskich.

Uskromiwszy familia tym sposobem hetmana, obróciła siły swoje na księcia R. Ten pan miał kilka tysięcy wojska swego nadwornego regularnego, oprócz tego drugie kilka tysięcy kozaków i strzelców z gruntu służących, i miał kilka fortec mocnych: a że przy takiej sile był nieubłaganym familii nieprzyjacielem, przeto garstkę Rossyan i nadwornych familii, już poniekąd ściganie hetmana nadwerżoną, byłby łatwo zwyciężył, gdyby do tej siły i dóbr, które posiadał, miał roztropność i umiejętność wojowania przyzwoitą. Lecz mu na tych dwóch przymiotach wcale schodziło, a pijaństwo ustawiczne nawet mu rozeznac między dobrą i złą radą swoich konsyliarzów niedozwalało. Gdy Rossyanie i konfederacya litewska w pomoc Rossyanom przeciw niemu związana, obległa Nieśwież, fortecę jego mocną, ale ubogą w garnizon i amunicyą opatrzoną, R. zamiast pospiechu na odsiecz, ciągnął wolnym marszem z jednych dóbr swoich do drugich, uroiwszy sobie w pijanej głowie swojej, iż Nieśwież jest fortecą niedobyłą, iż Rossyan szturmem zmordowanych przydybawszy, wojskiem wypoczętym pobije i fortecę oswobodzi. A gdy Nieśwież czyli przez niedostatek amunicyi, czyli przez zdradę został dobyt i zrabowany, R. oddając wet za wet familii, najechał Terespol, rezydencyą Fleminga, podskarbiego w. lit., który był zięciem księcia Czartoryskiego, kanclerza w. lit., i teściem księcia Adama, syna wojewody ruskiego Czartoryskiego, i rabunkiem Terespola i zabraniem tamtejszego garnizonu rozjątrzył jeszcze bardziej na siebie familiją. Zebrawszy się w kupę Rossyanie, nadworni familii i konfederacyi litewscy, poszli za nim w pogoń, a doszedłszy go niedaleko Słucka, drugiej jego fortecy, stoczyli z nim bitwę. Tę R. za fakcyą gene-

rała swego Trzeciaka, od Czartoryskich przekupionego, na głowę przegrał, i nastraszony od tegoż generała ostatniem niebezpieczeństwem, z pośrodku akcji jeszcze dobrze stojącej we dwście koni pierchnął, i nieoparł się, aż na Wołoszczyźnie, po której ucieczce pryncypała, Trzeciak ze wszystkiem wojskiem Radziwiłłowskiem poddał się Rossyanom. Niedosyć na tém było familii, że R. wyzuła z siły zbrojnej i wypłoszyła z kraju; trzba go było jeszcze w takiej postawić kondycyi, w jakiej zostający niemialby sposobu podźwignąć nachylonego losu swego, i szkodzić na nowo interesom onych. Na ten koniec natchniona wielowładnym ich duchem konfederacya litewska, wydała na niego wyrok ogłaszający go za gwałciciela publicznego pokoju i za najeźdźnika fortun obywatelów dobrze myślących, odsądziła go od używania dóbr i od wszystkich urzędów i honorów, naznaczyła opiekunów do całej jego substancyi, jemu zaś wyznaczyła na sustentacyą 40 tysięcy rocznej pensyi, jeżeliby w kraju, w miejscu obraném, pod dozorem opiekunów spokojnie mieszkać przedsięwziął, dziesięć tysięcy tylko, jeżeliby się za granicą po cudzych państwach tulał. Tak pan milionowych intrat doznałby był ostatniego ubóstwa, gdyby go byli krewni sumami znacznymi w téj poniewierce zagranicznej niewspierali.

Póki Rossyanie mieli roztargnienie z R., póty udawało się niezłe na ludziach familii trzem Potockim młodym, to jest staroście błońskiemu, staroście leżajskiemu i staroście śniatyńskiemu, którzy w kilkaset koni dobra przeciwników swoich, partyzantami familii poczytanych, z uraz prywatnych najeżdżali, i podjazdy nadworne Czartoryskich, za nimi się uganiające, częstokroć znosili. Lecz skoro się pozbyli R., niedługo wszystkich trzech połapali i w zamku łańcuckim osadzili.

Po tych wszystkich, jak późno tak też i nieszczęśliwie porwał się do fermentacyi szlachty w Kujawach Karłowski, starosta kruswicki. Ten z małego dworaczka, którym był niedawno u Potockiego, wojewody kijowskiego, za faworami tego pana wspiąwszy się cokolwiek na nogi przez ożenienie bogate z Mirówną, kasztelaną szlonską i przez dostąpienie starostwa kruswickiego, uczynił sobie nadzieję do podniesienia się wyższego zadaniem jakiejś trudności Czartoryskim w przyszłej elekcyi, dla pozbycia się której pewnieby go nowym jakim zaszczytem intratnym opatrzyli, a i pryncypał dawny Potocki,

na polu elektoralném przed szlachtą Poniatowskiemu kontradykującą stojący, i skrytą jego nienawiść do tego kandydata takowym widokiem łechcący, pewnieby go niegołą ręką przywitał. Na ten koniec Karłowski począł zbierać w Kujawach szlachtę, obiecując im z takiego postępku znaczne podczas elekcyi zyski, jakie zazwyczaj spływały na szlachtę owych czasów, kiedy się kilku kandydatów, a jeszcze cudzoziemców do korony ubiegało, że się prawie same dukaty do kieszeni ciśnieły, a wino zewsząd strumieniami do gardła płynęło. Zebrawszy takim fortelem kilkadziesiąt szlachty, nibyto dla zabawy najechał z nimi stryja, po którym na niego spadała successya, a której doczekać się niemógł. Stryj najechany od synowca śmiałego i wykrećtarza przedniego, uciekł do Kossowskiego, podskarbiego nadwornego koronnego. Kossowski na głowę nieprzyjazny Karłowskiemu, iż mu zawsze na sejmikach stawał się zawalidrogą, kazał go zapozwać na sądy kapturowe, któremi rządził, jako partyzant Czartoryskich. Zadano mu, że chciał zabić stryja. Pomiarkowawszy Karłowski, czém pachnie taka zadana, opuszczony od szlachty, uszedł do klasztoru do karmelitów w Kcyui, stamtąd wyprowadzony na parol kawalerski od Kraszewskiego, pułkownika natenczas tytularnego, potem za tę sprawę brygadiera kawaleryi aktualnego, ledwo wyszedł za mury klasztorne, został żołnierzem otoczony, do więzienia wtrącony i rozstrzelany.

Już się po Karłowskim nikt więcej nieznalazł, któryby się odważył przeciw partyi Czartoryskich najmniejsze czynić zaburzenie. Jedni z przeciwników cicho w domach przesiadali, drudzy, którzy mieli potrzebę szukania łaski familii, niewidząc nikogo z przeciwnika, przy którymby obstawać mogli, do niej się przywiązali.

W czasie opisanych zamieszeków w kraju, sejm konwokacyjny w Warszawie odprawiał się spokojnie, przeniosłszy się z izby poselskiej do senatorskiej po obraniu marszałka, który to sejm, jako w czasie bezkrólewia, był pod powagą i pierwszeństwem Władysława Łubieńskiego, prymasa, jako interkróla, którego miejsce do zasiadania było krzesło z poręczami, z prawego boku tronu na pierwszym gradusie postawione, na obiedwie strony sali wygodny rzut oka prymasowi dające. Senatorowie zasiadali na swoich krzesłach po obudwóch stronach sali, a ministrowie na drugim końcu téjże naprzeciw tronu.



Nikt się nieposuwał na wyższe krzesło, choć wakowało, lecz każdy pilnował swego. Kasztelani zaś powiatowi (których nazywano drążkowymi) sadowili się na krzesłach, za ostatnim senatorem próżnych, a posłów na ławach kasztelańskich za krzesłami będących, i za napełnieniem pierwszych ław, na drugich i trzecich wraz z arbitrami; urzędnicy zaś koronni i litewscy, jako to: sekretarze, pisarze, referendarze i t. d., otaczali z obu stron stojąc tron królewski, chociaż wakujący. Że zaś za tronem i krzesłem prymasowskim miejsce było zastąpione urzędnikami koronnymi, w tyle których dopiero mógł się kto mieścić z arbitrów, a z takiego miejsca niemógł Młodziejowski, audytor i duch prymasowski, postrzegać migów swego pana, kiedy go na poradę do ucha potrzebował; więc Młodziejowski stał w końcu izby senatorskiej za ministrami, mając się w takiem stanowisku oko w oko z prymasem, do którego pobiegał środkiem izby i poszeptawszy mu do ucha, jakie miał dać zdanie w zachodzącej materji, nazad na swoje stanowisko powracał, która to kursorya Młodziejowskiego, że była bardzo częsta, a słowem tyle razy, ile razy prymas miał dać swoje zdanie, przeto wydał się prymas, iż jego rozum mniemany od publiczności siedział w głowie Młodziejowskiego, a prymasowska głowa, wielką peruką nakryta, pustkami stała; dla czego prymas od senatorów i posłów mówiących, często przykre ucinki odbierał, a Młodziejowskiego Machiawelcem po księsku przybranym nazwano.

Na tym sejmie wiele dobrych praw napisano, które, lubo niejest moją rzeczą wypisywać, ponicważ nie volumen prawa, ale historyą pisać przedsięwziąłem, wspomnę jednak niektóre przedniejsze, i tak: ustanowienie komissyi wojskowej i skarbowej, dzieła arcydobrego, ponieważ pierwsza i druga pod boki króla w Warszawie osadzone i ustawiczne, dawały prędszą sprawiedliwość od wojskowych pokrzywdzonym, niż przedtém komissya radomska sześćcioniedzielną, w tak krótkim czasie niezliczonych spraw i skarg objąć i uspokoić niemogąca. Skarb także publiczny pod dozorem téż komissyi lepiej i wierniej był administrowany, niż przedtém od jednego podskarbiego, który pospolicie panem był dochodów wszystkich publicznych, nikomu więcj jak tylko jemu samemu znajomych, a zatém w takiej tylko kwocie. jaka się mu podobała, na sejmie rzeczypospolitej do rachunku podawanych.

Drugie prawo zbowienne tegoż sejmu: Zniesienie zajazdów, na których działały się zabójstwa wielkie, gdy jeden mocny czasem za dekretem, a czasem za jedną kondemnatają jeździł drugiemu dobra, nabierawszy gromadę szlachty lub narodowego żołnierza, a to na fundamencie starego prawa, które na przeciwnych dekretom pozwalało używać takowej mocy i tę formalność w dekretach i kondemnatach ostatecznych dodawało: *adhibita universa nobilitate*. Na fundamencie tedy tego kawałka prawa jeden na drugiego zbierał kupy zbrojne i wyganiał z majątności pod tradycją poddaną, albo też mocniejszą siłą przeciwnika odparty, uciekał z dekretem i kondemnatają, oberwawszy po skórze. Zabójstwa, rąbaniny i kalectwa, które się w takich okazjach zdarzały, dopiero po rozpoznaniu interesu pryncypalnego były sądzone i karane. Kto przegrał interes pryncypalny, ten odpowiadał za gwałtowność użytą; kto wygrał ostatecznie, był wolny od kary, choćby się sprzeciwił najzuchwałej pierwszemu dekretom i choćby stu zabił.

Takowe tedy pod starém prawem dziejące się zabójstwa i krwi rozlewy zniósł sejm *convocationis*, postanowiwszy, aby otrzymujący dekret zajazdowy albo kondemnatają, nie już używał kup najętych, lecz żołnierza *rzeczypospolitej*, którego kommissya wojskowa zyskującym ostateczne dekreta lub kondemnaty *traditionis* *honorum* dawać obowiązana była. Kto się zaś targnął na żołnierza *rzeczypospolitej*, za dekretem i z oficyalistą sądowym tradującego dobra, takiego większa komenda przysłana brała bez ceremonii w kajdany, prowadziła na rozprawę do trybunału, gdzie za zuchwałe targnienie się na władzę rządową był karany wpółkryminalnie, to jest grzywnami i więzłą dolną. A choć się trafiło, że przy takowej tradycyi zginął żołnierz, niebyło jednak praktyki, żeby śmiercią skarano przyczynę zabójstwa: bo instancye, fawory, wynalazły zawsze przyczynę w żołnierzu zabitym, iż nad przepis ordynansu postępując sobie, zginął samochcąc, albo też, iż niechcąc pokazać ordynansu, niebył uznany za żołnierza *rzeczypospolitej*, tylko za inwazora. W dobrach zaś podanych na tradycją osadzano tego, na którego zysk wypadła tradycya, aż do rozprawy ostatecznej.

Trzecie prawo tegoż sejmu zniósło taxę głowy, którą przedtém płacił szlachcic za zabitego plebejusza. Na miejscu takiego dzikiego starożytności prawa *napisano*, aby szlachcic

zabijający bądź szlachcica, bądź nieszlachcica, bądź własnego poddanego, tracił za niego głowę swoją. Lecz szlachta, osobliwie panowie, u których takowe zabójstwa były powszedniami, pokazując z jednej strony, iż są za stroną sprawiedliwości tego prawa, a z drugiej strony niemogąc znieść jego rygoru, na późniejszym sejmie dołożyli do niego tę łatkę, iż szlachcic, aby tracił swoją głowę szlachecką za chłopską (a jeszcze czasem kołtunową), powinien być 12 świadkami oczywistymi przekonany, o którą liczbę iż bardzo trudno, przeto rygor prawa owego zwolnił, i zabójca pieniędzmi się acz drożej jak pierwój opłacał, choćby tylko jednego świadka do liczby 12 brakowało. — Inne prawa stósowały się najwięcej do ułożenia paktów konwentów dla nowego króla, między któremi była też propozycja żwawie od niektórych posłów popierana, aby król przyszedł, który miał być Polak, os de ossibus, używał polskiej sukni. Stanisław Poniatowski, przeznaczony do korony, zasiadał na tym sejmie jako poseł ziemi warszawskiej. Słuchał cierpliwie tych głosów, nieodzywając się bynajmniej przeciwko nim, chociaż nie lubił stroju polskiego i choć nigdy niemyślał pozwolić na to, aby się i na moment koronacyi przebrał w polską suknię. Prywatnie tedy obowiązał swoich przyjaciół, w większej nierównie liczbie niż przeciwnicy będących, aby go do stroju polskiego nieprzymuszali, czego aby łatwiej dokazać, postarał się o zdanie na piśmie dwunastu doktorów: iż gdyby podług mody panującej pod ten czas w polskim stroju ogolił głowę (była zaś moda golenia głów wysoko, tak iż u niektórych ledwo czubek włosów zostawał na wierzchu), tedyby musiał ustawicznie chorować, a może i umrzeć. Na takowe więc zdanie doktorów materya o stroju przyszłego króla wcale została zaniechana i w pacta conventa nieweszła. Podobnym sposobem zbył się jazdy kosztownej do Krakowa, na którą jako chudeusz nie miał wątku, a familia Czartoryskich, która go pieniędzmi wspomagała, także się fatygować do Krakowa nie chciała. Wyrobił sobie zatem świadectwo dwunastu architektów o zamku krakowskim, iż w nim sala, do koronacyi dawnym królom służąca, tak jest słaba, że gdyby w niej stanęło 300 ludzi, tedyby się zapadła, nie dopiero gdyby tłokiem sejmowi koronacyjnego naphana była. Takimi fortelami, u nikogo wiary nieznajdującemi, ale wtenczas już przyszłemu królowi pochlebstwem dworskiem nadskakującemi, zbył się obmierzłych

sobie wásów polskich i czupryny, tudzież podróży do Krakowa, na którą jego worek niewystarczał, a familijny niechciał mu służyć. — Ostatnia materya tego sejmku była: jak się województwa, ziemie i powiaty miały stawić na przyszłą elekcyą króla, czy viritim, to jest w całym zbiorze szlachty, czy przez posłów. Jedne województwa determinowały obrać posłów, drugie stanąć viritim. Które zezwoliły na posłów, te naznaczyły ich liczbę większą, niż bywała na inne sejmy podług prawa wyznaczona, albowiem po dwunastu i po dwudziestu czterech z jednej ziemi naznaczono. Które zaś postanowiły stanąć viritim, te mimo powszechności mającej stawić się na polu elektorálném, co do głosowania na króla, wyznaczyły zwyczajną liczbę posłów jak do zasiadania w składzie sejmowym. Dwa albowiem zgromadzenia (iż tak rzekę) całą figurę tego sejmku formowały. Pierwsze zgromadzenie było senatorów i posłów zasiadających i radzących najprzód pod szopą, a potem w okopach, i to było sejmem przez kilka dni trwającym; drugie zgromadzenie było wszystkich razem senatorów, posłów i nieposłów na jeden dzień na pole elektorálne, blisko okopów i szopy pod Wolą, wioską tak się zowiącą będące, zebranych, na koniach siedzących, przez województwa uszykowanych, cztery ściany w kwadrat formujące, i które dopiero w kilka dni po zaczętych sejmie na swoim placu dało się widzieć. Jeszcze do tego opisu dla wiecznej rzeczy pamiątki (której ani my dziś żyjący, ani nasi następcy podobno, więcej oglądać niebędziemy) dodać należy: pierwsza, iż z tych województw, które viritim stawić się na elekcyą obowiązały, niezjechała się wszystka szlachta, ale tylko po garstce w mundury od magnatów przystrojona; druga, że z tych województw, które sobie obrały stanąć przez posłów, wielu było szlachty nieposłów, którzy na dobranych koniach rzędno i paradnie wraz z posłami stawili się na polu elektorálném.

Ciągnęli z miasta Warszawy na pole elektorálne rotami pod przywództwem swoich wojewodów, kasztelanów i urzędników bogato wystrojonych, z pomiędzy których niektórzy konie dzielne pod sobą buńczukami tureckimi, a siebie tarczami, perłami nasadzonemi, po lewą rękę zawieszonemi przyozdobili, co było widokiem arcy-wspaniałym. Na tę elekcyą bardzo się wiele cudzoziemców najeżdżało. Warszawa i Praga napełniona była ludem rozmaitym, a przecie przy takim naci-

sku na niczem nikomu nieschodziło. Dla przeprawy województw księstwa litewskiego i Podlaszanów zrobiony był na Wiśle most pływający na łyżwach, który od tego czasu wzięwszy swoją exystencją, trwa podziśdzień i dwakroć przeszło sto tysięcy złotych polskich przynosi skarbowi.

### ***O sejmie electionis 1764.***

Sejm tedy electionis zaczął się dnia 27. Sierpnia 1764. r. pod szopą, która była drewniana, tarcicami obita i tarcicami przykryta, a nazajutrz dla większego przestworu udał się w okopy, w kwadrat uformowane, z czterema bramami. W środku okopów były ławy proste do siedzenia dla posłów i arbitrów i krzesła dla senatorów. Materya tego sejmku była: obranie króla nie innego, tylko Polaka i ceremonia, jaką miało być odbyte to obranie. Wiedzieli od sejmku konwokacyjnego wszyscy dobrze, iż nie kto inny, tylko Poniatowski będzie królem, bo nikt prócz niego konkurentem jawnym i mocnym do korony niepokazał się. Lecz dla uformalizowania wolnej elekcji, wszystko tak robili, jak być było powinno, gdyby w samej rzeczy naród wolnie, nie z przymusu, nie pod armatą rossyjską, króla sobie obierał. A że Rossyianie temu sejmowi asystowali, stojąc na pogotowiu pod Warszawą, przeto nie było nikogo, któryby się propozycji podanej od prymasa, aby Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego obrać i narodowi ogłosić za kandydata do tronu, sprzeciwił. Cały skład sejmku jednemi ustami odpowiedział: „zgoda!“ i już pierwsza materya najważniejsza w jednym momencie została ułatwiona. Druga co do sposobu czyli ceremoniału tego obrania również nie miała trudności, lecz dla operacji swojej więcej potrzebowała czasu, przeto ją też kilka dni wleczono, aby dla kształtu, choć nie dla potrzeby.

Na początku tego sejmku Sołtyk, biskup krakowski, przybył pod Warszawę; z stanowiska swego posłał do księcia Czartoryskiego, kanclerza w. lit. z propozycjami, iż gotów jest przystąpić do jedności obrad publicznych, uznać Poniatowskiego królem, byle władza odebrana Branickiemu była przywrócona, i dekret zapadły na R. został zawieszony do sejmku konwokacyjnego. Lecz gdy familia Czartoryskich, wszystko w rękę swoich mająca, takimi propozycjami jednego księdza, który niedawno uciekał przed ich partją, wzgardziła, odjechał napo-

wrót do Kielc, dóbr swoich biskupich, z miną grożącą, od której żeby się familia zabezpieczyła, posłała w dobra jego 1300 Rossyan, którzyby jego próżną fantazyą na wodzy trzymali.

Sejm tymczasem swoją drogą spokojnie postępował. Uchwalwszy w okopach zgodnie kandydatem do tronu Poniatowskiego, należało podać to do wiadomości i akceptacyi całemu narodowi. Dzień do tego dziełaznaczony został 7. Września, które odprawiło się takim sposobem:

Wszystkie województwa, senatorowie, posłowie i nieposłowie, zjechali się na pole elektoralne i stanęli na koniach, jako się wyżej na karcie 86. opisało. Do tak stojących przyjechał prymas z swego pałacu z znaczną assystencyą, karyolką bogatą, od złota, aksamitu pąsowego i galonów na wszystkie strony blask rzucającą, czterokonną, z stangretem i forysiem na koniach siedzących, także galonami, a konie czubami złotymi błyszczących. W takiej figurze (niemogąc konno, bo na krzyże zawsze stękał i dla tego pochyło chodził) objeżdżał województw. Najprzód przyjechał do województw poznańskiego i kaliskiego z aryngą następującą: „Witam waszeciów mościwych panów i braci na tém elektorálném polu, oraz pytam, jaka jest wola i zgoda prześwietnych województw wielkopolskich, kogo mam mianować za króla i pana?“ — Odpowiedzieli na to Twardowski, wojewoda kaliski (bo książę Jabłonowski, wojewoda poznański, sekretny, a od nikogo niewsparty pretendent tronu, nieśmiało się pokazać na tym sejmie) i Mielżyński, kasztelan poznański, że sobie nie kogo innego życzą mieć królem, tylko jmcu pana Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego, i natychmiast podali do rąk prymasowi kandydacyą, podpisem szlachty obudwóch województw stwierdzoną. Tę odebrawszy prymas stojący w karyolce, pytał się po trzy razy szlachty tychże województw: „Jestże zgoda wspanów, abym nominował za króla i pana jmcu pana Poniatowskiego, stolnika litewskiego?“ A za każdym razem odebrawszy odpowiedź w krzyku donośnym: „Zgoda“ i „vivat!“ pokłoniwszy się usiadł i jechał ku następującemu województwu. Że zaś poczynając od województw wielkopolskich tę objazdżkę, uczynił krzywdę województwom małopolskim, na które przypadał tego roku turnus pierwszeństwa, przeto się przed wotowaniem żalili na prymasa serio Krakowianie i Sandomierzanie, których on przepraszając za tę omyłkę, złożył ją na kalwakatę przed karyolką przodku-

jąc, iż go ta do pomienionych województw wielkopolskich zaprowadziła.

Niebyło żadnej odmiany we wszystkich województwach, wszędzie jedna arynga, pytania i odpowiedzi, wyjąwszy województwo kijowskie, do którego gdy przybył prymas z zapytaniem wyżej wyrażoném, Potocki, wojewoda kijowski, na czele swego województwa na koniu siedzący (jedynie przez bojaźń ściągnięcia Rossyan do dóbr swoich téj elekcyi assistujący, w sercu zaś haniebnie jako pan wielki brzydzący się tak ubogim królem), z pacierz ruchając wargami, niemógł wykrztusić tego słowa Poniatowski, ale tylko odpowiedział: „Zgadzam się z poprzedzającemi województwami, a reszty (dołożył oddając kandydacyą prymasowi) ten papier nauczy.“ Szlachta zaś jego na zapytanie odezwała się: „Zgoda i vivat!“ Druga także osobliwość zaszła w województwie ruskim. Szlachcic jeden nie paradnie ubrany i na koniu podłym, wysunąwszy się z szeregu ku prymasowi, zaczął do niego jeszcze przed pytaniem taką perorę: „Mości książę! proszę waszój książęcój mości imieniem całego naszego województwa, ażebyś nam nominował za króla i pana jaśnie oświeconego książęcia jńci wojewodę ruskiego, od którego nasze województwo ruskie wszelkich doznaje dobrodziejstw“ (a nota bene, nieobejrzał się po sobie i chudym koniu swoim, że na nim żadnego pańskiego dobrodziejstwa znać niebyło; lecz wróćmy się do rzeczy). Prymas jakby tego nieuważał, swoje pytanie zaczął, na które książę wojewoda ruski wyraźnie odpowiedział, iż chce mieć za króla i pana Stanisława Poniatowskiego, i oddał prymasowi kandydacyą, jeszcze zaś wprzód uchyliwszy kapelusza, odpowiedział szlachcicowi: „dziękuję wmcpanu.“ Uważałem, iż książę wojewoda ruski, na siwym mierzynku siedzący, odpowiadając prymasowi, dużo był na twarzy pobladł; czy go ów szlachcic zmieszał swoją niespodziewaną i bez wszelkiej konsekwencyi nominacyą, czyli też usta niezgadzały się z sercem, które dużo na to boleć musiało, iż za jego pieniądze korona się nie jego Adamowi, ale Stanisławowi dostawała.

Tak tedy dzieło najpryncypalniejsze całego narodu niemal w godzinie odbyte zostało, w zgodzie, w spokojności i w skromności od wieków w tém królestwie niepraktykowanćj. Powiadają starzy: iż na przeszłych elekcyach pijaństwo i rąbanina tak były zwyczajne, jak gdyby były częściami istotnemi całego

dzieła. Na tej zaś nikt się ani krwią nieoblał, ani winem nie zachłysnął, bo nietylko wina, ale i szklanki wody od pragnienia na polu elektoralném niebyło.

Nazajutrz Sosnowski, pisarz polny litewski, marszałek sejmowy, zagaiwszy sessyą sejmową pod szopą, przeniósł się z senatorami i posłami w okopy, dla większego przestworu, gdzie stanąwszy w środku na krześle książę prymas, pytał się po trzy razy, jeżeli jest zgoda stanów sejmujących, żeby przystąpił do nominacyi za króla Stanisława Augusta, wczoraj na polu elektoralném przez naród zgodnie podanego. Na co gdy od wszystkich zewsząd słyszane były odpowiedzi, po tyleż razy „zgoda!“ przystąpił do téjże nominacyi, którą w krótkich słowach odbywszy, zlecił marszałkom dwóm litewskim, to jest Ignacemu Ogińskiemu, wielkiemu, i Józefowi książęciu Sanguszkowi, nadwornemu (bo tylko ci dwaj sejmowi temu asystowali, koronui zaś w domach swoich na króla się dąsali), ażeby ludowi pospolitemu okopy otaczającemu, obwieścili po bramach okopowych, że Poniatowski, stolnik litewski, zgodnemi i powszeclinemi głosami obrany jest królem polskim pod imieniem Stanisława Augusta, pod którym imieniem ma być uznawany od wszystkich stanów i kondycyj całego narodu za prawdziwego i prawnego monarchę. Co gdy marszałkowie wspomnieni w czterech bramach okopowych głosem ile mogli mocnym ludowi donieśli, i doniosłszy do koła sejmowego powrócili, książę prymas zaczął hymn: „Te Deum“, który śpiewali wszyscy przy odgłosie trąb, kotłów i biciu z armat. Po odśpiewaniu hymnu ruszyli się wszyscy w parady do pałacu Poniatowskich na krakowskiém przedmieściu, obok koszar Kazimirowskimi zwanym stojącego, w którym się znajdował król świeżo obrany. Tam odebrawszy zwykle takim dziejom powinszowania, i oddawszy wzajemne podziękowania, wsiadł na konia, niebogato, lecz gustownie w rząd i siatkę przybranego, jechał otoczony panami i niezmierną kalwakatą do kolegiaty Śgo Jana, która kalwakata miała przed sobą chorągiew ułanów królewskich, a za sobą wydział gwardyi kownej koronnej. Wszyscy jadąc zwolna wykrzykiwali vivat, które słowo gdy przeszło od końca do końca, znowu się zaczynało i trwało ciągle i hucznie aż do samych wrót kościelnych.

W kościele powtórnie było śpiewane Te Deum przy biciu z armat i powinszowania od prywatnych, a najwięcej od



dam królowi oddawane, po których skończonych szedł król gankami z kościoła do zamku prowadzącymi w niezmiernym tłoku, trzymając obiedwie ręce wyciągnięone do całowania wszystkim, mimo których przechodził. Na zamku małą chwilę zabawiwszy między owym tłokiem, zamknął się w gabinecie swoim: ażeby radości, przed obliczem narodu w sobie tłumionćj, mógł rozpuścić cugle i podzielić się nią z faworytami.

### ***O egzystencji króla po elekcyi 1764.***

Po wykrzyknieniu króla na polu elektoralném, niebyło już żadnych zjazdów nadwornych, ani sessyj sejmowych, tylko prywatne konferencye między delegatami królewskimi i rzeczypospolitej do ułożenia paktów konwentów. Te zaś konferencye odbywały się w Warszawie po pałacach magnatów, to u księcia prymasa, to u księcia kanclerza litewskiego, to u księcia wojewody ruskiego, to u innych, gdzie który delegatowi obiad ofiarował: bo u króla długo po elekcyi była zimna kuchnia. Dwór jego cały był na strawnych pieniądzech, i sam król jadł z garkuchni, nawet kiedy miał obiad publiczny, płacąc od osoby po czerwonym złotym Kielusowi traktyerowi, w co już wchodziły i trunki i wszystkie narzędzia stołowe. Dworzanie zaś jego z małego traktamentu miesięcznego, który brali, najmowali sobie stoły po innych garkuchniach tańszych, nawet i półtynfowych i szóstakowych obiadów. Dworzanie albowiem królewskich z początku był regestr niezawarty: przyjmował król lada czerkiesa, byle z miną junacką, choć gołego, rozumiejąc (bez czego się obeszło, jakośmy wyżej widzieli), że mu się szablą tronu dobijać trzeba będzie. Więc też takowych dworzan utrzymywał po żołniersku, chłodno i głodno, aby sprzykrzywszy sobie takową etykietę dworską, sami się dobrowolnie, niebędąc potrzebni, poodprawiali, co też nie długo ciż panowie hołotkiewiczowie uczynili, poprzepadawszy i poprzepijawszy na służbie królewskiej konie i porządki.

### ***O dalszych dziejach po elekcyi 1764.***

Szopę, po innych elekcyach zazwyczaj paloną, na instancją królewską darował Wessel, podskarbi wielki koronny, jako nakładem skarbu koronnego sprawioną, księdzu Wcndrychowskiemu, plebanowi w Woli i Furniemu, rotmistrzowi Węgrów marszałkowskich.

We dwie niedziele po wykrzyknięciu króla w polu, przysięgał tenże król w kościele Śgo Jana kolegiackim na pacta conventa, klęcząc przed wielkim ołtarzem i czytając też pacta i przysięgę z formularza, na taborecie przed nim położonego, w obecności księcia prymasa i wielu innych panów; po której przysiędze powstawszy prymas z krzesła, na którym siedział podczas przysięgi królewskiej, miał do niego mowę, a po nim drugą Sosnowski, marszałek sejmowy, w której mowie obadwa wyrazili powinszowanie królowi, rekomendowanie praw i swobód narodowych i nadzieję zachowania onych. W odpowiedzi swojej król podobnie wyraził podziękowanie narodowi, pochwały prymasowi i marszałkowi, oraz upewnienie, że wszystkie obowiązki swoje świątobliwie zachowa, do której obietnicy gdy przystępował, podniósł głos i zawołał na cały kościół: „Boże! ty widzisz skrytość serca mego.“ Jako zaś miał płynną mowę i głos wdzięczny, tak temi słowami przeraził serca wszystkich, iż cały kościół na te słowa ryknął radosnym płaczem. Niewezwał jednak król na siebie żadnej kary od Boga, jeżeliby paktów konwentów poprzysiężonych nie dotrzymał, tylko: „Ty Boże widzisz, jeżeli niemyślę dotrzymać.“ Znać już wtenczas przemysłał, jak się uwolnić od twardych obowiązków paktów konwentów, które króla nie panem narodu, lecz sługą prawie czyniły; dla tego za niedotrzymanie ich nie chciał włożyć na siebie żadnego vadium kary boskiej. Ale niebieski świadek, oraz i sędzia przewrotnych serc, dosyć mocno ukarał krzywoprzysięstwo takie sromotnym końcem jego panowania, co się da widzieć w swoim miejscu.

### ***O koronacji króla 1764.***

W wigilią koronacyi, to jest dnia 24. Listopada,jechał król karetą przy wielkiej kalwakacie do kościoła księży misjonarzy, na krakowskim przedmieściu będącego, gdzie przed obrazem Śgo Stanisława w wielkim ołtarzu wystawionym, uczynił spowiedź przed Piotrem Śliwickim, wizytatorem misyonarskim, klęcząc przy taborecie, na którym usiadł Śliwicki. Niezabawiła ta spowiedź pięciu pacierzy, rachując w to i absolucają, o której wolno sądzić, jak się komu podoba, czy ona była szczerą, czy tylko ceremonialną. Słuchał potem klęcząc z przykładną skromnością mszy czytanej przez Sierakowskiego,

arcy-biskupa lwowskiego, i z rąk jego przyjął komunię; po którym nabożeństwie z tąż paradą, z którą przyjechał, powrócił do zamku.

Nazajutrz około godziny jedenastej przedpołudniem, poszli z kościoła kolegiaty do zamku processjonalnie wszyscy przytomni w Warszawie panowie, senatorowie i biskupi tak łacińskiego jakoteż ruskiego obrządku, po biskupiemu ubraniu. Tam na nich król czekał w stroju zwyczajnym niemieckim, którego przestroiwszy w ubiór nakształt biskupiego, w albę, dalmatykę, kapę i sandały, na głowie tylko czapkę nakształt kapuzy niemieckiej czarną aksamitną z białem piórem i sztuką dyamentową mającego, prowadzili ulicą zamkową do tegoż kościoła pod baldachimem przez czterech kasztelanów niesionym, z poprzedzającymi przed baldachimem insygniami królewskimi, to jest: berłem, jabłkiem i koroną na wezgiach aksamitnych od senatorów niesionymi, także dwiema chorągiewkami, które nieśli w niebytności wielkich, chorążowie nadworni, Adam Mniszech, koronny, i Jan hrabia Krasicki, litewski. Postępowała cała ta parada z królem po moście z tarcie ułożonym, suknem czerwonym pokrytym. — Łubieński prymas dla słabości swojej niechodził po króla: czekał na niego w kościele, gdzie go podług obrządku dawnego koronował. Akt ten koronacyi, że wielu opisało i do druku przedemną podało, dla tego ja go nieopisuję, ile niebędąc świadkiem oczywistym dla niezmiernego tłoku, kościół napelniającego, i trudnego przystępu do kościoła, do którego niejednemu, chociaż z dystyngwowanych, cisnącemu się bez biletu, dostało się kolbą w piersi od dragona, która to zniewaga spotkała nawet Załuskiego, biskupa kijowskiego, przed introdukcją królewską do kościoła wchodzącego, tłokiem ludu na dragona popchniętego.

Po odprawionej w kościele koronacyi, powracał król w téj samej paradzie do zamku, lecz inaczej ubrany. Miał albowiem na sobie kamizelkę opiętą i pluderki także, białe atłasowe poręczochy na nogach i trzewiki białe; na plecach paludament aksamitny pasowy, złotem haftowany, gronostajami podszyty, który za nim unosił jeden z senatorów; na szyi miał z przednich koronek brabanckich wielkie kryzy — mówiono, iż to był strój hiszpański. Na głowie miał koronę, w jednej ręce trzymał berło, w drugiej piastował jabłko złote. Com tedy widział oczami własnymi, tom wiernie opisał.

Po skończonym akcie dopiero opisanym, dawał król na zamku obiad wspinały dla wszystkich senatorów, ministrów i posłów; czym kosztem, tego nie wiem: to wiem, że swojej kuchni nie miał. Ta koronacja złożona była na dzień 25. Listopada, którego dnia obchodzi kościół łaciński święto Śtej Katarzyny panny i męczenniczki. A że Stanisław Poniatowski osiadł tron polski z łaski Katarzyny II., cesarzowej rosyjskiej, przeto dzień jej imienia obrał na koronację swoją, czcząc i zawdzięczając tym festynem łaskę swojej protektorki.

Nazajutrz, to jest dnia 26. Listopada, w asystencji panów i szlachty, siedł król pod baldachimem, przez czterech rajców warszawskich niesionym, w swoich sukniach niemieckich z zamku na ratusz, gdzie ubrany w strój hiszpański tak jak wczoraj, tylko bez berła i jabłka, ale z koroną na głowie i z mieczem przy boku, z tą samą paradą wyszedł z ratusza na tron królewski, w środku rynku, tam gdzie tracą złoczyńców, wystawiony. Z obu stron tronu wyciągnięte ławy czerwonym suknem okryte, a przed ławami na pawimencie z tarcie ułożonym, także suknem czerwonym pokrytym, krzesła senatorskie rzędem rozstawione, wyrażały doskonale postać izby senatorskiej. Mało było na tym akcie jak posłów tak senatorów, większa połowa krzesel i ław próżno stała; czy dla tego, iż się temu widokowi, dla mieszczan zrobionemu, niemieli ciekawości przypatrywać, czyli go też po wczorajszym bankiecie zaspali; dosyć, że miejsc próżnych w tym senacie było aż do podziwienia wiele. Gwardya koronna konna, Mirowskiemi zwana, otaczała pieszo cały ten teatr. Gdy król usiadł na tronie i senatorowie na krzesłach, w końcu jego naprzeciw tronu królewskiego stanęły magistraty miast Krakowa, Warszawy, Poznania, Wilna, Lwowa i za przywołaniem marszałka wielkiego litewskiego, porządkiem jak stały, przystępowały do całowania ręki królewskiej, potem cofając się tyłem, stawały na miejscach swoich. Za tem Delfus, kupiec i rajca warszawski, powiedział krótką mowę do króla, winszując mu szczęśliwie osiągniętego tronu, oddając wszystkie miasta całego kraju szczególnej opiece królewskiej, i życząc długoletniego a najszczęśliwszego panowania. Po skończonej mowie Delfusowej, na którą król jmcj nieraczył nic odpowiedzieć, Witoff, prezydent miasta Warszawy, oddał mu klucze od miasta położone na poduszce pąsowej aksamitnej, galonami złotymi suto szamierowanej.

Potém pasował król na rycerzów złotej ostrogi zwanych, czterech z magistratu krakowskiego, podług dawnego zwyczaju, podług zaś nowój łaski swojej czterech z rady warszawskiej, to jest Witofa prezydenta, Sakresa, Andrychowicza i Delfusa, rajców, i dwóch z gminu, Fryzego i Czempińskiego, kupców. Ceremonia tego pasowania była taka: król dobył miecza od boku gołego i nim dotykał po obu ramionach przyklękującego przed sobą mieszczanina, z których każdy pojedynczo odebrawszy takowe pasowanie, powracał tyłem na miejsce swoje. A gdy skończył pasowanie ostatniego i ten powrócił do miejsca, król tymże mieczem machał po dwa razy na każdą stronę horyzontu krzyżową sztuką, poczynając od północnej, ku której podług sytuacji tronu stał twarzą, obracając się potem na wschód, południe i zachód. Machał dosyć składnie i silnie (oby tak był umiał obronić państwo od rozerwania, od którego obronę znaczyło to machanie). Wymachawszy się król, schował miecz do pochwy, zszedł z tronu i powrócił na ratusz, gdzie rozebrano go z ubioru królewskiego i ubrany w niemieckie suknie, powrócił do zamku w tej samej asystencyi, z którą z niego wyszedł.

W czasie tego aktu wszyscy kupcy i cechy stały pod bronią po wszystkich ulicach w mieście, przybrani w mundury jednakowe według upodobania każdego cechu. Kupcy jedni byli w mundurach na koniach w dragonińskim stroju, drudzy formowali piechotę w szwajcarskim stroju z kaszkietami na głowach. Był to widok osobliwy i arcywdzięczny w obydwóch tych rotach, mających kolory paliowy z błękitnym, a szwajcarska rota swojemi togami do kolan spadającymi, w rękawach zaś i w sobie szerokiemu naksztalt Augustyańskich, przypominała milicją rzymską pod dyktatorami w tryumfie paradyjącą.

Wieczorem dawał król na zamku bal z maskami dla panów i dla miasta, które całe i z przedmieściami było tego dnia illuminowane rześnistym światłem w oknach, pałace zaś pańskie i bogatszych kamienice rozmaitemi figurami i farbami lamp palących się, między świrczynę grynszpanem ufarbowaną rozsadzonych, przedziwnie wdzięczny okazywały widok, który samego króla, radością z osiągniętego tronu nienasyconego, odebrał od balu i zwabił do siebie. Objeżdżał bowiem konno z asystencyą dworskich swoich wszystkie ulice, przypatrując się rozmaitym figurom i hieroglifom, applauzy i pochwały jego

wyrażającym, jakoż co tylko malarstwo, snycerstwo i poezya wynaleźć mogła, wszystko to przyświecało Stanisławowi Augustowi. W tym jednak miłym widoku byłby go zasmucił jeden przypadek, gdyby się był stał w jego obecności, nie po odjeździe; był zaś takowy: Na krakowskim przedmieściu pobok saskiego pałacu, kosztem brata królewskiego Kazimierza Poniatowskiego, podówczas podkomorzego koronnego, była zrobiona brama tryumfalna pięknie illuminowana, nad którą był zasadzony antał wina, posągiem orła okryty, z którego szponów ciekło wino; na głowie zaś miał donicę glinianą w formę korony zrobioną, smołą palącą się napelnioną. Pospółstwo wina chciwe wspinając się z naczyniami do podstawienia pod owo wino, i podsadzając się jedno nad drugie, obaliło owego orła; smoła tedy paląca się oblawszy niektórych po twarzach i ręku i po sukniach, krzyku, bólu i szkody nabawiła, wszystkich zaś pozbawiła wina. Kilkoro ludzi z tego przypadku napiwszy się gorącej smoły miasto wina, śmierć połknęło. Drugiego dnia tylko niektóre kamienice w rynku i pałace pańskie po przedmieściach były illuminowane. Lecz trzeciego dnia pokazał się widok nierównie wspanialszy i miłszy, niż wszystkie inne. Ratusz starego miasta Warszawy i przy nim ów amfiteatr w rynku, w którym król pasował rycerzów, te dwa gmachy były tak ozdobnie illuminowane, iż nawet cudzoziemskich wojażerów zastanawiały i wprawiały w podziwienie. Kosztował ten widok miasto Warszawę podług wieści publicznej do dwóchkroć stu tysięcy złotych polskich, rachując w to i ucztę dla dystyngwowanyszch spektatorów na ratuszu dawaną. Ten zaś koszt był z składki nałożonej na wszystkich mieszkańców warszawskich stanu miejskiego. Król tym widokiem tak był ukontentowany, że około jedenastej godziny w nocy z orszakiem różnych kawalerów i dam obszedłszy do koła ratusz, wszedł do niego na chwilę i odwiedził biesiadujących w nim rajców.

Dnia 27. Listopada między cechami i kupcami z obu stron ulicy w mundurach jako wyżej, na koniach i pieszo rozstawionymi, jechał król konno przy wielkiej panów, senatorów, rycerstwa i dworzan assystencyi do kościoła missyonarskiego, na krakowskim przedmieściu będącego, gdzie przed obrazem Śgo Stanisława w wielkim ołtarzu postawionym słuchał mszy świętej, po wysłuchaniu której z tą samą paradą powracał do zamku. Wessel, podskarbi wielki koronny, jadąc przed królem

na koniu tam i nazad, brał garścią z torby wiszącej na nim numizmata i tedy owedy rzucał między pospólstwo. Te numizmata były wielkości złotych, srebrne. Niekładę, aby ich więcej nad tysiąc rozrzucił, bo nieczęsto ciskał. Tę podróż do kościoła misyjonarskiego odprawił król obyczajem królów poprzednich swoich, którzy koronując się w Krakowie, takową świętą drożkę z zamku do kościoła Śgo Stanisława na Skałce odprawiali, polecając siebie i królestwo opiece tego Śgo patrona, i ten był akt ostatni publiczny należący do festynu koronacyi.

### ***O sejmie coronationis 1764.***

Sejm koronacyi zaczął się w Warszawie dnia 3. Grudnia r. 1764., na którym obrany marszałkiem izby poselskiej Jacek Małachowski, podówczas starosta piotrkowski, pierwszy raz podług prawa konwokacyjnego bez przytomności arbitrów, którzy od tego czasu na późniejszych sejmach często z izbów poselskiej i senatorskiej ustępować musieli, gdy do obrady jaka ważna materya wprowadzoną być miała, aby tym sposobem dawniejszym tumultom droga się zagroziła, które tumulty — jakośmy wyżej widzieli — od partyi Czartoryskich naprzeciw dworskiej za Sasa króla wszczynane, już więcej tejże partyi samowładnie działającej niepotrzebne były, a które w jakiegokolwiek sposobności zostawione za szkodliwe, albo przynajmniej trudność zamiarom swoim niepotrzebną sprawujące, pomieniona familia Czartoryskich uważała. Dla tego ile przedtém sposobów do psucia sejmów za Sasa, tyle za Stanisława Augusta do ubezpieczenia ich ostrożności dokładała. Chwalebne usiłowanie: lecz że w sercu chciałem panowania do czasów swoich zatrzymane, i najlepszego z królów Augusta III. wszelkiej sławy pozbawiające, za to wiecznej nagany godne. Drugiego dnia po rugach, przy złączonej izbie poselskiej z senatorską, rozdał król wakujące pieczęci, jako to: wielką koronę Jędrzejowi Zamojskiemu, wojewodzie inowrocławskiemu, mężowi poważnemu, rozumnemu i z gruntu sumiennemu; mniejszą koronę Jędrzejowi Młodziejowskiemu, audytorowi prymasowskiemu, a to za to, że w czasie bezkrólewia podług żądania familii Czartoryskich sprawnie prymasem kierował; mniejszą litewską Antoniemu Przeczdzickiemu, referendarzowi litewskiemu, faworytowi i do wszystkich szacherstw publicznych naj-

zręczniejszemu instrumentowi książęcia Czartoryskiego, kancle-rza wielkiego litewskiego. Tego Przczdzieckiego, z oczu wo-łowych, głowy wielkiej tłustej, karku grubego niezwrotnego i kadłuba obszernego, Litwini prczwali rynecerosem. Te pie-częci rozdawał król w kieskach bogatych, oraz miał przemowę z tronu do tychże pieczętarzów, upominając ich, aby prawa, jako z urzędu swego pieczętarskiego stróżami ich będący, ści-śle zachowywali i przestrzegali, i gdyby je król przez nieostro-żność lub poduszczenie pochlebne w czém nadwcreżał, aby go napomnieć w tém odważnymi byli.

Na tym sejmie na modelusz litewski utworzono urzędy nowe, których przedtém niebyło: jednego sekretarza koron-nego świeckiego i trzech pisarzów wielkich koronnych świe-ckich.

Nobilitowano osób rozmaitych do czterechset przeszło, je-dnych za pieniądze, drugich z łaski za interesowaniem się ja-kiego magnata albo wicelomownego posła. W takim tedy hoj-nym szafunku klejnotu szlacheckiego, nietrudno było wcisnąć się do nobilitacyi ostatniemu motłochowi, gdy ani przytomno-ści osób, ani wywodu zasług, ani nawet poznania kandydatów nieżądano. Dosyć było wcisnąć się w listę do konstytucyi, a potem przez fawor protektora i opłatę od piczcęci otrzymać dyploma nobilitacyi. Pani Branicka, kasztelanowa krakowska i hetmanowa w. koronna, siostra królewska, niemal cały dwór swój tym sposobem nobilitowała: kucharzów, kawiarzów, fry-zyerów, kamcrdynerów, muzykantów, zgoła na kogo tylko padł wzgląd łaskawy téj pani. Oprócz zaś sejmowych nobilitacyi, dała rzeplta królowi trzy albo cztery dyplomata z okienkami, aby miał moc i oprócz sejmu zaszczycać szlachectwem osoby dobrze zasłużone. A że z tych dyplomatów okienkowych ni-gdy króla rachunku niesłuchano, czyli je wyszafował czy nie-wyszafował, bo i niepodobnaby rzecz była konfrontować akta sejmowe z metrykami pieczętarskimi, w które dyplomata szla-choctwa nie w jednym czasie, ale w różnym podług rekwi-zy-cyi nobilitowanych wpisywano, a do tego w każdym dyplo-macie ta klauzula (de consensu ordinum Regni) dokładana była, i tak dyplomata wszystkie barwianemi będąc, trudne były do rozpoznania, które się mieściły w liczbie sejmem pozwoło-nej, a które ją przewyższały. Przeto król mógł kreować ka-żdego czasu podług woli swojej nową szlachtę. Wielu jednak



z sejmowych nobilitacy niekorzystało; najprzód, którzy nie mogli opłacić dobrze w kancelaryach pieczętarskich dyplomatów, ci ich nieotrzymali, a przeto czém probować szlachectwa nie mieli; powtóre, kto niekupił wsi we dwa roki po otrzymaném szlachectwie (aczkolwiek ten czas nieściśle uważano), ten podług konstytucyi od szlachectwa odpadać powinien. Że zaś wielu hołyszów wcisnęło się w konstytucyą, więc niekupiwszy wsi, zostali takimi, jakimi byli przed nobilitacyą.

### **O rozdzieleniu trybunału 1765.**

Zamojski, wynalazca i fundator trybunału, ustanowił dla obydwóch prowincyów koronnych wielkopolskiej i małopolskiej jeden trybunał, który od wspomnianej ustawy swojej aż do śmierci Augusta III. sądził od poniedziałku po Śwym Franciszku, aż do soboty przed niedzielą kwietnią w Piotrkowie, i od poniedziałku po niedzieli przewodniej aż do wigilii Śgo Tomasza w Lublinie. Książę Czartoryski, kanclerz w. litewski, nowemi prawami i ustawami pragnący sobie wieczną sławę na wzór Zamojskiego uczynić w narodzie, zrobił to powagą i dzielnością swoją, iż pomieniony trybunał w początkach zaraz panowania Stanisława Augusta rozdzielono na dwa, jeden dla prowincyi wielkopolskiej w Piotrkowie i w Poznaniu, a drugiego roku w Piotrkowie i w Bydgoszczy, drugi dla prowincyi małopolskiej w Lublinie i we Lwowie, i obudwom trybunałom napuszczono czasu, aby się zaczynały nie od poniedziałku po Śwym Franciszku, ale od pierwszego Września, i ten termin zaczęcia trybunału został się aż do końca Polski. Z trybunałów zaś dwóch po dwu leciech zrobił się jeden po dawnemu, jako się niżej pokaże.

W roku 1765., podług nowój ustawy, trybunał prowincyi wielkopolskiej przeniósł się z Piotrkowa do Poznania, którego marszałkiem był Józef Mielżyński, kasztelan poznański, — trybunał prowincyi małopolskiej z Lublina do Lwowa. W roku następującym 1766. trybunał prowincyi wielkopolskiej po kadencji piotrkowskiej przeniósł się do Bydgoszczy. Marszałkiem jego był książę Antoni Jabłonowski, wojewoda poznański. Trybunał małopolski tak jak w poprzedzającym roku odprawił się w Lublinie i we Lwowie.

Z tego rozdziału trybunału cały naród był niekontent. Uważano, iż tym podziałem ginie konfidencya między prowii-

cyami, która jest duszą narodu. Większa trudność nastąpiła subiektów do kosztownego marszałkowstwa trybunałskiego, obiady publiczne, bankiety i lusztuki dawać, przesądem starodawnym właśnie jak prawem obowiązane. Taż sama trudność dała się widzieć w dobieraniu światłych deputatów. Palestra i patronowie spraw, mecenasami zwani, niebyli kontenci, iż będąc pierwój miejscowymi, jedni w Piotrkowie, drudzy w Lublinie, potem za przenoszącemi się trybunałami kosztowne przenosiny odprawiać musieli. Pacyenci także ubogich województw mazowieckich i Sieradzanie, mający dawniejszy trybunał blisko i niemal jak w gębie w Piotrkowie, dużo byli nieukontentowani, iż z tańszego kraju sieradzkiego w droższy i odleglejszy poznański lub bydgoski za swoimi adwersarzami, gdy ei byli z Poznańskiego albo z Kujaw, albo z Prus ciągnąć musieli. Tenże sam niesmak i z tychże przyczyn panował w prowincyi małopolskiej, gdy dogodność magnatom ruskim przez trybunał we Lwowie, uciążała kosztem większym od pierwszego województwa bliższe Lublina, podlaskie, bełzkie, samo lubelskie, sandomirskie i krakowskie. — A tak publiczne nieukontentowanie sprawiło, że podział takowy trybunału, potrwawszy dwa roki, upadł, i trybunał jeden dla obydwóch prowincyj po dawnemu (wyjawszy czas naznaczenia go) został przywrócony. Do czego tem łatwiej przyszło, iż król, który przed elekcyą przyrzekł rządzić podług rady i woli księżęcia kanclerza, starca dumnego i imponującego królowi jako swemu siostrzeńcowi, a dla tego względem niego młodzikowi, dobrawszy sobie równych laty faworytów i konsyliarzów, zaczął gardzić kanclerzem, a za przykładem króla i naród poczał mu ubliżać téj podległości, którą mu jako bożyszczu wyroków publicznych w czasie władania królem okazywał.

### ***O konfederacyi toruńskiej 1767.***

Niezasiadałem w żadnym gabinecie monarchicznym, dla tego niemogę czytelnikowi mojemu opisać pobudek, jakie i od kogo mieli dyssydenci polscy do podniesienia konfederacyi w Toruniu. Ogłos publiczny był: iż Stanisław August, król, jeszcze przed wstąpieniem na tron przyobiecał sąsiedzkim potencjom udzielić po sztuce kraju polskiego, i przypuścić dyssydentów do wszystkich praw, przywilejów i honorów, obywatelom i szlachcie wyznania katolickiego służących. To unie-

manie potwierdza skrypt gabinetowy Stanisława Augusta, wydany na widok publiczny przez awanturника Dzierzanowskiego, który skrypt wypisany jest w tomie drugim. — Do wypełnienia tych dwóch kondycyj środkiem najskuteczniejszym zdawały się być królowi i dworom sąsiedzkim konfederacye, jedna po drugiej w narodzie wszczynane. A tak najpierwsza konfederacya dyssydentów i schizmatyków Greków, w Polsce się znajdujących, pokazała się w Toruniu pod protekcyą żołnierza rossyjskiego, od sejmu konwokacyjnego nieprzerwanie w Polsce bawiącego. Długi rejestr krzywd i uciemieżeń przypadkowych, wiekami zdarzonych, wypisali dyssydenci w akcie konfederacyi, która się zaczęła i odbyła w Kwietniu roku 1767. Marszałkiem téj konfederacyi był Karczewski, obywatel ziemi wschowskiej, kalwin. Rzecz osobliwsza: powracającego z Torunia i nocującego w karczmie, a nazajutrz rano coś pilnego piszącego, i nogi gołe pod stół wyciągnięte mającego, gęś pod ławą wysiadująca jajca uszczypnęła w nogę, z którego razu w kilka dni umarł w drodze.

Akt téj konfederacyi dyssydenci przez swoich emissaryuszów pod konwojem rossyjskim rozesłali po wszystkich grodach. Do Kalisza przyjechał z nim Pretwicz, kalwin, w asystencji 24 kozaków. Niezważając na gromadną pod ten czas w Kaliszu szlachtę, podał go do ksiąg. Lecz szlachta, rzuciwszy się do szabel, wyparowała go i z kancelaryi i z miasta, raniwszy kilku kozaków. W trzy dni potem, w dzień jarmarku i sądów ziemskich, przybył tenże Pretwicz w trzysta koni kozaków, którzy bez zastanowienia się najmniejszego, obskoczywszy najprzód bramy, rzucili się na wszystkich lud zgromadzony na jarmark, bijąc batogami pospólstwo i chłopów, a szlachtę, których podług zwyczaju owego czasu wydawała takimi noszona szablą przy boku, łapiąc i w przygotowane już na to dyby wsadzając. Nałapanych po ulicach i staucyach tym sposobem rozpoznawał Pretwicz, i których za niewinnych pierwszego tumultu onego w kancelaryi na siebie podniesionego uznał, tych powypuszczać kazał, zostawiwszy kozakom za łupem zdobycz z nich zdartą, sukien, pasów, czapek, szabel i pięniędzy podług prawa kozackiego. Których zaś poznał, iż byli w pierwszym tumultcie, tych podobnie jak pierwszych obdartych, a nawet niektórych i ranionych, zostawił w więzach do dalszej rozprawy, których kozacy osadzali w kamienicy, gene-

rałską zwaną dla tego, iż należała do generała czyli starosty generalnego wielkopolskiego, którym był natenczas Jerzy Mniszech, marszałek nadworny koronny. Nadeszła potem piechota rossyjska, która nad szlachtą w dybach osadzoną straż trzymała. Nikt się za owymi nieborakami nieinteresował: tak był gieniusz narodu polskiego przemocą przytłumiony. Siedziała więc owa szlachta w areszcie o swoim koszcie aż do drugiej konfederacyi, o której zaraz.

### ***O konfederacyi powszechnej 1767.***

Uważała Moskwa, iż po takim traktamencie źle pójdą jej i drugih potentatów do przyszłego podziału Polski formowane zamiary, i wносиła, iż kiedy dyby i kajdany na szlachtę kaliską włożone nie zrobiły w narodzie żadnego rozruchu, to i wolność dyssydentów pretendowana, jako mniej bolesna, ile przy rozszerzającym się po całej Europie duchu tolerancyi, nie zrobi. Panowie wielcy, nienawistni królowi, uchyliłi się od interesów publicznych, pozasiadali spokojnie w domach; sejm się zaczyna i złożony będzie z pomniejszych obywatelów, którzy już to z przywiązania do króla, już z powolności ku Rossyi sprzeciwiać się nic będą interesowi dyssydentów, a tak okazyja do podziału Polski upadnie. Trzeba zatem było wynyslić koniecznie co takowego, co by magnatów i łepaków w interesa publiczne wplątało, wplątanych do rewolucyi przywiodło i przez rewolucyą, niespokojność i niebezpieczeństwo jakoby sąsiedzkim potencyom sprawującą, do uskromienia burzliwego narodu oberznięciem kraju, nadto dla republikanów wielkiego, przystąpić. — Coby zaś mogło w takie sidła panów polskich naprowadzić, uważano, iż nienawiść ich do narzuconego im przez Rosyą króla najzdatniejszą byłaby, gdyby potuchę postronnej potencyi znalazła. A ponieważ Rosya jako gwarantka opiekowała się Polską, więc też jej tę sztukę wypłacać Polakom najprzyzwoicięj i najzręcznieć było. Za tym postanowieniem książę Repnin, ambasador rossyjski, w kompaniach między panami w Warszawie bawiącymi, a osobliwie między damami, zwyczajnie prędko-wiernymi i plotuchami, poczał rozsiewać (ale to pod wielkim jakoby sekretem, aby się król o tym nie dowiedział), że imperatorowa jego z Stanisława Augusta niekontenta, iż on z łaski jej dostąpiwszy tronu polskiego, pokazuje się niewdzięcznym, zapominając i nieprzywodząc do skutku zarekomendowanego

mu od niej interesu dyssydentów i Greków; że przewrotnym rozumem swoim poniszczywszy dawne prawa kardynalne, jako to władzy hetmanów i wolnego „niepozwalam“, zakrawa na samowładztwo; imperatorowa zaś, będąc gwarantką swobód i całości Polski, postanowiła przeschodzić zawczasu takim zamiarom daniem protekcyi obarczonemu od Stanisława narodowi, gdyby tenże wziął się do jakiego czynu publicznego na zniszczenie tych nowych, szkodliwych wolności ustaw, a przywrócenie dawnych swobód; to sobie jedynie warując, ażeby wolność i równość praw dyssydentom i Grekom była przyznana. Nareszcie mało jest od tego, żeby Stanisława niewdzięcznika obmierzłego zrzuciła z tronu, a dała Polakom Sasa króla według dawnych traktatów. — Ten sekret zmyślony doszedł najpierw uszu Kossakowskiej, kasztelanowej kamieńskiej, z domu Potockiej, wielkiej mądrochy, a oraz głównej nieprzyjaciółki Stanisława. Ta pobiegła z nim do księżnej wojewodziny ruskiej, która odpowiedziała, iż toż samo i ona od Repnina słyszała, i że ten sekret jest już wiadomy wielu znacznym osobom, albo w samej rzeczy mając go już także jak pierwsza od Repnina, albo zmyślając że miała, choć nie miała, aby się nie drugą lecz pierwszą tak wielkiej tajemnicy uczestniczką pokazała. Szedł tedy ten sekret z ucha do ucha, od kobiet do mężczyz, aż się dostał przez kasztelanową kamieńską do Mniszcha, marszałka nadwornego. Ten ledwo go usłyszał, mając zajątrzone z dawna serce do familii, zranione nowym alffrontem, iż go laska wielka po Bielińskim, zmarłym marszałku wielkim koronnym, dana od króla Lubomirskiemu, minęła, — przybiegł do Warszawy, gdzie już ową tajemnicę, najprzód kobietom powierzoną, Repnin głośniej rozsiewał, widząc, że malkontentom z rządu terażniejszego do serca przypadała. Udał się do Repnina, z którym odprawiwszy konfcrencyą, w dobrą i mocną wicze temu wszystkiemu, czém go zwodził Repnin, zawinął się rączego około skutku podanej sobie planty. Rozpisał listy do wszystkich województw, namawiając je, aby się przeciwko terażniejszym ustawom manifestowały, sam zaś pobiegł do Kalisza, jako generał wielkopolski, podał do ksiąg manifest wyliczający długi rejestr bezprawiów terażniejszego rządu, między którymi była też i ta dzika pretensya do króla, że sobie prawo bicia pieniędzy, od wieków tylko rzeczypopolitéj służące, przywłaszczył, że skasowawszy dobrą monetę sa-

ską, ładajakiemi picniedzmi kraj zaraził, — co było fałszem jawnym, bo Stanisław w daleko lepszej stopie srebrne pieniądze bić kazał przez całe panowanie swoje, niż były zagraniczne. Nakoniec w ten manifest włożony był punkt, aby desideria dyssydentów, Greków i schizmatyków na przyszłym sejmie, do którego wstępem miał być ów manifest, wysłuchane były, który to punkt był kondycją, pod którą wszystkim innym pretensyom Polaków do króla protekcyja obiecana od Repnina była, a nawet i samo złożenie z tronu Poniatowskiego, ale jeszcze teraz dla przyczyn gabinetowych głośném być niemogące, do zrozumienia dane. Takimi sztukami dał się uwieść Mniszech i wszyscy magnaci, przyjaciele Sasa, nieprzyjaciele rodziny Czartoryskich i Poniatowskiego. Księżę nawet biskup krakowski Sołtyk, lubo z powołania duchownego powinien się być sprzeciwiać swobodom pretendowanym od dyssydentów, zawsze im w Polsce wzbranianych, pisał się atoli na takowy akt z żądzy jednej zepchnięcia Poniatowskiego z tronu.

Teraz czytelnikowi memu wystawię scenę, w jakiej się ten akt odprawiał w Kaliszu.

### ***O początkach konfederacyi radomskiej.***

Mniszech, marszałek nadworny, wyżej wyrażony, zasiadł za stołem w dziedzińcu kancelaryi kaliskiej, perorował do szlachty zwabionej do tej nowości, że teraz przyszedł czas zrzucenia z siebie jarzma niewoli, do uzyskania dawnych swobód narodu, i zapraszał każdego do podpisu owego aktu w protokule na stole rozłożonym zapisanego: żeby zaś te podpisy od mnogiej szlachty prędzej ukończone być mogły, i on niezwyčajnej sobie pozbył się subiekcyi, porozsadzał susceptantów przy bramie kancelaryi i narożnikach ulic, z stolikami, piórem, kałamarzem i papierem potem do protokołu wszytym, którzy każdego przy szabli mimo siebie przechodzącego zapraszali do podpisu. Strudna który mógł się docisnąć do przeczytania aktu, a zatem dowiedzieć się, jakie to jest dzieło. Pisali się jednak jedni za drugimi, łudząc się sami między sobą, iż to jest rekonfederacya przeciwko toruńskiej konfederacyi, iż to jest zamiar przywrócenia dawnych praw, iż to jest zamach na detronizacyą króla; zgola jedni drugim plotli to, czego sami niewiedzieli. Mniszech i z szlachtą w kancelaryi stante pede (jak mówią łacinnicy) bez żadnej formalnej ciekcyi nominowali nie-

których urzędników ziemskich konsyliarzami, którzy się do Radomia w kilka niedziel po tym pierwszym akcie zjechać mieli, i tam ogólną wszystkich województw konfederacją utworzyć na zasadach powyższych.

W czasie téj roboty, owa szlachta, dawniej od Pretwicza i kozaków w dyby wsadzona, siedziała w nich pod strażą rosyjską. Gdy się pewny szlachcic spytał Mniszcha: „kiedy mamy protekcyą najjaśniejszej imperatorowej, za cóż jój wojsko trzyma w dybach naszą bracią?” Na co Mniszech: iż się porwali na wojsko jój imperatorowej mci, przeto niemogą być prędzej uwolnieni, aż za jój rozkazem, który że wkrótce nastąpi, pokazał owemu szlachcicowi list od ministra rosyjskiego i tém go uspokoił; jakoż owi więźniowie w tydzień po akcie tym wypuszczeni na wolność zostali, wysiedziawszy przeszło sześć niedziel w dybach na barłogu, drudzy winnymi nic niebędący. — Ten akt zaczął się i skończył jednego dnia, przy sutym traktamencie w kilku kamienicach i refektarzach klasztornych przez Mniszcha danym.

### ***O konfederacyi radomskiej 1767.***

W miesiącu Lipcu owi konsyliarze po województwach obrani zjechali się do Radomia, tego miasteczka, w którym niegdyś odprawiały się komisyje wojskowe i skarbowe sprawy sądzące. A gdy się zeszli na ratusz końcem utworzenia konfederacyi generalnej dla odzyskania dawnych praw, i następnie po przywróceniu tych, wypowiedzenia posłuszeństwa królowi — jako się według obietnic Repnina spodziewali, — Rosyjanie, którzy takim dziełom wszędzie assistowali pod pozorem obrońców swobód polskich, otoczyli z nagłą ratusz, wyrzucili go prosto w niego armaty, i wszedłszy w środek pierwsi ich generałowie, zapowiedzieli zgromadzeniu konsyliarzów i panów nowinę wcale przeciwną Repninowskim obietnicom: 1mo, iż król królem być musi; 2do, że forma rządu wprowadzonego pod panowaniem Stanisława, wydoskonalona być może przez nowe przydatki i odmiany, ale w sposób lepszy, nie w zły starodawny; 3tio, że terazniejsza konfederacya ma się złączyć z toruńską i za jedną z tamtą być poczytana; 4to, że sejm przyszedłszy w Warszawie dla pewniejszego dojścia swego ma się odprawić pod konfederacyą terazniejszą, na zasadach dopiero zapowiedzianych; 5to, że nikt z ratusza wypuszczony niebędzie,

póki tych zasad niepodpisze, a jeżeliby całe zgromadzenie jednomyślnie sprzeciwne takiej woli jęj imperatorskiej mci było, tedy kulami armatnimi i baguetami co do nogi wytopione zostanie, jako złe, jedynie na króla zawzięte i dobru publicznemu szkodliwe. Zagrożeni tak niespodziewanym gwałtem owi swobód dawnych popieracze, spojrzawszy po sobie, podpisali wszystko, co tam było w owym akcie przez Rosyą skoncypowanym napisane. Dopiero z ratusza uwolnieni, co prędzej jak który mógł, do domów się rozjechali.

Zrobiwszy tę robotę Rossyanie, prawie już pewnymi byli, że się naród polski porwie do oręża, a zatem przyspieszy podział Polski. Lecz się jeszcze ten raz zawiedli na swójem zdaniu. Polacy przez długi czas z nikim niebędący w wojnie, zależeli pole, zgnuśnieli, zakochali się nadto w spokojnem życiu, dla tego takowe affronta cierpliwie znosili, aż też nareszcie porwali się do oręża, uformowawszy konfederacyą barską bitną, o której zaraz.

### ***O konfederacyi barskiej 1767.***

Gdy na sejmie ordynaryjnym walnym warszawskim pod konfederacyą radomską w swoim czasie, to jest po Śtym Michale złożonym, wprowadzona była materya dyssydentów, oparli się zaraz w znacznej liczbie senatorowie i posłowie. Sołtyk biskup krakowski, który się pisał za dyssydentami na konfederacyi radomskiej, widząc się oszukany w nadziei zepechnięcia z tronu Poniatowskiego, tu się pokazał nibyto gorliwym apostołem za wiarą katolicką, wyrzucał wymownie i zuchwale podstęp aktu radomskiego, zbijał pretensye dyssydentów dawnemi i świeżemi prawami, i wszelkim sposobem na wolność dyssydentów niepozwalał. Za jego przykładem poszedł Załuski biskup kijowski, Rzewuski hetman polny koronny i syn jego starosta doliński, z posłów zaś Koźuchowski cześnik i poseł kaliski, człowiek rozumny, wymowny i śmiały, sektarz partyi niegdyś saskiej; a za tymi bardzo wielu innych sprzeciwiało się wolności dyssydentów. Tego tedy Koźuchowskiego najpierw nieprzyjaciele na ulicy z karety, jadącego na zamek, gdzie się sejm odprawiał, gwałtem wywlekli, do aresztu porwali, z aresztu na Pragę wywieźli, a wożąc go po różnych miejscach w kibitce przez kilka dni, głodem, niewczasem, po-



strachem batogów tak długo dręczyli, aż na nim wymusili assekuracją, że więcej na sejmie niepostoi i zaraz do domu odjedzie.

O taki gwałt, na osobie posła spełniony, gdy się żadna burza w narodzie nie zrobiła, posunęli Moskale swoje drażnienie wyżej; wzięli z własnych pałaców biskupa krakowskiego, biskupa kijowskiego i obudwóch Rzewuskich, wywieźli ich z Warszawy, a po różnych miejscach wożąc ich przez niejaki czas, na ostatku osadzili w Kazaniu, gdzie trzymali onych przy wygodach jakichkolwiek aż do skończenia konfederacyi.

Tym gwałtem, na posle i senatorach spełnionym, pod bokiem króla w stolicy państwa i podczas obrad, zatrwożeni inni senatorowie i posłowie, pozwolili na wszystko, czego żądali dyssydenci, Grecy i schizmatycy; ile gdy książe Repnin, ambasador rossyjski, na każdej sessyi sejmowej znajdując się na łoży czyli chorku senatorskiej izby, mocno tego przestrzegał, aby żadnych mów opornych woli imperatorowej jéjmcii, faworyzującej dyssydentom, nieuszczynano. I gdy pewny poseł począł się rozwódzić w mowie nad gwałtem na osobach wyżej wspomnianych popełnionym, posłał do niego Repnin dworzannina swego, Polaka Łabęckiego, z takim kplementem: „Słusz ty Łabęcki: skaży ty temu posłu, nechay tak mnogo ne gaworyt, bo wozmet w sraku w piwniczu“, — co ledwo Łabęcki pomienionemu posłowi pócichu do ucha poszepnął, poseł natychmiast umilkł; a od niego inni sejmujący dowiedziawszy się przyczyny nagłego owego zamilczenia, wszyscy usta zamknęli: otwierając je szczególnie na potwierdzenie tego, co było od tronu, jako instrumentu rossyjskiego, proponowane.

Tym sposobem dyssydenci i Grecy wolność wyznawania publicznego swojej religii, równość praw i swobód narodowych taką, jaką się zaszczytali obywatele religii katolickiej, otrzymali. Władzy hetmańskiej na zawsze zniesienie dawniejsze na nowo powtórzone, a liberum veto, owa to w mniemaniu zadawnioném zrzenica wolności, na wieki ołsnęła. Na jéj miejscu, w oczach narodu oświeconego w dawném o wolności uprzedzeniu, osadzono i ugruntowano większość głosów, we wszystkich odtąd radach publicznych konkluzye stanowić mającą.

Oni tedy konfederaci radomscy, widząc się szpetnie w swoich zamysłach, o których było wyżej na karcie 105.,

zawiedzionymi, z papierowej radomskiej konfederacyi udali się do zbrojnej barskiej; — do której dzieł wojennych nim przystąpię, wprzód muszę czytelnikowi niemu donieść, na jakich zasadach się ta konfederacya barska wzruszyła: to zaś nie twierdzą za żywą prawdę, bom w radzie twórców jej nie zasiadał, tylko tak, jak słyhać było, douoszę, i jak obroty tejże konfederacyi domyslać się kazały.

Koźuchowski, cześnik i poseł kaliski, wzięty w areszt od Rossyan i wypuszczony (jako się wyżej opisało), udał się do biskupa krakowskiego, szukając od niego rady w tym razie. Biskup krakowski miał mu odpowiedzieć: „Co się z wacpanem stało, to się i zemną wkrótce stanie. Weź wacpan ten list i wyjeżdżaj z nim zaraz z Warszawy, aby Rossyanom nie przyszła myśl porwać wacpana drugi raz; czekaj w Sochaczewie. Gdy ja będę wzięty, pojedziesz z tym listem tam, gdzie jest adres zapisany na drugiej kopercie; tam wacpana uwiadomią, co będziesz miał czynić.“ Koźuchowski w Sochaczewie w kilka dni uwiadomiony, że już wzięto biskupa krakowskiego i innych wyżej wyrażonych, zdjął z listu pierwszą kopertę, na drugiej znalazł adres do Wiednia do Józefa II. cesarza, już wtenczas w interesa publiczne (acz jeszcze matka rządziła) wchodzącego. W Wiedniu odebrawszy ów list od Koźuchowskiego, powiedziano mu imieniem cesarza, aby się udał do Baru, gdzie będzie uwiadomiony, co ma dalej czynić. Pobiegł tedy Koźuchowski z Wiednia do Baru na Ukrainę, gdzie już zastał konfederacyą związaną, sławną pod imieniem barskiej, skąd się pokazuje, że państwo polscy zdradzeni w Radomiu, zaraz myśleli o innej pewniejszej konfederacyi, i że do związanej w Barze mieli pochoć od Józefa cesarza. Cesarz Józef przez trzecie osoby (nigdy sam przez się) mówił Polakom: iż byle się cały naród porwał do broni, namówi matkę cesarzową Maryą Teresę, że mu da pomoc; co się niemialo sprawdzić, jako się da widzieć niżej.

Stąd się pokazuje, że Sołtyk biskup krakowski zaraz po zawiedzeniu konfederacyi radomskiej robił rzeczy u cesarza; jako zaś był mąż wielkiego serca, determinował się nawet ponieść rossyjską niewolę, byle dokazał swego, poruszeniem narodu do broni zepchnąć Stanisława Augusta z tronu, a osadzić na nim Sasa, co mu się niepowiodło.

Konfederacya w Barze związała się w Lutym, a dała się widzieć w swojej zbrojnej postaci w Marcu roku 1768. W początkach nie miała tytułu ani konfederacyi jakiego województwa, ani konfederacyi ogólnej całego narodu, ale tylko od miejsca nosiła tytuł konfederacyi barskiej. Marszałkiem jej był Michał Krasiński, podkormorzy rużański, konsyliarzem Puławski, starosta warecki, dawniej sławny patron trybunałski i plenipotent generalny całej familii Czartoryskich, a potem obmierziwszy sobie ich fakcye w zrywaniu sejmów, główny nieprzyjaciel. Ci dwaj w początkach cały rej wodzili i pryncypałami stanęli. Zasada tej konfederacyi była przy wierze katolickiej i dawniej wolności polskiej. Miała też ta konfederacya i proroka, wspomnianego w manifestie czyli akcie swoim, niejakiego Marka karnelitę, z pobożności prawdziwej czy obłudnej (sam Bóg wie) wziętego wielce u panów ruskich, który tej konfederacyi pomyślny obiecywał skutek i na dowód swojej obietnicy pioruny i grzmoty jako niegdyś Samuel prorok z nieba sprowadził, albo też gdy z naturalnej przyczyny zburzone powietrze piorunem wystrzelić miało, w tym punkcie mu ordynans swój do wystrzelenia dał, i tym sposobem zaufanie swemu proroctwu zjednał. Lecz niesprawdził, bo konfederacya zniszczoną została, sam zaś prorok Marek schwytany od Rossyan, batóżkami ocięty i gdzieś do klasztoru wtrącony, z oczu ludzkich zniknął.

Skoro w Warszawie usłyszano o pomienionej konfederacyi, natychmiast na jej rozproszenie wyprawiono wojska rosyjskie i pułki lekkie koronne, jakoteż ułanów królewskich pod pułkownikami Arnoldem Byszewskim, faworytem królewskim, Chojeckim, wojną i innymi mniej sławą junaków zaszczyconymi, a nad tymi wszystkimi przełożono Xawerego Branickiego, łowczego pod on czas koronnego, człowieka nieustraszonego serca. Ta tedy partya Rossyan i Polaków najprzód dobyła Baru, konfederatów rozproszyła, wielu w niewolę poimała, reszta rozproszonych konfederatów, goniona po Rusi i różnemi klęskami niszczone, zamknęła się w fortecy berdyczowskiej, gdzie ich Branicki, przywodząc piechocie rosyjskiej na froncie, w samej bramie kulą karabinową po kapeluszu draśniony, żwawo nacierając i wołając na Rossyan: „stupaj, przystupaj!“ dobył, wielu w niewolę zagarnął; reszta obronną ręką uszła. —

Niemogąc się konfederaci nigdzie w kraju oprzeć Rosssyanom, wynieśli się na Wołoszczyznę. Tam do konfederatów pierwotnych barskich przyciągnęli konfederaci litewscy pod marszałkiem Pacem, starostą ziołowskim, wkrótce po konfederacji barskiej związani, podobnem nieszczęściem jako i barscy od Rosssyan i pułków królewskich w rozmaitych potyczkach pobici. Do tych konfederatów, w Wołoszczyźnie będących, przyłączył się Joachim Potocki, podczaszy litewski, generał regimentu konnego, który chodził pod tytułem królowej Jadwigi. Tego Potockiego konfederacya uczyniła regimentarzem generalnym. Że imie Potockich wiele znaczyło u Turków, tak iż je Turcy inaczej niewspominali, tylko: Wielika Potocka, przeto wspomniony Potocki usilnie namawiał konfederatów, aby się udać do Turka i żądać jego protekcyi. Przeciwnie Puławski wszelkich sił dobywał rozumu swojego, aby się konfederacya wyniosła z Wołoszczyzny i udała się pod protekcyą Józefa cesarza, jako pochop od niego do związania się i pomoc w czasie obiecaną mająca, przywodząc za przyczynę takiego zaufania wdzięczność, którą dom austriacki mieć powinien Polakom za oswobodzenie Wiednia od obleżenia tureckiego przez Jana Sobieskiego króla. Te dwie głowy pasowały się uporczywie, a cały skład konfederacyi deliberował, czyjéjby rady chwycić się pożytecznie było. Przewyciężył Potocki. Turcy na jego perswazyą wypowiedzieli Rosssyi wojnę i zaraz ją rozpoczęli, konfederatów z Wołoszczyzny do kraju swego przyjęli, wszelką im zrazu ludzkość świadczyli i we wszystkie potrzeby opatrywali, spodziewając się (jak byli od głów konfederackich upewniani), że się cały naród polski porwie do broni i z swojej strony Rosssyą atakować będzie, Puławskiego zaś poczytawszy za zdrajcę, w kajdany okuli i do Stambułu zaprowadzili, w których tamże w pół roku umarł. Lecz gdy Turcy, wpłatawszy się w wojnę z Rosssyą dla interesu Polski, widzieli, że cały prawie naród polski cicho siedzi, jedno z królem i z Rosssyą trzyma, a tylko garstka niedobitków konfederatów przy nich się tuła, poczęli ich zaniedbywać, żywności im i innych potrzeb odmawiać, nareszcie gdziekolwiek po kilku zdybanym, od korpusu odłączonym, głowy ucinąć i swoim wodzom obyczajem tureckim jakoby rossyjskie odnosić, postrzegli konfederacy, iż się w ostatniem nieszczęściu znajdują. Potracili albowiem na usłudze tureckiej w potyczkach wszystkie konie, in-

nych niedostawszy, większą połowę ludzi przez głód, przez choroby, przez morderstwa tureckie i przez apostazję do tureckiej wiary. Zatem reszta pozostałych konfederatów prosili cesarza tureckiego, aby im pozwolił wyjść z jego kraju, i aby im na ten koniec dał konwoj, bez któregoby ich Turcy byli co do jednego wygubili, obiecując cesarzowi, iż powróciwszy do ojczyzny, oziębłych braci swoich zagrzeją i przygaszoną konfederacją rozniecą po wszystkich województwach. Cesarz turecki, który w ich stanie biednym i w garście małej żadnej dla siebie niewidział pomocy, uczynił z łaskawością ich prośbie zadosyć.

Wynieśli się tedy konfederaci z tureckiego państwa do Węgier, przedniejsi wołami, podlejsi pieszo, odarto, wynędzniało. Zapomniałem (za co czytelnika mego przepraszam) umieścić w swoim miejscu: że Potocki z Krasińskim na wstępie w kraj turecki zaciągęli od Turczyzna długu na rzeczpospolitą polską trzy miliony złotych polskich, które rozrzutność, mnogość potrzeb i niewierność szafujących niemi, -- a mianowicie Kossakowskiego, marszałka pod ten czas powiatowego wilkomirskiego konfederacyi, o skradzenie znacznej części téj summy i ujechanie z nią do Polski obwinionego, — wkrótce roztrwonili, tak, iż owi panowie naczelnicy powracając z Turczyzny (jako się wyżej rzekło), na lepszy ekwipaż od wołowego zdobyć się niemogli. Rewers zaś na te trzy miliony, dany Turkom, dostawszy się Rossyanom z całą kancelaryą turecką po przegraną batalii, przepadł na wieczne czasy, który zachowany od tego przypadku i przy lepszym losie niż wypadł wojny tureckiej z Rosyją, mógłby był obciążać albo ubogą zawsze rzeczpospolitą polską, albo dobra zaciągających pomieniony dług.

Trzymając się konfederaci pogranicza węgierskiego i wchodząc tedy owedy w kraj swój, otrząśli się z tureckiej nędzy, zmocnili się nowemi partyami rodaków i zaczęli po Podgórzu i w Krakowskiem nowe gonitwy z Rossyanami, losem atoli zawsze niemal dla siebie nieszczęśliwym; bo po każdej potyczce ustępować placu Rossyanom byli przymuszeni, choć nieraz więcej Rossyan niż swoich zgubili. W takich gonitwach zaszli aż w góry między góralów, którzy się dali namówić do broni przeciw Rossyanom, jakoż niemało im zatrudnienia i szkody ci sprawni ludzie między górami przynieśli. Lecz gdy konfe-

deraci, najwięcej z jazdy składający się, długo w górach trzymać się niemogąc, w kraj równiejszy wyciągnęli, i ową piechotę goralską za sobą wyprowadzili, Rossyanie zastąpiwszy im od gór, niemal wszystkę ową piechotę kartaczami wygubili, reszta uszedłszy w góry, więcej serca do wojowania z Rossyanami niepokazała; jazda zaś konfederacka rozproszona, w różne strony kraju pouchodziła, zbierając się coraz na nowo i rozpraszając po każdej przegranej. Takimi gonitwami upędzana z miejsca do miejsca, przysła aż pod Bielsk, miasto górnego Szląska, należące do Sułkowskich, w którym mieście za pozwoleniem cesarskiem starsze głowy konfederackie, to jest marszałkowie, regimentarz generalny i konsyliarze założyli sobie siedlisko dla spoczynku, którego jako nieprzywykłe do niewczasów wojennych, po owęj przykręj i niebezpiecznej z Turków aż tu włóczędze wielce potrzebowały, korpusy wojskowe z wodzami swemi na pograniczu zostawiwszy. Lecz gdy Rossyanie natarłszy na owe korpusy zebrane pod Bielskiem, znieśli je, a za niedobitkami aż w kraj szląski zapędzili się, widząc owi panowie naczelnicy, iż w tak bliskim miejscu granicy mogliby Rossyanie śmiałość swoją posunąć lada kiedy dalej, i wpadłszy do samego Bielska, zagarnąć wszystkich w niewolę, prosili powtórnie cesarza, aby im samym tylko, bez wojska, pozwolił jakiego głębszego w kraju swoim schronienia. Cesarz udając zawsze przyjaciela konfederacyi, wyznaczył im miasto Preszów w Węgrzech, uważając zapewne, iż takowem umieszczeniem i Węgram, mającym wino do zbycia, i Polakom, wina węgierskiego miłośnikom, dogodzi.

### ***O generalności w Preszowie 1769.***

Do Preszowa tedy z Bielska przenieśli się Krasiński, Pac, Potocki i inni z Turecczyny obłąkani, a do tych przyłączyli się z różnych kątów Radziwiłł, Krasiński biskup kamieniecki, Suffczyński kasztelan czerski, Karczewski starosta liwski i wielu bardzo innych panów i panków, królowi przeciwnych. Tam uformowali ciało rady konfederackiej, generalnością nazwane; stamtąd wydawali uniwersały do województw, aby się do konfederacyi bijącej się w kraju, albo właściwiej pisząc, bitęj ciągle, wiązali. Dobra perswazya, ale przykład zły, uszedłszy z placu wojny, wołać na drugich: „Bijcie się! dajemy wam

moc walczenia z nieprzyjacielem, ale sami nie chcemy wachać prochu, bo to zdrowiu szkodzi.“ Taki właśnie sposób myślenia był owych panów, generalność składających, którzy jednak godni stąd pochwały, że chęć dobrą do ratowania ojczyzny mieli, choć serca bić się za nią niemieli. Wysyłali z pomiędzy siebie posłów imieniem rzeczypospolitej do Paryża, do Wiednia, do Saxonii, prosząc o pomoc, albo przynajmniej o pożyczki pieniężne, lecz znikąd nic nieotrzymali. Tymczasem sami w Preszowie jedli, pili, hulali, bankietowali, w karty tysiące czerwonych złotych jedni do drugich i do panów węgierskich przegrywali i różne zbytki dla honoru narodu czynili. Te wszystkie zbytki utrzymywali pieniędzmi swemi własnymi z dóbr przez przyjaciół sobie dosyłanymi, z komor pogranicznych, a mianowicie z Bochni i Wieliczki, tedy owedy przez pułki wojujące w kraju zachwyconemi i generalności udzielanemi. Najwięcej zaś książę R., wojewoda wileński, utrzymywał swoim kosztem tę rozrzućną generalność, zaciągając miliony po bankach zagranicznych i niemi wspomagając wycieńczonych kolegów. — Cesarz Józef widząc tak zyskownych gości w swoim kraju, żeby ich tém mocniej do miejsca przywiązał, umyślnie zjechał do Preszowa, udając tylko przejeżdżającego, stanął przed domem, w którym generalność swoje miewała sesye, wszedł do nich, rozmawiał szczególnie z pryncypalniejszymi o różnych potocznych rzeczach, ale o pryncypalnym interesie, dla którego oni siedzieli w Preszowie, bynajmniej niewspominał, i żeby który z nich niewyrwał się z prośbą o pomoc, nieprzerwanie ich nowemi pytaniami zagadywał; a po momentalnej chwili częściej łaski swojej, nagle i jak mówią łacinnicy *ex abrupto*, wszystkich pożegnał, wszedł do karety i odjechał, kazawszy szachrom swoim pozostać trochę za sobą, a żeby wytłumaczyli na dobrą stronę generalności milczenie jego o daniu pomocy konfederacyi polskiej, że jeszcze ta rzecz potrzebuje sekretu. Takiemi sztukami dała się zwodzić generalność; bo cóż nareszcie miała czynić, kiedy nigdzie wygodniejszego nieznajdowała schronienia, i kiedy jęć własne członki, wysyłane do dworów postronnych, powracały z nadziejami pewnej pomocy, byle się cały naród porwał do oręża.

Zostawiam tu generalność, a przystępnę do krajowych rewolucyj, które się następnie po zagnaniu konfederacyi barskiej na Wołoszczyznę dały widzieć. A że te nakształt bły-

skawie wszczynaly się i gasły, przeto najporządniej (jak unie-mam) uczynię, kiedy jedne po drugich, jak następowały, opi-szę, a najprzód

### ***O buncie ukraińskim.***

Ten bunt podniecony od Kwaśniewskiego, pułkownika nad kozakami nadwornymi księcia Lubomirskiego, wojewody bra-clawskiego, wszczął się najprzód w slobodach rossyjskich, z których slobód schizmatycy weszli w Ukrainę polską. Przy-lączyło się do nich już przygotowane chłopstwo polskie schi-zmatyckiej wiary, pod przywództwem Żelezniaka, pod którym, jako chłopem, czeredy chłopskiej naczelnikiem, Kwaśniewski, ponieważ szlachcic, zmałał i Żelezniakowi musiał pierwszeństwa ustąpić. Urosł ten bunt, czyli stanął zaraz w początkach swo-ich do kilku tysięcy, a potem się rozkrzewił do kilkunastu. Zamiar jego był wyrzucić wszystką szlachtę, żydów, księży, a nawet i chłopów grecko-łacińskiego wyznania, jakoż nikomu z klass ludzi dopiero wyrażonych nieprzepuszczali, lecz wszy-stkich, którzy się im niepodobali, w pień wyrzynali; którzy zaś chcieli się od śmierci wykupić, a podobali się im, musieli się dać drugi raz ochrzcić, przyjąć ich wiarę, i wraz z nimi in-nych, którzy takiej łaski zyskać niemogli lub niechcieli, zabijając, zaczynając najprzód od ojca, matki, żony, brata, siostry, dzieci. To szczęście bardzo rzadkie spotykało uajwięcej panienki szla-checkie urodziwe, które sobie kozacy owi rezunie (bo tak ich zwano od zarzynania ludzi) zaślubiali, biorąc w posagu z pan-ną cały majątek ruchomy po rodzicach i po rodzeństwie, wła-sną ręką zbójcy zięcia lub kolegów jego zabitych.

Jeden szlachcic, pokumawszy się z chłopem przed tą rze-zią przez trzymanie mu dziecka do chrztu, gdy usłyszał o wszczętej rzezi, prosił owego kuma chłopca, aby go przekrył w domu swoim, co też ów chłop uczynił. Lecz gdy do są-siedzkiej wsi nadciągnęli rezuniowi, do których on chłop miał już powołanie, przyszedłszy w nocy do miejsca, w którym ukrył nieszczęśliwego szlachcica, rzekł do niego: „Moj kumeń-ku, kochaju tebe sercom i duszoju, i dla toho szcoby tebe inszy ne muczył, ja tebe zareżu tak gładko, szto i ne posmo-trysz.“ To wyrzekłszy, porwał szlachcica, obalił na ziemię jak barana i przerznął mu gardło. Po tym uczynku miłosier-nym nad kumem złączył się z rezuniami.



Gdy ta rzeźba na Pobereżu zaczęła szerzyła się i postępowała w dalszą Ukrainę, szlachta, mieszczenie, żydzi majątniejsi, i kto tylko mógł, z majątkiem na prędce porwanym, puciekali do Humania, miasta Potockiego wojewody kijowskiego, w którym jest zamek murem i wałem opasany, forteca dosyć mocna naprzeciw kozactwu, dzidą, strzelbą ręczną i szablą albo nożem do zarzynania uzbrojonemu. Do téj fortecy cisnęła się szlachta z majątkiem i żonami i dziećmi, których wszystkich Gonta, pułkownik kozaków humańskich, sławnych wojowników przeciw hajdamakom z Siczy na Ukrainę dla rozboju corocznie wypadającym — przyjmował. Rozumiała owa szlachta, że w takiej fortecy, strzeżonej od Gonty, sławnego rycerza, na życiu i majątku ocaleją. Lecz Gonta zdrajca, jednego ducha z rzemiennymi będący, skoro się Żelczeniak zbliżył pod mury fortecy, wpuścił go z częścią wojska do niej, a reszta obróciła się na miasto. Tam dopiero powitawszy się obadwa hersztowie i wojska swoje w jedno złączywszy, zaczęli rzeź straszną w mieście i w zamku, nieprzpuszczając żadnemu wiekowi ani płci, wyjąwszy kilka panich szlachejnych najprzedniejszej urody, które sobie młodyńcy kozacy u swoich komendantów za żonki uprosili, a które tym okrutnym oblubieńcom swoim w pośrodku trupów rodzicielskich, krwią ich spluskane, rękę natychmiast podać musiały. — Samemi dziećmi trzy studnie w Humaniu ci zbójcy aż do wierzchu napakowali.

Gubernator Humania, respektujący zawsze Gontę jako dobrego żołnierza, włóczył się u nóg jego, prosząc o darowanie sobie życia; lecz nieznałazł w sercu morderskiego miłosierdzia, porwanym od innych i na śmierć spisami skłóty zostawszy.

Wyrznawszy Humań, rozbiegli się po całej Ukrainie z podobnym morderstwem. — W Lisiance miasteczku obwiesili razem na jednej szubienicy księdza, żyda i psa, mając te trzy stworzenia za jeden gatunek. Wyjąwszy zaś z ołtarza puszkę i wysypawszy z niej na ziemię konsekrowane komunikanty, tudzież na wzgardę wiary katolickiej nogami one zdeптawszy, wypijali z niej gorzałkę za zdrowie prawosławnej wiry (tak nazywają schizmatycy swoją wiarę).

Gdy przeszło dwakroć sto tysięcy rozmaitego ludu rezu-niowie wygubili na Ukrainie i bliscy byli Podola i Wołynia, przecież zmiłowała się nad resztą Warszawa, widząc, że ciż

rezuniowie przestąpili tém bez braku wyrzynaniem ludzi układ sekretny rossyjski wytopienia samój szlachty, dla tém łatwiejszego uprojektowanego dawniej podziału Polski i znniejszenia sił konfederacyi na Wołoszczyznę wypędzoną, jeżeliby do kraju powróciła; wyprawila więc Branickiego z znacznym korpusem Rossyan na uśmierzenie buntu pustoszącego kraj dla nich przeznaczony. Branicki z Rossyanami wszedłszy w Ukrainę, wyprawił do buntowników poselstwo: iż dla prędszego wytopienia z Rnsi Lachów i łacinników imperatorowa jejmość posyła im posiłki, z któremi chce się złączyć, a to żeby w kraj podolski i wołyński, osiadlejsze i do obrony przygotowane, warowniej działać mogli. Odebrawszy takie poselstwo Gontę z Żelezniakiem zebrałi wszystkich rezuniów w jeden obóz, aby się tak przed Rossyanami z siłą swoją lepiej poszczycili. Przyjęli do niego Rossyan, gdzie po trzydniowej hulance i odebranych swojej roboty wielkich pochwałach, Rossyanie ich obścąpili, na niespodziewanych uderzyli, a schwytawszy najprzód Gontę i Żelezniaka z sześciuset innymi pryncypalniejszymi, resztę armatą i bagnietem wymordowali. Co zaś uciec potrafiło z tychże rezuniów i poszlakowanymi zostało, kozacy rossyjscy ścigając za nimi z niedobitkami obywatelów, wywieszali. — Tak ten bunt, niedłuższy nad ćwierć roku, w kilka dni przygaszonym został, bo drndzy, którzy uszli rąk rossyjskich i kozackich, pokrywszy się między swymi, więcej buntu niepodnieśli. Gontę, Żelezniaka i 600 żywcem zostawieni, zaprowadzeni zostali do Lwowa, gdzie wszystkich szubienicami, wbijaniem na pale i mieczem, każdego podług złości jego i okrucieństwa wytracono. Żelezniaka żywcem czwartowano, Gontę zaś, dwoistego zbrodniarza, raz jako rezunia, drugi raz jako zdrajcę, przez trzy dni exekwowano, udzierając z niego codzień po jednym pasie, a dnia ostatniego po udartym pasie, brzuch mu otworzywszy, wnętrności z niego wydarli i potem jeszcze żyjącego ćwiertowali. Godzien takiego okrucieństwa, który tyle tysięcy ludzi rozmaitem morderstwem zgubił, który z matek ciężarnych rozplątanych żywe wydzierając płody o ściany rozbijał. Okrutnik, niemający nad nikim miłosierdzia, sam go nad sobą niepokazał, kiedy podczas exekucyi ani łzy z oka, ani słowa z ust niewypuścił, tylko ścisnąwszy zęby, ryczał jak bydle.

### ***O Rydzyńskim.***

Wkrótce po wyniesieniu się konfederacyi barskiej w Turceczynę, podniósł związek wojskowy Rydzyński, stolnik poznański. Ten będąc oraz wojskowym człowiekiem, bo porucznikiem znaku huzarskiego królewskiego, mającego konsystencyą swoją w miasteczku Pile za Poznaniem leżącym, namówił do siebie drugą chorągiew pancerną, stojącą w Szremie, mil dwie od Poznania. Z temi dwiema chorągwiami, wynoszącymi sto ludzi, pociągnął do Międzyrzecza, 8 mil za Poznaniem nad granicą brandenburską leżącego, gdzie stał regiment konny podczaszego litewskiego, składający się z 130 gemejnow, podług stanu zwyczajnego pod ten czas wszystkich regimentów polskich, ale i tych nie zastał kompletu, w różnych stronach z oficerami sztabowymi, którym zawsze po kilku żołnierzy służyło, znajdujących się. Ten tedy regiment z kilku oficerami zabrał i pociągnął z nimi ku Freynu, miasteczku szlaskiemu, mając intencyą przebrać się ku Krzepicom, gdzie stała chorągiew pancerna królewska stokonna, i tak zbierając powoli wojska komputowe, zebrać znaczny korpus żołnierza regularnego, a pod zasłoną tego wskrzesić upadłą barską konfederacyą. Wiedzieć tu trzeba czytelnikowi, że podówczas chorągwie huzarskie i pancerne składały się z towarzystwa najwięcej z szlachty majątniej: bo być towarzyszem huzarskim lub pancernym było to jedno, co być urzędnikiem ziemskim, zasiadać miejsca pierwsze u stołów i w każdej kompanii być dystyngwowanym. Z takim tedy towarzystwem wyprawił się Rydzyński na wojnę, suto, bogato, z aparatem wielkim w koniach, w rzędach i siadzeniach bogatych, prowadząc za sobą wozy poszóstne, napakowane sprzętami stołowemi i kuchennemi od srebra i miedzi, pościelami, obiciami, namiotami i innemi do wygody i okazałości służącemi ruchomościami.

Skoro o tej wyprawie i ruszeniu się wojska komputowego dowiedziano się w Warszawie, natychmiast wyprawiono na uśmierzenie tej garstki pułkownika rossyjskiego Drowicza w 500 ludzi różnego gatunku jazdy i piechoty, z dwiema armatami polowemi. Doszedłszy Drowicz Rydzyńskiego pod Freynem, stoczył z nim bitwę, bardzo mało krwi z obu stron kosztującą; bo regiment podczaszego po małym oporze poddał się Rossyanom, a jazda polska zaraz pierchnęła z placu, zostawwszy w zdobyczy Rossyanom wszystkie bagaże swoje i kil-

kunaštu towarzystwa, złapanych od kozaków. Sam zaś Rydzyński uciekłszy z potyczki, nieoparł się aż w Turecczyźnie, skąd razem z konfederacją barską powrócił do kraju i bawiąc w Preszowie blisko roku, z patentem od generalności na regimentarza konfederacyi wielkopolskiej, przybiegł w kilka koni do Byczyny, miasta szląskiego, w którym znajdował się przypadkiem podówczas Zaremba, regimentarz sieradzki i wódz najlepszy wszystkich partyj wielkopolskich, mający żonę z dziećmi osadzoną pod tąż Byczyną we wsi Paruszewicach u szlachcica szląskiego, Holl zwanego. Przy Zarembie w Byczynie znajdował się Skórczewski, pułkownik konfederacki, pretendent regimentarstwa. Z tym Skórczewskim Rydzyński na pierwszym powitaniu starł się żwawo o pomienione regimentarstwo, którego obadwa w ręku nie mieli, i byłoby przyszło do czubów, gdyby nie w mieście zagraniczném, gdzieby bitwa nieomylnie obudwóch wtrąciła do kordygardy, więc się tylko na sapaniu i groźbach do Polski odłożonych skończyło. Lecz w kilka dni potem Rydzyński w téjże Byczynie zachorował i umarł.

Tak się skończyła ta pierwsza wyprawa wojska pod Rydzyńskim. Drewicz zabranych pod Freynem towarzystwa powypuszczał, chorągwiom i regimentowi na dawne leże powrócić przykazał pod karą najsurowszego obejścia się z nimi, gdyby drugi raz porwać się mieli i w ręce jego wpadli.

Po téj ekspedycyi trwała spokojuność w Wielkiej Polsce kilka miesięcy.

### **o Bierzyńskim.**

Ten był szlachcicem małym z województwa sieradzkiego, dziedzic wioski jednéj o kilku chłopach, ale urody wspaniałej i pięknej twarzy, przymiotów politycznych wabiących do siebie. Dla tego podniósłszy konfederacją przez akt solenny w grodzie sieradzkim uczyniony, przez który akt siebie marszałkiem województwa sieradzkiego, a Albina Lenartowicza, także szlachcica sieradzkiego, równego sobie chudeusza, człowieka dumnego i wielkiego junaka udającego, regimentarzem tegoż województwa ogłosiwszy, wkrótce zebrał partyą do kilkuset ludzi wynoszącą. Lecz że znaczniejsi obywatele na taką jego elekcyą samego siebie i człowieka, którego ojciec, pierwszy z Litwy przychodzień, osiadł w Sieradzkim, pisać się niechcieli, a nawet przystawiać mu pacholków i składać w jego

ręce podatków publicznych wzbranił się. Przeto widząc takową ku sobie niechęć i niemając w bliskości nieprzyjaciela, na którym mógłby się popisać i tym sposobem nabyć reputacyi lepszey u obywatelów swoich, wyniósł się w województwa sandomirskie i krakowskie. Tam wkrótce urosł do kilku tysięcy rozmaitego ludu, odprawił kilka potyczek z Rossyanami dosyć szczęśliwych, a sława i pochlebstwo, które powiększać zwykły w trójnasób takie awantury, czyniła go godnym buławy wielkiej koronnej. On też zapewne w zwierciadle uważając przyzwoitość osoby swojej do takiej godności, powziął wielkie o sobie nadzieje, któremi nadęty, owę swoją siłę zbrojną z rozmaitego gatunku ludzi, słusznych i pospolitych zebraną, utytułował konfederacją generalną, i to był pierwszy tytuł nadany konfederacyi, do którego jako do centrum inne wszystkie konfederacye województw i powiatów koronnych i litewskich odwoływały się, lubo nigdy wspólnie, ani z referencyą do jednej władzy (bo też i niemogły) niedziały. Przyozdobivszy Bierzyński armią swoją tytułem konfederacyi generalnej, siebie też przyozdobił tytułem marszałka generalnego. Mając zaś w partyi swojej celniejszych rycerzów, nieśmiał Lenartowicza kreować regimentarzem generalnym, ani żadnego z swoich adherentów, aby sobie nienaraził Potockiego, podczaszego litewskiego, od konfederacyi barskiej w Turczach będącej — jako się wyżej rzekło — regimentarzem generalnym uznanego. Rządził tedy sam całą swoją konfederacją, mając pod sobą udzielnych wodzów, tytułami marszałków powiatowych, regimentarzów takichże, generałów, pułkowników i innych mniejszej rangi oficerów przyozdobionych, w których rząd musiał pójść i Lenartowicz, jednak pod tytułem regimentarza sieradzkiego, z którego tytułu jak go zsadził Zaremba, sławny w téj konfederacyi wojownik, da się widzieć niżej.

Bierzyński, czyli przez nadętość, czyli przez sekretne porozumienie się z królem (jak go posądzano) w nadziei osiągnięcia po rewolucyi buławy wielkiej koronnej (?), niechciał uznawać nad sobą zwierzchnictwa generalności ulokowanej podówczas w Bielsku; niechciał jęj donosić o swoich zamiarach, ani raportować swoich czynności, ani zgola w niczem od nięj dependować, jakoż i słusznie, bo ta siedząc za granicą w nieczynności, chciała się formalizować czynną i wojującą przez tych, którzy istotnie w kraju z nieprzyjacielem walczyli.

Takowe nieposłuszeństwo wprawiło Bierzyńskiego w podejrzenie u generalności, która dała sekretny ordynans niejakiemu Dzierzanowskiemu, aby Bierzyńskiego schwycił i do niej przyprowadził. Ten Dzierzanowski był w Indyach wice-regem hiszpańskim. W czasie konfederacyi zjawił się w Polsce i zbierał konfederacyą w zielonej puszczy, sławnym kraju kurpików, a gdy mu się niepowiodła ta myśl, że kurpikowie, lud prosty, człowieka nigdy w swoim kraju niewidzianego i gieniuszu od nich wcale różnego słuchać niechcieli, udał się do Bierzyńskiego, u którego znalazł dobre przyjęcie i poufalskość. Ten tedy Dzierzanowski awanturnik, zrobiwszy facyą w partyi Bierzyńskiego na stronę generalności, jednego razu na przechadzce w pewnym ogrodzie, mając do tego umówioną pomoc, porwał Bierzyńskiego z tyłu, obalił na ziemię i w kajdany okuł, z których Bierzyński drugieję nocy (pogłoska była, iż za okupieniem się Dzierzanowskiemu) uszedł.

Oddzieliła się za Bierzyńskim znaczna partya konfederatów, z którą w kilka niedziel po owém poimaniu stanąwszy do potyczki jakoby z Rossyanami, którzy go do koła otoczyli, poddał się im z całą partyą swoją, których Rossyanie natychmiast ogołociwszy z munderunków i koni, jako jeńców wojennych wraz z Bierzyńskim poprowadzili do Krakowa.

Tam mu Dzierzanowski nową sztukę wyplatał. Napisał do niego bilet w ten sens: „Kochany przyjacielu, już ja mam wszelką gotowość do umówionego między nami dzieła. Ty bądź gotów z twojej strony.“ Z tym biletem posłał dziada do Krakowa, dawszy mu pozwolenie, jeśliby był przytrzymany w bramie i examinowany, skąd i z czem idzie, aby zaraz wyznał, że idzie od konfederatów z biletem do Bierzyńskiego, i żeby natychmiast bilet warcie oddał, a to niby niechcąc wystawiać na utratę życia dziada najętego. Gdy tak, jak przewidywał Dzierzanowski, dostał się bilet Drewiczowi, pułkownikowi rossyjskiemu, kazał natychmiast Bierzyńskiemu stanąć przed sobą, i dawszy mu ów bilet do przeczytania, a potem z obu stron, kazał go okuć w kajdany, z których w kilka niedziel za wyjaśnieniem się téj sztuki został uwolniony. Ale nie miał kredytu, lubo się trzymał przy Rossyanach i brał od nich pensyą przez kilka miesięcy. Nareszcie pozbywając się go Rossyanie jako niepotrzebnego, ani do konfederacyi po szpetnej zdradzie powrócić mogącego, puścili mu w dzierzawę

klucz jeden z dóbr do biskupstwa krakowskiego należących, zda mi się Złotym nazwany, którym to biskupstwem, w czasie niewoli biskupa w sekwestr wziętém, Rossyanie zarządzali. I tak Bierzyński zamiast buławy, którą sobie nabił głowę, usiadł przy gańdziarze arendarskiej.

Po przejściu Bierzyńskiego na stronę rossyjską, reszta jego partyi, niezagarniona od Rossyan, rozeszła się w różne strony. Dzierzanowski zaś wkrótce potem zniknął znowu z Polski. — Tym sposobem pierwsza konfederacja krakowska, 'generalną od Bierzyńskiego (jako masz wyżej) utytułowana, rozlała się i zgasła.

### ● *Ulejskim.*

W tym samym czasie, kiedy Bierzyński swoją konfederacją rozszerzał w Krakowskiem, niejaki Ulejski, szlachcic partykularny, jednego sołtystwa w królewstwie posiadacz, zrobił się regimentarzem w Kujawach i w powiatach nakielskim i kcyńskim, do województwa kaliskiego należących, a które potem do województwa gnieźnieńskiego, nowo kreowanego, zostały oddzielone. Ten Ulejski wprędce zebrał ludzi do tysiąca, opierał się dosyć nieźle zrazu Rossyanom, słynął zaś mało co mniej od Bierzyńskiego i w nadziejach osiągnięcia swego czasu pierwszych w ojczyźnie honorów pewnie mu nieustępował. Lecz nagle spuścił z pierwszego tonu. Przegrawszy albowiem jedną potyczkę z Rossyanami pod Nakłem, z resztą niedobitków rejterował się do Bierzyńskiego, po ucihłym Bierzyńskim do Puławskiego, który się w te czasy ugaśniał z nieprzyjacielem po Rusi i Litwie (o czém w swoim miejscu). U Puławskiego niemogąc mieć rangi regimentarskiej, bo tam byli inni regimentarze aktualni swoich powiatów, zostawił przy nim garstkę swoich Kujawiaków, sam zaś udał się do generalności, od której we dwa roki po swoim powstaniu przyciągnął w kilka koni do Zaremby, generalnym komendantem konfederacyj województw wielkopolskich od téjże generalności uczynionego, z listami zaletnemi i z patentem na regimentarstwo wielkopolskie, które generalność, mniej wiadoma rzeczy i intryg, dziejących się między samymi konfederatami, podług jego informacyi i prośby onemuż podpisała.

Regimentarzem aktualnym województw wielkopolskich pod komendą Zaremby, był natenczas Antoni Sieroszewski, przed

konfederacją regent ziemski kaliski, większością głosów na tę godność przez koło rycerskie pod Malanowem wykrzykniony. Tę samą rangi pretendentem był Paweł Skórzewski, pułkownik w tejże konfederacji, któremu mniejsza liczba, zadając pierwszej nieważność jako ukradkowej, swoje wota podpisała. Zaremba, wielki polityk, niechcąc sobie żadnego narazić, tak miarkował ordynause swoje, że Sieroszewskiemu dawał tytuł regimentarza i komendę nad innemi pułkami, ale Skórzewskiego nigdy pod jego komendę niepoddął, a tak mieli się poniekać obadwa za równych sobie w randze, aż do czasu rozstrzygnięcia tego sporu, do czego nigdy nieprzyszło. Ulejskiego, trzeciego pretendenta, zaszczyconego patentem generalności, zbywał Zaremba zwłokami do czasu wygodnego wejścia w ten interes, co pomiarkowawszy Ulejski, poszedł do ksiąg grodzkich kaliskich, oblatował patent swój od generalności i manifestował się przeciwko Sieroszewskiemu o wydarte sobie regimentarstwo wielkopolskie. Sieroszewski niepusząc sobie głowy nad remanifestem, choćby go nań stać było, jako niedawno regenta, umówiwszy się skrycie z Zarembą, u którego przewyższał w łaskach, gdy Zaremba z swoimi Sieradzanami i ulubionymi huzarami odciągnął ku Częstochowie do dóbr swoich Libidzy, a Sieroszewskiego z pułkami wielkopolskimi zostawił w Kaliszu, niewiele myślący nad owym manifestem i patentem generalności, wziął Ulejskiego w kajdany, włóczył go tak za swoim obozem przez kilka niedziel, aż gdy z frasunku i niewygody ów nieborak ciężko zachorował, zmiłował się nad nim Sieroszewski, wypuścił go z kajdan, wynusiwszy wprzód na nim rewers, jako się nigdy o regimentarstwo to nieodezwie, jurystowskim terminem, sub poena liberae captivationis et colli, to jest pod wolnością złapaniem i pod gardłem.

Te drobne rzeczy wypisałem, aby czytelnik zrozumiał, jakie zamieszanie powodowało starszyzną konfederacji w kraju, i jak ta mało dbała na powagę generalności, siedzącej za granicą (vide pag. 112).

Ulejski, wypuszczony z kajdan, usiadł cicho w domu, w którym najechany od Rossyan, nietak z powodu bytności w konfederacji (bo i owszem takim, którzy ją porzucali, chętnie Warszawa dawała amnestyę), jak z powodu zebranych przez niego w konfederacji wielkich pieniędzy spodziewanych,



ścięty batogami i zrabowany do koszuli, od żony i od dzieci wzięty został pod tytułem rabusia komor i cel publicznych, i z innymi połapanymi tu i owdzie konfederatami odesłany do Kamczatki, z której po uspokojonych rozruchach polskich powrócił do swego soltystwa, z którego, jako się na początku rzekło, wyszedł grać rolę wielkiego człowieka na wielkim świecie.

### ● *konfederacyi krakowskiej.*

Ponieważ wyszły na widok dwie książki, opisujące proceder tej konfederacyi i dobycie dwukrotnie miasta Krakowa, jedna autora Chojeckiego, druga autora Beniowskiego, którzy będąc członkami tejże konfederacyi, lepiej ją odemnie obcego opisać mogli, więc ja niechęć tym książkom ubliżać czytelników, którzy mając mój opis, możeby tamtych opisów ciekawymi niebyli. Tyle tylko konfederacyi krakowskiej dotknę, ile przedsięwzięte opisanie całej tej rewolucyi potrzebować będzie.

### ● *Kiedrzyńskim.*

W czasie konfederacyi krakowskiej, generalną poniekąd zwaną, przyszedł do Wielkiejpoli w 13 koni niejaki Kiedrzyński, szlachcic z województwa kaliskiego, człowiek młody z patentem od generalnej konfederacyi, zaszczycającym go rangąrotnistrza, pozwalającym mu przytém wolnego werbuunku i pobudzającym obywatelów do jednoczenia się z nim.

Niedługo chodząc Kiedrzyński zebrał blisko 80 koni. Lecz Drewicz, wysłany z Krakowa z znaczną komendą do Wielkiej-Polski, dla utrzymania tych województw w spokojności, poszedłszy za wspomnianym Kiedrzyńskim w pogon w 400 koni kozaków, doszedł go w Zbrojcach w ziemi wieluńskiej, popasującego z swoją komendą między stodołami. Otoczył go do koła i obietnicą pardonu bez najmniejszej krzywdy nakłonił do poddania się. Skoro się poddali, kazawszy ich do naga poodzierać, rozmaita śmiercią wszystkich zamordował, jednym we łby strzelając, drugim na pieńku lub na jakim drewnie głowy ucinając, innych na spisy wziętych i do góry podniesionych aż do zamęczenia trzymając. Kilku jednak tak męczonych i za umarłych zostawionych przyszło do siebie i wygoili się i znowu w konfederacyi służyli. Z między tych był jeden nazwiskiem Stanisławski, który spisami skłóty, tak aż mu flaki

z brzucha wyszły, porzucony na progu kościelnym za zmarłego, przyszedł do siebie; wzięwszy w garść flaki wiszące z brzucha, przyszedł do chałupy do baby; ta mu flaki w brzuch wepchnęła, nicią dziury w brzuchu zaszyła, i wygoił się. Od niego mam o tém morderstwie relacyą i widziałem jego blizny.

### **o Puławskim i Szycu.**

Po wyjściu z Turecczyny konfederatów barskich, pokazał się najpierwszy na teatrze wojennym w charakterze czyli randze marszałka sanockiego Kazimierz Puławski z dwiema bracią swymi rodzonymi, synami Puławskiego, starosty wareckiego, w Konstantynopolu w kajdanach zmarłego (jako masz o tém w swoim miejscu). Ten Kazimierz Puławski, serca wielkiego kawaler, ugaśniał się z Rossyanami rozmaitem szczęściem po Rusi i Litwie przez dwa roki, póki się nie dostał do Częstochowy (jako się niżej powie). W Litwie pod Myszą przegrawszy na głowę, stracił brata jednego, na placu zabitego pospołu z metresą jego, po amazońsku przebraną i drugiego w niewolą poimanego. Sam zaś z resztą niedobitków rejterował się pod Białystok, dobra Jana Klemensa Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, od którego wsparty chorągwią jańczarską komputową, zwykle hetmanom wielkim assystującą, i innym ludem nadwornym tegoż pana, tudzież amunicją wojenną, stoczył znowu bitwę z Rossyanami, lecz po długiej i krwawej z obu stron rozprawie, musiał ustąpić placu przemagającej sile rossyjskiej, nieopartszy się aż w Krakowskićm.

Widzieli Rossyanie, jak z palacu hetmańskiego w czasie bitwy dodawano Puławskiemu koszami ładunków, widzieli, jak się z tą przysługą uwijała po placu liberya hetmańska, widzieli jańczarów stojących w szeregach Puławskiego i z nim wraz z placu ustępujących, zgola widzieli jawne i oczywiste dowody pomocy hetmańskiej, dawanę Puławskiemu w téj potyczce. Jednakże po otrzymaném zwycięstwie nad Puławskim, żadnej zemsty niewzięli z hetmana, ani z dóbr jego; wszystko to zrużoném okiem pokryte zostało. A to dla czego, kiedy inni panowie i szlachta, nietylko za jawną konfederatom pomoc, ale nawet za samę suspicyą pomocy lub sprzyjania, rabunkiem dóbr, porwaniem w kajdany, albo i życiem samém rozjuszonym Rossyanom odpowiadać musieli? Tajemnica ta łatwa jest do wyłuszczenia. Branicki, starzec wiekiem obciąż-

żony, z władzy nad wojskiem przez sejm konwokacyjny i następne po nim wyzuty, niemógł najmniejszej obawy czynić Rossyanom. Żonę miał siostrę rodzoną Stanisława Augusta króla, której żonie zapisał dożywocie na wszystkich dobrach swoich i kwit z inwentarza. Niemogli tedy Rossyanie mścić się na osobie Branickiego, bo żona z bratem swoim, królem, zastępowali go od najmniejszej krzywdy; nie z miłości, bo dziad stary niebył do niej sposobny, ale z bojaźni, ażeby dolegliwością jaką od Rossyan dotknięty, niezemścił się na niej przez odwołanie zapisów. Niemogli także mścić się na dobrach jego, które były żony wspólne, a tak starzec pod takim zastępstwem zostający, burczał sobie śmiało w pokojach swoich na Rossyan i króla, niezowiąc go nigdy inaczej, tylko panem Stanisławem. Tym sposobem Rossyanie mając ręce związane do zemsty nad Branickim, wyszli z dóbr jego, nieuczyniwszy w nich żadnej szkody.

Puławski wodził za sobą Rossyan po Krakowskim i Podgórzu, i nie go bardziej niebawiło, jak utarczki z Rossyanami. Był wielce wstrzemięźliwy tak od pijaństwa, jak od kobiet. Zabawy jego najmiłsze były w czasie od nieprzyjaciela wolnym, ćwiczenie się w strzelaniu z ręcznej broni, passować się z kim tęgim, na koniu różnych sztuk dokazywać, a w karty grać po całych nocach. Był statury niskiej, chuderlawy, szozupły w sobie, mowy prędkiej i chodu takiegoż. W potyczkach zapominał o wszystkiem i sam się najpierw w największe niebezpieczeństwo narażał. Dla tego też często przegrywał.

Lecz potem przywiązał się do niego niejaki Szyc, rodem Węgrzyn, żołnierz w sztuce wojennej przewyższający Puławskiego, a w odwadze bynajmniej mu nieustępujący pierwszeństwa. Ten Szyc był najprzód w wojsku cesarskiem jakimś oficerem, potem znajdował się w służbie księcia Radziwiłła, wojewody wileńskiego, po rozproszeniu którego milicyi i zajęchaniu mu dóbr przez Rossyan, bawił się w Polsce aż do konfederacyi barskiej, do której się przywiązał. Puławski w party swojej uczynił go pułkownikiem nad pułkiem huzarów. Bo jaki tylko gatunek żołnierzy znajdował się na świecie, każdy znajdował się u Puławskiego: huzary, Turki czyli Bośniaki, dragony, towarzystwo, szeregi, jańczary etc., a wszystko to goło, odarto, ale żwawo i dla kraju naprzykrzono. Dla tego też żydzi, którzy najwięcej musieli szafować Puła-

wskiemu na okrycie wojska jego i różnych potrzeb, a najwięcej bezpłatnie, nazywali Puławskiego Połapskim. To pobocznie wyraziwszy, wracam się do Szyea.

Wiele razy Puławski w akeyi z Rossyanami miał przy sobie Szyea, zawsze albo wygrał, albo przynajmniej porządnie i z małą stratą schodził z placu; wiele razy z przyrodzonej gorącości swojej porwał się na Rossyan bez Szyea, zawsze pobitym został i rozproszonym. A przecie miał tę ambicję o swojej doskonałości, że nigdy Szycowi grać pierwszej roli w potyczce niepozwoił. Dla tego też Szyc często się od niego oddzielał, mianowicie gdy widział, iż przy dobrej sprawie mógł jaki awantaż na nieprzyjacielu otrzymać, któremu przeszkodzić gorącość Puławskiego mogłaby być. I tak jednego razu z dywizją od kilkuset ludzi z huzarów i towarzystwa złożoną, poszedłszy Szyc pod Lwów, napadł na przedmieściu tamtejszém na Rossyan niespodzianie, wyrznął niemal wszystkich, których tam było do pięciuset, kasę zabrał, majora rossyjskiego i żonę jego wraz z mężem w jednym budynku broniących się zabił. To gdy się działo w przedmieściu, Korytowski, komendant lwowski, partyą królewską trzymający, zamknął się w mieście. Szyc, niemając w swoim korpusie piechoty ani armat, tylko samą jazdę, nieatakował Korytowskiego, i wrócił się z znaczną zdobyczą do Puławskiego w Krakowskie.

Po uspokojonej konfederacyi, ten Szyc wszedł w służbę rossyjską; dano mu pulk huzarów nowoserbских. Słychać zaś było o tym Szyeu, że zginął w drugiej wojnie, która się ruszyła między Rosyją i Turczynem o Krym roku 1787.

### **● konfederacyi Krakowskiej.**

Przytłumiwszy Rossyanie pierwszą konfederacyą krakowską, która się składała z różnych ułamków konfederacyj rozproszonych i opanowała była samo miasto Kraków, pod którym zginęli Panin i Bek, dwaj pułkownicy rossyjscy, niemieli przez kilka miesięcy w całym Krakowskim żadnej partyi konfederackiej, ażatém wyszli z Krakowa w województwo lubelskie i wołyńskie, gdzie się nowe konfederacye wiązać poczęły. Zatem Krakowianie upatrzwszy dogodną porę, związali nową konfederacyą, marszałkiem jej uczynili Czarnieckiego, dziedzica wsi Secyminy, sławnego pijaka, ale nie żołnierza, który mawiał

przy pijatyce: „Dawaj wina, póki stanie Secymina.“ Pod tego marszałka rządu przyciągnął z kilkuset ludzi swoich nadwornych księżę Marcin Lubomirski, także sławny awanturnik Maurycy Beniowski. Ta konfederacja, do kilku tysięcy zmocniona, opanowała Lanckoronę, Bobrek i Tyniec, miejsca obronne, a najprzód miasto Kraków, z którego też najpierw przez Apraxyną generała rossyjskiego wyrzuconą została. Obleżenia i utraty tego miasta opisywać niebędę, ponieważ mnie w tém dziele uprzedzili dwaj pisarze, oczywiście świadkowie, w wydanych książkach swoich, którzy byli w tém obleżeniu i którzy dostali się w niewolę, jeden Chojcecki, a drugi wyżej wspomniony Beniowski. To tylko przydam, czego tamci niedołożyli, że Kraków Rossyanom dostał się przez zdradę niejakiego Trzebnickiego, jednéj fórtki z wydziałem swoim pilnować obowiązane, której on (jak słyhać było) za 300 czerwonych złotych, wziętych od Apraxyną, odstąpił, a którą najpierw Rossyanie do miasta wpadli. Za tém jednak wypadnięciem Rossyanie niebyliby się utrzymali przy Krakowie, gdyby był Apraxyn z drugieć strony wielką braną armatami wyłamaną nie wpadł z liczniejszą siłą. A i tak musiałby się być wynieść z miasta, natraciwszy niemało żołnierza swego, którego konfederaci i obywatele krakowscy z kamienic, z okien i z dachów ogniem ręcznym potężnie razili, gdyby byli aby godzinę jedną ten odpór ciągnęli; bo już Apraxyn niemożąc wytrzymać na ulicy tak wielkiego ognia, chciał dać znak swoim do odwrotu. Lecz nim do tego ostatniego kroku przystąpił, wpadłszy do kamienicy, począł wołać z okna: „Parol! Parol! Zaniechajmy bitwy; proszę jchmościów panów konfederatów do mnie na rozmowę, a będę kapitulował. Nej, burmistrz krakowski, niech robi kolacją dla jchmościów konfederatów jak najwspanialszą, chociażby 12 tysięcy rubli kosztowała.“ Takim wołaniem odurzeni konfederaci, bez tego między sobą niesforni, zaniechali strzelania, którego uciszenia zażyli Rossyanie na opanowanie całego miasta i rot konfederackich otoczenia, które stojąc pod bronią w cichości, czekały na rozkazy wodzów swoich, **coby** dalej czynić miały. Lecz Apraxyn zwabionych do siebie **pryncypałów** konfederackich kazał natychmiast dysarmować, i jednych w kajdany, drugich w dyby okuć, a w tymże czasie na stojące po ulicach rotę kazał Rossyanom swoim silnie uderzyć, i tak jednych, którzy się bronili, pozabijano, drugich, którzy

się po mieście rozpierzchnęli i pokryli, z kryjówek powyciągano i w niewolą zajęto. Lubomirski jeden z partyą swoją szczęśliwie uszedł, i nieoparł się aż w Węgrzech u teścia swego grafa Haddyka, którego córkę blisko przed konfederacją pojął był za żonę, żołnierstwo zaś jego poprzywieczywało się do różnych konfederacyj, które się po kraju snuły. Czarnieckiego marszałka, po długiem szukaniu Rosssyanie znalazłszy pod strychem jednéj kamienicy (gdzie się był schował), wywlekli i jeszcze wpół pijanego i snem zmorzonego przyprowadzili do Apraxyna, który przyłączywszy go do innych konfederatów, już w ręku jego zostających, razem wszystkich odesłał do Rossyi do Kazania, gdzie aż do skończenia rewolucyi zostawali.

Niepowiodło się tak Rosssyanom z Lanckoroną, Bobrkiem i Tyńcem, w których miejscach konfederaci, mając przy sobie inżynierów francuzkich, tego się bronili, i wielokrotne ataki rossyjskie z niemalą ich stratą, dzielnie zawsze aż do końca konfederacyi (o czém będzie niżej) odpierali, już z fortce różnemi sztukami francuzkimi rażąc Rosssyan, już pomyślnie na nich wycieczki czyniąc, z których w jednéj pod Lanckoroną Sapiecha, młody i piękny kawaler, krajczyc litewski, sadząo przez rów i spadłszy z konia, stratowany końmi został.

### ***O Malczewskim i Gogolewskim.***

Blisko po zdobyciu Krakowa, gdy Rosssyanie zatrudnieni byli atakowaniem Lanckorony, Bobrka i Tyńca, i gdy w całej Wielkiejpolsce niebyło więcej nad 500 Rosssyan i kozaków, pod komendą Drewicza, sławnego rabusia i mordercy, a w całych Prusiech także tylko garstka Rosssyan pod komendą Czartoryskiego Moskala, prawdziwego czyli też podszytego pod dom Czartoryskich Polaków imiennika, znajdowała się w Toruniu. Zjawił się Ignacy Malczewski, starosta spławski, płochego i porywczego gieniuszu człowiek, chudéj i szczupléj kompleksyi, a przy tych talentach, robocie przedsięwziętej przeciwnych, serca zajęczego. Ten Malczewski, zebrawszy drobnéj szlachty kilkadziesiąt koni, zyskał od nich tytuł i władzę regimentarza wielkopolskiego, z którymi uwijając się rączego po kraju i wybierając podatki dla oporządzenia w słuszną armaturę owego rycerstwa swego, tymczasem na lichych szkapach w siodełkach, lub na worach słomą wypchanych, szabłą w skórcie węgorzowéj,

ruśnicą zardzewiałą albo pistoletem uzbrojonego, siedzącego, dając mu przytém z obywatelskich śpichlerzów, spiżarniów i piwnic wszelkie wygody i pieniężne traktamenta; dzień dnia pomnażał partyą ochotnika.

Właśnie o tym czasie przyciągnął do niego w kilkanaście koni z konfederacyi krakowskiej rozpędzonej, niejaki Gogolewski (z którego on był województwa nieświadomo), kawaler młody, urodziwy, serca dobrego. Malczewski dał mu najprzód patent rotmistrza, a gdy potém w kilka niedziel sam od szlachty licznie zebranej w Koninie wykrzykniony został marszałkiem konfederacyi województw wielkopolskich, Gogolewskiego uczynił regimentarzem. Dopiero zaczęła się co żywo wiązać konfederacya wielkopolska; albowiem Malczewski wydał uniwersały, ażeby szlachta pod utratą życia i fortuny siadała na koń ku obronie wiary Stój i wolności starożytniej, a potém z Gogolewskim rozdzieliwszy się na partye, i rozesławszy po powiatach komendy z mocą werbunku gwałtownego i wybierania podatków; poczęli zabierać i samych panów, starych nawet i do wojny niezdatnych, którzy przez obawę zemsty rosyjskiej uniwersałów Malczewskiego słuchać niechcieli. Tak się trafiło, że na kupę zabranych obywatelów, przez Gogolewskiego podług ordynansu Malczewskiego z domów wywleczonych, w karetach, kołaskach, wozach, za obozem prowadzonych, napadła komenda rosyjska pod Wronkami, miastem leżącym kilka mil od Poznania. Gogolewski z konnicą swoją uszedł obronną ręką, owi zaś panowie obskoczeni od Rossyan i kozaków, bczbronni siedząc w powozach w strachu wielkim, ręce o miłosierdzie wyciągając, i jak mogli tłumacząc się kozakom, że byli gwałtem zabrani, ledwo przecie życie ocalili, pozbawieni tymczasem sukien, pasów, czapek i co lepszych koni, nim komendant rosyjski nadciągnął, i wzięwszy po plecach chłostę od kozaków podług ich zwyczaju, którym komendant, zrozumiałwszy rzecz z samej apparencyi niewinną, wszystkim do domów powrócić dozwolił. Od tego przypadku, nie głupim strachem panów wielkopolskich przenikającego, władza konfederacka weszła w aprensyą. Malczewski też umiarkowawszy pierwszy swój rygor za perswazyą Gogolewskiego, wydał powtórne łagodniejsze uniwersały, aby szlachta possessyonaci byli wolni od wsiadania na koń, a tylko, żeby za siebie dawali wyprawy w liczbie determinowanej podług majątku

każdego, co z chęcią przepłoszeni czynili. Zatem wszystkie miasta i wsie, tak duchowne jako i szlacheckie, tudzież królewskie, wydawały pacholków z końmi i munderunkiem, a miasta królewskie pieszych, uzbrojonych karabinem, szablą i berdyszem, która piechota, zazwyczaj w każdej potyczce od jazdy odstępiona, ginęła, albo się w niewolą dostawała, a z téj obdarta i rozzbrojona w pół nago do domów powracała.

Co zaś do podatków publicznych, jakeimi podówczas były pogłówne i hyberna, te odbierali na przemianę konfederaci albo Rossyanie, jak gdzie kto mógł zachwycić; lubo Rossyanie, osobliwie Drewicz, nieuważał na konfederackie kwity, chyba w dobrach i miastach dyssydenckich, i zapłacone konfederatom podatki sobie drugi raz wypłacać przymuszał. Taż sama alternata działa się z pieniędzmi skarbowemi po komorach celnych, ale tu już bez wymuszania drugiej płacy po uczynionej pierwszej. — Sól po żupach królewskich Malczewski sownie konfederatom i przyjaciółom swoim rozdawał, i jeżeli na nią znalazł kupców, przedawał, a zaś Rossyanie, gdzie się o takiej soli dowiedzieli, nazad ją odbierali, karząc jeszcze do tego karą pieniężną tych, którzy ją przyjmować od konfederatów wazyli się.

Taką tedy hojnością Malczewskiego pod boki Rossyan, urosła konfederacya wielkopolska i coraz się bardziej rozszerzyła, tak dalece, iż jej Rossyanie rady dać niemogli, ile gdy konfederackie komendy, rozbiegłszy się po wszystkich województwach, wielkie roztargnienie Rossyanom czyniły, że nie wiedzieli, gdzie wprzód mieli przytłumiać konfederacyą. A w małych komendach napadając na większe partye konfederatów, porażonymi od nich naczas bywali, a po takowém kilkakrotném sobie przepłoszeniu, mianowicie w Wierzbia pod Kleczewem, gdzie nocując bezpiecznie, napadnięci od konfederatów pulku Sieraszewskiego, kasę i dość ludzi stracili, ostrożniejszymi się stali. Już więcćj małemi komendkami za konfederatami biegać nieśmieli, ale tylko w znacznych komendach z jazdą, piechotą i armatą. Nierozkładali się także po małych miasteczkach lub po wsiach, tylko w wielkich miastach zamykanych, jako to: w Toruniu, Bydgoszczy, Poznaniu, Kaliszu, Łowiczu i tym podobnych, skąd na konfederatów tedy owedy wychodzili.

Nieszczęśliwymi byli od Rossyan, a najbardziej od Drewicza, późniój zaś od drugiego rabusia pułkownika Renna, pa-



nowie, szlachta i księża, u których albo konfederata jakiego zastali, albo broń, konia lub inny jaki sprzęt konfederacki znaleźli. Rabowali takich, batożkowali, do arnat przykowywali i z sobą prowadzali, a wielu i pozabijali. Toż samo czynili z tymi, u których bawiła się konfederacka dywizya dzień albo dwa, a niedali znać Rossyanom, jeśli się gdzie blisko znajdowali; skąd poszło, że sami Polacy na zgubę braci swoich Rossyan zwabiali. Jeżeli zaś niebyło blisko nigdzie komendy rosyjskiej, albo choć była, ale też i konfederacka partya była znaczna, albo choć mała, ale się niedługo bawiła na jednem miejscu, za takowe niedoniesienie Rossyanie, zachowując jakoby sprawiedliwość, obywatelów nieprześladowali. Miasta jednak i miasteczka wszystkie pod wielką karą obowiązane były dawać znać Rossyanom o konfederatach. Takiż sam przykaz był dla tychże miast od konfederatów przeciwko Rossyanom: zaczęli miasta czyniąc zadosyć obojga wojsk rozkazom, kiedy w którym stanęli Rossyanie, coprędzej dawały o nich znać konfederatom, i wzajemnie Rossyanom o konfederatach; księża nawet i zakonnicy, z ustaw swoich zakonnych często mieszkania swoje odmieniający, przymuszani bywali od Rossyan do szpiegostwa i przewożenia listów od jednej komendy do drugiej, do jakiej jednak posługi konfederaci duchownych niezażywali. Lecz za ten pobożny respekt inną niesprawiedliwość okrutniejszą popełniali. Albowiem gdziekolwiek na drodze trafiali na dziadów, włóczęgów po żebrance, albo innych ludzi pieszych, świadectwem skąd, dokąd i poco idą nieopatrzonych, takich bez wszelkiego roztrząśnienia na pierwszym drzewie podanem wieszali. Takiego okrucieństwa najpierwszą był przyczyną Malczewski marszałek, który urząd sędziego obozowego na szpiegów zlecił Ignacemu Chlebowskiemu, rotinistrzowi w swoim pułku.

### • Chlebowskim.

Ten Chlerowski, żadnego czucia sprawiedliwości i miłosierdzia niemający w sercu swoim, któregokolwiek dziada, żyda lub innego pieszego człowieka napadł na drodze, prosto zaraz bez wszelkiej indagacyi wieszać kazał, tak iż Rossyanie, niepotrzebując przewodników, po samych obwieszonych dojsdż konfederatów mogli. Taki zaś był tchórz, iż się w żadnej potyczce oko w oko z Rossyanami niechciał widzieć, ale

zawsze z swoją rotą odwodu się trzymał, a po przegranej bitwie najpierwszy z placu pierzchnął. Miał też taki koniec, że przez trzy dni ścigany od Rossyan, będąc odcięty od korpusu, na dyssenterję ze strachu nabytą umarł. Ten także Chlebowski, niejakiemu Rużę, Węgrzyna, obywatela poznańskiego, w Kościelcu, dobrach Gurowskiego, natenczas starosty kolskiego, obwiesić na gruszcze kazał, za poprzedzającą takową inkwizycją: Tego Węgrzyna rotmistrz Przepałkowski, furazujący, napadł na drodze jadącego parą koni, wozem i człowiekiem. Nic przy nim nieznalazł Przepałkowski dającego porozumienie szpiegostwa, tylko to jedno, że Ruża zapytany, skąd jego woźnica, odpowiedział: że to jest najęty człowiek; a że ten woźnica pod suknią polską miał spodnie czyli portki węgierskie, więc stąd podejrzenie, że byli obadwa Węgrzyni i z Poznania, — a że jechali traktem za konfederatami, więc szpiegowie. Na takim argumencie prostym czy krzywym Przepałkowski zabrakł Rużę i przyprowadził go do Malczewskiego. Malczewski pokazując się skrupulatem, niechcącym cudzej krwi brać na duszę swoją, odesłał go do Chlebowskiego, jako sędziego obozowego. Tu dopiero inkwizycya: „Skąd waść?“ Ruża odpowiedział: „z Poznania.“ „Co waść za jeden?“ — Odpowiedź: „Jestem Węgrzyn.“ Rezolucya Chlebowskiego: „Oto szpieg, obwiesić go!“ — Wzięto natychmiast i obwieszono. Konie z wozem otrzymał delator Przepałkowski, dla której zdobyczy niewspomniał przed starszym sędzią Chlebowskim o woźnicy, boby był Chlebowski i tego obwiesić kazał, aleby sobie konie i z wozem przywłaszczył od dekretu, a tak na jednym panu obwieszonym przestała sprawiedliwość, albo raczej dzika surowość, której przykłady bywały i u innych komendantów konfederackich, ale nietak gęste jak u Chlebowskiego i nietak szalone.

### ***O Szczygłe i Bętkowskim.***

Szczygieł, mieszczanek Pyzdrski, kunsztu szewskiego, dobrawszy do siebie kilkanaście koni sprawnych, napadał na pikiety rossyjskie, albo w marszu na odwody, a zrobiwszy zamieszanie i ubiwszy którego Rossyana lub kozaka, ręczo uchodził w bory, co mu sprawiło reputacyą walecznego kawalera i wypromowało na rotmistrza z ordynansem od Malczewskiego wybierania podatków i zabierania urwiszowych kupek, bez de-

pendencyi od komendy generalnej włóczących się po kraju, rabujących lutrów, kalwinów, i podatki, tudzież kozubalce od żydów wybierających. Takiego gatunku konfederatem był niejaki Bętkowski. Jego gdy Szczygieł napadł w Pyzdrach, kilka koni przy sobie mającego, chciał go zabrać i do Malczewskiego go zaprowadzić. Bętkowski zmyślił wielką powolność, dając przyczynę, iż dla tego dotąd niestawił się do obozu Malczewskiego, że niewiedział, gdzie się znajduje: ale teraz mając przewodnika, z chęcią z nim pójdzie do komendy generalnej. Że zaś miał więcej ludzi swoich w Ratajach; wsi do starostwa pyzdrskiego należącej, o pół mili małe od Pyzdr odległej, więc przełożył Szczygłowi, aby tam z nim poszedł, złączył swoją komendę z jego, i aby tak razem do Malczewskiego przyciągnęli. Szczygieł, niespodziewając się żadnej zdrady, usłuchał Bętkowskiego, poszedł z nim do Rataj, niemając przy sobie tylko kilku ludzi (bo komendę swoją zostawił w innej wsi, milę drogi od Pyzdr odległej). Skoro tedy wjechali na podwórze folwarku Ratajskiego, na zsiadaniu z koni strzelił Bętkowski do Szczygła i postrzelił go w bok. Koledzy Bętkowskiego porwali Szczygła, lecącego na ziemię, zawlekli do izby, w której dobili go szablami, obdarłszy do naga i złożywszy na stole jeszcze dychającego, żeby ich w śmierci naznaczonej jakim sposobem nieoszukał. Kawecki, towarzysz, wraził mu w brzuch szablę i tym sztychem duszę z ciała wypłoszył. Tak zginął nieborak Szczygieł, rycerz spodziewany, niedawszy do zguby swojej żadnej innej przyczyny, tylko, że będąc szewcem, śmiał zabierać szlachcica łotra.

Bętkowski, spłatawszy to okrucieństwo, chodził osobno z swoją komendą, niełącząc się z Malczewskimi.

W niedziel ośm lub więcej po tej rohocie, niejaki Skąpski, rotmistrz, konfident i kolega w palestrze kaliskiej przed konfederacją Bętkowskiego, sprowadził go na parol do Malczewskiego. Malczewski dla owego parolu przyjął Bętkowskiego łagodnie, ludzi mu jednak odebrał i do innych rot wmieszał; jemu zaś w politycznym areszcie przy sobie zostawać kazał, póki by się z zadanego zabójstwa nieoczyścił, które Bętkowski zuchwałem porwaniem się Szczygła na niego justyfikował. Gdy się w późniejszym czasie uformowała izba konsyliarska (tak nazwana rada konfederacka) w Poznaniu, podniosła proces kryminalny przeciw Bętkowskiemu, kazała go

okuć w kajdany, a po wyprowadzonych inkwizycjach, łeb mu uciąć, jako zbójcy dobrowolnemu człowieka niewinnego. Lecz od téj kary Bętkowski, szlachcic i familiant, za faworem różnych instancyj został uwolniony, i w pułku Murawskiego przy randze rotmistrza sztabowego umieszczony, przy którym chodząc kilka czasów, żadnego odważnego dzieła przeciw nieprzyjacielowi niepokazawszy, nareszcie zabrawszy mu wiele rzeczy skarbowych i kilkanaście koni, uciekł do Rossyan, przyjąwszy służbę wojskową w pułku Renna w randze wachmistrza, w którym to przedzierzgnięciu siebie z Polaka w Rossyanina, biednych konfederatów, którzy się w ręce rossyjskie dostali, prześladowcą był najokrutniejszym. A gdy po skończonej konfederacyi pułk Renna dostał ordynans wyjścia z kraju polskiego, Bętkowski został w ojczyźnie, w której za infamisa od publiczności poczytany, niemając nigdzie miru, udawszy się na debosz i hultajskie życie, stracił majątek wszystek ojczysty i do ostatniej przyszedł mizeryi.

Kawecki zaś ów, który ostatni sztych najokrutniejszy zadał Szczygłowi, tułając się po różnych komendach konfederackich, złapany pod Piotrkowem na rabunku, za wyrokiem Zaremby, regimentarza generalnego konfederacyj wielkopolskich, został rozstrzelany. Teraz wróćmy się do Gogolewskiego.

### **o Gogolewskim.**

Ten, jako się wyżej wyraziło, będąc sprawcą odmiany rygoru pierwszego owego zabierania obywatelów osiadłych w konfederacyi, kupił sobie u nich łaskę. A że przytém był nietak lęklivego serca jak Malczewski, dostawał w potyczkach do ostatniego, i gdy przegrał (co mu się z ludem niewyćwiczonym koniecznie często trafiać musiało), przynajmniej się umiał porządnie rejterować; do tego rząd lepszy, oszczędność w wydatkach i karność wojskową w swojej komendzie utrzymywał: opinią dobrego wodza na swoją stronę u obywatelów zjednał, tak iż mu wielu panów oprócz podatków publicznych i wypraw, pieniężne znaczne posiłki i wojenne sprzęty sekretnie poddawali.

Malczewski zaś przeciwnie owém zabraniem posesyonatów, a co większa niektórych między nimi i orderowych, znenawidził sobie wszystkich obywatelów. Przytém był serca lęklivego: do żadnej potyczki sam niestanął obecnie, chyba nie-

spodzianie napadniony; ale zaraz za pierwszym wystrzałem na pikiecie, z konsyliarzami swymi, którymi byli Kobierzycki, Radoliński, Wilczyński, Koźmiński, Konarski, i z wybranymi do straży swojej kilkadziesiąt końmi co najlepszego ludu uciekł, i pędzić się aż chyba trzeciego dnia po rozpłoszeniu do zgromadzonych w jakie miejsce konfederatów niepokazał. Do tego w jego komendzie niebyło żadnej oszczędności, żadnego rygoru na zbytkujących w furach i żywności, na zabierających gwałtem ze stajen i po drogach wyprzęgających z powozów podróżnym konie i inne zbytki po stacyach czyniących. A gdy się o takie uciążliwości szlachta przed Malczewskim żaliła, odpowiedział im tonem surowym: „Wojsko potrzebuje wygody. Gdy do was przychodzą Rosyianie, dajecie im w bród wszystkiego z ochotą, a dla obrońców ojczyzny, którzy życie swoje dla niej łożą, pożywienia słusznego żałujecie; kryjecie jak możecie zboża, barany i woły. Wielka tedy wam staje się krzywda, gdy konfederaci biorą wam to, czego powiedzieliście że niemacie.“ Takie postępowanie Malczewskiego czyniło go daleko niższym od Gogolewskiego w oczach obywateli, którzy zniósłszy się między sobą, chcieli przez akt publiczny złożyć Malczewskiego z komendy, zostawiwszy mu próżny tytuł marszałka, a oddać cały rząd i władzę nad konfederacją Gogolewskiemu.

Ale że Malczewski hojnie szafował pieniędzmi, nietak skąpo jak Gogolewski, przytęm nikogo do ażardu życia nieprzymuszał, bo sam najpierwszy przed nieprzyjacielem uciekał, przeto miał miłość w wojsku. Niemożna więc było przystąpić do aktu złożenia bez obawy zemsty, tylko wyzuwszy go wprzód samym uczynkiem z władzy przez porwanie w areszt z konsyliarzami i dopiero przymusiwszy do recesu. W czém gdy się Gogolewski z obywatelami porozumiewać zaczął, a nie mogąc utrzymać w sereu żądzy do jak najprędszego wygórowania, rządowi Malczewskiego głośno przyganiał, dodając, iż dla zatamowania tak szkodliwego marnotrawstwa, pędź mu z Malczewskim, niż z nieprzyjacielem do rozprawy przyjdzie. Znaleźli się tacy (jak wszędzie bywać zwykło), którzy Malczewskiemu o tych zamiarach Gogolewskiego donosili. — Malczewski, lubo był serca łagodnego, nabechtany jednak od swoich konsyliarzów, którym chodziło o utratę powagi, panującej nad krajem i zyskownej, a która wraz z marszałkowską zniknęły

musiała, jako próżna strawa: postanowił Gogolewskiego zgubić, aby się od jego zamachów ubezpieczył. Posłużył mu do tego pretext dobry, acz niewinny. Gogolewski pisał do księcia Wołkońskiego, posła rossyjskiego i najwyższego komendanta wojsk wojujących w Polsce z konfederatami, do Warszawy, o zawieszenie broni zimowe. Rzecz to była (mówiąc po prostu) wcale głupia, ale nie zdradziecka, mówić do nieprzyjaciela: „Stój, przestań mię na chwilę prześladować, bom słaby; zaczekaj, aż zmocnieję.“ Taki właśnie był Gogolewskiego zamiar. Księżę Wołkoński odpisał Gogolewskiemu tonem warszawskim: że konfederacya jest buntem; że z buntownikami nienależy mu wchodzić w żadne ugody; niech porzucą broń, przeproszą swojego króla, a będą mieli pardon i pokój.

Za odebraniem takiego responsu, Gogolewski pisał drugi raz do księcia Wołkońskiego. Na nieszczęście jego ten drugi list wpadł w ręce Malczewskiego. Otóż Gogolewski zdrajca: wdaje się z nieprzyjacielem w znowy, bez wiedzy najwyższej władzy: — godzien śmierci.

Posłano mu ordynans, aby przybywał niezwłocznie w bardzo pilnym interesie. Mikołaj Hulewicz, rotmistrz przy Malczewskim, dał znać Gogolewskiemu, co o jego głowie urządzono. Gogolewski postanowił uprzedzić ten zamach wydarciem władzy Malczewskiemu i przepłoszeniem jego konsyliarzów. Na ten koniec wybrałszy 300 koni z najpoufalszymi sobie oficerami (na których się przywiązaniu sparzył), pospieszył do Malczewskiego, w małej kwocie w Popowie, wsi niedaleko od Warty miasta w województwie sieradzkim, w pośród rozlokowanych po innych wsiach komend czyli rot swoich stojącego; otoczył go we dworze, wpadł do izby w kilka osób z dobytą szablą, tą na zetknięciu się powitalnym ranił Malczewskiego lekko w czoło. Krzyk powstał w izbie, a stojący około dworu na koniach, gotowi byli dać odpór partyi Malczewskiego, jeżeliby ta swego wodza ratować chciała. Ale się nikt nieruszył, niewiedząc, co się to znaczy i co się w środku dzieje.

W owym krzyku składając ręce Malczewski z konsyliarzami swymi, strachem przejętymi, usprawiedliwiał się jak najgoręcej Gogolewskiemu, iż nigdy myśli zły przeciw niemu nie miał; iż gotów jest oddać mu zupełnie całej konfederacyi komendę, a kontentować się samym tytułem marszałka. Niech

tylko ułagodzi umysł udaniem fałszywém, rozjątrzony, niech każe odstąpić ludziom otaczającym dwór jakby z przydybanym w nim nieprzyjacielem, a wszystko w dobry sposób zostanie ułożone. Kłękali przed nim z przysięgą, iż mu szkodzić niemyśleli, a tymczasem wołali przez okna na oficerów, aby weszli w środek i pomogli do zgody. Tém frantostwem złamawszy pierwszy impet Gogolewskiego, okazali na nim, że skinął na rotmistrzów swoich, aby do izby weszli, co skoro uczynili, zaczęli się jedni z drugimi witać, jako ziomkowie jednych województw i krwią powiązani (oprócz Gogolewskiego, z innych województw przychodnia), ubolewać nad porozumieniem, dobru publicznemu szkodliwém, i wnet przyszło do zgody. Gogolewski mniemając, że otrzymał górę nad Malczewskim, oświadczającym, iż składa władzę wojskową w ręce jego, kazał komendzie swojej odstąpić od dworu i udać się na kwatery. Sam zostawszy przy Malczewskim i konsyliarzach z rotmistrzami swymi Skórzewskim, Grabowskim i Sieraszewskim, dla ułożenia aktu rezygnacyi: — jak tylko zostali sami, zaraz uczynek Gogolewskiego w oczach wszystkich stanął wielkim kryminałem. Wnet się wszyscy porozumieli i zgodzili na jedno: że człowieka tak gwałtownego, który się poważył porwać na marszałka i w skryte konszachty wszedł z nieprzyjacielem, trzeba ze świata sprzątnąć. Zaczém zabawiając Gogolewskiego układaniem instrumentu owéj' generalnéj władzy, tymczasem posłali na wieść po żołnierzy, a skoro ci przyciągnęli, porwano Gogolewskiego, w kajdany okuto, i nazajutrz rano o godzinie osmój w ogrodzie rozstrzelano.

Darmo swoich rotmistrzów wzywał ratunku: a gdy tych głuchymi doznał, błagał wszystkich o miłosierdzie; pokorzył się i z zuchwalca stał się potem życia miłośnikiem, obiecywał odstąpić konfederacyi i zostać bernardynem. Nic mu ta skrucha niepomogła. Po rozstrzelaniu zawieziono go do Warty i tam u bernardynów, do których oświadczał wokacyą, pochowano.

We dwie niedziele potem, Drewicz, pułkownik rosyjski, nadciągnawszy do Warty, kazał się zaprowadzić do grobu, a stanąwszy nad Gogolewskim, rzekł do przytomnych: „Duraki Polaki, jednego choroszego gawalera mieli, i tego zgubili: zaczym mini jego ubić niedali.“

Malczewski, pozbywszy Gogolewskiego, niekwapił się z obraniem innego regimentarza. Cały zbiór konfederacyi podzielił na pułki: w randze pułkowników umieściwszy owych trzech rotmistrzów, którzy mu do zguby Gogolewskiego nieprzeszkadzili, sam zaś rej wodził w wojsku z konsyliarzami swymi.

### ***O czynnościach Malczewskiego i opanowaniu Częstochowy.***

Czynności konfederacyi wielkopolskiej pod Malczewskim w krótkości mogą być opisane. Przez całe półtora roku wodził za sobą Rossyan, a wszędzie, gdzie go ci doszli, pobitym został i rozpędzonym. Lecz to bynajmniej konfederacyi nieumniejszało: bo płaca dobra, żywność hojna i bezpłatna, rozpusta i debosz, rozkazywanie absolutne i panowanie nad obywatelami, uniżoność od panów największych, okazywana tym nawet konfederatom, którzy niedawno sługami ich byli, nęciła na potęgę do siebie wszystkich golców, służalców dworskich, mieszczanek i wieśniaków krnąbrnych, albo pracy nie lubiących; oprócz zaś takich nawet i osiadłą szlachtę, którzy woleli rozkazywać, niż być pod rozkazami. Za jedną lub dwie godziny strachu, w potyczce i ucieczce wytrzymanego, dosyć było nagrody bujać wygodnie po kraju w ozdobie obrońcy wiary i wolności, i do tego być dobrze płatnym. Tych zaś, którzy dostali się w niewolę i w tej wiele biedy znosić musieli, a częstokroć i batogi ciężkie na przywitaniu odbierali, albo też tyrańsko od Rossyan pomordowanymi zostali, ci, którzy na ten los nieprzyszli, uważali jako męczenników za wiarę: ku któremu męczeństwu, przypaść na siebie mogącemu, ożywiały się heroizmem chrześcijańskim, unikając go jednak, ile możliwości.

A lubo potyczki Malczewskiego były tak nikczemne, jako się wyżej opisało, wytepiły jednak niemało Rossyan, jużto zręcznym od oka konfederackim strzelaniem, nim zostali spędzeni z placu, już z samej nuży w bieganii za konfederatami, osobliwie piechoty.

Gdy już Malczewski nie miał się gdzie schronić przed Rossyanami w Wielkiej Polsce, udał się w Krakowskie, gdzie po dobytciu Krakowa i rozproszeniu konfederacyi tamtejszej, nie było żadnego Rossyana.



W tym marszu doszedł go Białolipski, pułkownik rosyjski, w 500 żołnierza rozmaitego, to jest: piechoty liniowej, inżynierów, kozaków i z jedną armatą, pod Turskiem, dwie mil od Kalisza. Udało się tu konfederatom, których było przeszło 2000, że Białolipski nad swoją opinią, tak przewyższającą liczbą nieprzyjaciela zewsząd otoczony, musiał się zrejterować z swoją garstką do stodół i owczarni tamtejszych, skąd rżęsiwym ogniem z ręcznej broni i kartaczami z armaty bronił bliskiego do siebie przystępu armii konfederackiej, z samej jazdy złożonej. Ta też niewidząc się sposobną do atakowania go, budynkami zasłoniętego, z karabinkiem i szablą, po krótkim harcowaniu to z tej to z owej strony, nareszcie zeszła z placu, straciwszy od kartaczów kilkunastu swoich.

Tu się prawie połowa konfederatów rozeszła od Malczewskiego, który z tymi, którzy się go trzymali, pociągnął w Sieradzkie, Wieluńskie i Krakowskie, aż pod Częstochowę. Białolipski nieposzedł za nim w też tropy: najprzód, iż niewiedział po owym rozdzieleniu się konfederatów z pod Turska, przy którym korpusie znajduje się Malczewski; druga, iż zrażony ową śmiałością, niezwyczajną konfederatom, przed którą musiał się schronić do owczarni, nieśmiał za nim pędzić bardzo nagle. Dał mu frysztu ze dwa tygodnie. Malczewski rozlokowawszy się pod Częstochową, małemi kupami często wchodził do fortecy pod pozorem nabożeństwa, którego w samej rzeczy żaden z konfederatów do tej Matki Boskiej w obrazie tamtejszym, cudami od wieków słynącej, nieopuszczał.

Tém więc częstém wchodzeniem i wychodzeniem uwiódłszy Paulinów, księży tamtejszych, zawiadujących fortecą, i garnizon lichy od należytej baczności odciągawszy, a podobno też i z żarliwości o wiarę, na zamiar Malczewskiego przez szpary patrzący, opanował pomienioną twierdzę. Lecz niewiędzając umiał w niej, jak w polu. Gdy bowiem pomieniony Białolipski podciągnął pod kapliczkę Śtej Barbary, na ćwierć mili od fortecy odległą, Malczewski wyszedł ku niemu z całą swoją siłą, do półtora tysiąca jeszcze wynoszącą, nie zostawiając w fortecy tylko Konarskiego, majora, z kilkunastą konfederatami. Uszykował chorągiew swoją, do straży boku zawsze mu asystującą, na jednej górze, na kilkoro staj od placu, na którym się potykano, odległej. Tam stał przez cały ciąg bitwy, jakkolwiek bitwą nazwać się mogącój, trąbiąc i w kotły bijąc:

gdy inne komendy od rana aż do wieczora, przymknawszy się bliżej ku Rossyanom, pod kapliczką Śtėj Barbary uszykowanym, sięgały się wzajemnie kulami ręcznej broni, od nikogo nieprzywiodzone, ale każda podług odwagi swojej, rozsypana po polu jak trzoda, którą Rossyanie od bliższego ku sobie natarcia tedy owedy kulami armatniami wstrzymywali. Około południa przyprowadzili konfederaci cztery armaty z fortecy z dziesięcią piechurami, z których dawali ognia tedy owedy do Rossyan, z małą bardzo ich szkodą dla nieumiejętności w rychtowaniu i ladajakich potrzeb armatnych. Mając Rossyanie ze trzech stron (oprócz z tyłu) przed sobą chmurę konfederatów, bez przestanku z karabinków jedni przez drugich głowy, to z konia, to z ziemi przyczaiwszy się, ognia do siebie dających, długo w miejscu stali, obawiając się, ażeby do koła otoczonymi nie zostali. Lecz nareszcie, gdy się już miało ku wieczorowi, a konfederaci bliżej na nich uienatarli, tylko w jednym nieporządku z daleka około nich harcowali, skoczyła razem piechota rossyjska do armat częstochowskich i te zaraz opanowała, a kozacy w też tropy uderzyli po skrzydłach na konfederatów, którzy cofać się ku Małczewskiemu, odbiegłszy armat, poczęli, co on widząc z góry, najpierwszy z swoją chorągwią sprysnął, a za nim cały ów gmin konfederacki hurmem począł uchodzić z placu. Mało tam z obu stron legło: częstochowskich piechurów zginęło sześciu, czterech uszło na koniach od armat, konfederatów zginęło ze trzydziestu, Rossyan z tyleż drugie.

Niegonili Rossyanie konfederatów impetem, ale zwolna za uchodzącymi postępowali, wołając za nimi jak na bydło: „hala! hala!“ Małym bowiem korpusem swoim niemogli zająć daleko ogromniejszego konfederackiego, rozciągniętą linią uchodzącego, w której środek wparować nieśmieli, ażeby nie zostali otoczeni. Wolnym tedy truchtem szły obiedwie partye aż do Częstochowy, w której Rossyanie na noc stanęli; konfederaci zaś za swoim marszałkiem różnemi kupami i traktami udali się ku Wielkiej Polsce.

Muszę w tém miejscu dać pochwałę Wojciechowi Sierszewskiemu i Wojciechowi Grabowskiemu, pułkownikom, którzy mając stacye od Kłobucka, przychodzących stamtąd Rossyan trzynali na siebie od świtu aż do godziny osmój zrana, nim się drugie rotę, dalej rozlokowane, na plac bitwy wyżej

wyrażony zebrały, bez którego zastępu konfederaci po wioskach stojący niemieliby byli czasu zebrać się do kupy, i zwyciężając swoim, usłyszawszy o porażce jednych, drudzy poszliby w rozsypkę, a Malczewski ze swoim sztabem, bez amunicji i żywności przydybany w fortecy, musiałby się być poddać Rossyanom.

Nicatakowali Rossyanie fortecy: przenocowawszy pod nią, poszli za Malczewskim; Paulini zaś po odejściu Rossyan, widząc taką nikczemność Malczewskiego, wypchnęli z fortecy Konarskiego, majora i konsyliarza, z garstką konfederatów, w niej będących.

### ***O Malczewskim i o konfederacyi pruskiej.***

Po potyczce Częstochowskiej, sromotnie odbytą, włóczył się znówu Malczewski po Wielkiej Polsce i Prusach, pierzchliwość swoją w uciekaniu najpierw z placu usprawiedliwiając tą przyczyną: iż gdyby on, narażając się na czoło bitwy, albo w odwodzie rejterady zostając, zginął, cała konfederacja wielkopolska zginęła, na exystencji której wszystkie inne drobniejsze innych województw i ziem konfederacye się zasadały. (Jakoż, rzekłszy prawdę, Rossyanie mniej dbając o inne drobne kupki, najwięcej po borach i lasach kryjące się, za wielkopolską, jako najważniejszą, najbardziej się uganiali.) Dobra to racja Malczewskiego, ale w ulu, nie w polu. Od otaczających go jednak konsyliarzów, równych jemu tchorzów, za ważną poczytana była i nią się rządziła, regularnie najpierw z swoim wodzem uciekając.

Cóż przecie dobrego na poparcie konfederacyi uczynił ten Malczewski? Oto bawiąc się w Prusach i niemając Rossyan na karku, a listami od generalności i od Krasińskiego, biskupa kamienieckiego, o bliskich posiłkach z Francji i z Austrii upewnianym, zwodząc samego siebie i obywateli pruskich, przywiódł ich do tego, że konfederacyą podnieśli.

Ta pruska konfederacya, w ludziach dobranych, w munderunkach, koniach i liczbie, równała się konfederacyi wielkopolskiej. Marszałkiem jej był Lniński, lecz jej niewodził; wkrótce po obraniu swoim na tę godność, przydybany w domu od Rossyan, w areszcie w Toruniu osadzony, gdzie siedział aż do uspokojenia rozruchów krajowych. Regimentarzem był Gordon, zacny kawaler. — W czynnościach wojen-

nych ta pruska konfederacya mało była sławniejsza od wielkopolskiej, tylko tyle, iż nietak pierzchała z placu nieporządnie, jak wielkopolska, i choć zawsze przegrała, przecież w porządnój rejteradzie i nie bez uszkodzenia nieprzyjaciela.

### ***O Mazowieckim i o drobnych konfederacyach.***

Przed konfederacją pruską wszczęła się konfederacya ziemi dobrzyńskiej, ale że była mniejsza od pruskiej i później słynąć zaczęła, dla tego też w niniejszej historii miejsca pierwszego pruskiej ustąpić musiała. Marszałkiem tej konfederacyi był Zieliński, starzec poważny i obywatel zacny. W początkach zaraz powstania pomienionej konfederacyi, w pierwszej potyczce dostał się w niewolą rossyjską; osadzony w więzieniu w Toruniu, jak skończył, niedoszło wiadomości mojej. Regimentarzem zaś tejże konfederacyi był Mazowiecki, człowiek młody, odważny i na wszystkie wypadki przedsięwziętego dzieła determinowany. Niemiał on więc nigdy swego korpusu całego od 500 głów, ale porządnie, na wzór regularnego wojska ustanowionych, najwięcej w gatunek dragonii po niemiecku przystrojonych, nieco także huzarów, a resztę korpusu jego składało towarzystwo, polskim strojem ubrane, i szeregowi. Pułkownikiem w tej partyi był Wenda, człowiek młody, dobrego serca, ale przytém lubiący hultajkę i tańce: na których raz przydybany od podjazdu rossyjskiego w domu jednego obywatela, dostał się w niewolą z garstką swoich ludzi. To o Wendzie. Mazowiecki zaś rozmaitem szczęściem bijąc się często z Rossyanami, i po zdarzoném rozproszeniu swoim wkrótce się wzmacniając w siły nadwątlone, trzymał się dobrze aż do skończenia konfederacyi; i on ostatni broń złożył, rozpuściwszy swoich ludzi, a sam pod imieniem odmienioném schroniwszy się za granicę, z której po uspokojonych rozruchach pisał do króla o pardon i otrzymał go, wsparty instancjami różnych magnatów, przyjaciół równie swoich jak królewskich. Nawet miał wolny przystęp do króla, i na jego żądanie podjął się funkcyi deputackiej. — Będąc chudym pacholkiem, ożenił się z Grabską, majątną wdową w Wielkiej-Polsce, i lubo ta pani już była letnia, a Mazowiecki młody, jednak okazywał jęj wszelkie dowody małżeńskięj miłości aż do jęj śmierci, której w kilka lat po związku małżeńskim na-

stąpionej przyczyną być mogła tego młodego męża miłość. To o konkluzji Mazowieckiego i na pochwałę jego pięknych przymiotów, a rzadkich w tym rodzaju tego wieku napisawszy, wracam się do jego jednej jeszcze czynności, będącego w konfederacji.

Gdy generalność, siedząca w Preszowie, za namową (jak było słyhać) Józefa cesarza, wydała interregnum; a tego uniwersału, wiele konfederackich marszałków, przeczuwających koniec niepomyślny takowego środka, nieśmiało po kraju publikować, osobliwie Zaremba, który odebrawszy ten instrument, rzekł: „A to szaleństwo! jeszcześmy jednego nieprzyjaciela „niepokonali, a drugiego mamy rozjářzać i na karki nasze „sprowadzać. Teraz walczymy tylko przeciwko Moskwie, pod „hasłem obrony Wiary i Wolności, więc król, jako opie- „kun najwyższy (?) tych dwóch narodu polskiego zaszczytów, „czy szczerzy czy nieszczerzy, niemoże na nas jawnie następo- „wać; a gdy go ogłosimy za uzurpatora tronu, i sam tron po- „damy za wakujący, pokażemy, że nieidziemy o wiarę i wol- „ność, ale o zepchnięcie z tronu nieміłego nam króla, jedynie „z téj przyczyny, że nam go Moskwa narzuciła. Ogłosiwszy „się tedy tym sposobem jego nieprzyjaciółami, damy mu w rę- „ce miecz na karki nasze; którym jeżeli dotąd słabo i jakoby „z niechcenia walczył przeciwko nam, użyje go potem na nas „całą siłą swoją, jako na rebelizantów.“ Za taką uwagą Za- remby poszli wszyscy inni Wielko-Polanie, oprócz jednego Mazowieckiego, który nieuważając na żadne konsekwencye, poszedł za przykładem Puławskiego, który w partyi swojej małopolskiej wszędzie interregnum ogłaszał. A król królem pod opieką Rossyi bezpiecznie na tronie siedział i śmiał się z głupstwa takowego generalności, która go z tronu spychała piórem, a sama nieśmiała i krokiem wstąpić z zagranicy do kraju, i osobiście, nie przez pocztę, wypowiedzieć królowi posłuszeństwo. Wiedzieć albowiem potrzeba, że to głupstwo swoje niewczesne generalność rozesławszy po komendach wojujących, posłała je też i królowi pocztą do Warszawy, acz on, mający znowę z gabinetami postronnemi, a nawet w samej generalności duchy swoje, wiedział wprzód o niem, że będzie, niżeli na świat wyszło.

Mazowiecki tedy śmiały i determinowany na wszystko, podał rzeczony uniwersał bezkrólewia do kilku grodów, w któ-

rych przydybał jakiego kancelarzystę (bo się regenci i susceptanci przed taką transakcją jak mogli kryli). W Piotrkowie, niedosyć na tém, że go do ksiąg podał, ale jeszcze na czterech rogach ratusza otrąbić i obwołać kazał, że niemasz w Polsce króla.

Za wzmożeniem się konfederacyi wielkopolskiej, acz nie-szczęśliwej w utarczkach z Rossyanami, jako się wyżej opisało, zaczęły się wiązać po innych województwach konfederacye, jako to: warszawska, gostyńska, rawska, wieluńska i inne po całej Polsce; ale że te konfederacye nic sławnego ani przegrana ani wygraną nieuczyniły, tylko kraj niszczyły, a drugie się z Rossyanami nawet i niewidziały, przeto dosyć jest napisać o nich, że były.

Co się tyczy wieluńskiej konfederacyi, ta się dwa razy porywała. Pierwszy raz Karśnicki, podkomorzyc wieluński, panicz hoży, własnym kosztem swoim uzbroiwszy 24 pocztów, i sam się zwyczajem dawnym w konie dzielne, munderunki, garderobę, namioty, kredens i kuchnię obozową od srebra, cyny i miedzi oporządziwszy, wyszedł z takim przygotowaniem w intencji przyłączenia się do najpierwszej, któraby mu się nadarzyła, konfederacyi, za pomocą której mógłby się ogłosić marszałkiem i utrzymać swojej ziemi. Lecz nieszczęściem, ujechawszy tylko dwie mile od domu, napadł w lesie na Drewicza, pułkownika rossyjskiego, w kilkaset koni ciągnącego, który go ze wszystkiem zabrał, i nieczyniąc mu żadnej krzywdy na ciele, ani jego ludziom, a to z przyjaźni przed konfederacją zabraną, do domu rodziców odprowadził, sprzęty, munderunki i ekwipaż cały, przy nim zabrany, prawem zdobyczy wojennej sobie zatrzymawszy, i pogroziwszy mu najsurowszém obejściem bez uwagi na przyjaźń, jeżeliby się drugi raz z takiej przyczyny w ręce jego dostał. Po takim niepomysłnem pierwszym spotkaniu przysiadł panicz w domu i więcej się na placu marsowém niepokazał, a konfederacya wieluńska, która od niego miała być związana, poszła w odwłokę, aż dopiero, gdy konfederacya województwa sieradzkiego powtórnie powstała, jako będzie niżej, dopiero też i ziemia wieluńska, jako część województwa sieradzkiego, swoją niedoszlą pod Karśnickim konfederacją wskrzesiła, przyłączając wyprawy swoje i towarzystwo z rotmistrzami do konfederacyi sieradzkiej, lecz pod własnym regimentarzem, którym uczyniła Chodakowskiego, z długich

i mięsitych wąsów nietylko w całej konfederacyi, ale też w całej koronie polskiej najznakomitszego. Ten wodził konfederacyą wieluńską bez marszałka, którego nie miała, pod komendą Zaremby, generalnego regimentarza konfederacyi wielkopolskiej, od generalności postanowionego, o którym będzie niżej. Tymczasem chcę czytelnikowi memu opisać konfederacye niektóre małe, które nakształt błyskawicy pokazywały się i gasły.

Taką była konfederacya łączycka pierwsza (bo zaś była potem druga). Ta pierwsza podniesioną była pod Andrzejem Cieleckim, starościem zgierskim, człowiekiem młodym, śmiałym, ale tylko do przypadku, nie na długo, i przy szczęściu, nie w przeciwnym losie. Ten tedy Cielecki, obrany marszałkiem, wpadł najprzód do Piotrkowa, gdzie się jeszcze agitował trybunał koronny (bo się to działo w tym roku, w którym konfederacya barska wyniosła się na Wołoszczyznę, a w kraju było cicho); zabrał najprzód garnizon, z kilkudziesięciu pieszych żołnierzy z regimentu generała Goltza składający się, zwykle trybunałom assistujący. Deputatów z izby sądowej czyli z ratusza, samém wpadnięciem do miasta niespodzianém wypłoszył i do ucieczki nagnał, a wszystkim prawie konie, karety, naczynia kuchenne i stołowe pozabierał. Z taką zdobyczą, w sile garnizonem w Piotrkowie zabranym pomnożoną, udał się do Wolborza, miasta rezydencyjalnego biskupów kujawskich, o dwie mile od Piotrkowa odległego, gdzie stojącą milicyą nadworną pieszą, 24 głów wynoszącą, Antoniego Ostrowskiego, biskupa pod ten czas kujawskiego, zagarnął i z garnizonem piotrkowskim złączył.

Muszę się tu wrócić do Piotrkowa i donieść czytelnikowi jeden kawałek: że ten Cielecki, będąc zrodzony z Lipskiej, najlepiej oprzątnął Sebastyana Mielęckiego, prezydenta trybunału i kanonika gnieźnieńskiego, także od Lipskiej idącego, tak, że ten prałat tylko przy sukniach, które miał na sobie, zostawiony, na prostym wozie wyjechał z Piotrkowa, nienawiści powziętej stąd przeciw konfederacyi, a mianowicie przeciw kuzynowi swemu Cieleckiemu, niemogąc strawić do samej śmierci. Po tém rozpedzeniu trybunału, już innego nie było przez cały czas konfederacyi.

Cielecki zaś zmocniony blisko do tysiąca ludzi konnych i pieszych po dziale piotrkowskim, przechodził się po kraju, wybierając podatki i zgromadzając pod pułk swoje nowych

ochotników, z którymi podciągnął pod Skrzynno; gdzie go Drewicz doszedł, po krótkim potkaniu pobił i do ucieczki przymusił. Na wielu złapanych konfederatach okrucieństwo swoje ukontentował, kazawszy jednemu głowy na pieńkach, drugiemu ręce poucinać; żołnierzom jednak regularnym, w Piotrkowie zabranym, i milicyi nadwornej Ostrowskiego, biskupa kujawskiego, przepuścił, kazawszy pierwszemu do regimentu, drugiemu do pana swego powrócić, który obawiając się drugiego zaboru, więcej ich żołnierzami nie trzymał, lecz jednych odprowadził, drugich do służby gospodarskiej po wsiach, albo do dworskiej swojej obrócił, sam siebie z dworem ulokowawszy w Warszawie, gdzie przez cały czas burzy krajowej mieszkał.

Cielecki zaś zwinąwszy chorągiewkę po akcji pod Skrzynnem sromotnie odbytej, został spokojnym domatorem, otrzymawszy od księcia Wołkońskiego, posła rosyjskiego, pardon za porwanie się, tak jak i inni wszyscy, którzy powąchawszy niezdrowego prochu rosyjskiego, konfederacyą porzucali.

### **o Bachowskim.**

Bachowski, szlachcic partykularny z tych, którzy niemają żadnej possessyi, nadługują od siebie więcej mającym, był rodem z województwa kaliskiego. Natenczas, gdy się zaczęły wiązać różne konfederacye, bawił się w ziemi warszawskiej przy wuju swoim Józefie Mietlickim, stolniku tytularnym czerniechowskim, przez promocyą Michała Lipskiego, pisarza wielkiego koronnego duchownego, u którego dworu marszałkował, z Izbińską, sędziną ziemską sochaczewską, majątną wdową ożenionym, a przez to ożenienie i przez sprawność do szabli, w rozpłoszeniu nieraz sejmiku warszawskiego okazaną, wzięcie między obywatelami mającym, — Ten tedy Bachowski, człowiek młody, w kilku okazach sejmikowych przy wuju swoim, i sam zosobna po szynkowniach warszawskich rycerz doświadczony, za pomocą wyżej wspomnianego wuja swego został regimentarzem konfederacyi warszawskiej, świeżo związaną pod marszałkiem Tressenberkiem, od którego w kilkadziesiąt koni wyprawionemu na podjazd, udało się na Budach, puszczy Kapinowskiej pod Warszawą, nocujących 200 koni kozaków niemal w pień wyrznać, tak iż ledwie z nich kilku żywcem, uszło i wielką trwogą całą Warszawę napełniło: którą porażony nieładajako książę Répnin, ambassador wielki rosyjski i król Sta-



niślaw August co tchu bagaże swoje pakować, po wszystkich hauptwachach bić na trwogę kazali, gotując się do ucieczki z Warszawy, gdyby się blisko pod nią jaki łoskot wojenny dał być słyszeć. Lecz Bachowski nie miał tyle sił, aby mógł być uderzyć na Warszawę, kilką tysięcy wojska rossyjskiego i krajowego obronną; lubo to pewna, że gdyby był choć z małą garstką swoją wpadł do Warszawy w nocy, byłby w niej znalazł wielkie wsparcie od pospólstwa i gwardyi koronnej, tylko drzącęj do rewolucyi i sprawiłby był może decydujące na swoją stronę zamieszanie, i byłby najpierw króla z Repninem wypłoszył z Warszawy. Obladowawszy się tedy pomieniony Bachowski trzosiemi kozackimi, oddalił się od Warszawy i od swego regimentarza. Mając pieniądze, ożenił się niebawiem z Teresą Bielawską, służebną panną wujenki swojej, w której się pannie zakochał był przed rewolucyą. Przyjąwszy lokajów i hajduków, w randze regimentarza bujał sobie z miłą małżonką swoją po kraju. A lubo służył jako tako rewolucyi, przywiązując się do różnych związków, nic atoli więcej godnego sławy niedokazał, owszem przemarniłowawszy zdobycz kozacką, chwycił się łotrostwa: konfederatów ustronnych i po kilku się włóczących łapiąc i odzierając. W czym gdy się wydał na kilku towarzyszach obdartych z konfederacyi kujawskiej, złapany od Zakrzewskiego, regimentarza powtórnego teje konfederacyi, okuty w kajdany, miał być jako rabuś rozstrzelany. — Ledwo się od śmierci i kajdan wyprosił, z których uwolniwszy się przysiadł w domu wuja swego, i więcej konfederacyi nie służył.

Niechaj niebędzie nudno czytelnikowi memu czytać tak drobne okazy; chcąc dobrze sądzić o stanie całym konfederacyi, trzeba wiedzieć wszystkie, by też najdrobniejsze szczególności, a przytém kiedy z nich niektóre (jako następująca) są zabawne i zadziwiające.

### **O Zbikowskim.**

Zbikowski, jakiego był urodzenia, niewiadomo. Był to chłopczyzna mały, szczupły, chuderlawy, włosów płowych z war-koczem, lat około szesnaście mający; serca był wielkiego, lubo sił z przyczyny lat młodych i z przyczyny kompleksyi słabych. Uszedłszy ze szkół, przystał za Węgrzynka czyli bu-zarka do Zakrzewskiego, regimentarza kujawskiego.

Gdy jednego razu konfederaci rozmaitych powiatów z konfederacją kujawską złączyli, podstąpiwszy pod Toruń, udawali, jakoby chcieli miasta dobywać, i tymczasem stanęli obozem na Dybowie, miasteczku o Wisłę rzekę odległym od Torunia, Rossyanie zaś wyszedłszy naprzeciw nim z miasta, stanęli na kępie, w środku Wisły leżącej, Zbikowski najawszy sobie jednego przewoźnika, podczas nocy ciemnej nadpłynął pod kępę, na której byli Rossyanie. Ułokowawszy się za krzakiem, wypalił z karabina ku kępie i natychmiast popłynął w inne miejsce. Rossyanie rozumiejąc, że się konfederaci cichaczem do nich na łodziach skradają, jedni w tę stronę, skąd był wystrzał Zbikowskiego, rżęsiło z karabinków palili, a drudzy z drugiej strony mieli się na pogotowiu do przyjęcia konfederatów, w mniemaniu, że ci z tyłu do nich się skradają. Póki Rossyanie strzelali, póty Zbikowski cicho w czołwie leżał, a gdy strzelać przestali, znowu Zbikowski z innego miejsca do kępy wypalił. To Rossyanie znowu w tamto miejsce ogień rżęsiły sypali: i tak przez całą noc drażnił się z Rosyanami, aż nareszcie nadedniem, Rossyanie niemogąc pomiarować coby to było, a obawiając się jakiejś zdrady, rejterowali się do miasta i w niem się zamknęli. Zbikowski też powrócił na Dybowo do swoich konfederatów, którzy, jako nie mieli woli atakować Torunia, bo i aparatu wojennego do takiego przedsięwzięcia niemieli, tylko jedynie chcieli Rosyan wywabić z murów i spotkać się z nimi w polu; tak, gdy ci zamknęli się w mieście, konfederaci też poszli w swoją stronę.

Po tej akcji, w chłopcu młodym dosyć wielkiej aż do zdziwienia, Zbikowski miał wielką o sobie opinią u regimentarza, tak dalece, że go czasem w kilkanaście koni wysłał na podjazdy, acz mu się w tych wyprawach nigdy spotkać z nieprzyjacielem nie zdarzyło. Lecz takie zaufanie w nim regimentarza posłużyło mu, że sobie namówił kilkunastu konfederatów i z nimi zdezerterował. Zmyślił sobie patent na rotmistrzostwo i ordynans do wybierania podatków, za pomocą których zrekrutował 50 koni dobrze oporzędzonych, z którymi chodząc po Krajnie i Pałukach (Krajna i Pałuki są nazwiska ziemi), tudzież nad granicą brandenburską płucał wioski i miasta, osobliwie lutrów i kalwinów.

Dowiedziawszy się, że generał pruski Beling w jednej wsi brandenburskiej, nad granicą polską leżącej, ma piękne rumaki

na stajni, wpadł do niej i wziął mu kilka co najlepszych. Generał Beling, niedaleko od téj wsi w jedném miasteczku garnizonem stojący, dowiedziawszy się o téj swojej szkodzie, poszedł za nim w 300 koni w pogoń, mniemając, że jakiego tęgiego ściga nieprzyjaciela. Dogał go w Gołańczy, miasteczku polskiem, opasał z nim austeryą, w której Zbikowski z ludźmi swymi popasywał. Bronił się Zbikowski strzelaniem przez dziury w ścianach powycinane. Lecz gdy huzarowie jedni, dając także ognia z karabinków do austeryi, drudzy zsiadłszy z koni wybili wrota i hurmem wpadli wewnątrz austeryi, garstka ludzi Zbikowskiego, zatłumiona mnogością huzarów, poddała się; a Zbikowskiego, skazanego od swoich, jeden huzar pruski przez urągowisko porwawszy za pas na konia, jak barana przywiózł do generała, opodał austeryi stojącego. Generał Beling wszystkich zabranych poprowadził z sobą do Brandenburgii, straciwszy w tym ataku jedenastu huzarów i zrąbawszy na śmierć w pierwszym impecie kilku ludzi Zbikowskiego. Jego zaś samego, jako dziwotwora odwagi, posłał królowi do Berlina, któremu przypatrując się król pruski, nie chciał wierzyć łatwo, aby tak nikczemny chłopczyzna miał taką odwagę i do rabunku chciwość. Przeznaczył go potem za fenrycha (co znaczy podchorążego) do tegoż samego Belingowskiego regimentu. Ale Zbikowski niemając ochoty być żołnierzem, tylko rabusiem, podał memoriał do generałowej Skórzewskiej, damy polskiej, w Berlinie przesiadującej, z rozumu wysokiego i wierszów gładkich francuzkich, które umiała robić, wielkie względy u króla pruskiego mającej, dopraszając się w tym memoriale, aby mu wolność od służby pruskiej wyrobiła, jako potrzebującemu jeszcze szkolnej edukacyi, z której uszedł, a do której chce powrócić, żałując za popelnioną płochość swoją i za smutek rodziców, którego ich nabawił. Na instancją téj damy został wolno puszczony i z pogrózką cuchthauzu, jeżeliby drugi raz dostał się w ręce pruskie.

Lecz Zbikowski, ledwo powrócił do Polski, zebrał znowu kilkanaście koni, z którymi jak pierwój biegł po kraju. A że na niego skargi różne o rabunki i zabieranie pieniędzy z komor rzeczypospolitej pozachodziły do izby konsyliarskiej poznańskiej, więc Malczewski, marszałek tejże izby i konfederacyi wielkopolskiej, przysłał Morawskiemu, pułkownikowi już wtenczas w Gnieźnie stojącemu, ordynans na złapanie Zbiko-

wskiego. Nikt go nieznał w całym pułku Morawskiego, przeto z czynów jego biorąc miarę Morawski i mając go za jakiego potężnego rabusia, wysłał na niego Bętkowskiego, porucznika, tego samego, który zabił Szczygła, w 50 koni huzarów swoich najlepszych. Bętkowski, ścigając Zbikowskiego przez dwa tygodnie, doszedł go w Bydgoszczy, jedenaście tylko koni mającego. Ci zagnał w jednym domu napadnieni, dali się zabrać bez oporu, lecz sam Zbikowski zniknął zabierającym ludzi jego w okamgnieniu. Przeszperawszy Bętkowski najmniejszy kącik owego domu, gdy nie mógł znaleźć Zbikowskiego, a był dobrze uwiadomiony, że się w nim znajduje z swoimi ludźmi, mając porozumienie, że go gospodarz przekrył, kazał go rozciągnąć pod plagi. Gospodarz przestraszony tym zamachem na swoją skórę, nieczekając aż mu krajać zaczęą, pokazał Zbikowskiego, na rynnie między dachami przyczajonego. Jeden z huzarów wlaź na rynnę i sprowadził na dół Zbikowskiego. Bętkowski, który sobie imaginował, że obaczy jakiego tegiego draba, gdy obaczył chłopczyńę, (jak mówią) ni w pięć ni w dziewięć, naśmiawszy się do woli z niego, kazał mu dać po dziecięcemu różgami, a potem wsadziwszy w łańcuszki, przyprowadził do pułkownika Morawskiego, w Poznaniu nateuczas stojącego, po zgasłej izbie konsyliarskiej, przeczuwającej bliskie nadciągnięcie Rossyan. Jakoż i Morawski, uwiadomiony od szpiegów o małej ich odległości od Poznania, wyniósł się z niego, nie mając potrzebnych narzędzi do bronienia murów i obawiając się, aby od dyssydentów, licznych w tém mieście, a sprzyjających Rossyanom, jako swoim protektorom, niebył zdradzony. Zbikowski tedy w łańcuszkach z innymi aresztantami poprowadzony za jedną dywizyą konfederacką do Tarnowy, wsi mil dwie od Poznania odległej, gdy Rossyanie, cotylko stanawszy w Poznaniu, wyprawili podjazd kozacki za tą dywizyą i zaczęła się bitwa, niebędąc podczas wrzawy i wsi zapaloniej od kozaków strzeżonym, uszedł z drugimi z aresztu.

Chcąc sobie naprawić imię, przesłtém łotrostwem splamione, udał się do Zaremby, już natenczas w randze regimentarza generalnego konfederacyi wielkopolskiej będącego. Był przy nim z pół roku nakształt towarzysza rękodajnego, a oraz pokojowca.

Jednego razu mieszczenie piotrkowscy dali znać Zarembie, w Kiślach, mil dwie od Piotrkowa, dobrach swoich, będącemu.

że jacyś ludzie z ordynansem Puławskiego przyjechali do wsi miejskiej, rozkazując sobie szafować futeraż, woły, barany i inne żywności. Zaremba wtenczas nie miał przy sobie nikogo z ludzi wojskowych, powysyławszy przodem dywizye konfederackie ku Wielkiej Polsce, za któremi i sam się wybierał z czeladzią służącą. Zaczém Zbikowskiemu, na tę wyprawę ochotę mającemu, kazał dotrzeć na miejsce skargi, dowiedzieć się, coby tam za ludzie byli, i czyjém imieniem powiaty do Zaremby należące nachodzili. Lecz Zbikowski, miasto badania rzeczy, zmówiwszy się z podstarościm, który dawał znać, i czterech szewczyków z Piotrkowa dobrawszy, opalonemi kijami miasto dzidów uzbrojonych, wpadł iobces na owych ludzi za stołem w karczmie przy kartach i gorzałce siedzących, najprzód wystrzelił na wstępniém między nich z pistoletu, a potem z szablą w rękę i z owymi szewczykami stanąwszy im na karku, wołając akcentem rossyjskim: „poddajcie się, bo was wszystkich pozabijam!“ tak ich odurzył, iż owi ludzie, nieobejrzawszy się na nikczemną posturę nachodzącego siebie i małą garstkę przy nim będącą, mniemając ich być kozakami poprzebieranymi dla łatwiejszego podejścia i że za tymi kilku większa komenda rossyjska ciągnie, dali się powiązać w postronki, w pasy i pokładz w dyby. Przyprowadził ich Zbikowski powiązanych na wozach pod tąż samą strażą, z którą ich zabrał, do Zaremby, w Burzeninie natenczas stojącego.

Ledwo niepozdychali od wstydu i żalu owi brańcy: jedenastu ludzi słusznych, między którymi był jeden wachmistrz od Mirowskich, zabranych przez Puławskiego w Krakowie, postawieni na wozach w dybach i postronkach, pod strażą sześciu zbieranéj drużyny z opalonemi kijami. Na to dziwowsko wysypała się cała rzesza konfederacka, przy Zarembie będąca. Zaremba, wysłuchawszy ich sprawy, gdy uznał, iż ordynans Puławskiego pokazany, acz niewyrażający miejsca zakresu, niebył zmyślony, połajawszy ich, że się ważyli pod jego stacyą zapuszczać po futeraż, a oraz naurągawszy się z nich, że ludzie wojskowi w liczbie jedenastu, bronią słuszną opatrzeni, dali się zabrać jednemu chłopcu i kilku szewczykom z kijami, kazał ich wolno puścić, broń i konie za nimi przyprowadzone oddać, zdobyćz kieszonkową Zbikowskiemu za sprawność darowawszy.

Po tém rycerskiém dziele stęskniwszy sobie Zbikowski przy boku Zaremby, w kilka niedziel uszedł od niego, i znowu dawniejszym zwyczajem z kilku urwiszami bujał po kraju. A napadłszy podobnież na kilku oderwańców, w jednym domu biesiadujących, chcąc ich tak jak owych pierwszych powiązać i obedrzeć, gdy wpadł między nich z małą garstką swoich, z pistoletem i szablą, cięty w głowę śmiertelnie od jednego, marnie zginął, godzien lepszego losu i chwalebniejszej śmierci, gdyby jęj był w polu marsówem, nie po kątach szukał.

### ***O Morawskim.***

Antoni Morawski był synem jednego szlachcica ubożego, który ożeniwszy się z jedną wdową rzeźniczką w mieście Gnieźnie, przyjął miejskie prawo i był rzeźnikiem, a ten syn jego, o którym będę pisał, rzeźniczkim. Ożenił się w Gnieźnie także z panienką miejską i był na początkach rewolucyi młodszym w cechu. Gdy jednego razu burmistrz Gryzyngier coś mu przykrego rozkazywał, a nieposłusznemu trzcina do głowy przymierzył, Morawski odbiwszy trzcinę, wyciął Gryzyngierowi policzek i natychmiast uszedł z Gniezna. Po téj robocie nieśmiejąc wrócić się do miasta, gdzieby go należyta chłosta za popełnioną zuchwałość niemięła, udał się do konfederacyi, dobrał do siebie kilkunastu ludzi odważnych, z którymi podchodząc nocami pikiety rossyjskie, i sprzątając kozaków na pikietach stojących, a ich trzosami obławiając siebie i towarzyszków swoich, wkrótce zwabił do siebie kilkadziesiąt koni, z którymi najeżdżał sprawnie rossyjskie stacye, a narobiwszy w nich trwogi i zamieszania, uchodził w bory, przenosząc się tam i sam z miejsca na miejsce. A że w tych początkach obchodził się grzecznie z obywatelami, przeto taili go ile mogli przed nieprzyjacielem i dodawali mu chętnie wszelkich potrzeb. Tak na swoją rękę wojował blisko roku, niełącząc się z żadną dywizyą konfederacką i niemając żadnej rangi, któraby go dystygnowała i z ciałem konfederacyi łączyła. Długo nawet Rossyanie niewiedzieli, co jest za jeden ten, który im takie psoty wyrządza, aż sława, która tak złego jak dobrego milczeć nieumie, rozgłosiła jego imie i doniosła Malczewskiemu, który słyszawszy o tak dobrych dla konfederacyi, pod nim nic niedokazującej, czynnościach jego, któremi się cała konfederacya wielkopolska okraszała, posłał mu patent na poruczni-

kostwo w swoim pułku, ordynans na werbunek i na wybieranie podatków. Był to regularny formularz Malczewskiego dla wszystkich, którzy się do konfederacyi wiązali, nad którymi tym sposobem czynił się głową. Lecz gdy Morawski, po odebranym patencie na porucznikostwo, nie zabierał się ku Malczewskiemu, tylko chodził bokiem, przysłał mu Malczewski drugi patent, czyniąc gorotnistrzem, z ordynansem, aby się z swoją rotą stawił do obozu generalnego.

### ***O Morawskim i Malczewskim.***

Malczewski wtenczas, po potyczce pod Częstochową, zabrawszy dywizye rozproszone, włączył się znowu obyczajem swoim po Wielkiéj Polsce, kiedy do niego do Inowrocławia przyciągnął Morawski z swoją rotą, 90 koni zawierającą. Komendy różne, zgromadzone pod Malczewskim, wynosiły do dwóch tysięcy, które były rozlokowane dokoła Inowrocławia, w którym stanął Malczewski. Ledwo co się rozłożyły dywizye, alści Rosssyanie w znacznej także liczbie piechoty i konnicy uderzyli na stojących konfederatów w Pakości. Znieśli ich, położywszy trupem ze 200 i wielu w niewolą zabrawszy. A że się ta sprawa zaczęła popołudniu około godziny 2giej, przeto, gdy się skończyła, już noc zapadła; dla tego Rosssyanie niegonili dalej konfederatów, jak o kilkoro staj za Pakość, w której nocowali. Stało się to w kwietnią niedzielę. Pakość od Inowrocławia dwie mile drogi odległa.

Malczewski, usłyszawszy o porażce swoich, z innemi dywizyami, które nie były w bitwie (w której nie był i Morawski, z innej strony mający stacyę), poszedł z Inowrocławia za Montwy, błota tak zwane, o pół mili od Inowrocławia, sławne kłęską partyi królewskiej za Jana Kazimierza, zniesionej od buntownika Lubomirskiego, marszałka w. koronnego. To przecie dobrze zrobił Malczewski, że mostu za sobą zaraz zrzucić niekazał, gdyż inaczej byłoby się wojsko, ciągnące za nim w nocy, niewiadome brodu, potopiło. Lecz postawił nad mostem dwie dywizye z ordynansem, aby póty tego mostu strzegły, póki się wszystkie rotę i kawalki konfederackiego korpusu, zbitego pod Pakością, nieprzeprawią: po przeprawieniu których, aby był zupełnie zburzony. — Ciągnęli się tedy przez ów most konfederaci różnemi partyami przez całą noc, aż do białego dnia, Rosssyanie zaś nocowali w Pakości.

Muszę tu dla pokazania mocy duszy w człowieku, wymienić Kazimierza Judzkiego, szlachcica, porucznika w pułku Sieraszewskiego. Ten cięty szkaradnie w twarz, dwa razy w głowę i trzy razy spisą pchnięty w boki, zostawiony został za umarłego na placu bitwy, obdarty aż do koszuli. Chłopi, mający zwyczaj zbiegać się dla jakiejś zdobyczy na pobojojwiska, natrafili na niego, jęczącego i trzęsącego się w owém błocie (w którym leżał), jak pytel we młynie. Jeden z nich, a co większa luter, zmiłował się nad nim. Odzianego w swój kożuch, włożył na konia jak sakwy i przyprowadził do karczmy, nad mostem będącej. Tam rotmistrz jeden, kupiwszy od baby pierzynę, zaszyć go w nią kazał, i włożywszy na furę, odesłał za Malczewskim, przy którym był felczer. Owemu zaś miłośniemu chłopu oddał kożuch i dał mu nagrody ośm złotych. Z takich ran ciężkich i zinnem przejęty Judzki (bo był tego dnia przymrozek) nad spodziewanie wygoił się.

Nazajutrz Rossyanie z Pakości ruszyli za Malczewskim. Komendę nad Rossyanami miał Apraxyn, pod nim był Drewicz i inni oficerowie rosyjscy i dwie chorągwie ułanów królewskich. A lubo już mostu niezastali, bo już był według ordynansu Malczewskiego zrzucony, przeszli jednak przez brodek wedle mostu będący, z piechotą i armatą. Malczewski zaś, niewiadomy brodu, a przeto zaufany, że się Rossyanie za nim bez mostu nieprzeprowadzą, przenocowawszy w Markowicach, milę od Mątów odległych, stanął na południe w Strzelnie, miasteczku. — Ledwie co tam stawał, przybiegł jakiś szlachcic na koniu w opończy, dając znać Malczewskiemu, że się Rossyanie pod Mątwaną przeprawiają. Spojrzał Malczewski surowo i z miną pomieszaną na oficera, któremu dozór zepsucia mostu polecił. „A jakto wpan ordynans wypełnił?“ Oficer odpowiedział: „Wypełniłem doskonale; wolno mnie wziąć w areszt, a posłać tymczasem kogo do obaczenia, że most zrzucony.“ Towarzysz jeden na ten dyskurs odezwał się do Malczewskiego: „Prawda, jasnie wielmożny marszałku, że most zrzucony; bo nas jedenastu, niezastawszy już mostu, przeprawiliśmy się około niego w bród, który niebył głębszy, jak pod brzuch koniom.“ — Żukowski, podwojewodzy kaliski, od kilku niedziel przed tém zdarzeniem w konfederacyi zjawiony, nakształt konsyliarza przy Malczewskim wieszający się, który przeprawę za Montwy był doradcą, odezwał się na mowę



towarzysza: „To pewnie jmc pan brat (pokazując na owego szlachcica, znać o Rossyanach dającego) widział wacpanów przeprawiających się, i rozumiał, że to Moskale, którzy tym brodem z piechotą i armatą nigdy przeprawić się niemogą.“ — Szlachcic, zapewne z daleka obaczywszy początek przeprawy rossyjskiej, i z tém, co postrzegł, co tchu pobiegłszy do Malczewskiego, odurzony wnioskiem Żukowskiego, wpadł w wątpliwość o swoim widzeniu i zamilkł, nieśmiejąc potwierdzać za prawdę tego, co widział; a Malczewski, nieużywany ani tyle rostopności, żeby był kogo wyprawił na dotarczkę ku Moutwom, uwierzył zupełnie Żukowskiemu. Zjadł obiad spokojnie w Strzelnie i pociągnął na noc do Wilczyna, które miasteczko opasawszy do koła dywizjami, sam z konsyliarzami swymi i sztabem roztaşował się we dworze, jakby w największym bezpieczeństwie.

Rossyanie, wysuszywszy się po brodzie pod Mątłami, przyciągnęli rano w wielki wtorek pod Wilczyn. Szczęściem, że Morawskiemu dostało się stanowisko od ich przyjscia, który na sobie Rossyan z godzinę zatrzymał, gdy tymczasem Malczewski z swoją rotą i konsyliarzami i owym panem Żukowskim mogli dosieść koni, i wyszedłszy na drugą stronę Wilczyna, udać się w bory, stamtąd o trzy mile nocleg sobie wygodny założywszy. Toż uczyniły i drugie komendy, pierzchnąwszy zaraz na bok za przybyciem Rossyan. — Morawski także, po danym jakim takim odporze pierwszym strażom nieprzyjaciela, gdy się większa jego siła zwała, uszedł w bory, mając pod sobą konia postrzelonego. — Z pięćset koni konfederatów z pułku Sieraszewskiego i Skórzewskiego, tudzież Grabowskiego, odważniejszych, wyciągnąwszy na drugą stronę Wilczyna w pole bardzo lgnące, poczęli się uganiać z kozakami, sięgając się z karabinków i pistoletów; ale postrzegli, że im z drugiego skrzydła zachodzi ciężka dragonia i ułany królewskie, pierzchnęli raptem w bór bliski, bardzo gęsty. Tam zetknąwszy się w jedną drożynę wąską, niemogli się ani odstrzeliwać, ani odcinać, ani żadnego obrotu czynić: musieli zatem wciąż uciekać i ginąć, albo z koni padających przez wywroty, salwować się w gęstwinę. Półtóry mili takim gąszczem uciekając, nieodrachowało się ich z całej kwoty jak czterdziestu, którzy wypłatawszy się z owęj gęstwy za jeden rów, mostek i karczmisko puste, trochę się zatrzymali. Rossyanie też, nie-

mogąc w owęj gęstwinie rozszerzyć się w linią, będąc wstrzymani ogniem ręcznym od owych czterdziestu, dalej ich nieścigali. Zginęło w téj akcji konfederatów zabitych, rannionych i połapanych do pięciuset. Którzy uszli z rąk rossyjskich, pościgali się do Konina, potem trzeciego dnia do Malczewskiego do Turka, miasteczka arcybiskupskiego. — Tam Malczewski odebrawszy od rotmistrzów przysięgę wierności, jako konfederacyi do ostatniego tchu nieodstąpią, i jako się za ordynansem do jego komendy stawia, rozpuścił dywizye. Sam się zaś schronił do Szląska do Sztramburga, gdy wtenczas jeszcze król pruski obojętném okiem na konfederatów poglądał. Pułkownicy i rotmistrze, idąc za przykładem swego wodza, komendy swoje z podobnym obowiązkiem, jaki sami przyjęli od Malczewskiego, porzucali. Tak konfederacya wielkopolska, blisko półtoraroczném uchodzeniem przed Rossyanami znużona, pierwszego bez kapitulacyi dostąpiła zawieszenia broni. Rossyanie, niemając kogo gonić, poszli do Kalisza, skąd w kilka dni przenieśli się do Poznania. — Ów zaś Żukowski, zważając szemranie przeciw sobie powszechnie konfederatów, poczytujących go za zdrajcę, a stąd obawiając się, aby życiem nieprzyplacił téj suspicyi, bądź sprawiedliwej, bądź niesprawiedliwej, wyniósł się także do Szląska do Głogowa, 4 mile za Wschową leżącego, gdzie mieszkał przez cały czas trwającej konfederacyi.

Morawski i Kropocki, rotmistrze, nierozpuszcili swoich dywizyi. Chodzili kilka dni w kupie, a potem się rozłączyli, nie chcąc jeden drugiemu podlegać, z ludzi zaś swoich, ubiegających się za furazami, do kłótni między sobą będąc zmuszonymi. — Kropocki nie godnego wzmianki niedokazał, chodził opodał nieprzyjaciela, z którym niechciał się widzieć, chyba niespodzianie napadnięty i rozpłoszony, a po rozpłoszeniu znowu się zbierający.

Morawski chodził około Gniezna i często przebywał w samém Gnieźnie, na którego Rossyanie wszystkę bacność swoją obrócili. Niemiał on wtenczas więcej nad 90 ludzi, z którymi oganiał się Rossyanom, i napastował ich czasem i dwa razy na dzień; dopiero atakowany, dawszy żwawe obroty i uszedłszy zręcznie, jużci znowu z drugiej strony napadł na nich, ubił kilku lub kilkunastu, i narobiwszy hałasu, znowu obronną ręką uszedł w bory.

Gdy Rossyjanie niemogli pojąć języka, gdzie się Morawski schronił, poszukawszy go tu i owdzie, wracali się do Poznania, Morawski zaś do Gniezna. Dowiedziawszy się o nim, schodzili na niego tak spieszo, że wyszedłszy z Poznania o godzinie drugiej po północy, stawali w Gnieźnie (sześć mil drogi miejsce od miejsca) z piechotą i armatą na godzinę jedenastą przedpołudniem. Niewchodzili do Gniezna jednym traktem, ale wszystkimi ulicami i ścieżkami; i gdy tak już opanowali wszystkie szlaki, Morawski za pierwszym wystrzeleniem na pikiecie wypadł do nich obcesowo, czasem tylko w kilka koni, biegając tu i owdzie pomiędzy Rossyjanami, gdy tymczasem jego ludzie zbiegali się jak mogli do kupy: to przez ogrody, to przez furtki tylne różnych domów, tak, iż Rossyjanie w każdym kącie widząc snujących się i uciekających z nimi konfederatów, sami także musieli się mieszać i biegać bez porządku, bez ładu, jedni naprzeciw drugim, dając tym sposobem Morawskiemu łatwość zebrania swojej garstki i przerznięcia się z nimi którąkolwiek łatwiejszą stroną. Soldaty rossyjskie tak się go bali, że gdy krzyknął na nich i natarł z impetem, miasto zastępowania mu, uciekali do domów, co mu ułatwiało przestwór. Raz zeszli go jedzącego obiad u Morawskiego, oficyała gnieźnieńskiego, gdzie był tylko sam jeden pieszo, niemając tylko pistolety na tasaku i szablę przy boku. Usłyszawszy wrzawę i strzelanie na ulicach, wypadł co prędzej z kurii, do której dobiegał kozak. Strzelił do niego, zwałił go z konia, a dosiadłszy sam hyżo tegoż konia, poszedł na przebój z szablą w rękę, aż się złączył z swoimi, uganiającymi się z Rossyjanami po ulicach.

Takie potyczki służyły mu zawsze z pożytkiem, z małą, albo czasem z żadną stratą swoich, a z szkodą nieprzyjaciela w mieście pełnem zakrętów, pagórków i dolin, jemu jako rodakowi tautejszemu dobrze świadomym, nieprzyjacielowi zaś obawę zasadzek sprawujących, który przeto trzymał się główniejszą siłą swoją tylko większych ulic. Morawski tedy pobiegawszy takim sposobem między ogniem rossyjskim, dachy, okna i ściany budynków najwięcej rażącym, wysforował się z swoimi w pole i dalej w bór najbliższy, za którym Rossyjanie, znużeni marszem i owém harcowaniem, słabo i krótko gonili.

Jednego razu, po dzienną taką utarczce, przyszedł do miasta w nocy z sześciu innymi, podszedł cichaczem sztyld-

wacha drzemiącego przy armacie, na karabinie rękami wspartego: rozplątał mu szablą głowę, a armatę porwawszy z drugimi swymi, wprowadził do pustej piwnicy, i to zrobiwszy, wyszedł z miasta tedy, którędy przyszedł. Ledwo co był za miastem, kiedy usłyszał larum i wrzawę wielką, którą uczynili Rossyanie, postrzegłszy podczas obluzu zabitego szyldwacha i armatę wziętą. Dopiero się domyślili, kto im tę sztukę zrobił, gdy armatę znaleźli, a nikogo obcego w mieście niewyszłakowali. — Ta i podobne sztuki, wyrządzane Rossyanom, hańbiennie wstydziły i gniewały ich. — Dla tego wszystkich szpiegów i płatnych i przymuszanych używali, aby go gdzie obskoczyć i złapać mogli.

Otóż, ledwo im raz niewpadł w ręce. Popasem stanął w opactwie lędzkiem z dywizją swoją u Hlowieckiego opata. Jest to opactwo cystersów, które z klasztorem opasane w półkręga murem o jednej bramie, podpływa rzeka Warta, wzdłuż dziedzica brzegi przykre, rokiciną zarosłe i błotniste mająca. — Rossyanie zaś pod komendą samego generała Apraxyna, w liczbie 300 koni dragonów i kozaków, na szczęście podjazdujący, stanęli w Słupcy, mieście biskupa poznańskiego, półtory mili od Łędu odległym, niewiedząc, że tak niedaleko nich jest ten, którego szukają. Lecz skoro im dał znać o nim jeden młynarz, który widział, kiedy Morawski stanął w Łędzie, natychmiast pędem przypadli do Łędu. Morawski nie miał innej drogi do ucieczki, tylko prosto w bramę, w której już byli Rossyanie, nim on zdążył dosieść konia, usłyszawszy wystrzał na pięcie. Uderzył tedy prosto w bramę z pistoletem i szablą w rękę i przerznął się szczęśliwie przez dragonów w bramę wpadających. Ludzie jego, będąc roztaszowani, którzy niemogli dopaść koni, pouciekali pieszo i pokryli się gdzie który mógł, po ogrodach, po sadach, po stodołach, skąd po wybieżeniu Rossyan z opactwa, za Morawskim pouchodzili w swoje strony. Kilku atoli z nich złapano. Morawski, wydobywszy się z ciasnizny na przestwór, musiał wciąż uciekać, niemając za sobą tylko kilkunastu swoich, a zatem niebędąc w stanie czynić jakie odwroty w czystym polu, w którym łatwo by mógł być obskoczony i złapany, lub zabity. Apraxyn z dragonią wrócił się do Łędu, skoro się mu z rąk Morawski wysliznął, kazawszy ścigać go kozakami. — Pod Wierzbnem, wioską o milę od Łędu, padł koń pod nim, z którego szybko

skoczywszy, nieciężko pieszo przez płot, mając na sobie tylko karabinek i szablę przy boku, w którym momencie został pchnięty spisą od kozaka pod nos w wierzchnią wargę, z której ciekąca krew po gębie, po brodzie i po szyi, wydawała kozakowi, jakoby w gardło ugodził Morawskiego. Drugi kozak, w tymże punkcie czasu zaczepionemu o płot za szarawary (dla tego ich odtąd nigdy nienosił), zerwał spisą czapkę z głowy; Morawski zaś wypłatawszy się z płota, uszedł na błota konnym niedostępnym, i wypaliwszy z karabina, ubił z tych dwóch, którzy go dojeżdżali, jednego. Kozak drugi pozostały przyniósł do Łędu czapkę Morawskiego, i przyprowadził konia jego, w błocie zwałanego. Apraxyn kazał poznawać złapanym konfederatom, czyje te rzeczy były? Odpowiedzieli oni: Morawskiego. Pytał się kozaka, jak tego dostał? odpowiedział kozak: ja jego ubił do śmierci. Pochwalił się w mniemaniu, że Morawski, pchnięty w gardło — jak się kozakowi zdawało — żyć niebędzie. Uradowany wielce Apraxyn tym zdarzeniem, pospieszył czémprędzej do Poznania, skąd natychmiast z ową czapką wyprawił sztafetę do Warszawy z doniesieniem, że Morawski zginął. Radość wielka w Warszawie. Księżę Wołkoński, ambasador i komendant generalny rossyjski, dał wielkie pochwały Apraxynowi, — ale większą jeszcze nagane, gdy Morawski we dwie niedziele po owej potyczce łędzkiej wybrał kontrybucyą w Swarzędzu od dyssydentów i pokazał się na górach między témże miastem i Poznaniem, milę drogi od siebie odległymi, w kilkadziesiąt koni, i nim się za nim Rossyanie wyprawili z Poznania, poszedł w bory ku Suchemulasowi, także milę drogi od Poznania. — Kozak, który się pochwalił ubiciem Morawskiego, dostał od Apraxyna na sześćset batożków pożałowania.

Okoliczność wiążących się coraz więcej konfederacyj w Małej-Polsce, czyli też potrzeba posilkwania armii, osłabionej wojną turecką, przymusiła Rossyan, że opuściwszy gonitwy niepożyteczne z Morawskim, wyciągnęli z Poznania i z całej Wielkopolski, niezostawiwszy tylko jedną komendę z kilkuset ludzi złożoną, po większej części dyssydentów zwerbowanych, niż rodowitych Rossyan, w prowincyi pruskiej w Toruniu.

Malczewski zatem, widząc bezpieczeństwo otworzone, wyszedł z swojej kryjówki z Sztramburga kontynuować scenę przerwanej wojownika. Pozwalał pułkowników i rotmi-

*Malczewski*  
X

strzów, a ci znowu swoje rozproszone rotę, nakazał nowe wyprawy i podatki, opanował komory solne i celne, grabiąc zewsząd pieniądze na potrzeby wojenne i swojej rozrzutności. Książętom Sułkowski, Augustowi i Antoniemu, pod pozorem jedności z konfederacją rekonfederacją knującą, posławszy do Leszna pułkownika Skórzewskiego z trzema dywizjami, niczego takiego tak prędko niespodziewającym się, zabrał 200 piechoty gotowej, dobrze umundurowanej i w broń opatrzonej, wtenczas właśnie, gdy ją książę Antoni w ogrodzie exercytował, i jego samego z kilką szlachty przy nim będącej, którzy wszyscy takim nagłym przydybaniem zmieszani, pokazali zmyśloną ochotę łączenia się z konfederacją pod dowództwo Malczewskiego, lecz wkrótce pokazali swego ducha, kiedy po kilku dniach puciekali z Poznania, jedni do Warszawy, drudzy do domów swoich. Do tej piechoty, Sułkowski zabranę, przywerbował więc, wszystkich do 600 ludzi, nazbierał od różnych panów kilkanaście sztuk armat; zgłę, w krótkim czasie wystawił znowu konfederację, do czterech przeszło tysięcy mocną.

### ***O izbie konsyliarskiej.***

Wtenczas to sklecił się izba konsyliarska, założona w Poznaniu z obywateli osiadłych, którzy do urzędów wojskowych, trudów i niebezpieczeństw pełnych i władzy jednego podległych czując wstręt w umyśle swoim delikatnym, wymyślili sposób wygodniejszy, przez rady służenia dobru publicznemu i dochodami jego dzielenia się z Malczewskim. Jakoż ta izba nie miała inszego zatrudnienia, tylko szperanie w dochodach konfederackich, zgarnianie ile ich mogli zgarnąć i zachwycić do kasy swojej, z tej najpierw wypłacać sobie lafy mieśeczne, stoły publiczne i inne wygody obmyślać, a dopiero wojskowym należytości gotowizną lub assygnacyami wypłacać, zgłę dochodów płynących zewsząd do Malczewskiego ile możliwości na swoją stronę odciągać. Drugie zatrudnienie, patenta na wakujące rangi wojskowe i uniwersały na podatki wydawać, naostatku rachunki od szafarzów skarbu publicznego, jak i kiedy tych składać je łaska była, odbierać.

Morawskiego, jako zasłużonego i w samej rzeczy jedyne go żołnierza czynnego w czasie obumarłej konfederacji, o której było wyżej, uczyniono pułkownikiem, przydano mu dwie

dywizye gotowe i pozwolono więcej werbować podług jego woli. Niemiał jednak nigdy więcej nad 500 ludzi, których często przestrajał. Raz formował huzarów, tych przebrał na dragonią. To znowu pocztowych na kozaków pewną liczbę w mundurach czerwonych takich, jakie mieli kozacy rossyjscy pułkownika natenczas Drewicza. Te odmiany robił w swojej dywizyi. Inni rotmistrze jego mieli w dywizjach swoich towarzystwo i pocztów. Naostatek zaczął zbierać do jazdy piechotę, ale ta niedługo trwała, jako będzie niżej. — To o Morawskim, teraz przystępuję do opisu stanu konfederacyi pod izbą konsyliarską.

Wszystkie pułki jezdne oporządzone były należycie w konie, broń i mundury. Już się pozbyło gałganów początkowych: słomianych kulbak czyli worów słomą wypchanych, mizernych szkapin, szabel w węgorskich pochwach, owczarskich bandoletów, myśliwskich rusznic z potrzaskanemi łożami i ładajakami zamkami, pistoletów na smyczy z szyi wiszących i innych wojennych gratów, w które się konfederacyi z początku jak mogli armowali, a które częstokroć zamiast obrony stawały się im zgubą, mianowicie pistolety, których po kilka par wozili około siebie towarzystwo i oficerowie: w olstrach parę, na tasaku z jednego boku parę, z drugiego parę, na smyczy parę. Te ostatnie w nagłym biegu, mianowicie przez bory w ucieczce bujając około jeźdźcy, zawinąwszy się o drzewo, ściągały go z konia i przytrzymały doganiającemu nieprzyjacielowi, a inne obciążonego lichego szkapinę mordowały i sedniły. — Niemiał potem żaden konfederat prosty i oficer jak jedną parę pistoletów w olstrach, drugą niektórzy na tasaku, karabinek i szablę. Mundury nastaly dla każdego pułku jednostajne, kurtki granatowe, żupany i rajtuzy czerwone, pasy siatkowe wełniane, czapki z wysokimi baranami, flintpasy i ładownice łośiowe, białe farbowane, wyjąwszy pułk Malczewskiego, który dla dystynkcyi od innych dał swojemu kurtki paliowe, żupany i rajtuzy zielone. — Piechota przybrana była po niemiecku. Rejzrok biały, kamizelka i pludry czerwone, na nogach bóty, na głowie kapelusz w trzy rogi zastósowany. Broń karabin z bagnetem, przy boku pałasz krótki. Ładownica czarna skórzana, na pasie łośiowym, żółtą glinką farbowanym; na którą piechotę przekształcali owych pacholców z miast wydanych, szablą, karabinem bez bagnetu i berdyszem w rękę uzbrojo-

nych. — Oficerowie tak konni jak piechotni, lśnili się od złota i srebra: w haftowanych mundurach, w czapkach złotem lub srebrem haftowanych, w kapeluszach suto galonowanych, w szerfach na przepych bogatych z czerwonego jedwabiu i srebra w siatkę dzierzganych, z kutasami massyflowymi, w szlufach na obu ramionach srebrnych massyflowych, które do dziś dnia zostały przy wojsku, jakoteż kurtki i rajtuzy, które od konfederacyi wznowione, stały się strojem wojska polskiego.

Płaca konfederatów: Marszałek brał co chciał i oprócz tego jako pułkownik na miesiąc trzydzieści czerwonych złotych. Regimentarz toż samo, gdy wybierając podatki przez swoich oficerów, pierwszym był do nich. Rotmistrz jazdy i kapitan piechoty na miesiąc osiemnaście czerwonych złotych, major oboźny toż samo, porucznik dwanaście czerwonych złotych, chorąży ośm czerwonych złotych, nanieśnik sześć czerwonych złotych, wachmistrz na tydzień dwadzieścia złotych, towarzysz toż samo, kapral ośm złotych, gimejny cztery złote, trębacz dwadzieścia cztery złotych. Oprócz tego na konie wszystkich szły futeraże z magazynów, i bardzo często mięsiwa z wołów, z baranów i drobiów na rotę rozdawane były. W marszach zaś wszelka wygoda wszystkim od wieśniaków i dworów. Z tém wszystkiém ta płaca urządzona wielu z prostych towarzyszków i gimejnow często niedochodziła, gdy oficerowie ich traktementa w karty i na debosz bezkarnie przemarnowawszy, z kwater na kredyt nigdy niezapłacony żywić się im kazali.

Izba konsyliarska, choć widziała zbytki i marnotrawstwo oficerów, niemogła ich poskromić, niemając żadnej władzy istotnej nad wojskiem, tylko próżne imię. Marszałek niedawał się jęj wdawać w szczególności, sam to sobie zostawiał, a izbie tyle tylko pozwalał, że jego urządzenia i dystrybucye tytułem swoim upoważniała. Dało się to widzieć, gdy niektórzy pułkownicy i rotmistrze, złożywszy koło pod Malanowem, wsią o mil dwie lub trzy od Kalisza, za cichém zezwoleniem Malczewskiego wykrzyknęli regimentarzem Antoniego Sieraszewskiego, regenta pod konfederacyą kaliskiego, a niedawno do niej przybyłego tylko rotmistrza, mimo wołą izby konsyliarskiej, która tę rangę miała oddać wkrótce Pawłowi Skórcewskiemu, pułkownikowi. To wykrzyknięcie było za tak ważne uważane, iż izba konsyliarska nieśmiała go aktem swoim



kassować, ani też, jako uwłaczające jój powadze, potwierdzić chciała; skąd między Sieraszewskim i Skórczewskim zajęła się główna nienawiść, o której będzie niżej.

### ***O potyczce pod Radominem.***

Izba konsyliarska, pod prezydencją Malczewskiego marszałka, dla bezpieczeństwa swego obstała się dokoła Poznania pułkami konnemi, przy sobie zaś umieściła piechotę, która była jój praesidium i assistencją, trzymając warty honorowe przed stancją każdego konsyliarza i bijąc werble przed każdym z nich, przechodzącym wedle odwachu.

Żeby zaś pokazała się czynną i w operacjach wojennych, tedy wysyłała komenderowanych od pułków i od piechoty, po kilkaset ludzi czasami, na podjazdy ku Toruniowi i Bydgoszczy lub Kcyni, gdy się do tych miejsc Rossyanie zbliżyli. Z tymi zaś komenderowanymi z Poznania obowiązany był pułkownik Morawski, ulokowany w Gnieźnie, łączyć się zawsze, bo w nim było największe zaufanie. Te podjazdy nie sławnego nie zrobiły. Pobawiwszy się godzinę jedną i drugą z nieprzyjacielem ogniem ręcznym, ustępowały z placu, na otrzymaniu którego też i nieprzyjaciół przestawał, znając szczupłą siłę swoją. — Mazowiecki także osobno chodzący około Torunia, zatrudniał Rossyan, że się zbliżyć ku Poznaniowi nie śmieli. Jednego razu będąc od nich w ciasnym miejscu otoczony, pisał o sukurs do Skórczewskiego i Morawskiego, w Bydgoszczy natenczas podjazdem będących. Wzięli to na uwagę pułkownicy z oficerami, i naradzili się, czy mogą iść na sukurs, niemając dalej ordynansu jak do Bydgoszczy. Uważając zaś, iż posyłać po ordynans do Poznania, byłoby sukurs spóźnić, i wiedząc, że izba konsyliarska bardziej od wojskowych, niż wojskowi od niej dependująca, nie co innego by im przysłała, tylko: „czyńcie, jak wam się lepiej zdaje“, ruszyli zaraz ku Mazowieckiemu, którego już w tém miejscu, skąd pisał o sukurs, nie zastali, — ani Rossyan, z których się obleżenia szczęśliwie wywikłał. Szukając tedy na los Rossyan, stanęli noclegiem w Gołubiu miasteczku, do którego nadszedł chłop z Radomina, o milę drogi od Gołubia wsi odległej, w której Rossyanie stanęli noclegiem w liczbie 350 piechoty i dragonii i 50 kozaków; konfederatów zaś było blisko do tysiąca. Uwiadomieni od chłopca, przyslanego do Gołubia po

wino dla tychże Rossyan, o bytności ich nieomylniej, ruszyli po północy dwiema traktami. Umowa była między pułkownikami, żeby jeden, który prędzej nadciągnie, niezacynał potyczki, aż póki drugi nieprzybędzie. — Lecz Morawski, zazdrośny sławy, chcąc ją sam całą pozyskać, nieczekając za Skórzewskim, przy którym było dwieście piechoty, wpadł z hałasem do wsi i tym sposobem Rossyan jeszcze śpiących pobudził, którzy go ze wsi armatą wypłoszywszy, zbiegli się do dworu, w którym się okopali. — Gdy Skórzewski nadciągnął, znowu się konfederaci wdarli do wsi, z którymi Rossyanie zapalili wieś, a konfederaci z Rossyanami gumna dworskie i stodoły. Tak strzelając się cały dzień w dymie strasznym między dwiema ogniami, wygubili Rossyan do 300 według relacji jednego kaprała złapanego. Zostało ich we dworze 50 i ci się utrzymali z komendantem. Bo konfederaci straciwszy także swoich do 200, oprócz ranionych 90, nad wieczorem odstąpili, niemogąc reszty okopanęj i armatą przystępu bliskiego broniącęj ponękać, do tego postraszeni między sobą sukursem, który Rossyanom nienadszedł aż nazajutrz. — Wieś cała i gumna dworskie poszły w perzynę. Sam tylko dwór, opodał od innych budynków będący, ocalał od pożaru. Pleban miejscowy, uchodząc z plebanii drewnianęj, ogniem płonącęj, do kościoła murowanego, na progu kościelnym od kuli armatniej rossyjskiej poległ. — Szlachcic także Pawłowski, dziedzic Radomina, ludzkość swoją gardłem przypłacił, i jakaś panna Morawska, zabici od księcia Wołkońskiego, komendanta rossyjskiego, z suspicji: iż oni pod pozorem wina posłali chłopą do Gołubia dla dania znać konfederatom; lubo ta wiadomość dostała się trafunkiem konfederatom od pomienionego chłopą, w rzeczy samęj po wino do Gołubia bez wiadomości o konfederatach postanego.

Ta potyczka działa się bez porządku i rozporządzenia żadnego. Piechota stanąwszy na polu pod przywództwem Laszczyńskiego, pułkownika starego, stała w linii na polu prosto w dwór o strzelenie z armaty cały dzień. Niektórzy tylko z niej i konnica, pozsiadawszy z koni, przybliżali się do Rossyan, sypiąc na nich rześisty ogień z ręcznej strzelby z za budynków palących się i najbardziej z sadu. Między zabitymi został jeden chorąży od piechoty konfederackiej, nazwiskiem Gliński, któremu zaraz na powitaniu, przed front wysuniętemu,

kula armatnia pół twarzy wyrwała. — Skórzewski pułkownik, obiegał całą wieś z niektórymi śmielszymi, stąd i z owąd czając się z za pagórków i drzew, strzelając do nieprzyjaciela, żądłego parządnego ataku jako komendant całej siły konfederackiej nieuczyniwszy. Owszém w samo południe kazawszy umknąć się ze wsi opodal konfederatom i zaniechać ognia blisko dwóch godzin, pisał do komendanta rossyjskiego przez trębacza, aby się poddał; który bilet pomieniony komendant w oczach tegoż trębacza podał i nogami podeptał, z takim responsem trębacza odprawiwszy. Ta przerwa ataku dała czas Rossyanom opatrzenia się w świeże ładunki, na których im zbywało; w tymże czasie podstarości miejscowy znalazł sposobność uciec do konfederatów, i on tę relacją o zabiciu pana i panny wyżej wspomnianych i o przyczynie zabicia ich uczynił.

Morawski w téj potyczce, jakoteż w innych, od tego czasu, jak został pułkownikiem, nie znacznego niedokazał. Ochramiał się aż nadto, zawsze na ustroniu w potyczce stojąc i tylko się przypatrując. Dawano przyczynę takićj jego oziębłości, iż mu żał było ginąć od pieniędzy, których po nieboszczykach kozakach, zazwyczaj trzosami opatrzonych, własną ręką swoją w niższej randze będąc, przeszło 200 sprzątnionych, nabierał.

Po potyczce Radomińskiej konfederaci, przenocowawszy w Gołubiu, przeprawili się nazajutrz przez Wisłę do Nieszwawy.

Rossyanie zaś, dostawszy sukursu, pozbierawszy swoich zabitych i ranionych, udali się ku Toruniowi, w którym marszu natrafiwszy na Mazowieckiego, jego komendę rozploszyli.

Gdyby byli Rossyanie odważyli się pójść za konfederatami, byłiby się nad nimi nad przewozem nieladajako zemścili. Morawski albowiem z płochćj swawoli, chcąc spróbować serca Skórzewskiego, zmyślił trwogę. Przeprawiwszy się sam z dwiema dywizyami swemi za Wisłę, a dwie na drugiej stronie przy pułku Skórzewskiego zostawiwszy, kazał jednę z swoich dywizyi, która była po kozacku w czerwone kontusze i granatowe żupany ubrana z spisami, zatrzymać się w lasku, o kilkoro staj od przewozu będącym, a potem, gdy jedni byli w promach, drudzy jeszcze na brzegu, tymże po kozacku ubranym kazał wypaść nagle z owego lasku z hałasem i impetem: co takie zamieszanie zrobiło, że jedni przeładowawszy promy, one zatopili, szczęściem że na brzegu, drudzy w wodę powskakiwali, chcąc się wpław salwować. Jeden przecież rotmistrz,

któremu się ta płochość pułkownika Morawskiego niepodobała, wyprowadził z tego zamieszania przeleknionych, kazawszy swojej rocie zsiść z koni i zbierać z łąki siano, choć mu niebyło potrzebne: po której robocie poznali konfederaci, że owi kozacy, pędzący z lasu, niebyli rossyjscy, ale swoi. Tysiącem przekleństw i hałasu okrzykli ludzi pomienionych Morawskiego i chcieli porucznika nimi przywodzącego krajać pałaszami, gdyby się był ordynansem pułkownika niezmógł.

Z okazji tej potyczki Radomińskiej, acz w samej rzeczy nikczemnej, wielkie były uczty w Poznaniu. Dano znaczne rekompensy w pieniądzach obiema pułkownikom i innym oficerom. A lubo Skórzewski oskarżał Morawskiego o porywczność, że nieczekając za nim podług umowy, wpadł z hałasem do Radomina i pobudził Rossyan, których, zaczekawszy za sobą, mogliby byli śpiących wyrznać: że z okazji tego alarmu została wieś spalona, szlachcic zabity i pomyślność bitwy stała się trudna: że nad przewozem zrobił trwogę, wstyd czyniąc konfederacyi, nic to jednak niezaszkodziło Morawskiemu, nad którego i oskarżający nic lepszego nie zrobił, przeciw któremu Morawski wywodził, że opieszało przybył na plac potyczki, bo już dobrze na dzień, a wtedy ciche podejście nieprzyjaciela czuwającego byłoby nic nienadało; że piechotę, pod swoją komendą zostającą, cały czas akcji trzymał na polu nieczynną; że nieśmiał z nią, jako sposobniejszą od konnicy do ataku, natrzeć na nieprzyjaciela okopanego; że próżnym kapitulacyi tentowaniem dał mu czas do przysposobienia się w ładunki; że trwogą zmyśloną nad przewozem chciał spróbować serc żołnierzy Skórzewskiego, które pokazały się lękliwe. — Obiedwie tedy skargi za nic zostały poczytane, a rzecz, która się stała, za zaszczyt konfederacyi uznana.

### ***o izbie konsyliarskiej.***

Taki był sukces konfederacyi z pół roku pod izbą konsyliarską, z którą nareszcie Malczewski uradził pójść z wyborem siły prosto do Warszawy, złapać lub wygnać króla, panów sprzyjających Rossyi połapać, pobić, wojska koronne zabrać, zgęła samo źródło, wylewające różne nieszczęścia na kraj, zniszczyć. — Ta rada była pod wielkim sekretem. — Nim jednak Malczewski ruszył z Poznania, już o wszystkiém wiadano w Warszawie; bo połowa izby konsyliarskiej była zło-

żona z duchów dworskich, z umysłu do konfederacyi subordynowanych, aby przeszkadzali dobrym zamysłom, a naprowadzali na trudne do wykonania, i o wszystkiém, co się dzieje w konfederacyi, Warszawie donosili.

Zostawił Malczewski dla strzeżenia Rossyan toruńskich, aby za nim pójść niemogli, Skórzewskiego i Morawskiego pułkowników z ich pułkami w Wielkiej-Polsce, którzy częstemi podjazdami ku Toruniowi, Bydgoszczy i Kcyni wspomnianych Rossyan zabawiali. Sam zaś Malczewski z resztą całą konfederacyi konnej, z piechotą i armatą udał się ku Warszawie.

### ***O końcu izby konsyliarskiej i o Malczewskim.***

Izba konsyliarska niemając przy sobie żadnej straży, rozjechała się do domów, i ten rozjazd był oraz jój końcem; bowiem się więcej niezgromadziła: uważwszy, iż Malczewski nie innym końcem garnizon z Poznania wyciągnął, i wszystkie pułki około Poznania rozlokowane pod Warszawę zabrał, tylko, ażeby tym sposobem izbę konsyliarską, z bezpieczeństwa огоłoconą, skasował. Jakoż ta izba, gdyby najbardziej do trwania swego była obligowana, nigdyby bez straży żołnierskiej w Poznaniu niedosiedziała: która jednego razu fałszywie kozaków Morawskiego, konwojujących ranionych pod Radominem do lazaretu generalnego poznańskiego, wzięwszy za rossyjskich, nieczekając na powrót wysłanych przeciw nim na dotarczkę, z czém powrócą, sromotnie na wozach chłopskich, w rynku będących, z Poznania uciekła, choć jeszcze wtenczas garnizonem obsadzony był.

### ***O potyczce Malczewskiego pod Bloniem.***

Malczewski pod Bloniem, miasteczkiem mil 4 od Warszawy odległym, spotkał Rossyan przeciw sobie idących pod sprawą księcia Galiczyzna, właśnie wtenczas, kiedy się przeprawili przez błota i mosty, pod témże miasteczkiem będące. Udybawszy Galiczyzn w tak złém położeniu Malczewskiego, stoczył z nim bitwę, która nietrwała więcej nad godzinę czasu, rozplószył całą konfederacyą, położył na placu blisko lub więcej 200, tyle drugie zabrał w niewolą, reszta poszła w rozsypkę, zostawivszy Rossyanom w zdobyczy wszystkie armaty, amunicyą i tabor. Galiczyzn niegonił dalej za konfederatami,

w różne strony rozpiezchnionymi, powrócił do Warszawy z tryumfem, gdzie od dworu z wielką radością był przyjęty. Albowiem, lubo ta konfederacya nigdzie nic sławnego niedokazała, samo jednak jój przedsięwzięcie wielkie, w odpowiadającą mu siłę opatrzone, przerażało strachem Warszawę, tak dalece, że i król i poseł rossyjski i panowie polscy sprzyjający dworowi, mieli się na pogotowiu do ucieczki, gdyby się była Galiczynowi noga powinęła, wiedząc, że w Warszawie między wojskiem polskiem i pospólstwem było tak wielu, którzy tylko czekali na moment szczęśliwy za przybyciem konfederatów złączenia się z nimi, i porwania się do broni, przygotowanej na wygubienie Moskwy i jój partyzantów. Lecz tych wszystkich odpadła fantazyja, gdy obaczyli Rossyan, prowadzących w pęta-  
tach konfederatów i zdobycz im zabraną.

Malczewski, po téj porażce, najsromotniejszój stąd, że się kusił o opanowanie całej Warszawy, a kilkuset Rossyanom nierównie większą siłą swoją opręć się niezdolał, już się nie śmiał pokazać do wojska. Udał się do generalności do Preszowa, dywizye zaś i pułki konfederackie, pozbierawszy się po rozsypce Błońskiej, rozdzieliły się na trzy partye. Sieraszewski regimentarz miał największą, z różnych ułamków zebraną; chodził z nią około Kalisza. Skórzewski, nieuznający Sieraszewskiego regimentarzem, z swoim pułkiem i z niektórymi do niego przyczepionymi od innych pułków, udał się za Noteć rzekę ku granicy brandenburskiej. Morawski lokował się w Poznaniu, od pierwszego ani drugiego nie dependując, pod pretekstem niewchodzenia w ich rozterki o regimentarstwo, dotąd nierozstrzygnięte, gdzie przy wygodném życiu siedział nieczynny blisko czterech niedziel. — Tu dał przyczynę pryncypalniejszym obywatelom wielkopolskim do zmienawidzenia siebie, co mu potem wielce zaszkodziło, jako się powie, gdy będzie o jego niewoli. Albowiem choć nie miał nic do czynienia, tylko zabawki dziecinne z swoim synkiem pięcioletnim, gdy ten małą szabelką swoją rąbał po sukniach oficerów, albo gdy osóbkę porcelanową, stojącą na kominie Rejfelta kupca, w którego stał kamienicy, — podniesiony na rękę, ścinał, albo szyby w oknach wycinał. Gdy który z panów chciał go wizytować, niekazał go do siebie warcie stojącej przed drzwiami puszczać; niektórych zaś, wdzierających się do jego pokoju, własną ręką, sfukawszy słowami, wypychał. — Wychodził też czasem za

miasto z konnicą czynić ćwiczenia wojenne, w których się jedni z drugimi na koniach bez porządku uganiali i pałaszami w dopadki płażowali. On zaś miał ukontentowanie, gdy którego, bądź prostego, bądź ofieera, silnym razem dojechał w kark lub przez plecy, że się od takiego żartu musiał gorzałką z mydłem kilka dni smarować. Toż znowu w takimże nieporządku biegającym, kazał jednemu ku drugiemu z pistoletów lub z karabinków strzelać, nieuczyniwszy wprzód rewizyi, czy ślepem czy ostremi ładunkami były nabite. Kulę zatem bardzo często gwizdały po powietrzu; skąd się trafiło, że jeden rzeźnik poznański, przypatrując się z muru takowym gonitwom, ugodzony kulą w sam rozum, na miejscu został zabitym. O to nie było żadnej indagaeyi, kto wystrzelił. Morawski to w śmiech obrócił, powiedziawszy: »na co się błazen przypatrywał temu, co do niego nienależało« — Do téj nieforemności obyczajów przystąpiło pijaństwo, które już odtąd w nim znacznie wydawać się zaczęło, z przykładu szefa rozehodząc się po oficerach i gimejnach.

### **O Morawskim.**

Czyli z ogólnej przyezyny nękania konfедераeyi, czyli też (jak było słyhać) na instancyą panów wielkopolskich, chcących się pozbyć z Poznania Morawskiego znienawidzonego, nadciągnął Ren pułkownik w 600 dragonii swego pułku, w 300 koni kozaków, 500 piechoty i kilką armat; o którego marszu przestrzeżony Morawski, odrzuciwszy radę bronienia się w mieście Gordona pułkownika z konfедераeyą pruską pod miasto zbliżonego, na trzy dni przed Renem wyszedł z Poznania z czterema dywizyami, zostawiwszy w mieście na pozor obrony 50 piechoty nowo zrekrutowanej, w broń opatrzonej, 150 rekrutów téjże bez broni i mundurów, tylko z kijami będącej, 40 dragonii na koniach dobranych, w mundurach i z bronią należytą, tudzież 50 lekkiej jazdy, po kozaeku ubraniej, pod komendą jednego rotmistrza. Ledwo wyszedł za Poznań, podzielił zaraz w różne strony dywizye swoje, niechęć trzymać się w znacznej sile, nieumiejąc ją rządzić. Dywizye te, wyprowadzone z Poznania, od Rossyan, dwiema traktami ciągnących, jedna po drugiej zostały rozproszone. Morawski z swoją udał się daleko w bok Rossyan, że go los podobny niedosięgnął, aż po chwili. — Przysłał zaraz nazajutrz po wyjściu swo-

jém z Poznania ordynans komendzie zostawionéj w Poznaniu, aby z niego natychmiast wyciągnęła i udała się ku Zbąszyniowi, gdzie miała odebrać dalszy ordynans. — Ten ordynans przez mieszczańkę z Czempińska, mil kilka od Poznania odległego, niedoszedł komendanta aż trzeciego dnia przed wieczorem. Lecz trudno było ludzi rozpuszczonych i bez karności należytej zepsutych tegoż momentu wyciągnąć z kwatery; dla tego dopiero nazajutrz, o godzinie szóstéj zrana wyszli jedni za komendantem, a drudzy w liczbie 40 przeszło jeszcze się w mieście na śniadaniu i pożegnanii pozostali, z których Rosyanie, tuż za konfederatami wchodzący do Poznania, jednych pozabijali, drugich w niewolę pobrali. — Uprzątnąwszy tym sposobem Poznań z konfederatów przydybanych, wyprawił Ren pułkownik kozaków za pierwszymi, którzy wyszedłszy z Poznania, jako się wyżej wyraziło, stanęli popasem w Tarnówce, wsi dwie mile od Poznania odległej, w której się po kwaterach, niespodziewając się téj pogoni, roztaszowali. Tam komendant konfederacki, zebrawszy co mógł na prędce jazdy i piechoty w broń opatrzoną, uganiał się po wsi z kozakami blisko dwóch godzin, aż gdy ci zapalili wieś, wyszedł w pole, odstrzelując się kozakom nacierającym przez milę drogi, niestraciwszy ani jednego z swoich, ani też nieubiwszy żadnego kozaka, którzy obyczajem swoim tylko z daleka obiegając konfederatów i kwicząc, natrzeć na piechotę i jazdę, często się do nich zwracającą, nieśmieli. — Konfederaci zatrzymali się w Janówkach i tam nocowali, z lepszą niż na popasie ostrożnością, kozacy zaś wrócili się do Tarnowskiej wsi, w której niemal wszystkich owych bezbronnych rekrutów, z chałup palących się uciekających, połapali i do Poznania z taborem zabranym konfederatom zaprowadzili. Konfederaci przenocowawszy w Janówkach, ciągnąc ku Zbąszyniowi podług ordynansu, zeszli się z drugimi błąkającymi się z pułków Malczewskiego, Miaskowskiego i Radolińskiego. Ci wszyscy i z Morawskiego ludźmi ulokowali się na jednéj kępie pod Zbąszyniem, dokoła wodami wielkimi podówczas, jako bywać zwykło na wiosnę, oblanej, opatrzywszy się w proviant i futeraż na kilka niedziel, a dostawszy się na nią promami i tratwami, ale bez dalszego widoku, coby im czynić wypadało, gdyby po strawieniu żywności żadnej odsieczy nieotrzymali, a od Rosyan obleżeni zostali. Jakoż Rosyanie, dowiedziawszy się o takim uloko-



waniu konfederatów, podstąpić pod kępę z piechotą i armatą niezaniebali. Mieli między sobą konfederaci niedawno przybyłego do siebie kapitana Wyganowskiego, brata rodzonego opata sulejowskiego. Ten udał, iż dla obrony wiary i wolności porzucił służbę w regimencie generała Golcza, poczęści od konfederatów zabranym. Ten znający służbę żołnierską i będący serca dobrego, zjednał sobie u konfederatów wzięcie. Jego to rada była ową kępę opanować. Lecz gdy Rosssyanie pod nią podstąpili i wysłali trębacza do konfederatów z propozycją, aby się poddali, deklarując im pardon i wolne rozejście się z bronią i wszelką własnością do domów, byle się rewersowali, że przeciw Rossyi i królowi swemu służyć więcej przy żadnym korpusie niebędą, Wyganowski zdrajca począł perswadować konfederatom, iż tak dobrej okazji wyjścia z onęj kępy, do czasu tylko opadnięcia wód schronieniem bezpiecznym być mogącą, trzeba się chwycić; że rewersa dane nieprzeszkodzą dalszej służbie, jako przysięgą mocniejszą niż wymuszone rewersa obowiązującą. Temi łuwagami nabechtani konfederaci przyjęli ową kapitulacyą: lecz skoro wyszli z promów, natychmiast od Rosssyan otoczeni, rozbrojeni i jako niewolnicy w dybach i więzach do Poznania prowadzeni zostali. Sam tylko Wyganowski, zostawiony przy broni i swoim ekwipażu, poszedł z Rosssyanami do Poznania, pod pretextem, że to był żołnierz komputowy, którego rewersowi dla tego zawierzać można. Pewnikiem Rosssyanie wiedzieli, komu wierzyć, gdyż był ich przyjacielem. — Tego Wyganowskiego w krótkim czasie przejeżdżającego przez Pakość wózkiem parą końmi, złapał Piotrowski, porucznik z dywizyi rotmistrza Brzozowskiego, okuwszy w kajdany, przywiózł do Zarenby, natenczas już regimentarza generalnego konfederacyi wielkopolskiej (jako się niżej da widzieć). Zarenba, bliski sąsiad Sulejowa, zawsze na dal patrzący, mając wzgląd na braci Wyganowskiego, słusznych obywateli, to jest jednego opata sulejowskiego, drugiego sławnego patrona pierwszej klasy trybunalskiego i komornika granicznego wschowskiego, niechęcia zatrudniać się złapanym Wyganowskim kapitanem, pod pozorem: iż ten, nimby został przyzwołenymi inkwizycyami przekonany, trzyniany w areszcie za wojskiem w marszu ustawicznym będącym, mógłby uciec, dla tego kazał go pomienionemu Piotrowskiemu zaprowadzić do Częstochowy do Puławskiego. Ten zaś, niezatrudniając się

żadnemi konsekwencyami, tylko patrząc na rzecz uczynkową, złożył na niego sąd wojskowy, mocą którego Wyganowski został na szubienicę skazany, lecz na prośbę usilną jegoż samego, aby przynajmniej po żołniersku zginął, został rozstrzelany.

Tak tedy pułk Morawskiego, wyszedłszy z Poznania, w dwóch niedzielach niszczał. Sam Morawski z jedną swoją dywizją mającąc tu i owdzie, w Kościanie mieście przydybany od Rossyan, zwiódł z nimi potyczkę w samém mieście, ale nieszczęśliwą; bowiem gdy w jednej bramie od Poznania stał się tego broniąc przystępu, Rossyanie przeprowadzeni od chłopów brodem przez rzekę oblewającą Kościan, uderzyli na niego z tyłu, gdzie połowę ludzi stracił i ojca starca, który się przy synu wieszał. Sam z drugą połową przerznął się przez nieprzyjaciela.

### ***O pierwszej niewoli Morawskiego.***

W kilka dni po téj potyczce udał się ku Poznaniowi, chcąc (jak miał zwyczaj z początku) napaść w nocy na pikiety rossyjskie i narobić trwogi stojącym w mieście. W tym marszu pod Łęczycą, wsią, milę drogi od Poznania odległą, napadł dziada wyprawionego od Rossyan na szukanie jego samego. Zapytany dziad skąd i po co? zaraz się przyznał, że jest wysłany z Poznania od Rena pułkownika szukać Morawskiego. Morawski, gorzalką zmroczony, odpowiedział: „Ja jestem Morawski, wróć do Poznania i powiedz tym kłom, że ich tu czekam w karczmie.“ Jakoż dotrzymał słowa. Albowiem znużony snem, stanął w karczmie, kazał ludziom trzymać konie w ręku, sam zaś odpasawszy szablę od boku, i kazawszy ją, dużo poszczerbioną w rozprawie Kościańskiej, wytoczyć chłopu na toczydle u kowala, blisko karczmy będącego, porzucił się na łożu karczmarzem.

Dziad ów według rozkazu Morawskiego, pobiegł czémprędzej do Poznania. Rossyanie natychmiast w 300 koni wybiegli do Łęczycy: otoczyli dokoła karczmę, a niesłyszając nikogo, tylko konie parskające, zsiadłszy z koni, weszli do stajni: tam uderzywszy na pierwszych wrót bliższych, kilku z nich zabili; na huk strzelby i rozruch ocuceni wszyscy, przy ciemnej nocy i deszczu lejącym, jedni pieszo, drudzy konno, jak który mógł, na przebój lub cichaczem pouciekali. Morawski w izbie, od

stancyi zwyczajem wielkopolskim odległej, tak twardo zasnął, że niesłyszał ani hałasu, ani strzelania, ledwo się ocucił zwleczony z łóżka na ziemię od karczmarki. Rozmarzony snem wypadł na dwór, począł wołać na masztalerza swego i chłopca: „Hej! konia, konia, szabli!“ Na ten głos odezwał się jeden kozak: „A ktoś ty?“ Morawski znowu: „Ja pułkownik kozak.“ „Sam, sam, tu koń, siadaj coprędzej!“ — Nieroztrzęziony dobrze niepoznał głosu. Miasto schronienia się gdzie w bok przy ciemnej nocy, skoczył tam, skąd głos słyszał i wpadł w ręce kozakom, którzy go natychmiast porwali, na konia wsadzili, nogi mu powiązali, i niedbając o innych jego ludzi, ciemnością nocy zasłonięnych, co tchu z nim do Poznania pospieszyli. Takim sposobem Morawski dostał się w niewolę. Wzięli z nim i chłopca, który niechcąc pana w niebezpieczeństwie odstąpić, sam się dobrowolnie kozakom nawinął.

Z wielką radością Rossyanie, krzycząc przez ulice, że prowadzą Morawkę (tak go bowiem nazywali), stawili go przed pułkownikiem Renem. Ten go zapytał: „To ty jesteś Morawka, zbójnik?“ — Morawski, nadrabiając fantazyą, w takim razie niewczesną, odpowiedział: „Ja jestem. Wacpan jesteś pułkownik i ja pułkownik“; za którymi słowami wyciął mu Ren dwa policzki z obelżywymi słowami. Kazał go przy sobie okuć w kajdany i zaprowadzić do kordygardy. — Najjutrz, gdy się zwiedzili polscy panowie, że Morawski jest złapany, przyszli do Rena z powinszowaniem mu tak znacznej zdobyczy. Przekładali mu, iż Morawski, podłej kondycji człowiek, hultaj, rabuś, nieuczciwiec osób i domów szlacheckich, niewart jest żadnego względu. Najwięcej instygowali na niego Gurowscy, przytomni wtenczas w Poznaniu, marszałek nadworny litewski i brat jego kasztelan Przemęski, którego córkę jednego razu w Wschowie Morawski pijany posadziwszy sobie na kolanach, i przytrzymując ją ręką za łono, przymusił, że mu w takiej pozyturze musiała grać na arfie, w obecności ojca i znacznej kompanii. Do surowości na Morawskiego przyczynił się także Augustyn Miaskowski, rotmistrz konfederacki, kilką dniami prędzej od Morawskiego w niewoli, ale z lepszymi względami jako szlachcic i familiant, za interesowaniem się za nim koligacyi i innych obywateli zostający, urazę jakąś osobistą do Morawskiego mający. Skoro bowiem przyprowadzono do téj izby Morawskiego, w której siedział

Miaskowski, począł na głos wołać, że ten szelma, chłop, rzeźnik, niepowinien się z nim znajdować. Zaczem Ren pułkownik, poduszczony takimi i tym podobnemi przeciw Morawskiemu własnych jego rodaków nienawiściami, kazał Morawskiego wyprowadzić przed kordygarde i obnażonego rozciągnąwszy na bruku, bić żelaznemi stęplami aż do podrapania ciała do kości.

### ***O ucieczce Morawskiego.***

Taką katownią wzruszone damy polskie i Renowa, pułkownikowa, tak mocno pracowały za Morawskim, iż niemogąc się Ren oprzeć kobiecej molestyi, kazał Morawskiego z kordygardy przeprowadzić do innćj stancyi, pozwolił mu się kurować z plag, i przyjmować wiktuały, których mu obficie damy szlacheckie i miejskie dosęłały. A gdy i oficer przydany mu do straży i żołnierze mieli się przy nim dobrze, wszyscy od-tąd łaskawymi na niego byli. Ren jednak podług instynktu panów polskich, opisał jego gatunek do Warszawy, skąd po kilku niedzielach odebrał ukaz, aby Morawskiego, jako hultaja własnym ziomkom nienawistnego, obwiesić. — Szczęściem, że Morawskiego umieszczono w kamienicy, gdzie w prewecie drzwi w kącie na drugą ulicę wychodzące, barłogami zawałone były, dla tego od Rossyan nieuważane. Chłopiec, często tam dochodzący, ostrożnie za każdym razem przerzynał pilnikiem potrosze rygiel, na który były owe drzwi zamknięte. Gdy skończył robotę, tak, że drzwi otworzyć się mogły, dopowiedział panu. Stało się to trzema dniami prędzej, niż ordynans na obwieszenie jego przyszedł z Warszawy. Morawski tedy po tak pomyślnym podszepcie od chłopca, zaraz uczynił się chorym na żołądek, biegał często do owego wychodka, pił gorzałkę zmyśloną jakoby z lekarstwem, a żołnierzom dostawał prawdziwą, którą się oni niebrzydzili; prosił oficera, aby mu posłał do apteki po lekarstwo na zatrzymanie żołądka, w którym czując jakoby niezdolne rznięcie, stękał i tarzał się po łóżku, a coraz porywał się i biegał do owego wychodka, niemając na sobie tylko płaszcz i spodnie, szlafmycę na głowie i buty na nogach; a przyuczywszy żołnierza zawsze za sobą wychodzącego do przydłuższego czekania przed wychodkiem, gdy już było blisko północy i oficer spał, a żołdaty gorzałkę trapiłi, wyszedł szczęśliwie owemi drzwiami. Minął

sztyldwach, przy furtce niezamkniętej u bramy stojącego, udając oficera, jakoby z podejrzanego miejsca na kwatere powracającego, i łającego o nocne chodzenie po czapstrzyku, na oficera nieprzystojne, prosząc: aby go niewydał. Co mu się bardzo dobrze udało, umiającemu doskonale rossyjski język. Jakoż i sztyldwach dotrzymał żądanego milczenia, z bojaźni, aby za swoją nieostrożność w przepuszczeniu Morawskiego, z zasłoniętą płaszczem twarzą przechodzącego, srogiej nieodniósł kary. — Za postrzeżeniem tej ucieczki od żołnierza pilnującego wychodku, rozruch straszny rozciągnął się po całym mieście, które Ren mało do góry nogami nieprzewrócił, szukając Morawskiego po wszystkich domach, kątach, nawet i po grobach, w którym szukaniu i chłopiec znalazł sposobność wysliznienia się z Poznania. Morawski zaś, wyszedłszy za bramę, spuścił się w fosę, którą uchodząc po nad rzeką Wartą płynącą pod miastem, napadł na brzegu czołno, którym się przewiózł na drugą stronę pod Dembno, wioskę o pół mili od Poznania, gdy tymczasem Rossyanie, upewnieni od sztyldwachów, że nikt w nocy z miasta niewyszedł, trzęśli noc i dzień następujący miasto i przedmieścia, a Morawski coraz dalej wędrował, aż się dostał do komendy Sieraszewskiego.

Relacya ta o pomienionej ucieczce, jest wzięta z ust samego Morawskiego, o którym więcej będzie niżej.

### ***O drugim powstaniu konfederacyi sieradzkiej.***

O połowie czasu konfederacyi wielkopolskiej, po zgaśnięciu Bierzyńskiego, podniosła się drugi raz konfederacya sieradzka. Ta od obywatelów przez sejmik była uchwalona i najładniej urządzona. Marszałkiem jej obrany był Gałęcki, starosta bydgoski, człowiek majątny, stateczny i sumienny, ale nie żołnierz, dla tego też o nim bardzo krótka historia. Znajdował się w potyczce przegranej pod Dobrą, z której uszedłszy szczęśliwie, więcej się w boju niepokazał, samym tylko wiernym i oszczędnym szafunkiem podatków zarządzając i dobrem życzeniem konfederacyi służąc.

Regimentarzem stanął Józef Zaremba, major w regimencie Potockiego, podczaszego litewskiego, człowiek równie jak Gałęcki majątny, w samej porze wieku męzkiego, twarzy przyjemnej, obyczajności pociągającej; — pułkownikami: Paweł Bier-

nacki, potem kasztelan sieradzki; — rotmistrzami: Michał Biernacki, Dobrzelcwski, Bogusławski, Sławianowski, Młoszewski i Rychłowski, wszyscy posesyonaci.

### **o Zarembie.**

Zaremba z młodych lat był w służbie saskiej porucznikiem w regimencie konnym. Jednego razu, podczas czerce-runku pieszego, jakoś nie do gustu generała stawiając nogi, usłyszał od niego te słowa: »Wpan chodzisz jak niedźwiedź!« Uwidziony żwawością przyrodzoną, odpowiedział generałowi: »Polacy nie są niedźwiedzie!« za którą śmiałą odpowiedź natychmiast został w areszt wzięty, który wysiedziawszy, podziękował za służbę, i rozumiejąc się być po takim podziękowaniu wolnym kawalerem, wyzwiał generała na pojedynek. Porwano go powtórnie w areszt, zamknięto w łańcuszki i podług artykułów wojskowych osądzono na rozstrzelanie. Przecz wielkie atoli instancyc panów polskich, w Dreźnie przy królu będących, otrzymał pardon, laufpas, czyli abszyt bez rekomendacy i rozkaz natychmiast wyjechania z Saxonii. Powróciwszy do Polski do stryja Szymona Zaremby, sędziego ziemskiego sieradzkiego, z nauki prawniczej wielce w kraju konsyderowanego, połajany o złe zasługi w regimencie, zasadzony został od niego nad papierami prawnymi (jak sam powiadał), aby się uczył jurydyki, fortunę i honor dającej. Lecz on, niemający ochoty do takiej namolnej professyi, zabawiając się lulką i fuzijką myśliwską, gdy takim sposobem nie do gustu stryjowi terminował, znienawidzony od niego, oddany został do regimentu podczaszego litewskiego Potockiego, przecież przez wzgląd na stryja w randze porucznika umieszczony. — Wkrótce kompania ta, pod którą się dostał, została komenderowana na Ukrainę przeciw hajdamakom. (Byli to rozbójnicy, którzy co lato znacznemi hordami wychodzili z Siczy, kraju rossyjskiego, do Ukrainy i Podola na rabunek.) — W tej wyprawie tak się dobrze popisywał Zaremba, że tegoż lata został kapitanem, a niedługo potem i majorem, w której randze otrzymał komendę nad całą przeciw hajdamakom partyą. Uganiał się za tymi hultajami przez trzy lata zawsze szczęśliwie, rozgramiając ich kupy, łapiąc wielu, i według zwyczaju wieszając lub na pal wbijając, co mu zjednało imię dobrego kawalera. Jakoż w samej rzeczy był takim. Ożenił się potem z Józefą Gro-

dzicką, chorążanką wielunią, wielkich cnót panną, a po śmierci stryja otrzymał na schedę swoją z trzech braci, między którymi był średnim, majątność Rozprzą, miasteczko dwie mile od Piotrkowa, z kilką wioskami i trzykroć sto tysięcy w gotowiznie.

Gdy się zjawiała konfederacja barska, Zaremba siedział podówczas spokojnie w wsi Kisiele zwanéj, pół mili pod Rozprzą leżącój. Niedowierzała mu jednak partya dworska, jako duchowi hetmańskiemu: przeto zawołała go do Warszawy, gdzie lubo się składał przysięgą wierności, w rękę wojewody ruskiego złożonéj, wyżej opisanéj, musiał jednak dać na piśmie rewers, iż do żadnéj konfederacyi przeciw królowi nieprzystąpi. Jakoż chciał dotrzymać słowa. Dla tego, lubo nieprzytomny na zjeździe sieradzkim, obrany został regimentarzem; — przecieź się do objęcia tego urzędu przez niejaki czas niemiał. Aż gdy Albin Lenartowicz, pułkownik z partyi zgastéj Bierzyńskiego, przybywszy do Sieradza, uczynił manifest przeciw świeżej konfederacyi sieradzkiej, jakoby dawniejszą przez Bierzyńskiego podniesioną, pokrzywdzającój, i w tym manifeste Gałęckiego, Zarembę i Biernackich nazwał kłakolem, wyczyszczenia od dobrej pszenicy potrzebującym, a potém w kilkanaście koni wpadłszy do Rozprzy, żydów tamtejszych porabował; Zaremba zebrawszy naprędce co mógł ludzi swoich i z Biernackimi — z perswazyą przyjęcia regimentarstwa w Kisielach u niego będącymi — poszedł za nim w pogoń, doszedł go o dwie mile w jednym dworze roztaszowanego, połapał wszystkich, obił należycie, i zabrawszy do szczątku co przy nich znalazł, tylko w żupanikach zostawił. Biernaccy, mszcząc się nad Lenartowiczem za ów kłakół, porządnie mu policzkami twarz ospowatą wyglancowali.

Ta przygoda najwięcej wyperswadowała Zarembie, że przyjął regimentarstwo i poszedł do konfederacyi. Albowiem obawiał się, aby mu siedzącemu w domu wet za wet od jakich konfederatów, lub i od Lenartowicza oddane niehyło.

Najpierwszą potyczkę zwiódł z Rossyanami w Piotrkowie, w samém mieście, w którym była komenda pułkownika Rena. Gonił się z nimi po rynku i po ulicach od świtu aż do południa, położywszy ich trupem przeszło 200, jednego majora i dwóch mniejszych oficerów. Aż gdy nadszedł Drewicz pułkownik od Sulejowa z sukursem, Zaremba uszedł w dobréj

sprawie. Wszedłszy w bory, rozdzielił dywizye swoje na kilka traktów, aby nieprzyjaciel niewiedział, gdzie go ma gonić. — Byłby on tam więcéj narobił Rossyanom, tylko najprzód Młoszewski rotmistrz, miasto wpaść w bramę od Jezuitów, w którą wpaść był powinien według ordynansu Zaremby i opanować ją, uszedł z całą rotą swoją, i nieoparł się aż w Krakowskiem u Puławskiego; a tym sposobem zostawił lukę Rossyanom niektórym do ucieczki i do dania znać Drewiczowi. Druga, że Dobrowolski rotmistrz, wpadłszy w miasto, gwizdaniem kul rosyjskich przejęty, jako w takiej łaźni nie bywalec, opuścił zaraz ludzi swoich, skrył się do kamienicy i przebrał za stróża, co Zaremby siłę zmniejszyło, a Rossyanom do rozpostarcia się plac dało.

Rossyanie, wyparowawszy Zarembę z miasta, niedługo za nim gonili: wrócili się do Piotrkowa; stąd pociągnęli ku Kaliszowi, gdzie była znaczna konfederacya, do kilku tysięcy liczona, z różnych województw małopolskich zebrana, pod komendą Szaniawskiego, marszałka lubelskiego, człowieka letniego i wcale nie żołnierza. Z tą konfederacyą złączyła się i sieradzka pod marszałkiem Gałęckim, z dóbr swoich Kowale do obozu zaproszonym.

Zaremba zaś po potyczce w Piotrkowie wpadłszy do dóbr swoich, Kisiele zwanych, o dwie mile od Piotrkowa leżących, w kilka koni i zabrawszy coprędzój żonę z dziećmi i co mógł rzeczy naprędce, przewiózł do Szłaska pod Byczynę do wsi Parusewa, szlachcica Hall zwanego dziedzicznój, w którąż też żona Zaremby z dziećmi przez cały czas konfederacyi, czasami wyjeżdżając do Polski, mieszkała. — Sam zaś Zaremba po ulokowaniu żony pobiegł do Kalisza, gdzie się przeciwko Rossyanom gotowano.

Rossyanie także, poznaawszy od szpiegów znaczną siłę konfederatów, zatrzymali się w marszu, aż się ich z różnych miejsc zebrało do trzech tysięcy, nad którymi najwyższą komendę miał książę Galiczyn: ale Drewicz najwięcej kierował operacyami wojennemi, najbieglejszy w sztuce wojennój i geografii, drugim nieznanomój. Według tedy planu Drewicza, zatrzymali się pod Dobrą, miasteczkiem 4 mile odległym od Kalisza, przeciw którym, zaufani w większą liczbę swoją konfederaci, przyciągnęli pod toż miasteczko. — Zaremba żądał, aby rozporządzenie nadchodzącej potyczki, oraz i komenda nad wszy-



stkiemi dywizjami jemu powierzona została; ale to w umyśle wysokim Szaniawskiego i innych marszałków, nawet i Gałęckiego, zdawało się za wiele, ażeby jeden major w wojsku regularném, a regimentarz w konfederackim, rządził marszałkami, z których niektórzy, jako i Szaniawski, w wojsku komputowém Rzeczypospolitej byli pułkownikami huzarskimi lub pancernymi: która szarża przewyższała rangę nawet generalską autoramentu cudzoziemskiego według dawnych ustaw polskich. — Niemogąc Zaremba pozyskać komendy, a widząc między marszałkami wielki nieład i nieumiejętność rzemiosła wojennego, stąd zaś spodziewając się pewnej klęski, poszedł nazad w kilka koni do Szląska, zostawivszy Sieradzanów pod sprawą marszałka Gałęckiego, kompanii innych marszałków odstąpić niechcącego, i poniekąd z innymi z małego jakoby serca Zaremby urągającego się. — Szaniawski, wódz najwyższy, uszykował swoich na równinie, mając z tyłu błota. Skoro przyszło do potrzeby, natychmiast Rosyianie złamali konfederatów, wpędzili ich na owe błota, położyli na placu przeszło 800, więcej zabrali w niewolą, piechotę i armatę wszystką; reszta poszła w rozsypkę. Szaniawski sam, Tressembek marszałek warszawski, Lassowski marszałek gostyński i dwóch innych, tudzież wielu niższej rangi oficerów, dostali się w niewolą, zaprowadzeni do Moskwy, gdzie byli aż do skończenia konfederacyi.

Drewicz, całej tej wygranej sprawca, jako oficer dobry, ale też i rabuś niemniejszy, zaraz po odbytej akcji pod Dobrą, pod pozorem ścigania reszty konfederatów wpadł do dóbr Zaremby do Kisiel i te zrabował, nierobiąc krzywdy chłopom, tylko sam dwór, w którym w jednej piwnicy wodą zalanej utaił Zaremba srebra swoje, czterdzieści tysięcy złotych polskich w dziale braterskim szacowane. Te za wyciętym policzkiem jednemu Podbielskiemu, komornikowi Nurskiemu, przed rewolucyą patronowi trybunalskiemu, a po rozpędzeniu trybunału (jako masz wyżej) komisarzowi Zaremby, pokazane, zabrali Drewicz, oraz wszystkie inne ruchomości kosztowniejsze, i trzody bydła różnego rodzaju. Z czego wszystkiego nic nie nagrodziła Warszawa Zarembie, choć się z nią pojednał, jako będzie niżej w swoim miejscu.

Po potyczce pod Dobrą i po drugiej pod Błoniem przegranej, wyżej opisaniej, lubo tamta po Dobrskiej zaszła (w czém

czytelnika za nieporządek chronologii przepraszam, niemogąc na kulbace dziejów różnych wodzów porządnie notować, ani też potem szykować ich do porządku, niemając czasu i sposobności), ułamki konfederatów pozostałe tulały się po kraju pod rozmaitymi naczelnikami.

Zaczem generalność preszowska, zatrzymawszy przy sobie pod pozorem obrad Malczewskiego, jako na wodza niesposobnego, przysłała patent Zarembie z tytułem regimentarza generalnego konfederacyów wielkopolskich. Wydała ordynanse do wszystkich korpusów tejże prowincyi, aby się pod komendę Zaremby ściągały.

Zaremba, który niechciał być pod cudzą władzą, gdy odebrał taki patent, a przy nim osobne jak najusilniejsze zalecenie od swego generała Potockiego, aby popierał ile możliwości konfederacyą sieradzką, wyszedł natychmiast z Szlęska. — Zwołał do siebie pod Wieluń konfederacyą sieradzką. Przyciągnęły do niego konfederacye wieluńska, łączycka, kujawska i ułamki wielkopolskiej, jakoto Sieraszewski regimentarz, Skórczewski i Miaskowski pułkownicy.

### **O Zarembie i Puławskim.**

O tym właśnie czasie Puławski, uganiający się dotąd z Rosyanami po Litwie i Rusi, przyciągnął pod Koniecpol, dokąd też i Zaremba z swoimi przybył. Tam przez trzy dni obadwa czynili popisy i różne ćwiczenia wojskowe ludzi swoich jeden przed drugim. — Puławski namawiał Zarembę, aby się z nim złączył i aby obadwa uderzyli na Drewicza, w kilkaset ludzi w Secyminie, dwie mile od Koniecpola stojącego. — Ale że ci najpryncypalniejsi w całej konfederacyi wodzowie, mieli równą władzę od generalności nadaną, przeto niechciał jeden od drugiego komendy być zawisłym. Co się zaś tyczy godności osobistych, Puławski uważał siebie jako marszałka, wyższego gradusem od regimentarza, którym był Zaremba. — Zaremba z swojej strony uważał siebie jako majora aktualnego w wojsku regularném, a Puławskiego tylko jak oficera konfederackiego, niżej od najniższego oficera komputowego, choćby jak wysokim był, w konfederacyi chodzącego. — Ani też generalność śmiała kiedy rozstrzygnąć między nimi to pierwszeństwo, na łasce obudwóch powagę swoją zasadzająca. — W równości zaś władzy Zaremba niechciał chodzić z Puławskim, uważając

i sądząc u siebie, iż składana zwierzchność nigdy niema skutków pomyslnych. Przeto odłączył się od Puławskiego, pod pozorem, iż w kupie chodząc byłiby ciężcy dla kraju. — Tak tedy Drewicz, którego sam Puławski atakować nieśmiały, ani też on Puławskiego, rozumiejąc, że przy nim jest Zaremba, spokojnie odejście obudwóch przetrzymał w Secyminie, skąd cofnął się ku Warszawie, uganiając się po rawskim i mazowieckim województwach za drobnymi konfederacyami, które się po kraju bez dependencyi od jakiego wodza włóczyły.

### **O Puławskim.**

Puławski poszedł pod Częstochowę, którą opanował tym sposobem, jak i Malczewski, to jest pod pretextem nabożeństwa. Ale się lepiej w niej, niż tamten modlił. Bo skoro się do niej w kilkadziesiąt ludzi potrosze wchodzących, przebranych rozmaicie, dostał, natychmiast Paulinom komendę i klucze od fortecy odebrał, ludźmi swymi nappełnił, garnizon tamtejszy między swoich podzielił, armaty posporządzał, zgola co tylko należało do stanu dobrego fortecy, zręcznie się około wszystkiego zwinął. Niedługo po Częstochowie opanował Bobrek, Lanckoronę i Tyniec, miejsca obronne. Wszystko to w krótkim czasie do skutku przywiódł za pomocą inżynierów francuzkich, których się wielu do niego nazbierało. Zabrał także na przedmieściu krakowskim pół regimentu Mirowskiego, tam konsystencyą mającego, gdy Rosssyanie w małej kwocie w samym tylko Krakowie będący, przeszkadzać mu do tych wszystkich dzieł niebyli w stanie, i nim się atakować go przysposobili, już go wszędzie do odporu zastali gotowego.

Bronił się Rosssyanom Puławski w tych twierdzach mocno, w których go, jakoto w Bobrku, Tyńcu i Lanckoronie często, a zawsze z swoją szkodą napastowali. — Bijął się z nimi i w polu, lecz zawsze nieszczęśliwie, osobliwie raz pod Lanckoroną, gdzie zginął Sapieha, krajczyk litewski, młody i piękny kawaler, sadząc przez rów w rejteradzie, spadłszy z konia, końmi stratowany i od kozaków dokłuty, w której potyczce zgięło przeszło 500 konfederatów w zabitych, rannionych i w niewolę poimanych. Wszystkie siły niemal swoje obrali Rosssyanie na wyrugowanie Puławskiego z miejsc opadowanych wyżej namienionych, lecz nadaremnie; wyjawszy Częstochowę, której długo atakować nieśmieli, czyli też chcąc

pierwój zdobyć te miejsca, które za słabe poczytane, przez mocny odpór wstyd im czyniły.

Zostawmyż ich i z Puławskim w tych fortcach sławy z przegranych w polu dobrze wetującym, a spojrzymy na drugiego wodza, niemniej sławnego, a szczęśliwszego.

### **O Zarembie.**

Zaremba z pod Koniecpoła ciągnąc przez ziemię wieluńską, sieradzkie, kaliskie województwa, niemając żaduiej przeszkody od Rossyan, zmocnił się wprzódce do 2000 przybywającemi do niego z różnych stron kupami konfederackiem i, po owych nieszczęśliwych bitwach, wyżej opisanych, błakającemi się po kraju. — Ren, siedzący w Poznaniu, pamiętny klęski odniesionėj w Piotrkowie, nie miał fantazyi napastować Zaremby. Więcej się zatrudniał zdzierstwem i rabunkiem obywatelów, konfederacyi sprzyjających, niż gromieniem konfederatów.

Zaremba tedy powoli pomykał się ku województwu poznańskiemu, z wszelkiem bezpieczeństwem i spokojnością od nieprzyjaciela. Ren zaś pułkownik rozdzielił komendę swoją. Połowę wysłał na stauowisko do miasta Kościana, sześć mil od Poznania leżącego, pod komendą Patkula, podpułkownika; drugą połowę zostawił w Poznaniu pod majorem Langą, sam zaś z małą resztą dragonów swego pułku i kozaków udał się do Drezdenka, miasteczka branbenburskiego, dla czynienia tam jakichci sprawunków dla regimentu swego, który się składał z 600 głów dragonii, pięknie przybranėj.

Patkul w Kościanie zastyszawszy o marszu Zaremby, wysłał podjazdem 80 koni dragonii do Gostynia, miasta, trzema milami marszu Zaremby bliższego, dla dowiedzenia się lepszego, w którą stronę tenże marsz zbliża. Sieraszewski pułkownik i Grabowski rotmistrz, idący lewem skrzydłem korpusu Zaremby, dowiedziawszy się o małej kwocie Rossyan w Gostyniu, wpadli na nich do dnia, ubili kilku, zabrali żywcem 18, reszta uciekła do Kościana. O której to akcyi czyli przez niedbalstwo Sieraszewskiego, czyli też przez leniwych posłańców, nieodebrał Zaremba raportu aż w kilka dni. Dla tego niewiedząc, że się Rossyanie znajdują w Kościanie, a wiedząc, że tylko są w Poznaniu w małej liczbie, umyslił całą siłą swoją podstąpić pod Poznań, zatrzymać w nim Rossyan udawaniem ataku, tymczasem zaś rozesłać exaktorów do wybrania podatku

pogłównego i hiberny, tudzież coby się znalazło na komorach celnych pieniędzy, i to zrobiwszy wrócić się w województwo sieradzkie, aby takim majaczeniem zwłóczyć czas do pomocy zagraniczej potencji, którą generalność konfederatom blisko nastąpić mającą obiecywała. Lecz los zdarzył mu potyczkę szczęśliwą niespodzianie.

Gdy Zaremba znajdował się w Xiążu, miasteczku położoném nad rzeką Wartą, mil sześć od Poznania odległém, a cztery od Kościana, przyjaciele rossyjscy dali znać Patkulowi, a ten znowu Landze majorowi w Poznaniu, że Zaremba w pięć tysięcy wiesza się nad rzeką Wartą w zamysle ucieżenia Poznania, aby się tedy Langa miał na ostrożności, lubo Zaremba całej summy swojej komendy nie miał nad dwa tysiące, i tej na trzy kolumny podzielonej. — Zaremba, przenocowawszy w Xiążu, udał się w bok lewy od traktu poznańskiego pod miasto Kościan, pod którym w poblizszych wioskach dywizjom swoim kazał się rozłożyć. Dywizye tedy, zmierzając każda do swego stanowiska, rozdzieliły się na kilkanaście traktów i postępowały dużym półcyrkulem, mając przed sobą Kościan. Patkul odbierając od szpiegów i obywatelów z różnych miejsc wiadomości o konfederatach z sobą się niezgadające, dla lepszej wiadomości, czy to był marsz całego korpusu Zaremby, czy tylko część jakowa, łudzająca i ukrywająca zamiar ku Poznaniowi, którym sobie nabił głowę, wysłał kozaków 40 koni z ordynansem, aby póty docierali, póki się z konfederatami nieobaczą. Kozacy pędem biegnąc, w wsi Rombin zwaną, o półtóry mili od Kościana odległą, wpadli na konfederacyą kujawską, nad 80 głów nielicniejszą, przed Zarembą w przedniej straży idącą. Tam dawszy wzajemnie do siebie ognia z karabinków (jak zwyczajnie bywać zwykło w nagłym zdarzeniu), ubiwszy Kujawianom trębacza i straciwszy z pomiędzy siebie jednego kozaka, pobiegli do Kościana, Kujawianie do Zaremby za nimi ciągnącego, który jechał za wojskiem kolaską z pułkownikiem Skórczewskim. Za odebraną wiadomością o kozakach, przesiedli się na konie. — Zaremba miał przy sobie do tysiąca ludzi, inne dywizye szły bokami opodal jego korpusu. Skoro minął wieś Rombin, uszykował się we dwie linie i tak czystym polem postępował wolnym krokiem. — Patkul, gdy się dowiedział od kozaków, że się z konfederatami potkali w Rombinie, mając zawsze w myśli,

że Zaremba całą siłą zmierza ku Poznaniowi, a ku Kościanowi wysłał tylko mały podjazd dla utajenia głównego celu, wyprowadził przeciw konfederatom 200 koni dragonii z owymi kozakami pod komendą rotmistrza Olszowa, który upewnił Patkula, iż jeżeli znajdzie konfederatów, pobije ich, rozpędzi i nie mało żywcem przyprowadzi. Dla tego Patkul, zaufany w obietnicy Olszowa, kazał robić dyby na przyszłych niewolników konfederackich i uprzętać więzienia. Sam zaś, mając u siebie gościem księcia Antoniego Sułkowskiego, siadł z nim do stołu, przy którym za zdrowie Zaremby szyderskim sposobem spełniał kielichy; niewiedząc, że go od nich wkrótce zaboli głowa.

Olszow, żeby się nie minał z konfederatami, wysłał kozaków innym traktem ku Rombinowi, a sam innym w tęż stronę ciągnął.

### ***O potyczce Zaremby pod Kościanem.***

Gdy Zaremba postrzegł z daleka marszerujących naprzeciw siebie Rossyan, którzy się za zobaczeniem wzajemnym konfederatów we dwie linie uszykowali, zatrzymał swoich w marszu, wybrał z różnych dywizyj 200 koni pod komendą Bartłomieja Zbierzchowskiego, podkomorzycza czerskiego, rotmistrza od huzarów, — których 50 koni wtenczas Zaremba miał przy sobie jako straż osobistą, — kazał mu o czworo staj postępować przeciw Rossyanom, sam zaś z resztą korpusu za nim zwolna ciągnął. Skoro się zeszyły partye na strzelenie z karabina, dały do siebie ognia z koni, od którego z obojjej strony żaden nie zginął. Po wystrzeleniu uderzyli Rossyanie na konfederatów z pałaszem w rękę i od razu ich złamali. Poczęli konfederaci uciekać ku swoim, i z nimi Zbierzchowski rotmistrz z uciętą szablą, co obaczywszy linie korpusowe od Zaremby prowadzone, pierzechnęły także. Uciekali więc wszyscy, niosąc z sobą Zarembę, jak jaka nawałnica, wołając co gardła: »stójcie, stójcie, nieuciekajcie!« stémwszystkiem wraz z drugimi »stójcie! stójcie!« wołającymi a uciekającymi, uciekając. Byłby rotmistrz Olszow sprawdził obietnicę daną Patkulowi w zniesieniu konfederatów, gdyby nowa okoliczność szyków jego niepomieszała.

Dywizye poboczne, na swoje stanowiska ciągnące, usłyszawszy pierwszy ów wystrzał w Rombinie, poczęły się wra-

cać do tego miejsca, z którego huk usłyszały, i właśnie wten czas nadbiegły w tył Rossyanom, kiedy się ci za złamaną przednią ową strażą pod Zbierzchowskim uganiali. Wpadli tedy na nich z impetem i krzykiem: najpierwszy Grabowski, rotmistrz wielkopolski i Załuskowski, porucznik sieradzki, wodzący dywizyą Bogusławskiego, rotmistrza, exakcyami zatrudnionego. Obejrzawszy się na ten głos nowy uciekający dopiero konfederacji, obrócili się i uderzyli na Rossyan, tylną napaścią zmieszanych. Toż dopiero z obu stron wzięwszy ich na opiekę szablami, tak się szybko z nimi uwinęli, że niewyszło godziny czasu, znieśli całą dywizyą Olszowa. Legło na placu Rossyan 141, w niewolą dostało się całych i pokaleczonych 46 i rotmistrz Olszów, pod którym uchodzącym, chłopem dużym i tłustym, ulgnął koń w błocie. Uszło zdrowych do Kościana dragonów 13. — Kozacy przybiegłszy z swojego traktu, ujrzawszy z daleka otoczonych swoich, niewdali się w bitwę; lecz pędem uciekając nieoparli się aż w Poznaniu, gdzie swoich wielkiej trwogi nabawili. — Patkul, obaczywszy z miasta porażkę swoich, wyszedł coprędzej z piechotą i armatą na przedmieście, na którym wstrzymał konfederatów ogniem ręcznym i armatnim, tuż za swoimi niedobitkami pędzących. — Poczęli się tedy wzajemnie z za chałup i wiatraków śiegać kulami, z których jedna z sztućca ugodziła Patkula po krzyżach, ledwo w półroku z tego razu wyleczonego. Rossyjska zaś kula armatnia, do upatrzonego Zaremby wypuszczona, przeszła między głową jego i głową Marcina Zaremby, imiennika, lecz innego herbu, któremu po huzarsku się strojącemu zerwała kołpak z głowy, bez większego szwanku, jednak ku ziemi go pochyliwszy. Zaremba regimentarz na ten trafunek rzekł: »o! taki k... nieumie strzelać.« Jednakże nieczekając poprawy, umknął się z tego miejsca.

Konfederatów w potyczce ręcznej zginęło sześciu, od kul pod wiatrakami padło pięciu, wszystkich jedenastu: dwunasty Iwański, oboźny konfederacki, człowiek niegdyś majątny i szanowny, adjutantem pierwszym u Józefa Potockiego, hetmana wielkiego koronnego będący, za spódniczkę nowo-modną, hetmanową inłódę i piękną podarowaną, u męża starca w podejrzenie z tej myśli wpadłszy, dysgracyowany i niegrzecznie oddalony; potem przez różne awantury do biednego stanu przyprowadzony, naostatku szukając szczęścia w rewolucyi

krajowej, kłutą karabinową stojąc na skrydle z nieprzyjaznego sobie świata zgładzony. Ranionych było 25.

Zapaleni szczęściem zdarzoném konfederaci, chcieli atakować miasto, które zaszedłszy z drugiej strony, od Rossyan na to przedmieście, skąd przyszedli konfederaci wysypanych, wolnej, ile z pomocą mieszczan, skrytymi ścieżkami wprowadzić konfederatów chcących, łatwo by byli opanować mogli i do nogi Rossyan wytępić.

Ale Zaremba (z czém się potem wydał) dowiedziawszy się, że się w Kościanie znajduje Antoni Sułkowski, wyżej wspomniany, 13,000 czerwonych złotych jemu dłużny, srebra i klejnoty przez Rena pułkownika siostrze swojej Sapieżyny, wojewodziny smoleńskiej, za przychyłność ku konfederatom męża jej zrabowane, a za rozkazem imperatorowej rosyjskiej Katarzyny II. oddane odwożący, obawiając się, aby swego czasu (na który zawsze jedném okiem patrzył) tych srebr i klejnotów swemi pieniędzmi nieprzyplacił, gdyby za dobytciem Kościana od konfederatów rozerwane zostały: kazał z placu bitwy ustąpić, udając, iż samą jazdą, szablą i karabinkami tylko uzbrojoną, bez armat, dobywać miasta murem opasanego, jest hazard niebezpieczny: że mieszczanom podejmującym się przewodnictwa ufać niemożna: iż dosyć jest na tém, co się udało ludziom w rzemiośle wojenném niewycwiczonym, i niedawno na samo wejście w oczy nieprzyjacielowi pierzchającym: że Rossyanie mogliby przybiedz na sukurs i szturmującym lub uganiającym się za zdobyczą wsiadłszy na karki, odbić za swoje; co by i nabyte serce nadal i sławę konfederatom straciło.

### ***O Zarembie po potyczce pod Kościanem.***

Pod takimi tedy pozorami, a w samej rzeczy uważając na swój interes Zaremba, odciągnął od Kościana i poszedł ciągłym marszem aż do Zdunów, miasta na pograniczu szląskim w województwie kaliskim leżącego, mil 8 od Kościana odległego. — Konfederacya łęczycka, najdalsze stanowisko od miejsca potyczki naznaczone mając, niezdążyła do sprawy: przyszła już po wszystkiemu, o co się żalił stary jej regimentarz Prądyński przed Zarembą, w rewolucjach między Augustem III. i Leszczyńskim w partyi jego szkodliwy Sasom żołnierz: że mu szczęście w tej okazyi niepozwoiliło zaprawić Łę-



czycanów na Rossyanach. Tom przydał, abym stracił próżną chlubę niektórych obywatelów tego województwa, którą zdarzyło mi się słyszeć kilka razy z pokrzywdzeniem sławy Zaremby. Acz i temu z potyczki kościańskiej nie tak wielką sławę, jak wielkie szczęście przyznać należy: że w większej nierównie sile od garstki Rossyan złamany i uciekający z początku, naostatku pobił i wygrał. — Ten przypadek ucieczki początkowej wzięli Rossyanie za fortel wojenny, i co było przygodą nieszczęśliwą, osądzono za skutek rozumu. Zaremba też słysząc i od obywatelów i od nieprzyjaciół takie mniemanie, niechciał wyznaniem prawdy kazić sławy swojej, do sprawienia obawy nieprzyjacielowi potrzebnej.

Rossyanie po odejściu konfederatów zapakowali się w Kościanie jak najlepiej. Tożsamo uczynili i w Poznaniu. Nieprzysłali niedobitkom kościańskim sukursu, aż w pięć dni: gdy wprzód szpiegami opędzili cały powiat kościański i upewnieni zostali: że nigdzie blisko niemasz Zaremby.

Lubo się Rossyanie z niewolnikami konfederackimi aż do tąd bardzo źle obchodzili, on jednak łaskawie postępował z Rossyanami, w niewolą pod Gostyniem i pod Kościanem zabranymi. Dawał im na stanowiskach wszelkie wygody, rannym opatrzenie i podwody. Rotmistrza zaś Olszowa zawsze tuż przy sobie sadzał u stołu, kolaską go swoją woził i wszelki respekt dla niego pokazywał. Czém tak ujął Rossyan, że odtąd łagodniej się z konfederatami z którejkolwiek partyi poimnymi obchodzili. Prostych żołdatów Rossyan odesłał do fortecy Częstochowy do Puławskiego, gdzie byli trzymani aż do końca rewolucyi: ponieważ Puławski niechciał oddać Rossyau, aźby jego jeńcy, w różnych potyczkach zabrani, oddani byli. Rotmistrza zaś Olszowa trzymał Zaremba przy sobie blisko sześciu niedziel: za którego, pod konwojem konfederackim odesłanego do Poznania, wydał Ren czterech rotmistrzów z konfederacyi wielkopolskiej, między którymi znajdował się rotmistrz sieradzki Dobrzelewski, ten sam, który w akcji piotrkowskiej przebrał się (jak masz wyżej) za stróża; odtąd niebędący w obozie, lecz tylko chodzący po exakcyi, i przy tój robocie schwytany.

Zaremba, nicmający nigdy chęci do upadłej walczyć z Rossyanami, zostawił dla uważania tychże Sieraszewskiego regimientarza w Poznańskim, z częścią konfederacyi wielkopolskiej.

Sam zaś z resztą komend wyszedłszy z Zdunów, wieszał się kilka niedziel około Piotrkowa i Częstochowy, pod któremi miastami miał dobra swoje, ochraniając je tym sposobem od cudzych komend nawiedzin.

### ***O buncie Malczewskiego.***

W czasie którym Morawski, wytrzepawszy się z biedy, w niewoli rosyjskiej ucierpiałej, przyciągnął do Zaremby w kilkaście koni, ludzko od niego przyjęty. — W tym także czasie powrócił Malczewski od generalności z Preszowa, niewiadomiony od niej, że komenda generalna nad całą partją wielkopolską oddana jest Zarembie. Więc gdy po pierwszych komplementach, jak bywać zwykło na przywitaniu, dowiedział się z ust Zaremby sekretu, od generalności przed nim utajonego, i z patentu komunikowanego sobie upewnił się o prawdziwie przeniesionej władzy z siebie na Zarembę; uznając, iżby w obozie Zaremby nic nieznaczył, tylko tytularnego marszałka, w kilka dni po przybyciu swoim pożegnał się z nim i odjechał, udając, że ponieważ niema nic do czynienia w wojsku, chce osieść w jakim kącie za granicą spokojnym, od Rosyan bezpiecznym. To zaś była tylko obłuda: bo Malczewski bolejąc nad wydartą sobie władzą nad wojskiem, dającą oraz panowanie nad krajem miłe i pożyteczne, namówił się z Morawskim, że skoro tylko oddali się od Zaremby, natychmiast odda mu zupełną władzę nad wojskiem, jako marszałek żadnym aktem publicznym nieskasowany, od obywatelów obrany; sobie zaś tylko zostawi powagę pierwszą i rząd interesów politycznych. »Tak tedy mój Morasiu (przekładał Malczewski Morawskiemu), tylko mnie kochaj i bądź ze mną: będziemy sobie chodzić swobodnie po kraju, aż do szczęśliwszej pory wkrótce nadejść mającej zagranicznej (niewiedzieć skąd) pomocy. Znasz moje rządy, jak nie są pędzące do zguby; jak dobrym kawalerom niekrępuję ich przemysłu i szczęścia żadnemi ordynansami; jak hojnie nagradzam rycerskie prace: nie tak jak Zaremba chłodno i głodno trzymając wojsko swoje: którego stan twój biedny nieporuszył do wsparcia cię by najmniejszego z swojej szkatuły.«

Temi perswazyami odurzony Morawski, bez tego żadnej zwierzchności istotnej nad sobą niecierpiący, po odejściu Malczewskiego w kilka dni upraszał Zarembę, aby dla zrekruto-

wania pulku rozproszonego pozwolił mu czynić werbunki i wybierać podatki bez dependencji od Sieraszewskiego regimentarza i bez żadnej od kogożkolwiek przeszkody, jako niemający jeszcze i zdrowia i sił do podnoszenia służby i trudów obozowych. — Zaremba niczego mniej niespodziewający się, jak takiego frantostwa po Morawskim, dał mu żądany ordynans na werbunek wolny i wybieranie podatków bez wszelkiej czyjej przeszkody.

Morawski z otrzymanym takim ordynansem udał się prosto za Malczewskim. Poszli tedy obadwa w województwo poznańskie, gdzie zaraz Malczewski zaufany w dawną waleczność Morawskiego, rozpisał ordynanse do wszystkich oficerów wielkopolskich, gdziekolwiek się znajdujących, aby pod utratą szarży i życia z swojemi rotami do obozu jego stawali. — Te ordynanse najpierw poszły do Sieraszewskiego regimentarza, który z nich jeden egzemplarz natychmiast posłał Zarembie. Wielu rotmistrzów, lubiących deboszowanie, a którym, pod Zarembą skąpo i z trudnością płaconym wątku na to niestawało, przeniosło się cichaczem do Malczewskiego, tak że wkrótce zwabił do siebie ze 300 koni. Zaremba odpisał Sieraszewskiemu, aby się miał w pogotowiu i zbliżał ku niemu. Sam zaś z komendami przy sobie będącemi z pod starój Częstochowy, gdzie się natenczas znajdował, ruszył ku Wielkiej-Polsce. W Gostyniu, mieście siedm mil od Poznania leżącym, złączył się z Sieraszewskim.

Tam go doszedł od Puławskiego list, donoszący: że Rosyanie pozbierawszy się z różnych miejsc, w 5000 ciągną pod Częstochowę w celu zdobycia jej. Prosił Zarembę, ażeby się daleko od fortecy nieusuwał, dla dania odsieczy w czasie szturm. Zaremba czyli z niechęci, która zawsze wydawała się w nim do łączenia się z Puławskim, czyli nieufając siłom swoim, czyli też niechęć się bardzo narażać Rossyanom, mimo wszelkie nalegania oficerów swoich, aby się wrócił pod Częstochowę, odpisał Puławskiemu: iż musi wprzód uśmierzyć bunt Malczewskiego, jako siły jego rozrywający i wydzierający mu posłuszeństwo wojska, bez którego miasto zręcznej pomocy, mógłby zostać pobitym i rozproszonym.

Tak tedy pociągnął ku Malczewskiemu. Dla uczynienia jednak Rossyanom jakiegokolwiek roztargnienia, porozysłał palety na kilka traktów do Częstochowy prowadzących, aby

dla wojska jego, wprędce nadejść mającego, były gotowe furaże i prowianty.

Malczewski z swoją partją znajdował się natenczas w Buku, miasteczku biskupa poznańskiego, o trzy mile w bok Poznania leżącym. Partja jego na odgłos marszu Zaremby szumiała winem hojnym, iż Malczewskiego nieodstąpią i zabrać się niedadzą, których junakieryą pokrzepiony Malczewski, wyszedł z miasta w pole, chcąc w takiej postawie dowodzić prawa swego do komendy nad konfederacją wielkopolską. Lecz gdy Zaremba, nierównie większą partją mający, natarł żywo na garstkę Malczewskiego, i otoczywszy ją dokoła, począł wołać: »albo się poddajcie, albo was wszystkich w pień wytnę!« opuścili natychmiast ręce. Zaremba profitując z ich zatrwóżenia, kazał nagle swoim zmieszać się z nimi. Dopiero kazał wziąć w areszt najpierw Malczewskiego, toż potem oficerów wszystkich, zaczawszy od Morawskiego, powsadzać w kajdany, łańcuszki i dyby, w których więzach potrzymawszy ich do trzeciego dnia, na instancją oficerów statecznie pod jego posłuszeństwem trwających, zmówiwszy się wprzód z nimi sekretnie na taką instancją, powypuszczał z aresztu, i za odebraniem słowem honoru dalszej wierności, do swoich dywizyj poprzywraçał. Jednego Malczewskiego trzymał dłużej w politycznym areszcie, wodząc go przy sobie bez szabli między dwoma przydanymi oficerami, którego wstydu niemogąc wytrzymać Malczewski, prosił Zaremby, aby mu jechać do domu pozwolił. Na co Zaremba chętnie pozwolił: przydawszy mu jakoby dla asystencyi i bezpieczeństwa chorągiew komputową przedniej straży, konsystującą w Warcie, która zaraz od podniesienia przez obywatelów konfederacyi sieradzkiej na jej stronę przeszła. W samą zaś rzecz ta chorągiew miała mieć na pilnej baczości postęпки Malczewskiego, aby nowych jakich rozruchów niewszczał.

Malczewski, odszedłszy od Zaremby, a przecie pod jego strażą być się widzący, gdy go ta ostatnia nadzieja postawienia na pierwszych nogach władzy swojej upadłój tak szpetnie omyliła, udał się do Sulmierzyc, miasteczka na granicy szląskiej leżącego, gdzie zostawiwszy pomienioną chorągiew, przeniósł się do Sztramburga, miasta szląskiego; skąd się więcćj do Polski niepokazał, aż do skończenia konfederacyi. Chorągiew zaś jemu przydana, niemając więcćj komu asystować, po-

wróciła do Zaremby, który od Buku poszedł pod Poznań, mając umyślnie i zwłócząc czas, aźby się obleżenie Częstochowy skończyło. Dla tego udawał, że będzie atakował Poznań, końcem rozerwania siły nieprzyjacielskiej, Częstochowę opasując. Lecz Rossyanie więcej sobie ważyli zdobycie jednej Częstochowy, niż stratę dziesięciu miast innych, które z rąk konfederackich odzyskać piechotą i armatą, ile nieufortyfikowane, każdego czasu bardzo łatwo mogli. Dla tego losowi oddawszy Poznań, obleżenie Częstochowy żywo popierali; o czém będzie niżej.

### ***O Zarembie pod Poznaniem.***

Gdy stanął Zaremba w Stęszewie, miasteczku mil dwie od Poznania, przysłał do niego Ren trębacz z biletem, proszącym o paszport: za którym mogliby bezpiecznie dwaj panowie polscy, Gurowski marszałek litewski i Mielżyński kasztelan poznański, znajdujący się w Poznaniu, z żoną jego, to jest pułkownikową Renową, w asystencyi kilku oficerów rossyjskich, oddać mu wizytę, dla przełożenia niektórych okoliczności, rozmysłu godnych, nimby przystąpił do szturm. Zaremba posłał mu żądany paszport, za którym przyjechała do obozu Zaremby Renowa pułkownikowa z Radolińską podkomorzycową wschowską i czterema oficerami, między którymi znajdował się rotmistrz Olszow, niedawno z niewoli konfederackiej uwolniony. Panowie polscy, choć byli w paszporcie wyrażeni, nieprzyjechali: obawiając się, aby ich Zaremba jako partyzantów rossyjskich nieprzytrzymał.

Co tylko może kobiecy rozum (przyznać zaś potrzeba, że się pokazał niepospolity i z wymową równą), dokazywał w Renowej, aby mogła wyperswadować Zarembie odstąpienie od Poznania. Przeciwnie Zaremba przy wszelkiej grzeczności, jaka się damie dystyngowanej należy, i na jakiej mu nie schodziło, odpowiadał, iż zamysłu swego nieodmieni, i że spodziewa się najdalej trzech dni mieć w ręku Poznań. Sztuczna kobieta chcąc wyczerpnąć z Zaremby, kiedy do szturm przystąpi, prosiła go, aby przynajmniej téj nocy (w której się do niego fatygowała) pozwolił jéj wywczasować się, dla lepszego przyjęcia go, jeżeliby fortuna wojenna wniosła go do Poznania. Zaremba dał jéj słowo, iż téj nocy niebędzie dla jéj wczasu atakował Poznania; ale niedotrzymał, jako masz niżej.

— Podczas, gdy się Renowa z Zarembą targowała o Poznań, oficerowie rossyjscy witali się z oficerami konfederackimi, brat zabrat przypominali sobie potyczki, w której był który, jedli różne fraszki i pili różne trunki, których suto przywieźli z sobą z Poznania.

Zaczęta przed wieczorem, blisko dwóch godzin w noc ciemną trwała wizyta Renowój, w obecności wszystkiego sztabu konfederackiego. Zaremba sadząc się na największą dla Renowój grzeczność, na odejściu pocałował ją w rękę i wszystkim oficerom przytomnym, także pocałowanie, chętnie wypełnione jako damie urodziwój, zarekomendował.

Niewskórawszy nic więcej Renowa w negocyacyi swojej, odjechała szczerze czy też zmyślonie smutna, pod konwojem konfederackim aż do ostatnich pikiet, gdzie na nią czekał rossyjski konwoj.

Zaremba w kilka godzin po odjeździe Renowój wyprawił Morawskiego pułkownika w 300 koni, z rozkazem, aby całą noc aż do świtania alarmował Poznań: w czém słowa danego Renowój nie dotrzymał, i do podobnegoż nie dotrzymania Renowi w czasie obleżenia zły z siebie przykład dał. Działo się to w zimie. Noc ta była bardzo ciemna, dla czego Rossyanie rozumieli, że Zaremba z całą partją swoją podstąpił: przeto jak najmocniej się z murów odstrzeliwali. Morawski sam jeden tylko między wszystkimi szczęśliwie zdrowymi dostał od kuli karabinowój postrzał w udo, i na tém się alarmowanie jego skończyło.

Nazajutrz Zaremba w większej kwocie powtórzył alarmowanie. Trzeciego dnia sam z całą siłą swoją podstąpił pod Poznań, opasał go z trzech stron (bo czwarta od Kobyłopola dla mostu dawniej przez konfederatów zepsutego na rzece Warcie przystępną niebyła), sam się ulokował z główniejszą siłą na przedmieściu Sgo Wojciecha. Konfederacyi wieluńskiej i kujawskiej, mało co większą liczbę nad dwóchsetną wynoszącym, dostało się przedmieście Waliszewo czyli Chwaliszewo zwane, na które przyciągnawszy, podtarli aż do mostu na rzece Warcie, dzieląc miasto od tegoż przedmieścia. Widząc zaś most podniesiony, powchodzili do domów dla ogrzania się od zimna przeraźliwego. Postrzegłszy taką nieostrożność Rossyanie, uczynili wycieczkę, ubili konfederatów jedenastu, a między nimi Lajszewskiego, porucznika wieluńskiego w wojsku zaś

komputowém towarzysza pancernego chorągwi królewskiej, człowieka majątnego. W niewolą zagarnęli dwudziestu i kilkanaście koni. Byliby konfederatom większą dali plagę, gdyby był Wawrzyniec Potocki, w odwodzie za nimi idący, na sukurs nieprzypadł, i ubiwszy kilku kozaków łapaniem koni zatrudnionych, nazad do miasta niewparował. — Ten Potocki, herbu Szeliga, Wielkopolanin, towarzysz pancerny w tytule regimentarza łęczyckiego, którym istotnie niebył, od początku konfederacyi barskiej chodził przy Puławskim, dla jakiegoś zaś nieukontentowania, z kilkudziesięciu koni przyszedł do Zaremby, i przy nim się wieszał nakoszt wolontera, aż póki niezniknął, jako będzie niżej.

Zaremba po opasaniu miasta, kazał do niego strzelać z dwóch armat polowych, które miał przy sobie, i z ręcznej strzelby, na co takimże sposobem odpowiadali Rosssyanie do snujących się pomiędzy budynkami konfederatów. Tak tedy drażniły się obiedwie strony przez dzień cały z małą z strony rossyjskiej, z żadną z strony konfederackiej szkodą. Noc dana niepotrzebnie spoczynkowi. — Nazajutrz Zaremba kazał nasępować pod miasto kilkaset chłopów z siekierami. Poszykował ich i konfederatów do każdej bramy i do miejsc słabszych, jakoby już zapewne miał szturm przypuścić. Co widząc Ren, przysłał do niego oficera z trębaczem, prosząc o trzy dni frysztu, aźby mógł odebrać z Warszawy rezolucyą, co ma czynić. Zaremba wstrzymał swoje zmyślane szturmy. Ustało natychmiast z obu stron strzelanie, ogłoszono do trzech dni parol, czyli zawieszenie broni. — Ren z kilką oficerami przyszedł do kwatery Zaremby. Tam długo z sobą rozmawiali, raz po polsku, drugi raz po francuzku. Przekładał Ren Zarembie, iż jeżeli się będzie wdzierał do miasta, tedy najpierw kancelarzą z księgami ziemskimi spali: a potem, choćby Zaremba wszedł do miasta (o czém bardzo wątpi), on ma jeszcze odwód mocny do kolegium jezuickiego, murem jak zamek mocny opasanego, w którym będzie się do upadłej bronił: że Zaremba byłby swego czasu obywatelom w odpowiedzi za spalenie ksiąg i ruinę miasta: że szturm bez machin potrzebnych, przez ludzi niemal z gołemi rękami popierany i z tyłu artyleryą niesekundowany, jest bardzo niepewny i może wiele kosztować: że naostatku przez niepomysłny los może stracić reputacyą dobrego wojownika, nabytą w polu. — Zaremba na te wszystkie

remonstracye głuchym się czyniąc, przekładał nawzajem Renowi: iż w tak małej liczbie, jaką ma, a jaką jeanu jest dobrze wiadoma, w mieście tak obszerném długo bronić się niemoże: że tylko ochrona ludzi jedynie wstrzymuje go (mówił Zarem-ba) od opanowania miasta szturmem, w wielu punktach rozwalinami starych murów opasanego: że odłożywszy na stronę tę uwagę, może tak szybko ze wszystkich stron opanować miasto, iż Renowi nieprzyjdzie ani do spalenia kancelaryi, ani do retyrady w kolegium jezuickie: gdyby zaś dla punktu honoru, w bronieniu się do upadłej założonym, stracił wszystko, nieuszedłby nagany: iż mogąc się salwować przez uczciwą kapitulacyą (którą mu Zarem-ba ofiarował z wolném przepuszczeniem aż do Warszawy i z wojskowemi honorami), podał ludzi swoich na rzeź dobrowolną, opierając się bez konsekwencyi w małej garstce swoich nierównie większej sile nieprzyjaciela, tylko drżącego do ataku. — Po tej rozmowie obadwaj wodzowie, niezwycześni racyami wzajemnemi, rozstali się, myśląc, jakby jeden drugiego usiłowanie pozbawił skutku. — Ren wygnał z Poznania wiele ludzi próżnych, także po połowie z każdego klasztoru zakonników i panny świeckie w klasztorach będące, jakoteż w mieście rozrywkami i swawolą bawiące się, ażeby żywność zrewidowana w każdym domu i spisana, za umniejszeniem gąb dłużej dla wojska wystarczyła, jeżeliby potrwało obleżenie, którego obawiając się nieladajako, kazał narobić niezmierną moc kolek żelaznych czworokończastych, któremi zasiawszy ulice, gdyby tego potrzeba było, mógłby wstrzymać impet wpadających do miasta konfederatów, kalcujących sobie nogi o też kolki i utykających na głowy, a tem samem dającym czas Rossyanom pożądanego rejterowania się do jezuickiego kolegium. — Nazajutrz kazał spalić przedmieście od wielkiego mostu od konfederatów nieopanowane, z przyczyny (jako lękliwy, albo na wszystkie strony ostrożny), żeby konfederaci, przeprawieni nocą na statkach przez rzekę, niewdarli się na toż przedmieście i sił jego za szczupłych nierozzerwali, gdyż nie miał więcej nad 400. Gdy się zaczęło wspomniane przedmieście palić, oficerowie konfederacy z drugiego przedmieścia rzeką oddzielonego poglądając na podnoszący się płomień, poczęli wołać na Zarembe: »oto Ren afrontuje konfederacyą; oto oczywiście wyzywa nas do bitwy, gdy niedotrzymuje parolu; a choćby szturm formalny zdawał się być



ażardowny, to samem alarmowaniem noc i dzień Rossyan możnaby opanować Poznań, gubiąc ich potrosze na upatrzoną i trapiąc niewczasem.» — Jakoż pierwszego dnia konfederaci podkradując się z za budynków i biorąc na oko, z sztuców ubili onych 15, jako uwiadomili o tem mieszczanie. — Zaremba na to naleganie wojska swego posłał do Rena oficera z trębaczem, dopytując się, co ma znaczyć w czasie parolu krok nieprzyjacielski, palenie przedmieścia. Ren odpowiedział, że to jest przypadek. Zaremba, jakoby niepoznając przyczyny ognia, przestał na téj odpowiedzi. A lubo mu oficerowie palcem skazywali kozaków, biegających na koniach z pochodniami i podpalających budynki, niechciał na to patrzeć, odpowiadając: »trzeba dotrzymać parolu.« — Tak tedy spalone zostało całe przedmieście w oczach konfederatów, któremu na ratunek dla zepsutego mostu i innego przystępu niemającemu przybyć niemożli.

Zaremba po wyjściu parolu zaczął znowu z trzech stron strzelać do miasta. Ren natychmiast przysłał do niego, prosząc jeszcze o dwa dni parolu. Zaremba, niemający nigdy intencji zdobycia Poznania, tylko zwłócząc czas sukursowania Częstochowy, chętnie na to przystał.

Skoro zaś doszła go wiadomość, iż Rossyanie od Częstochowy odstąpili, posłał do Rena z propozycją: iż na prośby obywatelów, obawiających się rabunku, gotów jest odstąpić, byle mu Ren wydał wszystkich konfederatów z różnych potyczek zabranych, w niewoli u niego będących i odesłał podatki zaległe u miasta od ostatnich kwitów konfederackich. — Ponieważ te propozycje nic Rena niekosztowały, uatychmiast przystał na nie, życząc sobie z duszy pozbyć nieprzyjaciela z oczu, który go samym niewczasem mordował i strachem przerażał. Kazał coprędzej złożyć miastu podatki i odnieść Zarembie. Toż naźdierawszy z rzemieślników czapek, bótów, pasów i żupanów, okrył niemi więźniów konfederackich, tylko w koszulach i spodniach parcianych w piwnicach trzymany, i tak przystroiwszy w liczbie 95 odesłał Zarembie:

Z nieukontentowaniem wielkiem wojska swego i chłopstwa, na rabunek miasta wielki apetyt mającego, odciągnął Zaremba od Poznania, puściwszy ogłos, że przejął bilet od komendanta toruńskiego do Rena pisany, że mu idzie na odsiecz. — Przy-

szło prawda coś Rossyan z Torunia do Poznania, ale bardzo mało i dopiero w kilka dni po odciągnięciu Zaremby.

Dobrze uczynił Zaremba, że miasta Poznania szturmem niedobycywał. Tym sposobem zdobyte miasto byłoby zapewne od chłopstwa i konfederatów nieutrzymanych zrabowane, a od Rossyan spalone, której szkody dla kraju z ruiny miasta po Warszawie w prowincyi wielkopolskiej najpryncypalniejszego, nienagrodziłyby garstka Rossyan, chociażby co do jednego wyduszonych, i co staćby się było niemogło bez znacznej zguby konfederatów i chłopstwa, aniby mogło wyjść na pochwałę Zarembie dzieło własnej ojczyźnie arcy-szkodliwe. Lecz złe uczynił, że zaczętego strzelania nieciągnął, którym znużonego nieprzyjaciela umniejszając, mógłby był do poddania się i wyjścia z miasta przymusić, miasto spokojnie bez szkody odebrać, a jako nie punkt wojny, ani nie fortecę w swoim stanie opuścić i z chwałą niesukursowanie Częstochowy przed publicznością oczyścić: miasto czego, gnuśnie leżąc pod Poznaniem, zabawiając się pijaństwem, wdając się w konszachty z nieprzyjacielem, patrząc zimną krwią na podniecone od nieprzyjaciela płomienie, oczernił sławę swoją i w słuszną obojętnego, ledwo że nie zdrajcy, u publiczności, a najbardziej u Puławskiego wpadł suspicyą. — Po odciągnięciu Zaremby, w kilka dni Ren resztę wszystkich przedmieściów dokoła miasta spalił: ażeby konfederaci niemogli się tak blisko jak pierwój pod mury podsuwać, jeżeliby się im drugi raz atakować Poznań zachciało.

### **o ataku Częstochowy.**

Gdy Zaremba zatrudniał się ściganiem i uskramianiem Małczewskiego, tudzież komedyą graną pod Poznaniem, Rossyanie tymczasem szturm za szturmem do Częstochowy przypuszczali, jako się da widzieć niżej.

Naradzano się w Warszawie, czy mają, czy niemają kusieć się o Częstochowę, kiedy słabszych twierdz Lanckorony, Bobrka i Tyńca konfederatom wyrzecz dotąd niemogli. Dřewicz pułkownik, między innymi oficerami rossyjskimi, przeciw konfederatom walczącymi, najbieglejszy w sztuce wojennej, oświadczył Wejmarowi, generalnemu komendantowi wojsk rossyjskich w Polsce będących, iż byle jemu zdana była dyspozycya tego dzieła, tedy za trzy godziny najwięcej dobędzie tego kurnika: mniemając takim imieniem urągającym Częstochowę. Zdano

tedy na niego dyrekcyą całą ataku, który ułożywszy u siebie za nieomylnie pomysły, skoro wyszedł z Warszawy, posprowadzał z Berlina juwelerów i złotników do taxowania klejnotów i srebr częstochowskich, jakby je już miał w ręku. Nim przystąpił pod fortecę, o kilka dni jeszcze będąc, tentował Puławskiego, aby dobrym sposobem poddał fortecę, której zapewne dłużej nad 24 godzin utrzymać niepotrafi. Jeżeli się dobrowolnie podda, obiecywał mu generalstwo w wojsku rosyjskiem i pierwsze u imperatorowej względy; jeżeli zaś szturmem dostanie się w ręce rosyjskie, ma się spodziewać najokropniejszej surowości, jako wiarołomca, niedotrzymujący słowa danego na piśmie, pod Barem złapany: iż więcej przeciw wojskom imperatorskim walczyć niebędzie. — Puławski odpisał Drewiczowi: Jeżeli się sam osobą swoją przeniesie do konfederacyi, generalność da mu marszałkowską godność, wyższą od generalskiej. Takowe przeniesienie niepowinnooby go zastanawiać, jako już raz z służby pruskiej do rosyjskiej bez abszytu (co w samej rzeczy tak było) przeniesionego. Co się zaś tyczy rewersu danego pod Barem, wytknął podobnież jednego majora rosyjskiego Szuwałów, czyli na podobieństwo (zda mi się) takiego imienia zwanego, który złapany w potyczce od Puławskiego pod Jampolem na Podolu, dał takiż na siebie rewers, a stemwyszyskiem znajduje się teraz pod Częstochową, w pułku generała Szuwarowa. Zatem wiarołomstwo Puławskiego równem wiarołomstwem majora Szuwałów zostało pokwitowane. Przydał na ostatek, iż jeżeli jeszcze raz bądź z takiem, bądź z innem jakkolwiek pisanem do niego przyśle, ten kto je przyniesie, natychmiast zostanie na bramie powieszony. Zrozumiawszy Drewicz z takiego odpisu humor twardy Puławskiego, więcej go niekusił. Udał się do Paulinów, których przez sekretne bilety namawiał, aby jakim sposobem Puławskiego zdradzili i do wzięcia fortecy Rossyanom dopomogli, obiecując im niezmiernie nagrody za taką przysługę: przeciwnie, jeżeli się do niej nieprzyłożą, grożąc spalaniem dóbr ich, i po dobytciu fortecy wszystkich w pień wycięciem. Znając Paulini tyrański umysł Drewicza, na wielu duchownych, zamordowanych z lada podejrzenia o sprzyjanie konfederatom pokazany, postanowili ułascić się mu. Odpisali: że ile z nich; będą się starali ułatwić Rossyanom dobytciu fortecy, ale że do tego małą mają sposobność, ponieważ Puławski wszystkich ich

w jednym kurytarzu osadzonych trzyma pod mocną strażą. Jakoż Puławski, niedowierzając bojaźliwym zakonnikom, ściśle ich trzymał w klasztorze: co jeszcze bardziej obostrzył, gdy jeden z takich biletów, donoszący Drewiczowi o stanie fortecy mocnym i więcej nad istotność samą wyniesionym, w maźnicy w blaszanéj puszcze u prowizora na wieś dla żywności klasztornej za pozwoleniem swoim wyjeżdżającego znalazł. Nie czynił jednak Puławski za to Paulinom więcej przykrości, tylko tyle, ile ostrożność wyciągała, uważając, iż to czynili z bojaźni Drewicza okrutnika. Drugi raz przejęto dziewczynę od Drewicza z biletem do Paulinów z podobnąż do zdrady namową pisanym, niosąc dla pozorów koszule jakoby Frenkowej, żydówce z mężem i córką w fortecy w areszcie osadzonej od lat kilku, którą dziewczynę Puławski zaraz na bramie obwiesić kazał.

Gdy się te sztuki nieudały Drewiczowi, podstąpił pod fortecę. Puławski z swojej strony przygotował się na przyjęcie Rossyan jak najlepsze, najprzód kazawszy ludziom wynieść się z majątkami, spalił rzuconemi wieńcami ognistemi domy pod fortecą będące. To zrobiwszy kazał zatoczyć w bramę ośm sztuk armat, kartaczami nabitych, we dwa gradusy uszykowanych, otworzył bramę, wyszedł wprost niej za rogatki z dwoma set piechoty, kazał broń złożyć na ziemię, udając poddającego się. Na tak powabny widok Drewicz oślepiiony chciwością, rozumiejąc, że Puławski przerażony ogromnością armii rossyjskiej, szczupłej swojej sile nieufając, upadł na sercu i w samej rzeczy poddaje się, począł wołać na swoich: »stupajcie rabiata, stupajcie, poddajet sie Puławka!« (tak go zwali Rossyanie). Zaczem piechota rossyjska, w liniach marszerująca, skoczyła hurmem ku fortecy, a gdy się zbliżyła na strzelenie z flinty, Puławski swojej piechocie kazał nagle porwać broń i wydać do Rossyan ognia: toż usunawszy się na bok bramy, odsłonił armaty w niej zasadzone, z których sypiąc ogień i z ręcznej broni, położył trupem do dwóchset, nim uchodząc nazad na raczku tak daleko się odsunęli, że ich kartacze sięgać niemogły. Dopiero pokłoniwszy się z daleka Drewiczowi, wszedł do fortecy. Drewicz zawstydzony takim pierwszym przywitaniem, a oraz porywczą lekkomyślnością swoją, cofnął się pod starą Częstochowę, grożąc jak najprędzej pominąć się na Puławskim. Kazał narobić drabin, spędził kilkaset chłop-

stwa z siekierami do niesienia tyczek i różnych innych posług wojennych. Przez dwie niedziele co noc szturm za szturmem przypuszczał coraz z innej strony, zawsze z stratą odpędzony. W dzień zaś kawaleria rossyjska wychodziła naprzeciw kawalerii konfederackiej, czyniąc między sobą rozmaite harcowania z małą obu stron stratą. Bo jeżeli Rosssyanie upędzili kawalerią konfederacką, ta uchodziła pod wały fortecy, z której armatą od dalszego zapędu nieprzyjaciela wstrzymywano. Tożsamo czyniono z obozu rossyjskiego, jeżeli jazda konfederacka jazdę rossyjską pędziła. — Wyrzucili Rosssyanie do fortecy 500 bomb, z których dwie tylko wpadły do fortecy: jedna w refektarz, skórą mokrą wołową natychmiast zgaszona, druga w kopułę wieży, z małą teję szkoda; inne wszystkie albo niedosięgały fortecy, albo ją przenosiły. — Armata częstochowska tak była donośna, że sięgała pod starą Częstochowę, połowę niemal mili od tej fortecy odległą, co się dało widzieć jednego razu, gdy oficerów rossyjskich jedenastu dla przypatrzenia się dziennym harcom usiadło na stosie drzewa na kupie leżącego, na najwyższym kłocu, i przy nich ekonom z Kruszyny, majątności jednej pani wielkiej (nazwiska jej niepomnę), przełożony nad chłopami do obozu spędzonymi, opowiadać tego przypadku. Puszkarz częstochowski dał do nich ognia trochę za nisko, że kula uderzyła w sam rdzeń kłoca, z którym lecąc na ziemię, pokaleczyli sobie ręce, nogi i głowy. Gdyby był wziął na cel cokolwiek wyżej, byłby wszystkim postumenta poucinał.

Jednej nocy, gdy się Rosssyanie uciszyli gotując się do generalnego szturm, Puławski zrobił na nich wycieczkę w 200 ludzi pieszych; napadł na śpiących, rąbał, kłuł bagnietami, biegając między nimi i wołając: »Mospanie Zaremba, tu, tu!« Ubił ich do 200, nim przyszli do sprawy, którzy w samej rzeczy rozumiejąc, że Zaremba na nich napadł, miasto obracania się ku fortecy, skąd była wycieczka, obracali się w tył swego obozu, skąd napaść mniemanego Zaremby być rozumieli. Gdy się zaś postrzegli i do sprawy przychodzić poczęli, Puławski rejterował się pod nocy zasłoną do fortecy, straciwszy swoich tylko 15. Sam jednak ledwo niezginął, albo niewpadł w ręce Rosssyanom. Bo gdy się spóźnił za swoimi, a Rosssyanie już go doganiali, upadł czémprędzej na ziemię i przykrył się płaszczem, trafunkiem napadniętym. Rosssyanie więc rozumieli, że

leży trup zabity, minęli go nacierając za konfederatami uchodzącymi; aż gdy z fortecy armatą wstrzymani, do swego się stanowiska wrócili, Puławski podniósł się, i szczęśliwie uszedł do fortecy.

Nakoniec Rossyjanie co bądź to bądź przypuścili szturm walny dokoła. W jednej ścianie już byli wysoko na drabinach, lecz drzewem spuszczoneм zepchnięci i pogruchotani zostali, od którego kirysyerów rosyjskich imperatorskiego pułku legło 150 i jeden rotmistrz, rodem Kurlandczyk, który jęcząc w fosie do białego dnia, wzięty do fortecy, w niej wkrótce skonał. — Wszystkich zaś Rossyan i chłopów polskich do dźwigania drabin w tym szturmie legło przeszło 2000. — Po najniezwyklejszym tym szturmie jeszcze bombardowali fortecę trzy dni, ale żadnego szturm nieprzypuścili: nareszcie nic niewyskórawszy i bynajmniej fortecy nienadwerężywszy, odciągnęli ze wstydem.

Rachowano wszystkich Rossyan zgubionych pod Częstochową do pięciu tysięcy, co by pokazywało, iż poginęli wszyscy, gdyż ich tyle też rachowano wyprawionych pod Częstochowę. Lecz wiedzieć należy, że do Rossyan przychodziła co noc piechota pruska i artylerya ciężka z bliskiego pogranicza szląskiego, na dzień zaś odciągała w swoją granicę dla zachowania sekretu, ponieważ wtenczas król pruski jeszcze się jawnym nieprzyjacielem konfederacyi niedeklarował, co jednak bliskim mieszkańcom krajowym i siedzącym w Szląsku panom polskim, rozruchów domowych unikającym, nietajno było.

### **O Drowiczu.**

Po odstąpieniu od Częstochowy rosyjscy niedobitkowie rozeszli się w swoje strony, z których byli ściągani. — Drowicz był zawołany do Warszawy, aby dał sprawę z chełpliwej obietnicy swojej. Gdy był zapytany od Wejmara, dla czego niedobył swoim zdaniem za jeden kurnik poczytanęj fortecy, odpowiedział śmiało: »Jakże mógłem dobyć, kiedy żołnierze księcia Galiczyzna i generała Szuwarowa obawiając się, aby Matki Boskiej niepostrzelili, miasto żwawego szturmowania, tylko się kłaniali fortecy i żegnali.« Generał Wejmar, będąc lutrem, przyjął ten żarcik szyderski za rację słuszną od Drowicza kalwina. Ale Szuwarow i Galiczyzn, jako rodowici Rossyjanie, srodze się tym żartem z religii urazili. Oskarżyli

nawzajem Drowicza, iż on najbardziej ludzi swoich ochraniał: że się nigdy tak blisko w niebezpieczeństwo jak oni nienaraził, że podczas każdej operacyi osobą swoją krył się za klasztor Stój Barbary, kilkorgiem staj od fortacy odległy. — Ta uraza nietylko Galiczyna i Szuwarowa, ale też wszystkich oficerów rodowitych Rossyan przejęła nienawiścią ku Drowiczowi, do której przyłączył się i Branicki, hetman wielki koronny, z osobliwój jakiejs przyczyny. — Gdy tedy Drowicz po skończonej wojnie zwerbował swoim kosztem piękny pułk huzarów i prezentował go imperatorowój w Petersburgu, podawszy memoryał, że go kosztuje 40,000 czerwonych złotych, a te wrócić mu imperatorowa już się była nakłoniła, owi nieprzyjaciele Drowicza, a najbardziej Branicki, mający kredyt u imperatorowój i pierwszych panów rossyjskich, tak przerobili ten interes, że Drowicz nietylko nie za regiment zwerbowany niedostał, ale też z służby został oddalony. Zadali mu albowiem, że on dwory szlacheckie polskich panów, choć niemieszających się do konfederacyi, rabował, gwałty damom uczciwym i zakonnikom wyrządzał, z konfederatami poimanyimi po tyrańsku się obchodził, przez co bardziej konfederacyą jątrzył, niż usmierał. — Jakoż Drowicz i Ren byli to dwaj rabusie i tyrani najznaczniejsi.

### • Zarembie.

Od tego czasu, jak Zaremba niechciał sukursować Puławskiego podczas ataku Częstochowy, zajęła się większa niechęć między nimi: ile gdy Zaremba przyciągnąwszy o milę pod Częstochowę do wsi swojej Libidza zwanój, ludzi Puławskiego wyprawionych za furażami w ziemię wieluńską połapać kazał, pod pretextem, że się nieskromnie sprawowali, i przetrzymawszy ich przez dzień i noc w areszcie, ogołoconych z furażu nabytego wypuścił. — Gdy jednego razu Zaremba w kilka koni oddał wizytę Puławskiemu w fortacy, Puławski chciał go przytrzymać, mając za podejrzanego. Nad czém gdy się naradzał sekretnie z swoimi, często wybiegając z pokoju niespokojny, w którym bawił Zarembę Radziwiński, Zaremba to porozumiawszy, wyniósł się z fortacy, nieczekając, jak padną względem niego rozróżnione zdania. Puławski usilnie go prosił, aby został na noc, ale Zaremba tém spieszniej się z nim pożegnał, obiccawszy za trzy dni oddać mu znowu wizytę.

Lecz skoro wyjechał za rogatki, obejrzawszy się na fortecę, rzekł do swoich: „Więcej tu noga moja niepostoi.” Jakoż nigdy więcej niebył u Puławskiego. — Te słowa wymówione od Zaremby do swoich, dały poznać, że go w fortecy przytrzymać chciano, ale dla oburzenia konfederacy wielkopolskiej i generalności, jeszcze wtenczas dobrze trzymającą o Zarembie, wahano się z myślami.

Rossyanie odpocząwszy cokolwiek po szturmie niepomyślnym częstochowskim, wzięli znowu na opiekę Lanckoronę, Bobrek i Tyniec; częste do pomienionych miejsc szturmę przypuszczali, zawsze odparte z swoją szkodą.

Puławski z Częstochowy nigdzie niewychodził; sukursował jednak ile mógł ludźmi i potrzebami pomienione miejsca, od konfederatów walecznie bronione. Zostawić ich w tém miejscu należy, jako w jednostajnych czynnościach aż do końca konfederacyi zostających, a wrócić do Zaremby, którego obroty miały różne odmiany.

### ***O dalszych czynnościach Zaremby.***

Z pod Częstochowy ruszył Zaremba dywizye swoje <sup>z</sup>siemradzkie, otaczając niemi dobra swoje, do których sprowadził żonę z dziećmi z Szłaska. Zabawiwszy blisko trzech niedziel w pomienionych dobrach, Kisiele zwanych, ruszył w poznańskie województwo.

Od tego czasu, jak był pod Poznaniem, uważaliśmy: że nigdy na niego ani Ren, ani Drewicz nienatarł, choć czasem ledwo o milę odległości konfederaci Zarembowscy od Rossyan przechodzili i jedni o drugich wiedzieli. W dobrach nawet jego, Rossyanie, przechodzący przez nie, żadnych się szkód czynienia niedopuszczali. Znalazła się nawet po śmierci jego (o której będzie w swoim miejscu) w szkatule między papierami libertacya pułkownika Rena od wszelkich furazów.

Lubo Malczewski, wyzuty z władzy pod Bukiem (jako masz wyżej), niepokazał się więcej w obozie, chcąc jednak Zaremba zrobić mu wstręt jak najmocniejszy do rządów wojskowych, za przybyciem swoim w województwo poznańskie postarał się, że od niektórych pryncypalniejszych obywatelów, a ogółem od wszystkich wojskowych został marszałkiem generalnym województw wielkopolskich obrauny. Takim sposobem



Malczewski z urzędu swego marszałkowskiego politycznie został złożony.

Zaremba izby konsyliarskiej niewskrzesał. Nawet wieszających się przy sobie konsyliarzów przeszłego składu, w niczem się niedokładał: którzy, jak z razu poczęli otaczać Zarembę, tak poznaawszy, iż nimi pogardza, potrosze od niego poodstawali.

Zaremba, jeżeli miał jaką wątpliwość, to składał radę z regimentarzów i pułkowników: co bardzo rzadko czynił i chyba w okolicznościach jawnych, albo w takich, których skutek chciał zważyć na kogo innego. — Tak naprzykład, gdy generalność preszowska piórem wojująca, nadesłała do celniejszych wodzów konfederackich instrument detronizacji króla Poniatowskiego i nieprzyjacielem ojczyzny być go ogłosiła, pozwalając każdemu siłą otwartą lub skrytą sprzątnąć z tronu głowę jego, jako zdrajcy ojczyzny, Zaremba odebrawszy takowy instrument, złożył wielką radę wojskową z wszystkich oficerów sztabowych, a nawet i dywizyjnych, aż do chorążego: a przełożywszy im zaraz z góry okropne skutki z publikowania tak niewczesnego interregnum, które konfederatom, mającym jeszcze dosyć do czynienia z Rosssyanami, ściągnęłoby na karki drugiego nieprzyjaciela, to jest króla, dotychczas niedbale i tylko dla oka rossyjskiego konfederatów prześladowającego, wskórał to, co chciał wskórać, że wszyscy przypadli na jego zdanie: żeby detronizacji czyli interregnum niepublikować. — A tak on, lubo pierwszym był tego zdania i przewodzcą do niego wszystkim, złożył się jednak przed generalnością, że nie może publikować interregnum, ponieważ całe jego wojsko na to niepozwala. Generalność źle przyjęła taką wymówkę Zaremby i odtąd miała go w podejrzeniu: lecz Zaremba (jak koniec pokazał) dobrze zrobił, że tak próżnego zamachu pióra na głowę królewską, pod protekcją Rossyi bezpieczną i śmiejącą się z wojowników papierowych, niepublikował. — Miał on tajemne zachowanie z oficerami pruskimi, mianowicie z imiennikiem swoim Zarembą, generałem i komendantem fortecy Brzega w Szląsku. Ci go zawsze przestrzegali, aby się zbytnie jak Rosssyanom, tak swemu królowi nienarażał, upewnając go, że konfederacya niedługo koniec weźmie. — Miewał podobne ostrzeżenia i z Warszawy od przyjaciół swoich, owszem i namowy, aby się dla bliższego upadku konfederacyi

copredziej z królem pojednał. Z takimi rzeczami nikomu się on niezwierzał, ani rady, co by miał czynić, nieskładał. Wyjaśnił to swoim przyjaciółom po skończonej konfederacyi, którzy postrzegani w operacjach wojennych jego leniwość za podejrzaną mieli. — Z drugiej strony generalność, acz go miała w podejrzeniu, nieustannie jednak animowała go: żeby konfederacyą ile możności utrzymywał: żeby się żadnemi namowami przeciwnymi uwodzić nie dał: że Francya, Hiszpania, Anglia, Dania i Szwecya wkrótce się za konfederacyą odezwia: że już *Dumouriez* jest u generalności poseł francuzki du Murier, który tymczasem od dworu swego przywiózł dla konfederatów znaczne kapitały, z których się i jemu dostanie, byle niebawnie do generalności na jaki czas przybył dla porozumienia się lepszego o dalszych czynnościach. — Lecz Zaremba, większy frant od generalności, przeczuwając, iż ta zwabiwszy go do siebie, pewnieby tak jak Malczewskiego złupić z komendy generalnej chciała, niekwapił się do liczenia pieniędzy obiecanych. Odpisał generalności: iż komendy w bliskości nieprzyjaciela zostającej odstąpić niemożę, a co mu generalność posiłku pieniężnego przysłać będzie raczyła, z wdzięcznością przyjmie, jako dla wojska potrzebne. — Zwodziona generalność takimi obietnicami zwodziła drugih. Pierworodnym zaś zwodzicielem wszystkich był Adam Krasieński, biskup kamieniecki, mąż wielkiego rozumu, do saskiego domu jako stryj księżnej Karolowej, królewiczowej polskiej, wielce przywiązany, a z tój przyczyny króla Poniatowskiego nieprzyjaciół nieubłagany. Ten biegał po zagranicznych dworach, pracował wszystkimi siłami rozumu swojego, aby był mógł wyrobić od którego za konfederatami odezwę, a lubo nigdzie nic niewskórał, zewsząd jednak pomyślnie nadzieje generalności i pryncypałów konfederacyi donosił, zachęcając jak tylko mógł do ciągnięcia dalszego konfederacyi.

• Zaremba stosując z obu stron namowy jedno z drugimi, wbrew sobie przeciwne, trzymał się średniej drogi. Na rady pruskie i warszawskie za Rossyanami się nieuganiał, choćby był mógł wiele razy z pomyślnością. Na obowiązki generalności i biskupa kamienieckiego konfederacyi nieodstępował. W takowem ułożeniu przechodził się z komendami swemi po województwach poznańskim, kaliskim, sieradzkim i krakowskim, niedalęj jak pod Częstochowę do dóbr swoich Libidzy, skąd wracał się znowu ku Wielkiej Polsce.

Przecież choć w takiej obojętności zostającemu Zarembie, zdarzyła się mała potyczka z Rossyanami. Ci stali w Piotrkowie pod komendą pułkownika Łopuchina (który po skończonej konfederacji polskiej, będąc z pułkiem swoim do armii przeciw Turkowi posłany, dzieląc się z drugimi stadłem bydląt Turkom zabranego, od wolu — którego laską uderzył w głowę, dla siebie go tym sposobem wyzuaczając — rogiem przebity, zginął. Byk byka zabił: bo też Łopuchin stojąc w Piotrkowie, jak byk za krowami, uganiał się za dziewczkami. — Zaremba, nieuwważając na bliskość nieprzyjaciela, rozłożył się z dywizyami swemi po wsiach, otaczających majątności jego Rozprzą i Kisiele, małe 2 mile od Piotrkowa odległe. Kozacy rossyjscy, niewiedzący o przyciągnięciu Zaremby, wpadli do Krzyżanowa, wsi należącej do opata komendataryusza sulejowskiego, natenczas Potkańskiego, w której wsi stanęli przednią strażą huzarowie Zaremby. Ci wyparowanych ze wsi kozaków pędzili aż pod Piotrków, skąd wyszedł im na sukurs Łopuchin z jazdą, piechotę w murach zostawiwszy. Zaremba także z dywizyami poblizszemi przybiegł wspierać swoich huzarów. Zaczęły się uganiać obiedwie partye samym ochotnikiem; do walniejszej sprawy nieprzyszło. Po utracie kilku ludzi z obu stron, Zaremba w dobrej sprawie cofnął się do swego stanowiska, Łopuchin też nie szukając większego zysku, wrócił się do Piotrkowa.

Podobną do tej potyczkę odprawił Zaremba pod Koninem, miastem województwa kaliskiego z majorem Langą z pułku Renna, w kilkaset ludzi podjazdującym (jeżeli taką sprawę bitwą nie żartem i obłudą zadufaną nazwać można). Będąc Zaremba niewywczasowany po zabawie przyjacielskiej z kilką obywatelami miauję, kazał się potykać przednim strażom swoim z kozakami, a sam się położył spać, i nim się wyspał, potyczka się skończyła. Langa dowiedziawszy się, że trafił na Zarembę, cofnął się i udał w inną stronę. Stał po tej akcji w Koninie Zaremba kilka dni, bynajmniej od Rossyan nie napastowany.

### ***O Zarembie, Sieraszewskim i Skórcewskim.***

Rozdzieliwszy potem komendy, wielkopolską posłał w poznańskie, kujawską w Kujawy, dla wybierania podatków, sam z sieradzką, łęczycką i wieluńską (co wszystko wynosiło do

800 głów) udał się znowu pod Częstochowę, gdzie pobawiwszy parę niedziel w wsi swojej Libidzy, wracał się znowu do Wielkiej-Polski.

Nim się odłączyli od niego Wielkopolanie, Skórzewski pułkownik, niecierpiący nad sobą zwierzchności Sieraszewskiego, mając go za podstępnie obranego regimentarza, prosił Zaremby, ażeby go z pod komendy Sieraszewskiego wyłączył; co też Zaremba dla niego, jako swego krewnego, uczynił. Sieraszewski, lubo poznawał przez to wyłączenie powagi swojej regimentarskiej krzywdę, jednak przez rozum dysymulował ją, jakby jej niepoznawał. Tak tedy ci dwaj, nienawistni sobie, rozłączyli się od siebie jak najdalej. — Sieraszewski chodził środkiem województwa kaliskiego i poznańskiego; Skórzewski marsz swój ciągnął nad samą granicą szląską i brandenburską, nic o tem niewiedząc, że król pruski przystępując już do zniszczenia konfederacyi, wydał ordynanse do swoich wojsk, aby komendy konfederackie, snujące się ponad granicą jego państw łapali, i gdzie potrzeba było, atakiem otwartym pod pozorem zabezpieczenia od najazdów państw jego znosili. O czem Sieraszewski przestrzeżony od Sapieżyny, łowczyni litewskiej, mającej dobra w Szląsku, wielkiej protektorki swojej, a stąd Skórzewskiemu nieprzyjazznej, miał się opodać od granic pruskich.

### ***O niewoli Skórzewskiego.***

Skoro się Skórzewski przeprowadził za rzekę Noteć, zaraz się mu Prusacy przeciwiać poczęli, uganiając się z nim o kwatery, do których Skórzewski czując swoje lepsze prawo, jako w własnym swoim kraju, niż Prusaków, kazał ich z kilku wiossek wygnać i sam się w nich na nocleg rozłożył. Lecz gdy nazajutrz wyciągnął w pole, chcąc dalej marsz swój ponad granicą kontynuować, ujrzał wychodzące przeciw sobie szwadrony pruskie, uszykowane jak do bitwy. Przerażony takowym widokiem, począł także szykować swoich w linie. W tém przybiegł ku niemu trębacz pruski, zapraszając go w kilka koni na rozmowę przyjacielską z majorem komenderującym pruskim, a to pod parolem kawalerskim, i żeby tymczasem, nim się rozmówią, swoich w miejscu zatrzymał. Skórzewski, uwierzywszy parolowi, zbliżył się z kilką oficerami swymi ku majorowi pruskiemu, w kilkanaście koni przeciw sobie zwolna postępującemu. Skoro się zjechali i nawzajem się powitali, major pruski zapy-

tał się Skórzewskiego, za co wczoraj ludzi pruskich z kwater powyganiał? Skórzewski zaczął odpowiadać, iż większe ma prawo jako żołnierz i obywatel krajowy zapytać się pana majora, jakim prawem najeżdża granice polskie; — lecz jeszcze nieskończył dobrze odpowiedzi, kiedy Prusacy przy majorze będący, obskoczyli go z zmierzoną do gardła bronią, a drudzy w też tropy uderzyli na jego ludzi, którzy widząc wodza swego z przedniejszych oficerami w rękę pruskich, po małym odporze pierchnęli. Zginęło w téj akcji konfederatów kilkunasztu, w niewolą dostało się kilkudziesiąt, reszta uszła w różne strony. Poimanych konfederatów zdalnych Prusacy porozbierali do różnych regimentów, niezdatnych poobdzierawszy ze wszystkiego, na wolność puszczali. Skórzewski z rotmistrzem Szadkowskim zaprowadzony został do Kiestrzyna, gdzie za sprawą owéj pani Sapiężyny długo, nawet już po konfederacyi skończonej, trzymany był w areszcie. — Ta łowczyzna będąc wdową, upodobała sobie własnego trębacza nazwiskiem Lilienhowa, z którym sekretnie ślub wzięła. Że zaś obawiała się, aby go jéj familia niesprzątnęła, mianowicie brat rodzony Sapiela, wojewoda smoleński, człowiek gwałtowny; więc sprzedawszy jedną część dóbr swoich w Polsce, kupiła w Szląsku miasteczko Frejno z kilką wioskami, i tam z owym trębaczem mieszkała aż do śmierci. A jako obywatelka szląska mając zachowanie dobre z generałami pruskimi i względy u nich, postarała się przez nich (jak powszechnie trzymano) o tak długą Skórzewskiego niewolą: żeby Sieraszewskiemu regimentarstwa niedysputował, i wycieńczony w niewoli ciężkiej na zdrowiu i majątku, przeszkadzać mu do promocyj obywatelskich długo sposobu nie miał.

Nowina o zabraniu w niewolą Skórzewskiego i rozpędzeniu pułku jego niezasmuciła Zaremby, wiedzącego, że się nie długo miały zakończyć opera konfederacyi. Tém bardziej niezasmuciła Sieraszewskiego, którego pułki powiększyły się ludźmi Skórzewskiego, w niewolą niezagarnionymi, i pozbył się obawy zupełnie o swoje regimentarstwo, o elekcyą nową którego Zaremby Skórzewski ustawicznie głowę suszył, mając pod ręką manifest od wielu oficerów przeciw elekcyi Sieraszewskiego podpisany, z którym dybał na okazją nakłonienia Zaremby na swoją stronę.

**O polęczeniu Zaremby z Branickim pod Widawą.**

Interregnum ogłoszone — o którym się dawniej wspominało — zapaliło nanowo króla przeciw konfederatom, których prześladować na perswazyą panów polskich już był zaniechał. — Że zaś Puławskiego, acz najpierwszego bezkrólewia głosiciela, po forticach rozłożonego, i król i Rossyanie wyparować z nich niemogli, więc obrócono się bez dysymulacyi dotąd używaną wszystką siłą na Zarembę, mając nadzieję, pokonawszy tego, łatwiej orężem lub głodem zniszczyć Puławskiego.

Dano tedy pod komendę Xawerego Branickiego, hetmana w. koronnego, pułk lekki generała Byszewskiego, pułki ulanów królewskich i regiment gwardyi litewskiej konnej, do których generał rossyjski Wejmar, najwyższy komendant, dał pod ordynanse Branickiego Drewicza pułkownika i jego dywizyą z Warszawy, Udoina z Łowicza, Langę majora z Poznania, Absiulewicza z Bydgoszczy, Łopuchina z Piotrkowa, Szuwalowa z Lublina z dywizyami swojemi. Całej tej wyprawy na Zarembę było do ośmiu tysięcy, który w partyi swojej nie liczył więcej nad trzy tysiące, pościągawszy do siebie wszystkie konfederacye, nawet i Mazowieckiego, osobno dotąd chodzącego. Wiedział albowiem Zaremba od przyjaciół z Warszawy, że się na niego i królewskie i rossyjskie wojsko zbiera, i że Branicki, wychodząc na tę wyprawę, oświadczył publicznie na pokojach przed wielą przytomnymi panami: albo żywego, albo zabitego Zarembę przyprowadzić do Warszawy najdalej za dwie niedziele.

Zaremba z korpusem swoim stanął około Widawy, miasteczka ośm mil pocztarskich od Piotrkowa odległego, sam z sztabem stanąwszy w samej Widawie.

Branicki miał rozkaz wrzód dobrym sposobem próbować Zarembę, ażeby broń złożył; a gdyby się nie dał nakłonić po przyjacielsku, dopiero zbrojną siłą uderzywszy na niego ze wszystkich stron, albo przymusić do poddania się, albo w pień wszystkich wyciąć. — Rozporządzając tedy Branicki środki do takiego końca, porozysłał ordynanse do Rossyjan, aby na wyznaczony dzień każdy punktualnie o jednej godzinie na miejscu sobie naznaczonym stanął, co za pięć dni nastąpić miało; sam zaś z pułkami królewskimi i rzeczypospolitej pospieszył ku Zarembie, aby go w miejscu zatrzymał, nim nadciągną Ros-

syanie. — Gdy się zbliżył ku Widawie, Zaremba wyszedł naprzeciw niemu w pole. Tam zaraz Branicki wyprawił do Zaremby trębacz, żądając, aby wstrzymawszy nieprzyjacielskie kroki, wprzód się chciał z nim rozmówić. Zaremba na to pozwolił. — Wyjechali tedy obadwa przeciw sobie w równych konwojach, wojska zaś ich w miejscach swoich zostawione zostały. — Za pierwszém przywitaniem oświadczył Branicki Zarembie: iż król estymując tak godnego kawalera, nieradby go zgubić; chciałby go zachować do usług swoich i ojczyzny: zatem proponował mu, aby się dał nakłonić na życzliwą perswazją. A że moment jeden mały jest do przerobienia rzeczy przeciwnych w przyjacielskie, przeto żądał, ażeby Zaremba pozwolił na zawieszenie broni pięciodniowe, przez który czas jeżeli Zaremba nieprzekona się sam na umyśle dowodami, które mu pokazać obiecywał, że konfederacya niema żadnego fundamentu i już stoi nad przepaścią: tedy po wyjściu tych dni wolno będzie Zarembie stanąć przy swoim uporze z szablą w ręku. Zaremba, niewahając się bynajmniej z myślami, przyjął propozycją Branickiego: czyli dufając szczęściu swemu, czyli puszczając na los błędną w zamiarze swoim konfederacyą. — Obwołano natychmiast parol do pięciu dni w obu wojskach. Przykazano pod gardłem, dla uniknienia wszelkiej zaczepki między wojskowymi, aby nikt nieśmiał pod żadnym pozorem chodzić do kwater przeciwniej strony. — Miejsce zaś rozmowy obrał Zaremba w kwaterze swojej, jako w mieście, wygodniejsze, do którego zaprosił Branickiego z małym konwojem. Wojskom zaś rozkazano z osobna rozłożyć się wedle miasta po wsiach. — Zaremba przyjął Branickiego w stancyi swojej z wszelkimi honorami, jakie należały hetmanowi od oficera komputowego, którym był Zaremba. Pomówiwszy z sobą ci dwaj wodzowie cokolwiek po francuzku, resztę puścili na polską manierę, to jest, zaczęli pić z sobą; a będąc obadwa tęgich głów, probowali się od południa aż do wieczora, tak iż Branickiego jak nieżywego wsadzono do powozu, a Zaremba chwiejąc się na nogach, ledwo zdołał gościa swego odprowadzić do pierwszego prog.

Widząc takie spoufalenie się Zaremby z Branickim ów wspomniony w obleżeniu Poznania Wawrzyniec Potocki, pobożny katolik i żołnierz dobry, ale w rzeczach politycznych wielki prostaczek, zaraz ruszając z pola do kwater, zawołał

na swoich: „Mości panowie! jest tu zdrada. Trzeba tu i Lutra w łeb i Niemca w łeb (terminem Lutra znacząc Branickiego, terminem Niemca znacząc Zarembę, że chodził w niemieckiej sukni czasem, albo w węgierskiej). Kto kocha wiarę i wolność, proszę z sobą!“ — Odszedłszy tedy z obozu Zaremby, pociągawszy za sobą najwięcej z konfederacyi łęczyckiej i z innych do 300 koni, udał się ku Łęczycy, lecz nie szczęśliwie: w kilka dni bowiem po odejściu od Zaremby, gdy dla ochłody koni i ludzi na pewnych łąkach nad rzeczką leżących roztaşował się i konie porozkulbaczać kazał, a ludzie jedni kąpaniem, drudzy oprawianiem munderunków lub sukien bawić się poczęli, Langa major z Poznania ciągnący blisko tego miejsca, naprowadzony od przewodnika chłopca od konfederatów powracającego, ledwo nie wszystkich wybił: mało co który uszedł, i tylko z tych, którzy kąpać się nago, łatwiej na drugą stronę rzeki i błota salwować się mogli. Sam Potocki, jak był nierozebrany i przy broni (t. j. karabinku i szabli) tylko bez konia, broniąc się do upadłej, zginął. — Langa, że był w spiesznym marszu, niechcąc się zatrudniać niewolnikami żywcem połapanymi, kazał wszystkich pozabijać. Taki był koniec ludzi, skądinąd pocziwłych ale nierostopnych.

Zaremba z Branickim przez całe półtrzecia dnia tak się raczyli, jak zaczęli. Trzeciego dnia popłukawszy likworami francuzkiemi wczorajsze lagry węgierskie, i po ranném śniadaniu wyprzątnawszy stante pede (jak mówią łacinnicy) kilka butelek wina, rozjechali się bez żadnego skutku roboty przedsięwziętj. Zawieszenie jednak broni do zbiegu pięci dni sobie nanowo przyrzekłszy.

Zaremba, jakby przeczuwając bliską potrzebę dobrej dyspozycyi, położył się na wczas, którym się znużony od Bachusa wielce pokrzepił. Branicki zaś, zajechawszy iniedzy swoich, dolewał z nimi reszty, czego mu do spadnienia z nóg brakowało, ciesząc się, że mu Zaremba dosiada w miejscu, w którym go niezadługo jak zwierza miał otoczyć i złapać albo zabić.

Tego dnia od rana jedna chorągiew ułanów królewskich z dalekiego stanowiska spóźniona ciągnąc za drugimi i nie niewiedząc o zawieszeniu broni, naszła na dywizyą sieradzką pod rotmistrzem Kazimierzem Grodzickim, szwagrem Zaremby: ude-



rzyła na nią po nieprzyjacielsku, w której potyczce niespodziewanej zginął trafiony kulą w głowę Grodzicki rotmistrz. Sieradzanie, straciwszy swego oficera, cofali się ku głównej kwaterze Zaremby, a ułani królewscy poznawszy błąd swój, od złapanych kilku konfederatów o parolu uwiadomieni, wstrzymali dalszą gonitwę, pociągając zwolna ku kwaterze swego wodza.

Tymczasem doszła do Zaremby wiadomość, że zginął rotmistrz Grodzicki i że ułani królewscy na Sieradzanów uderzyli. Porwał się z łóżka jak sparzony na tę wiadomość Zaremba, a podniosłszy w górę oczy i ręce, zawołał: „Boże! ciebie biorę za świadka, jako nie ja łamię przyrzeczony słowem kawalerskiem parol.“ Po tym krótkim pacierzu, długiego niezwycajny, niewchodząc w roztrząśnienie jak się co stało, kazał otrąbić do koni i mniej godziny czasu z pozbieranymi rotami wyszedł w pole. Co widząc partya Branickiego także zaczęła się ruszać z kwater, lecz bez ordynansu wodza, niewiedziała w jaki ład miała się szykować. Branicki winem zinroczony niechciał dać wiary pierwszym doniesieniom, że Zaremba gotuje się do potyczki: aż gdy jeden za drugim poczęli mu dawać znać, że Zaremba już bije, dopiero kazał sobie podać konia i przybiegł na plac bitwy wtenczas, gdy już huzarowie Zaremby pod przywództwem rotmistrza Dembskiego, złamawszy dragonią litewską, wpędzili ją na ułanów królewskich, na których i na kawaleryą lekką generała Byszeńskiego z drugiej strony wpadł Mazowiecki regimentarz i Morawski pułkownik, z trzeciej zaś strony zagarnął ich sam Zaremba z Sieradzanami. Tak tedy ze trzech stron wzięwszy ludzi królewskich na opiekę, niedali się im rozpostrzeć. Branicki latał na koniu między swoimi, chcąc ich do sprawy przywieść, lecz gdy przed natarczywością konfederatów żadnego porządku uczynić niemógł, przyszło i jemu z pierzchającymi swemi hufcami w zawód uciekać. W której ucieczce o włos nieginął, albo się w niewolę niedostał, gdyby go była omyłka jedna niesalwowała. Towarzysz jeden konfederacki zabiwszy ułana królewskiego w początku bitwy, ubrawszy się w jego kurtkę i przesiadłszy na jego konia, tuż tuż doganiał Branickiego z wyniesioną do cięcia szablą. Drugi towarzysz konfederacki nadbiegłszy, rozumiejąc go być ułanem uciekającym za Branickim, ciął go w rękę i tym sposobem zatrzymał w do-

pędzaniu, i gdy obadwa poznawszy się sfolgowali w pędzie dla obwinienia ręki skaleczouej, dali moment potrzebny Branickiemu do wysliznienia się z ich rąk, który doganiany od innych niemogąc już wprost uciekać, skrzył koniem na błota, a w tych zostawiwszy uwięzionego, sam pieszo przeprowadzony od chłopów uszedł na drugą stronę. Tożsamo szczęście potkało i Junikowskiego pułkownika z partyi królewskiej, który także napędzony na błota straciwszy konia, pieszo za swoim wodzem przez owe błota pomarszerował. Generał Byszewski niebył w tej akcji. Dniem później niewiadomy jadąc kolaską ku obozowi Branickiego, od konfederatów pobocznych poimany, w kilka dni przez zamianę za Michała Bierznackiego, rotmistrza sieradzkiego od Drewicza złapanego, z niewoli wypuszczony.

Legło na placu z królewskiej strony 250, w niewolę dostało się 91 i jeden kapitan od gwardyi konnej litewskiej, reszta poszła w rozsypkę. Z strony konfederackiej legło 56.

Braćców wszystkich oddał Zarembo pod strażą Morawskiemu z rozkazem sekretnym, aby ich w marszu potrosze wypuszczał aż do ostatniego bez żadnej krzywdy: ale Morawski tego rozkazu nieusłuchał, jako się niżej niedaleko da widzieć.

Dowiedziawszy się Zarembo od szpiegów i przyjaciół, iż z kilku stron Rossyanie na niego ciągną, dorozumiał się: że Branicki owych pięciu dni parolu nie na inny koniec chciał użyć, tylko ażeby go zewsząd otoczywszy, albo przymusić do poddania się, albo znieść do szczątku. Dla tego nieczując się na równych siłach, komendy porozdzielał w różne strony, a sam znowu z żoną i dziećmi udał się do Szłaska pod Byczynę na dawną kryjówkę.

Gdy się dywizye rozeszły, Morawski z swymi niewolnikami udał się do Podolina, wsi biskupa kijowskiego, dużą milę od Piotrkowa odległej. Chciwy odwetu swoich batogów w Poznaniu wytrzymanych, kiedy nie na Rossyanach, to przynajmniej na partyzantach rossyjskich, kazał wszystkich poobdzierać i każdego należycie plagami obłożywszy, tylko w koszuli i spodniach powypuszczał; wyjąwszy kapitana, którego puścił w mundurze: ale iż się z nim żważył umawiał o niemiłosierne obchodzenie się z ludźmi królewskimi, wyciął mu dwa policzki z przydatkiem słów obelżywych.

Rossyanie według ordynansu przyciągnąwszy pod Widadę, już nikogo nieznalezli, tylko świeże znaki porażki Branickiego.

Drewicz, pułkownik rosyjski, główny nieprzyjaciół Branickiego, aż skakał od radości na tę nowinę. Dał tego dnia całą wieczorą swoim oficerom i pił z nimi zdrowie Zaremby, wysmiewając Branickiego.

Wypijał także i Branicki zdrowie Zaremby, gdziekolwiek nocował lub obiadował u szlachcica, tłumiąc i pokrywając niejako żal i wstyd z sromotnie odniesionej przegranej tą przysadną grzecznością, jakby w mocy jego było wkrótce (jak groził) powetować w trójnasób popełnionego błęd, który jednak na nim przysechł na wieczne czasy i nigdy odwetowanym nie został.

### ***O powrocie niewoli i końcu Morawskiego.***

Rossyanie niewiedząc, w którą stronę poszła główna siła konfederatów i niemając żadnego dalszego ordynansu od Branickiego (którego władzy nad nimi metą była akcja pod Widadą, a po której on sromotnie odbytej nie tylko Rossyanom ale też i Warszawie blisko miesiąca czasu nieśmiało się na oczy pokazać), powracali się do miejsc, z których byli ruszeni. — Drewicz udał się do Piotrkowa, gdzie schwycił Morawskiego pułkownika. Człowiek ten zepsuty pijactwem, zostawiwszy ludzi w borach Grabskich, sam w kilka koni zboczył do tego miasta, gdzie pijąc przez trzy dni, doczekał się Drewicza i nieprędzej dowiedział się o jego przybyciu, aż gdy już Rossyanie napelnili sobą to przedmieście, na którym sobie hulał. Odpadła go dawna odwaga, cudów w Gnieźnie dokazująca. Widząc Rossyan prowadzących się na kwaterę do dworku, w którym stał, skrył się pod mostek na ulicy tam blisko będący przed klasztorem Bernardyńskim. — Dziad przechodzący widząc człowieka kryjącego się pod mostek, wniósł sobie, iż to musi być jakiś konfederat. W nadziei tedy jakiego stąd zysku, dał znać Rossyanom, którzy natychmiast obokoczywszy ów mostek, wywlekli z pod niego Morawskiego, niewiedząc kogo. Lecz gdy go przyprowadzili przed Drewicza, ów kapitan od gwardyi królewskiej, przed kilku dniami w ręku Morawskiego będący, a potem wypuszczony, zszedłszy się w drodze z Drewiczem, przy nim się wieszający, poznał go zaraz

i wydał, że to jest Morawski. — DREWICZ, acz był dla konfederatów tyran, i słyszał od kapitana, jak Morawski obszedł się nieładzko z ludźmi królewskimi i z nim samym, niekazał mu atoli nic złego zrobić: zdysymulował tylko, gdy kapitan wzięte policzki, podług słuszności honoru kawalerskiego, oddał Morawskiemu. Okuto go jednak w kajdany i odesłano na Ruś do Połonnego wraz z innymi 90 konfederatami, w różnych okazyach połapanymi, z którymi Rosssyanie dosyć się łaskawie w drodze obchodzili, i dla łatwiejszego marszu kajdany i dybki z wszystkich pozdejmowali. Cieszyli ich: iż po skończonej wojnie będą wszyscy na wolność wypuszczeni. Oficerów konfederackich wieziono na wozach, prości zaś szli pieszo pod konwojem pięćdziesiąt piechoty i tyleż koni kozaków. Piechurówie rossyjscy, czyniąc sobie ulgę, pokladli karabiny na wozy starszyznę konfederacką wiozące. Co gdy tak dzień jeden i drugi uczynili, dali pochop konfederatom do wybicia się z niewoli ich własnym orężem. Znowa stanęła między konfederatami na noclegu, w której porze zazwyczaj niewolników do kupy spędzano. Znakiem do porwania się umówiono podrzucanie jabłka do góry przez Morawskiego. Gdy byli w lesie, niedaleko już od Połonnego, Morawski nieodwłaczając już dłużej uczynku mówionego, począł igrać jabłkiem, podzucając je w górę i chwytając w rękę. Co widząc konfederaci, rzucili się hurmem do karabinów rossyjskich, a z temi na Rossyan: ci zaś z gołemi rękami pozostawszy, pierzchnęli w stronę. — Kozacy przodem jadący obejrzawszy się na konfederatów z bronią, a Rossyan bez broni, pędem pobiegli do Połonnego.

Konfederaci, uszedłszy w kupie kilkoro staj, naradzili się coprędzej i przypadli na to zdanie, ażeby się rozdzielić w drobne partye i puścić na los każdą, której posłuży szczęście ująć pogoni nieomylniej z Połonnego, w większej sile nadbiedz mającej. — Morawski z Piotrowskim rotmistrzem wielkopolskim, udał się w stronę jego nieszczęściu przeznaczoną. Bowiem na nich najpierwszych napadła pogonia. Bronili się do upadłej bagnietami, niemając ładunków do strzelania, aż skłóci wielą razami od kozaków, w pół nieżywi poupadali. — Wzięto ich i zawieziono do Połonnego. Komendant tamtejszy kazał ich opatrzyć i wszelką dać im wygodę, a po wyleczeniu obudwóch wraz z innymi wielą, i w tej i w różnych innych okazyach

poimanyimi, odesłał do Moskwy, gdzie Morawski zostawał w mieście Kamszatce aż do skończenia konfederacyi. Teraz się znajduje w kraju w mizernym stanie.

### ***O Zarembie po potyczce widawskiej i o Puławskim.***

Zaremba po potyczce widawskiej nie miał żadnej innej. Zostawmy go, niech się przechodzi z dywizjami swojemi po Wielkiej-Polsce i Sieradzkim podług swego zwyczaju, wyszedłszy z Szlaska po kilku niedzielach swego od wojska oddalenia się. Obróćmy się do Puławskiego.

Gdy Rossyanie zabawiali się szturmem ustawicznym (nie wskórawszy nic na Zarembie) do Bobrka, Lanckorony i Tyńca, konfederaci mieli między sobą wielu oficerów francuzkich; których ponieważ Zaremba, wojujący samem tylko harcowaniem, niepotrzebował, przeto wszyscy przychodzący z Francyi czy z swojej ochoty (jak mają zwyczaj Francuzi, że się wszędzie mieszają, gdzie się narody biją), czyli od dworu przystani, garnęli się do party Puławskiego. I można upewnić czytelnika, że ich przemysłem tak Częstochowa, jak też wspomniane wyżej forteczki stały się od Rossyan niedobyte. Między zwyczajnemi sposobami armaty i ręcznej wycieczki, używali dwóch osobliwszych: pierwszym było kopanie dołów darniem przykrytych, na które natarłszy Rossyanie, wpadali w nie gromadami i tam się na ostrych kołach pozasadzanych w nie przebijali. Drugi sposób wcale sztuczny. Miejsca suche i górzyste, jakim miejscem jest Tyniec, oblewali wodą wyżej pasa, tak że Rossyanie, taką niespodziewaną łaźnią objęci, musieli coprędzej uchodzić od obleżenia. Ta woda musiała być z Wisły przez jakie maszyny w górę pędzona, albo też przez zatamowanie koryta do francuzkiego użycia obrócona. Dosyć, że się tak działo. Relacją mam o tem od zakonników tamtejszych Benedyktynów, którzy podczas rewolucyi tej na Tyńcu mieszkali. Temi tedy sposobami kilka razy zrażeni Rossyanie, nacierać na Tyniec nieśmieli, Bobrek i Lanckoronę bliższem ścigając obleżeniem.

### ***O obleżeniu zamku Krakowskiego.***

Miasto Kraków i zamek krakowski zostawały w ręku rosyjskich w jak największem bezpieczeństwie, ponieważ konfe-

deraci o wyparcie ich z tego siedliska nigdy się niekusili. Jednakże szczęście zrobiło sobie raz igraszkę: że bez szturmowania kilka niedziel zamku krakowskiego konfederatom powierzyło. — W tym zamku znajdował się niewolnikiem Besiekierski, konfederat łączycy, po wygojeniu się z ran przez nadskakiwanie oficerom rossyjskim, wolnym chodzeniem po zamku bez pilnowacza żołnierza udarowany. A jako ptak, choć się ma najlepiej w klatce, jednak myśli ustawicznie, jakby z niej wylecieć, tak też i Besiekierski spaceru nieużywał z indifferencją, tylko szukając dziury, którąby mógł wycisnąć się na świat. — Jednego dnia zaszedłszy w kąć pod mur ku Wiśle prowadzący, natrafił na loch zarosły z wierzchu krzewiną. Spuściwszy się wewnątrz, wyszedł nim na zamek nad Wisłę ku Tyńcowi i oznaczywszy ową jamę, którą wyszedł na wolność, coby prędzej pospieszył do Tyńca: gdzie opowiadawszy, jakim sposobem uszedł z niewoli, i że tym sposobem mógłby być zamek ubieżony, dodał ochoty do wykonania tak pomyslnego zdarzenia, ile gdy opowiedział, że w zamku mało jest Rosssyan i komendant z oficerami bawi się w mieście. Wybrali tedy konfederaci z pomiędzy siebie ochotnika czterdziestu, szablą tylko i karabinem uzbrojonego. A dla poznania się w ciemności nocnej koszule na wierzch sukien powdziewawszy, ruszyli w marszu jak najcichszym pod komendą pułkownika francuzkiego Szoazel zwanego, za przewodnictwem owego Besiekierskiego. — Weszli owym lochem w zamek, rzucili się na obwach, z którego ubiwszy kilku w pierwszym impecie, resztę poddającą się bez oporu jako snem rozmarzoną i niespodzianym atakiem prawie z zmysłów ogłoconą zagarnawszy w niewolę, do jednej piwnicy wszystkich wtarasowali. Toż samo uczynili i z tymi, którzy usłyszawszy rozruch, z kwater na sukurs do obwachu się zbiegali: a tak w momencie prawie bez najmniejszej swojej straty zostali panami zamku.

Komendant rossyjski, będący w mieście, przerażony tym niespodziewanym przypadkiem, chciał garnizonem małym, będącym w mieście, rzucić się do odbicia zamku. Lecz Szoazel, aby go od tego zamysłu odstraszył, kazał konfederatom biegać ile sił po zamku, i ze wszystkich okien bez przestanku sypać ogień na snujących się po mieście Rosssyan, co ich strwożonych mniemaniem wielkiej siły, do nadejścia sukursu zatrzymało, a oraz dało sposobność konfederatom opatrzenia przy-

zwoicie zamku w ludzi i amunicją; do którego najprzód Walewski marszałek wstępnym marszem w dzień odstrzeliwając się, dwieście ludzi, a potem w kilka dni ówże Szoazel, idąc na przebój zastępującym sobie Rossyanom i gwardyi konnej koronnój, Mirowskimi zwanój, z Warszawy na sukurs Rossyanom nadeszłój, ale murem stawić się na drodze konfederatom obcetosowo z ogniem ręcznej broni i armaty idącym nieśmiejacój, tylko z daleka zaskakujacój tak jak i Rossyanie, wprowadził szczęśliwie do zamku czterysta konfederatów.

Opatrzywszy tedy należycie ludźmi i amunicją zamek, bronili się w nim mężnie konfederaci przez sześć tygodni z wielką szkodą Rossyan, do ośmiu tysięcy rachowaną. Bo Rossyanie wstydem i gniewem przejęci z utraconego tak szpetnie zamku, gwałtowne szturmy, zawsze niepomyślne, raz po raz do niego puszczali. Lecz na początku szóstego tygodnia poczęło konfederatom zbywać na żywności, której znikąd dostać niemogli, będąc znaczną siłą nieprzyjaciela z różnych miejsc pościąganego pod Suwarowem i Branickim hetmanem zewsząd opasani. Jeden Tyniec, jako bliski tylko milą drogi od Krakowa, mógłby ich być potrzebami przez odważne nocne wycieczki suplementować. — Lecz Walewski marszałek po doprowadzeniu do zamku pierwszego wydziału konfederatów powróciwszy do Tyńca, stał się zupełnie nieczynnym. Zachwycił zapewne od Branickiego przekonującój wiadomości: że konfederacya niema żadnego fundamentu, i że wkrótce koniec weźmie. A tak niemając znikąd wsparcia, pozjadawszy wszystkie konie, a Francuzi, jako delikatniejsi, wszystkie koty, które złapać mogli, naostatku poddać się musieli: o czem będzie niżej po opisanu przypadku, prędzej trochę w Warszawie zdarzonego.

### ***O porwaniu króla i uwięzieniu w Warszawie 1771.***

Generalność, wyglądając posilków od zagranicznych dworów, ludzono taką obludą: że potencye zagraniczne póty nie mogą się odezwać za konfederacyą, póki król na tronie spokojnie siedzieć będzie. Trzeba koniecznie wypędzić go z Warszawy z otaczającemi go stanami i magistraturami, aby się tym sposobem bezkrólewie ogłoszone na papierze rzeczywiście pokazało. — Puławski tylko był jeden, który takowym bechta-

niom ślepo wierzył i do wykonania zamiarów generalności z wszystkimi konfederatami rad chodził na wyścigi. A widząc, że otwartą siłą nadaremnie kusiłby się wygnać króla z Warszawy, wojskiem i rossyjskiem i krajowem napełnionej, unyślił skrytą sztuką porwać go i uwięzić do Częstochowy, albo gdyby żywcem dowieść go niemożna było, gdziekolwiek na drodze zamordować. Na taką tedy sprawę wybrał niejakiego Łukawskiego szlachcica konfederata, ten znowu przybrał do siebie pewnego plebeusza, Kuźmą z urodzenia, Kosińskijn w konfederacyi zwanego, kiedyś za lajbhuzara u księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich służącego, a ten znowu dobrał do siebie innych trzydziestu, na wszystko odważnych. — Wprowadzali się tedy ci ludzie do Warszawy po jednym, po dwóch, z sówami sianem, zbożem jakim, lub innem czémkolwiek naładowanemi, w środku ładunku mieszając ukryte oręża i siadzenia na konie. Zjeżdżali się zaś do stajni dominikańskiej na Nowém-mieście pod klasztorem będącej, do której jako obszerniej pospolicie fura z produktami zajeżdżają; gdzie tak ostrożnie z sobą postępowali, jakby każdy z nich był z innej strony, i jakby jeden drugiego nieznał. — Stajnia pomieniona była placem umówionym, na którym każdy miał się drugim prezentować, aby wiedzieli, że już są wszyscy. Po odbyciu takich prezenty, niebawiac rozjeżdżali się z stajni i po różnych kątach mieścili. Do owęj zaś stajni twardemi wieczorami schodzili się dla rozmowy. — Gdy już postanowili termin, kiedy mieli wykonać przedsięwzięty zamysł, Łukawski tego dnia znajdował się z kareta niedaleko od Warszawy. Puławski zaś o tymże czasie wyszedł z fortecy Częstochowy, aby prędzej mógł uchwycić nadwiezionego króla. Wziąwszy na to kilkaset koni, i dawszy ordynans Lenartowiczowi, aby z swoim pułkiem w Wolborzu natenczas stojącym, albo raczej Ostrowskiego biskupa kujawskiego, jako partyzanta rossyjskiego, dobra plądrującym, przybywał do niego pod Radomsk, ośm mil od Częstochowy; wzywał także i Zaremby pod pozorem pobicia Rossyan, w rzeczy zaś samej, aby dał silniejszy odpór pogoni, jeżeliby ta za królem porwanym wielka (jak się spodziewać należało) była. Lecz Zaremba jak nigdy tak i wtenczas niechciał się bratać z Puławskim, którego Rossyanie od Lenartowicza przez podanie tyłu zaraz w początku akcji zdradzonego, dawszy mu znaczną chłostę rozpędzili. W tym



czasie owi zmówieni w Warszawie obrawszy sobie noc jedną na wykonanie swego dzieła, zebrali się na koniach z bronią w jednej uliczce małą kapitulną zwaną, naprzeciwko pałacu wedle kościoła Kapucynów leżącego, w którym wtenczas mieszkał książę Czartoryski, kanclerz wielki litewski, którego w tej chwili odwiedził król Poniatowski. Noc ciemna i długa, jaka bywać zwykła w Listopadzie, posłużyła dobrze zmówionym. Najprzód, iż lud rozmaity, snujący się po ulicach w ćmie nocnej, niemógł ich rozpoznać, azatem biorąc ichże mylnie za ułanów lub innych żołnierzy w Warszawie stojących, nikt nieposunął się do dania znać któremukolwiek haubwachowi bliższemu o ludziach podejrzanych. Powtóre, przechodzący mimo nich ront ułanów królewskich, pod zasłoną tychże ciemności niemogąc ich także rozpoznać, spytawszy się kto są, i odebrawszy odpowiedź po rossyjsku: „Ront kozacki“, minęli ich spokojnie, a oni zostali w miejscu czekając na swój połów, który się im wprędce nawinął. — Król bowiem niedługo zabawiwszy u księcia kanclerza, wyjechał wcześniej, niż miał zwyczaj kiedy indziej. (Nieszczęście kogo ma potkać, to go przywiedzie i na miejsce i na moment przeznaczony.) Udał się prosto ku zamkowi. Niemiał przy sobie więcej ludzi, tylko dwóch hajduków z pałaszami podług zwyczaju ich służby, dwóch lokajów, dwóch paziów i dwóch dworzan, jednego Ośniałowskiego, drugiego Bachmińskiego, i jednego adjutanta Poniatowskiego, tudzież dwóch laufrow zwyczajnie przed kareta biegających. — Jak tylko król wyjechał z bramy pałacowej na ulicę Miodową zwaną kilka kroków, natychmiast obokoczyli go zmówieni, rzucili się prosto do karety, od której najprzód uciekli lokaje i paziowie, jako bezbronni, przed nimi zaś laufrowie, toż dworzanie i adjutant Poniatowski. Stangret i forys uskoczywszy na bok od koni, przypatrywali się, co się to stało i na czym się skończy. Ośniałowski tyle pokazał odwagi, że wystrzelił do owej turny z pistoletu, lecz gęstszym ogniem obsypany, uciekł za drugimi na koniu w kark postrzelonym. — Sami hajducy zostali przy królu, którego wywleczonemu z karety nie chcąc puścić z rąk swoich, jeden z nich na miejscu zabitym, drugi ranionym w rękę został. Zmówieni wydzierając z rąk hajduków króla, w kilkoro kareta przestrelili, suknią na nim szablami poprzebijali, i samego w głowę acz lekko ranili. Wywłókłszy króla z karety i z rąk hajdnków uporczywych wy-

rwawszy, prowadzili pieszo między końmi, przykazawszy mu pod zginieniem natychmiast milczenie. Przeprowadzili go mimo haubwachu artylerji konnej przed cekauzem, udając się przed szyldwachem za rout kozacki i wyszli przez okopy prosto ku Marymontowi, w której drodze zgubił król jeden trzewik z nogi i kapelusz z głowy.

Tymczasem, gdy ludzie królewscy pierwsi i ostatni dali znać do zamku, pierwsi o ataku, drudzy już o porwaniu króla, trwoga wielka powstała. Najpierw zaś zaczęła się przed księciem kanclerzem, który miasto bronić króla, jako mający dosyć ludzi i żołnierzy nadwornych, usłyszawszy, że jacyś ludzie króla na ulicy obkoczyli i atakują, kazał copędzej zamknąć bramę pałacową. — W zamku żołnierz stanął do broni i czekał na ordynans, którego dać mu kto nie miał, gdy ten, który nim władał, zostawał w ręku gwałtowniejszych. A trwoga rozbiegłszy się po Warszawie wszystkich bądź prawdziwym, bądź fałszywym strachem objęła. — Książę Repnin, poseł rosyjski, na wiadomość porwania króla zamknął się w swoim pałacu, tożsamo uczynił książę wojewoda ruski, tożsamo inni panowie, aż gdy ronty wysłane opędziły po wszystkich kątach Warszawę i nikogo obcego niewyszperaly, dopiero też panowie opłonawszy z pierwszego strachu i wojskowi starsi pozbiegali się na zamek. Naradzili się, co by w takim razie ku ratunkowi króla wziąć przed się należało: czy posłać pogoń za łotrami, czy nieposłać. Książę podkomorzy koronny, brat królewski, za którym poszła cała familia królewska i panowie polscy, dał zdanie, aby nieposyłać. Uważali tak: albo ci hultaje mają rozkaz zabić króla, albo też porwać go tylko żywcem i przyprowadzić do hersztów swoich. W pierwszym zamiarze już pogoń króla żywego niezastanie; albo gdyby jeszcze zastała, to mu śmierć przyspieszy, którego by zapewne żywego odstąpić niechcieli. W drugim zamiarze równie pogoń byłaby królowi szkodliwa, którego by zamordować niecomieszkali, gdyby go żywcem doprowadzić nie mogli, aby jaki taki skutek swojej odwagi i dzieła niepospolitego odnieśli. Zaniechawszy zaś pogoni, gdziekolwiek usłyszemy o królu, łatwiej będzie dobrać środków do uwolnienia go. — Na tém zdaniu przestali. Kazali tylko po ulicach pozataczać armaty, warty mocne przy nich podawać, w wątpieniu, czy łotrzy pomiędzy tyłu żołnierstwa wyszli z Warszawy z królem, czyli z nim jeszcze duszą

w jakim kącie. W takim rozporządzeniu postanowili czekać do dnia białego, który miał im ukazać jaśniej, czego by się jąc mieli.

### ***O przytoczeniu króla do Warszawy.***

Zmówieni wyprowadziwszy króla za okopy, udali się z nim ku borkowi kamedulskiemu. Kuźma herszt zmiłowawszy się nad królem na jednej nodze bosym i z gołą głową, do tego ranioną, będącym, kazał z swoich jednemu pożyczyć królowi bóta, a drugiemu czapki. A jak to pospolicie bywać zwykło: iż ci, którzy się dla zysku na jaką odważą zbrodnią, łatwie się skłaniają na drugą stronę, gdy im ta widzi się być pożyteczniejsza; tak i Kuźma wystawiwszy sobie w umyśle daleko większe nagrody od króla przywróconego, niż miał obiecać za porwanego, począł natychmiast pod różnemi przyczynami oddalać potrosze swoich kolegów, wysyłając jednych za drugimi w różne strony, niby pilnując się zewsząd od pogoni. A gdy tylko sam jeden został z królem, począł mówić do niego: „Chociaż ja ciebie mam w ręku, znam jednak, że ty jesteś moim królem. Jeżeli mi przyrzeczesz słowem królewskiem, że mi darujesz to przewinienie, odtąd będę twoim obrońcą. Uprowadzę cię na miejsce bezpieczne i odprowadzę do Warszawy.“ Oszust! nic niewspomniał o nagrodzie, niewątpiąc, iż bez przymówki król będzie mu obiecywał wszystkie łaski i dobrodziejstwa zostające w szafunku swoim. Niemamy podania, jakimi gorącemi afektami król Kuźmie odpowiedział, lecz domyślić się możemy, że mu wszystko obiecał, cokolwiek najzasłużeńszemu król świadczyć może. Po tych krótkich traktatach udał się wstecz z królem do bliskiego młyna, gdy ludzie jego po bokach rozesłani, postępując wprost i rozumiejąc, że zdążają ku Kuźmie, tém bardziej się od niego oddalali. — Przyprowadziwszy króla do młyna, kazał młynarzowi dać znać coprędzej do koszar gwardyi pieszej koronnej, owego młyna najbliższej. Król pieszą drogą niewczesną, jakiej w życiu swoim niepróbowował, i niebezpieczeństwem życia strudzony, położył się na łóżku młynarskiem, a Kuźma z dobytym pałaszem wartę nad nim we drzwiach odprawował.

Skoro młynarz dobiegł do koszar, natychmiast wysypało się do niego sześćset gwardyaków. Wsadzili króla do kolaski z sobą przyprowadzonej, w której na przodzie usiadł jeden

oficer obok z Kuźną, strojącym sobie fantazją do przyszłego nieograniczonego szczęścia, za darowanie życia królowi, w samej rzeczy godne jak największej nagrody, gdyby nie ten sam był zbójcą, co i obrońcą.

Skoro król stanął w zamku pełnym panów, natychmiast oznajmił wszystkim dobrodziejstwo Kuźny. Kazał go zaprowadzić do jednego apartamentu, przykazawszy dla niego wszelkie bezpieczeństwo i wygodę, jako mającego zaręczoną słowem królewskiem wdzięczność.

Odbierał potem powinszowania od panów szczęśliwego powrotu na tron z gardła śmierci. Prezentował zranioną głowę swoją, poprzebijaną i poprzecinaną suknią. W przytomności tychże panów kazał przywołać do siebie z księgami rejenta grodzkiego warszawskiego Puchałę, przed którym uczynił obdukcją rany zadanej w głowę. Podobna obdukcya uczyniona była w kancelaryi sukni królewskiej, karety, konia Ośnińskiego w kark postrzelonego, hajduka obciętego w rękę i proklamacya ciała drugiego hajduka zabitego. (Dla zrozumienia przyszłości niezawadzi dodać tłumaczenia tym terminom kancelaryjskim: obdukcya i proklamacya. Obiedwie są rzeczą jedną: to jest obejrzeniem i opisaniem obmiotu jakiego, z tą różnicą: że obdukcya odbywa się przez woźnego, cichem podaniem tego, co widział, do zapisu w księgi; proklamacya zaś dzieje się głośnem zwoływaniem ludzi do oglądania trupa.)

Zabitemu hajdukowi sprawił król solenny pogrzeb na Leśnie na cmentarzu luterskim, ponieważ był luter. Potomstwo jego na sejmie następującym z oklaskiem stanów udarował klejnotem szlachectwa, i wdowie jego nazначzył znaczną pensyą dożywotnią. — Niedoszła do wiadomości piszącego nagroda uczyniona drugiemu hajdukowi obciętemu. Wnosić atoli można po hojności królewskiej, że była większa od potrzeby na czerulika i na plaster; kiedy młynarzowi za to jedynie, że się król przeleżał trochę na jego łóżku, okupił młyn i nadał dziedzictwem.

Kuźna, acz przy wszystkich wygodach, był atoli pod mocną wartą trzymany. Examinowano powoli jego sprawę, z którą on bynajmniej się nietail. Wydał bilety, które miał przy sobie od Łukawskiego, które były stylem tajemniczym pisane. Doniósł oraz, gdzie Łukawski postanowił na niego czekać i gdzie mu się z królem kazał przebierać. Posłano zatem coprędzej

w to miejsce kilkadziesiąt koni i schwytano Łukawskiego z innymi kilką i z kolaską, na której miał być król uwożony.

Zaczęto przeciwko wszystkim razem proces kryminalny przed senatem, ciągnący się kilka niedziel. Łukawski niechciał żadną miarą przyznać się, aby był sprawcą porwania króla, lubo Kuźma wymawiał mu w oczy, iż na to był od niego, a on od Puławskiego namówiony. Bilety enigmatyczne tłumaczył Łukawski, że się ściągały do przemówienia gwardyi koronnej na stronę konfederacką, czego dopiwszy, dopiero miał zrobić w Warszawie rewolucyą, której na pomoc Puławski miał przyspieszyć. Porwanie zaś króla zwał na samego Kuźmę, jakoby z domysłu swego nad zlecenie tak jego jak Puławskiego przedsięwzięte. Król zasiadał na tej sprawie, nie jako sędzia, lecz jako strona, i dziwnie poruszającą wymową obstawiał za swymi złoczyńcami. — Wiele razy stawiani byli przed sądem obwinieni, zawsze stawiano i Kuźmę, kładąc mu na nogi kajdany; a po sessyi sądowej zdejmując. Nakoniec wypadł dekret miłosierny dosyć względem zbrodni, a i taki jeszcze mimo usiłowanie królewskie, na ścięcie Łukawskiego i innych dwóch; na który dekret ledwo król pozwolił, przekonany od senatorów, iżby szkaradna suspicya padła na cały naród, gdyby winowajcom życie było darowane. Stracono ich więc publicznie w rynku warszawskim podług dekretu.

Kuźmę żadną miarą król niepozwolił poddać pod miecz, usiłując uczynić go wolnym od wszelkiej kary. Godząc tedy sprawiedliwość z łaską królewską, osadzili go na wywiezienie z kraju i osadzenie do śmierci w włoskiem mieście niedaleko Wenecyi Rimum zwanem, w zamku tam będącym, naznaczyszy mu na wyżywienie uczciwe rocznej pensyi czterysta czerwonych złotych, gdzie w roku 1787. widziany był od przejeżdżających tamtędy dwóch zakonników Polaków, których (lubo nieusłuchany) prosił do siebie z okna, wołając na rozmowę.

Innych od Kuźmy podanych, a nieschwytanych, podano głowy na zabicie, wolne przez kogożkolwiek wypełnione: ale tak się dobrze pokryli, iż żadnego niezlapano.

Młodziejowski, biskup pod ten czas poznański i warszawski, następującego poranku po nocy, w której król powrócił do Warszawy, zwołał do kolegiaty świętego Jana całe duchowieństwo warszawskie, gdzie przy zgromadzeniu licznem sena-

torów, urzędników koronnych, rozmaitej szlachty, magistratu miasta i innego pospolitego ludu kościół napełniającego, spiewane było *Te Deum laudamus*, na podziękowanie Panu Bogu za powrót szczęśliwy króla. Śpiewali prawda wszyscy, bo nikt niechciał być widzianym nieśpiewającym, ale nie wszyscy skłaniali serce do głosu dziękczynnego. Zapewne ten śpiewał tylko napróżno, który stojąc z drugim orderowym przy filarce, rozmawiał tak (nim zaczęto śpiewanie): „Co za głupia bestya! rozumie, że tym sposobem otworzył sobie wrota do skarbów królewskich i najwyższych honorów: oszuka się zapewne. Dałbym na niego najpierwszy kreskę, aby był za żebro powieszony. Kiedy porwał, zacóż na miejsce nieodprowadził? Zrobił dwa występkę niegodne odpuszczenia: raz, iż oczernił naród; drugi, że pokazał całemu światu, iż Polacy ani do złego, ani do dobrego niesą sposobni. Nareszcie pozbawił nas najciekawszej sceny, coby był robił Puławski z królem, dostawszy go do rąk i król jakoby w ręku Puławskiego będący grał rolę, i Rossyanie czyliby się wspinali na mury częstochowskie dla zdobycia króla, albo czyby go zaniechali aż do abdykacyi tronu, a potem uwolnionego czyliby znowu na tron wsadzili, lub . . . . .”

Naznaczone potem były od biskupów po całym królestwie po trzy kazania w każdym kościele przez trzy następujące święta z założenia: iż się na króla jako na pomazańca Boskiego ręki podnosić niegodzi.

A lubo ta cała historia porwania króla miała tyle przekonywających dowodów, jakie się dają widzieć wyżej wyrażone, przecież i za Warszawą, a im dalej tem więcej, i w samej Warszawie znajdowało się tylu niedowiarków, albo przewrotnych tłumaczy, którzy ją albo za zmyśloną wcale, albo za ułożoną w gabinecie królewskim na oczernienie narodu być sądzili. Tak trudna jest przypadkom nadzwyczajnym wiara. — Ja tę rzecz mam za prawdziwą. Oprócz okoliczności widocznych, których tysiące ludzi byli świadkami, z dwóch następujących uwag. Pierwsza, iż król bojaźliwy, a podobno i najśmielszy, niechciałby podawać swojej głowy na obłudę niebezpieczną pistoletów i szabel. Druga, iż Puławski, gdyby niebył sprawcą tego porwania, nigdyby nieprzyjął milczeniem wydanego na siebie dekretu, i choć sam niemógł stanąć do sądu, niezanieczałby bronić się od oczernienia publicznemi

pismami, i mając tyle przyjaciół nawet między otaczającymi króla senatorami, łatwo by się był oczyścił z zbrodni zadanej. Więc kiedy się niemiał wcale do obrony, znać, że jęj był autorem. Osądzonym więc został za winnego, a jako niestawający do sądu za infamisa, za głowę zabiciu bezkarnemu podległą. Pozwolono mu jednak kilka niedziel czasu już nawet po skończonej konfederacyi, aby się stawiał do usprawiedliwienia się, jeżeli niebył winien, lecz tego nieuczynił, jako się niżej pokaże.

### ***O końcu konfederacyi 1772.***

Porwanie króla nagliło monarchom postronnym przyczynę przyduszenia konfederacyi, dotychczas obojętném okiem uważanej, czyli do kresu zamierzonego jęj exystencyi cierpianej. — Najprzód tedy król pruski Fryderyk Wielki wojskiem swoim wkroczył w granice polskie, zajmując niem województwa pruskie i wielkopolskie, ściskając i wyganiając z nich coraz głębiej w kraj konfederatów. — Ci wypędzeni z Kalisza, ostatniego stanowiska, udali się w Sieradzkie pod Piotrków, gdzie ich wódz generalny partyi wielkopolskiej Zaremba tulił się z Sieradzanami i Wielunianami. — Król pruski z pobudki generałów swoich, z którymi Zaremba dobre zawsze utrzymywał ile mógł porozumienie, napisał do niego w ten sens: »Mości panie Zarembo! masz zalecenie od moich generałów, że jesteś dobry żołnierz i że nie niszczysz swoich obywatelów. Z tych względów radzę wpanu, ażebyś nieczekając ostatniego losu bardzo bliskiego zniknięcia konfederacyi, jak najprędzej pojednał się z swoim królem, a Rosssyanom na drodze niezapewował.« — Zaremba tedy złożywszy radę wojskową, dał wszystkim umiejącym po francuzku, jakim językiem był pisany ów list, do czytania. Przełożył całej radzie: iż już niemasz żadnej nadziei utrzymywania się dalszego pod bronią: że trzeba użyć momentu pozwolonego na ocalenie samych siebie, kiedy przepadła sprawa. Zaczem wszyscy przystali na to: aby wyprawić do Warszawy z rekuncyliacyą. Wyprawili tedy niezwłocznie Skorupskiego, cześnikiewicza braclawskiego, adjutanta przy Zarembie, miny marsowej, wzrostu dobrego, z nosem gdzieś nakarbowanym i prezencyi więcej niż śmiałej człowieka, ażeby z takiej posłanej próbki zrobić wrażenie jak najmocniejsze

o całej massie konfederacyi, idącćj do zgody, dawszy mu listy przyzwoite do króla i do posła rossyjskiego.

Mazowiecki, regimentarz ziemi Dobrzyńskiej, Wielichowski rotmistrz i Bońkowski porucznik z pod komendy Sieraszewskiego, regimentarza wielkopolskiego, odpisali się od tego zdania, poszli z rotami swojemi do partyi Puławskiego, trzymając się jeszcze w Częstochowie, w Tyńcu, w Bobrku i Lancoronie. — Zamek albowiem krakowski przyciśniony głodem — jako masz wyżćj — i brakiem amunicyi, kilką niedzielami przed Zarembą poddał się Branickiemu hetmanowi w. koronnemu, wraz z generałem Szuwarowem przeciw konfederatom działającemu. Kapitulowali konfederaci z Branickim na słowo honoru, iż oddawszy zamek wolno im będzie z bronią i bagażami ich własnemi przenieść się do Częstochowy. Lecz skoro wyszli z bramy zamkowej, natychmiast Rossyanie otoczywszy ich, rozbroili wszystkich, a wzięwszy Szoazelego i innych oficerów w polityczny areszt, resztę w dyby i w kajdany pokładli. Szpazel wymawiał żwawo Branickiemu niedotrzymanie słowa: i gdy odgrażał zemstą króla francuzkiego, za którego (jak twierdził) rozkazem pomagał konfederatom, Branicki to wiarołomstwo składał na Szuwarowa, i tak się z nim prawdziwie czy zmyślono wadził, że ledwo między nimi do bitwy nieprzyszło. Rossyanin jednak, nieuwważając na gniew Branickiego, posłał prosto z pod zamku wszystkich brańców do Połonnego, a stamtąd do Moskwy, gdzie wraz z innymi zostawali w niewoli blisko dwóch lat po skończonej konfederacyi: i pewnie byliby wiecznymi, tak jak wielu innych do regimentów rozebranych, niewolnikami, gdyby odwet dworu francuzkiego za Szoazelego niebył im posłużył do odzyskania wolności, co się tak stało: Król polski w jakiejś negocyacyi prywatnej posłał Branickiego do Paryża, gdzie go zaraz przyaresztowano z zapowiedzią: póty z aresztu niewyjdiesz, póki wszyscy Francuzi i Polacy poimani w niewolę od Rossyan wypuszczeni niebędą. Zatem Branicki do króla swego, a król do imperatorowćj rossyjskićj posyłając gorące prośby, nareszcie dokazał tego, że wszystkich konfederatów i Francuzów (wyjąwszy Polaków do regimentów pobranych) z niewoli wypuszczono, za których uwolnieniem, odezwą Szoazelego do swego dworu zaświadczoném, Branicki także otrzymał wolność z aresztu.



### **O poddaniu się Zaremby.**

Lepiej się poszykowała submissya Zarembie. Ten otrzymawszy generalny pardon z Warszawy, poddał się Drewiczowi, do zabrania albo raczej do rozpuszczenia konfederatów przysłanemu, którego Zaremba przyjął na czele szyków swoich, w równém uszykowaniu Rosssyan do siebie zbliżonego. Tam oddawszy sobie wzajemną grzeczność i pisma do tego aktu służące, złączyli wojska obadwa w jeden korpus, nierozbrajając konfederatów, tylko między giejty rossyjskie mieszając. Którzy konfederaci niechcieli pójść do Warszawy, dano każdemu paszport, przy którym każdy bezpiecznie ciągnął w swoją stronę, niemając przy takich paszportach żadnej napaści ani od Rosssyan, ani od Prusaków. — Niemal się wszyscy konfederaci rozjechali do domów. Sami tylko huzarowie poszli z Zarembą do Warszawy, oficerowie w nadziei dostąpienia służby w regimentach w stopniu posiadanym, gminni jako ludzie nieosiadli, do wojskowego trybu przywykli, z których król wziął w służbę swoją 40 z majorem Strzeszyńskim i porucznikiem Żaluskowskim; Ostrowski biskup kujawski 30 z rotmistrzem Dembskim; reszta porozchodziła się w różne służby wojskowe i obywatelskie.

Gdy Zaremba wjeżdżał do Warszawy, lud pospolity zbiegał się do niego tłumem, łając i przeklinając go w głos: że się poddał, mieniąc go zdrajcą ojczyzny. — Nie ta była myśl o nim rozsądniejszych. Panowie winszowali mu: iż z honorem i ocaleniem partyi swojej zakończył dzieło niebezpieczne, wkrótce upaść mające.

Król Zarembie zrazu obiecywał rozmaite łaski: raz regiment gwardyi konnej koronnej, którego szefem był pod ten czas brat królewski Kazimierz Poniatowski, podkomorzy koronny, a potem wkrótce sprzedał go Wincentemu Potockiemu; drugi raz obiecywał dla niego zwerbować regiment huzarów: to znowu czynił mu nadzieję regimentarstwa nad kawaleryą nadworną partyi wielkopolskiej. Skończyło się na tém: że go uczynił król generałem-majorem w wojsku koronném z forsztellacyą, i że synowi jego dziesięcioletniemu Floryanowi dał chorążostwo aktywne w tym regimencie, w którym Zaremba przed konfederacyą był majorem, a którą rangę po wójscie Zaremby w konfederacyą oddał król kapitanowi Tajlerowi. Wszystkie obietnice wyżej wspomniane, czynione Zarembie,

czynił nieskuteczne Branicki hetman, od potyczki pod Wida-  
wą skryty nieprzyjaciół Zaremby, pierwsze łaski u króla po-  
siadający, i nabyć do nich towarzysza, niechcący.

### **O śmierci Zaremby.**

Co Zarembie sprawdził sen jeden opowiedziany swoim  
domowym: iż strzelał długo do wielkiego stada kuropatw,  
a żadnej niemógł zabić. Ten sen takowe Zarembie na umyśle  
niespokojne uczynił wrażenie, iż się niejednego z konfidentów  
swoich pytał, co by ten sen znaczył. Ale że Zaremba nie był  
ani Nabuchodonozorem, ani Faraonem, przeto też do wytłu-  
maczenia mu nieznalazł żadnego Daniela, ani Józefa, choć sam  
był Józef. Niechto był sen próżny, niech był przepowida-  
czem skutku, jak się wielom trafiło i trafia, dosyć że Zarembie  
wywróżył próżne królewskie obietnice. Nadskakując albowiem  
Zaremba królowi przez dwa lata samemi tylko karmiony łaski  
projektami, w trzecim roku najnieszczęśliwiej zginął.

Miał wielkie upodobanie za ładą imaginacją słabości uży-  
wać kąpiei. Jednego razu wybierając się do Warszawy we-  
zwany od króla, kazał sobie w miasteczku swoim Rozprzy  
nagotować zwyczajną kąpiel mokrą. Brat jego rodzony Fran-  
ciszek, łowczy sieradzki, znajdujący się przy nim, ganiąc wan-  
nę mokrą, zachwalał suchą, i napomknął, iż u stolarza tamtej-  
szego widział wannę nową osobliwą. Zaremba właśnie jakby  
go śmierć korciła, kazał wannę ową natychmiast do siebie  
przynieść. Stolarz jakimś instynktem wzbraniał się jęj wydać  
pod pozorem, że jeszcze niezupełnie dokończona. Zaremba  
niecierpliwy widzenia owęj wanny, posłał kaprała swego z dwo-  
ma kozakami nadwornymi, aby ją przynieśli, zatem przyszedł  
za nią i stolarz, który opowiedział i pokazał, jak ma być uży-  
wana. Zaremba chciwy tej nowomodnej wanny, wszedł do  
niej najprzód w sukniach, a potem widząc że jest w miarę je-  
go, rozebrał się coprędzej i usiadł nagi. Wieko zamykało się  
z wierzchu przy samej szyi, tak iż tylko głowa wychodziła  
nad wannę, a cały człowiek zamknięty, naparzany spirytusami,  
pocił się w wannie. Obłożono go około szyi ręcznikami, aby  
para niewychodziła. Puszczano potrosze rurką przyprowadzoną  
do téjże wanny gorzałkę okowitkę na cegłę rozpaloną w na-  
czyniu glinianém na dnie wanny podłożoną, która gorzałką

smażąc się na cegle, ciepłą parą obejmowała siedzącego. Delektował się zrazu Zaremba tym wyciągającym z ciała humory wynalazkiem. Lecz gdy chłopiec Zajączkowski, świecący kamerdynerowi lejącemu przez lej do rury gorzałkę, przytknął świecę do flaszki półgarncowej, a kamerdyner sparzony zapaloną od świecy gorzałką, upuścił flaszkę w lej, która się stłukła, i gorzałka paląca się raptem buchnąwszy w wannę, sparzyła Zarembę: krzyknął z całego gardła i chciał wyskoczyć z wanny, lecz wieko tak się zaparło, że tłukąc się co siły po wannie i wrzeszcząc, niemógł go otworzyć. Dodał większej operacji ogniewi brat Zaremby Franciszek, gdy ręcznik okręcony około szyi oderwał. Albowiem płomień tym otworem wybuchnął i okrył całą twarz Zaremby, a zapaliwszy na głowie włosy, zwyczajnie tłuste od pomady, wzbił się w górę aż do pułapu niskiego, którym widokiem przestraszeni wszyscy, którzy tam byli, puciekali na dwór, Zarembę nieszczęśliwego w owych płomieniach piekącego się odbiegłszy. Tak tedy kilkanaście minut gorzał, aż przecie Lutosławski, gość wtenczas u Zaremby, wpadł do izby z siekierą, rozrząbał wannę i Zarembę z ognia uwolnił, lecz tak dobrze opieczonego, że kawały ciała przysnęły do wanny. Obłożono go czémprędzej śmietaną i drożdżami, poobwijano w prześcieradła i ręczniki. Tak obwinięty począł się przechadzać po izbie, jęcząc z wielkiego bólu i utyskując na swoje nieszczęście, kazał wołać księdza. Lecz brat Franciszek, pierwszy owęj wanny sprawca, wcale w takowym razie bez rozumu człowiek, począł mu perswadować, aby sobie aprensji niedodawał. Że tyle jest praktyk ludzi wydobytych z pożaru na pół upieczonych, wygojonych: dopieroż on mając tylko skórę z wierzchu przypaloną, miałby na to umrzeć; radził mu, aby się napił wódki i położył w łóżku. Zaremba, że lubił wódkę, usłuchał brata: lecz skoro wypił kieliszek, natychmiast począł się mieć gorzej: bo naturalnie, uważając, ogniewi powierzchownemu przydał podnieity z wewnątrz. Położonemu w łóżko posłali po księdza, który już z nim niemógł nic robić, zastawszy go bez zmysłów: więc tylko mu dał absolucyą kondycjonalną, a razem przykleknąwszy z wszystkimi, mówił litanią za konających, podczas której Zaremba skonał. Zajączkowski chłopiec, który z swawoli — jako się potem wydało — tę fatalną zrobił psotę, aby spazreniem prędzej Zarembę wypłoszył z wanny, czas do spania

tym sposobem sobie przyspieszywszy, zaraz w pierwszym zamieszaniu uciekł. Zarembę pochowano w Rozprzy.

Taki był koniec Zaremby, który mimo swoją obojętność z konsekwencyj przewidzianych pochodzącą, był jednak dobry żołnierz: nadewszystko, że szczęśliwy. Jeżeli mu to za wadę miałyby być poczytane, że szczerze niebił Rossyan, to przynajmniej ochronę wojska swego cnotą nazwać można. — Król dowiedziawszy się o jego śmierci, żałował go mocno; rzekł do przytomnych: „O Boże! jak niedościgły jesteś w wyrokach swoich; jak wiele masz rodzajów śmierci dla człowieka!”

### ***O końcu Puławskiego i reszty konfederacyi.***

Puławski dowiedziawszy się, że Zaremba przeszedł na stronę rosyjską, mając go dawno za podejrzanego, wtenczas zupełnie osądził go za zdrajcę. Wziąwszy tedy 600 ludzi, szedł spieszo do dóbr jego pod Piotrkowem leżących, z intencją zrabowania ich i spalenia. Pod Radomskiem, mil 8 od Częstochowy będącego doszedł goniec wyprawiony od Radziwińskiego, komendanta pod ten czas w Częstochowie, donoszący mu, że Austriacy wypędzili generalność z Preszowa, że pod pozorem zasłonięcia konfederatów od Rossyan opanowali Tyńiec, Lanckoronę i Bobrek, wyrugowawszy stamtąd konfederatów poobdzieranych z broni, koni i wszystkich bagażów, niewiedzących, co się stało w Preszowie, i dla tego Austryakom za przyjaciół mianym wnijsia do pomienionych fortec niebrońiących: że takimże ohydny sposobem obeszli się z generalnością: że Radziwiński przestrzega go, jako o porwanie króla obwinionego, a zatem w największym niebezpieczeństwie od wszystkich konfederatów zostającego, aby się jak najprędzej wrócił i radził o sobie zaniechawszy Zarembę, który, że się wywikłał z honorem z nieszczęśliwej konfederacyi, wart (gdyby można) naśladowania, nie zemsty. Przerażony Puławski tak okropnem doniesieniem, wrócił się czempnędzej do Częstochowy, gdzie rozmówiwszy się krótko z Radziwińskim, uszedł w pięć koni za granicę pod ukrytą osobą. Przebrał się do Ameryki, gdzie pod ten czas Amerykanie prowadzili wojnę z Anglikami, wybijając się z pod ich jarzma.

Sejm następujący w Warszawie ponowił dekret na Puławskiego: osądzony za królobójcę, za zdrajcę ojczyzny, i głowa

jego na śmierć od kogokolwiek wskazana. — Puławski w amerykańskim wojsku wkrótce tak się wślawił walecznością swoją, że został generałem. Lecz wkrótce przyszła wiadomość, że w jednym ataku okryty wielą ranami umarł. Później zaś: że po skończonej wojnie w pojedynku od jednego Anglika zginął. Bądź w ataku, bądź w pojedynku zginął: to pewna, że nieżyje, i żadnej o nim więcéj wiadomości niebyło i nie masz.

Chcieli Austriacy tym sposobem opanować Częstochowę, którym opanowali Lanckoronę, Tyniec i Bobrek, lecz ta sztuka już była wiadoma Radziwińskiemu, dla tego ich dobrowolnie nieprzyjął. Oni też atakować nieśmieli, aby tak ze wstydem jak Rosyjanie nieodeszli, a do tego, że Częstochowa w ich podział, który wkrótce po konfederacyi nastąpił, Polski, nie wpadła. Niechcieli tedy nakładem swojego życia komuś innemu służyć. Radziwiński dosiadywał w Częstochowie, póki nienadszedł książę Galiczyu, generał rossyjski, z niewielką dywizją. Jemu tedy Radziwiński, niemając dalszego opierania się fundamentu, oddał fortecę przez kapitulacyą, która zawierała w sobie: 1) Że konfederaci wyjdą z fortecy bez broni, tylko z rzeczami swojemi, a oficerowie tylko z szablą przy boku: ale zaraz wyszedłszy za obóz rossyjski powinni się rozejść z kupy, żadnych odtąd dywizyów nieformować, i dać na siebie starszyzna rewersa, jako odtąd żadnego rozruchu w kraju czynić niebędą: jako zupełnie związku barskiego odstępują i generalności preszowskiej jako zniszczonej: jako ją za bunt poczytują: jako Stanisława Poniatowskiego za prawego swego króla uznają. 2) Że ludzi z regimentu gwardyi konnej koronnej, zabranych pod Krakowem, a znajdujących się w fortecy, z końmi, bronią i wszelkim munderunkiem, nieukrywając żadnego między sobą żołnierza, w téjże fortecy wiernie zostawią. 3) Że oficerowie tylko ci przy rangach swoich i przy dalszej służbie zostaną, którzy przed zabraniem od konfederatów w tymże regimencie służyli; którzy zaś od generalności konfederackiej kreowani zostali, żadnego znaczenia mieć niebędą i razem z innymi konfederatami z fortecy oddalić się powinni. — Po takiej kapitulacyi Radziwiński otworzył bramę i wyszedł z wszystkimi konfederatami. — Lecz Rosyjanie nie dotrzymali słowa: albowiem inne komeudy rossyjskie, niezważając na paszporty Galiczyua, gdzie tylko napadli konfederatów powracających z Częstochowy, wszędzie obdzierali.

Galiczyn, pobożny Rossyanin, odebrawszy fortecę, żadnej krzywdy Paulinom tamtejszym nieuczynił, owszem ludzko się z nimi obchodził. Zakupił mszę świętą przed obrazem cudami słynącym i téj klęcząc słuchał. Oglądał skarbiec nietykany zostawiwszy.

Armaty wszystkie śpiżowe przeprowadzili Rossyanie do Warszawy, a zabawiwszy kilka niedziel w fortacy, oddali ją regimentowi polskiemu generała Wybranowskiego.

Mazowiecki regimentarz ziemi Dobrzyńskiej, Wielichowski rotmistrz i Bońkowski porucznik konfederacyi wielkopolskiej, niemogąc sobie wyperswadować, że to już przyszedł koniec konfederacyi, mając nabita głowę posiłkami zagranicznymi, włóczyli się jeszcze ze cztery niedziele po województwie lubelskiem i sandomirskim. Napadli raz w Kozienicach na huzarów niedawno Zarembowskich, wtenczas już królewskich, ubili kilku i zabrali im dziewięć koni. Lecz niedługo po téj akcyi rozpędzeni od Rossyan z stratą kilkunastu swoich, więcej się niezbierali. Mazowiecki uszedł za granicę, jako masz wyżej. Wielichowski zaś i Bońkowski, mniej znaczni w kraju, ukrywali się w nim aż do sejmu ~~wkrótce nastąpnego~~, który dla wszystkich konfederatów ogłosił generalną amnestyą, pod zastoną której zaciągnęli się za towarzyszków do kawaleryi nadwornej.

### **O Sawie Calińskim.**

Dotąd pisałem dzieła konfederacyi znaczniejszej pod wodzami Zarembą i Puławskim, których czynności jedne z drugich wynikały, albo się z sobą łączyły. Teraz pisać będę dzieje samotnych konfederatów, którzy z osobna na swoją rękę wojowali. Takim był najznacniejszy Sawa. Ten był synem sławnego niegdyś Sawy, pułkownika kozaków horodowych, to jest nadwornych, pogromiciela hajdamaków czyli rozbójników z Siczy na Ukrainę osiadłą Polską co lato dla rabunku wypadających, od nich nakoniec w domu własnym na Ukrainie niedaleko od Niemirowa zamordowanego. Dziecięciem był natenczas przy piersiach terażniejszy Sawa, gdy ojca jego pomienieni hajdamacy najechali, ukryty za piecem w dzieży chlebowej od piastunki. Ojcowskie imie Sawa wziął sobie za przydomek, i pisał się Sawa Caliński, jako świadczy manifest jego uczyniony w Płocku przeciw panom Bromirskim o czuwanie na życie swoje.

Zjawił się Sawa konfederatem i wojownikiem jakoś w rok po podniesionej konfederacyi wielkopolskiej przez Malczewskiego. Początki jego były na podobieństwo początków Morawskiego. W małej liczbie swoich szarpał Rossyan napadaniem nocnym na ich stanowiska i zbieraniem pikiet: które podchodzić umięcemu doskonale język rosyjski łatwo było. — Przebiegał się w różne postaci, pod którymi przeglądał Rossyan, w jakiej kwocie i rozkładzie stoją: a gdzie postrzegł małą ich garstkę, albo mniej ostrożnych, albo pijatyką zabawnych, co im się w ich święta uroczyste, mianowicie po postach twarдых, podług ich religii odbytych, trafiało bardzo często; wpadał na nich i mordował gorzałką zamroczonych. Toż przebiegając im w marszach, uderzał na odwody, albo na przednie straże, jak mu kiedy zręcznie było. Po dwa razy zabrał im kasę z Moskwy pod małym konwojem prowadzoną. Zmocniwszy się potem do 500 ludzi, potykał się z partjami większemi i wstępnym bojem zawsze szczęśliwie; tak, że pułkownik rosyjski, nazwiskiem Szuba, którego on najwięcej pilnował, z smutku i rozpacz umarł, że niemogąc nigdy pobić Sawy, zawsze od niego pobitym został.

Raz tylko jeden od Branickiego hetmana wgo koronnego został rozpędzonym, gdy konie konfederackie chwarszczeniem kitajki w chorągiewkach czyli znaczkach ulańskich i lekkich pułkach rzeczypospolitej zażywanych przestraszone, jako takićj broni nieświadome, pod jeźdźcami pierzchnęły i więcćj się do sprawy skierować nie dały. Lecz wkrótce po tćj przegranej zebrał swoich Sawa, i za odejściem Branickiego z swoimi do Warszawy zaczął po dawnemu trapić Rossyan.

Jednego razu rotmistrzowi Dobrowolskiemu kazał się nocą przeprowadzić na kępę na Wiśle pod miastem Wyszogrodem leżącą, w którym mieście znajdowało się kilkaset Rossyan. Gdy się dzień rozwałił, Dobrowolski pokazał się Rossyanom, którzy się ku niemu natychmiast z miasta wysypali. Dobrowolski z pomiędzy krzaków dawał do nich ognia z ręcznej broni przez piasty od kół nakształt armat przyporządkowane i huk armatniemu podobny czyniące. Rossyanie wzajemnie sięgali do niego z swoich armat przez Wisłę, narządzając tymczasem tratwy i sporządzając statki różne do przeprowadzenia się na kępę. Sawa w bliskim lesie na tę okoliczność czuwający, wpadł na nich z tyłu, pobił ich mocno, pozabierał armaty i małego żywych

ucieczce dozwoliwszy, poszedł z Dobrowolskim w swoją stronę.

Nigdy się niebawił w jednym miejscu, ale za każdą potyczką odprawioną uchodził, rozdzielwszy żołnierza swego w różne szlaki opodał do innego województwa. Dla tego Rossyanie nigdy go doścignąć i przydybać niemogli.

Tak wojował z Rossyanami blisko dwóch lat, niemając innego gatunku żołnierza w swojej komendzie, tylko samą jazdę.

Naostatku w Szreńsku dościgniony w ciasnym miejscu, nacierając na piechotę na grobli uszykowaną pod komendą pułkownika Salmouna czyli Salmoura, kulą kartaczową został w nogę ciężko postrzelony. Ten raz nieszczęśliwy na swojego wodza zmieszał konfederatów. Uszli natychmiast z potyczki, unosząc między sobą obronną ręką i w dobrej sprawie postrzelonego Sawę, a pozbywszy się goniących Rossyan, złożyli go w jednym lesie, przydawszy mu dwóch ludzi do posługi. Sami zaś trybem swoim rozbiegli się w różne strony. — Rossyanie z nagłej ucieczki konfederatów wnosząc, iż wódz ich albo zginął, albo ciężko ranionym został, noc i dzień biegali po wszystkich traktach i ścieżkach, iżby którego z konfederatów ułapić mogli i dowiedzieć się doskonale, co się z Sawą stało. Tak biegając drugiego dnia napaśli na żyda cérulika, prowadzonego do Sawy przez najętego szlachcica. Zrewidowany żyd, mający przy sobie instrumenta cerulickie i różne potrzeby do ran, przyznał się zaraz, że jedzie do jakiegoś pacyenta, ale sobie niewiadomego, tylko prowadzącemu szlachcicowi. Więc szlachcic zrazu tający prawdę, wzięty na batogi, gdy mu brakło cierpliwości, przyznał się, że cerulika prowadzi (ile mu wiadomo) do Sawy. Pospieszyli tedy z owym przewodnikiem do miejsca, gdzie Sawa leżał, wzięli go i przywieźli do Salmoura pułkownika, który tą zdobyczą niezmiernie uradowany został. Ten pułkownik miał za sobą Gruszczyńską sędziaukę walecką, z którą się przed dwiema laty ożenił będąc w Wielkiej-Polsce pod komendą generała Apraxyna. Czyli tedy z miłości żony nad Sawą się litującój, czyli z powodu ludzkości wojownikom nad zwyczajnymi zwyczajnej, lubo Sawę na przywitaniu ostro przyjął (że będący z pokolenia kozackiego ważył się podnieść broń na ludzi monarchini swojej), potem jednak czynił mu wszelkie wygody: dał mu zło-



żenie z jednym oficerem, zalecił staranie o jego zdrowiu i przykazał swemu cerulikowi, aby go jak najpilniej leczył. Lecz Sawa czyli unikając pożałowania rossyjskiego, cięższą nad śmierć niewolą wróżącego, czyli też przejęty bólem i rozpaczą z tak fatalnego po szczęśliwych początkach końca, nieprzyjmując żadnych łask rossyjskich, ani pokarmu, ani słowa nieodpowiadając mówiącym do siebie, kopiąc nogą zdrową i odpychając rękami chcących go opatrywać, piątego dnia po odebranej ranie skonał. Pochowano go w polu pod figurą bez wszelkiego obrządku kościelnego pod Prasnyszem.

### **O Kossakowskim.**

Kossakowski, szlachcic litewski, znacznego domu ale niebogaty, podniósł konfederacją w Litwie pospółu z Horainem mającym szlachcicem, niedługo po zgaszonej konfederacji barskiej, w której znajdował się Kossakowski i z nią znajdował się w tureckim państwie: skąd powróciwszy, o jednym czasie lecz w osobnym miejscu od Horaina, podniósł konfederacją, jako się wyżej napisało.

Horain ledwo co ruszył z domu z swoją partią do 400 ludzi zebraną, nadybany od znacznej liczby Rossyan w lesie pod Wilnem, zupełnie porażony, sam dognany na błotach skłutym od kozaków został, lubo prosił o pardon. Ciało jego przywiezione do Wilna, pochowane pogrzebem uczciwym od krewnych zostało. Kozacy, którzy go zabili, że to uczynili przeciwko generalnemu rozkazowi pardonowania wszystkich konfederatów w ręce wpadających i o pardon proszących, o który prosił Horain, brali batogi. Z czego się pokazuje, że Drewicz i Ren zabijający tyrańsko konfederatów złapanych, czynili to z własnego okrucieństwa, nie z rozkazu najwyższej komendy, która miała za cel niemniej orężem jakoteż łagodnością uskramiać konfederację, od którego celu odstępowali ci dwaj okrutnicy zadufani, że im to w zamieszkach wojennych ujdzie bez kary, gdy gromieniem częstym konfederatów zasługiwali na łaskę.

Kossakowski szczęśliwszy od Horaina, zebrawszy do trzech tysięcy ludzi, opierał się pomyślnie Rossyanom, i nieraz znacznie ich pobił: tak, iż Rossyanie ścigać go i potykać się z nim niebardzo ochotę mieli, co się pokazało, gdy jednego razu na długiej żerdzi pod Wilnem dała się widzieć tablica z napisem:

»Kossakowski, marszałek konfederacji wilkomirskiej, wyzywa na ten plac Rossyau stojących w Wilnie.« — Czy to było zrobione od Kossakowskiego, czy od kogo innego swawolnego, niewiadomo. Dosyć, że Rossyanie niewyszli, owszem się w mieście zamknęli, bramy i furtki do miasta gnojami, wozami i innemi do wpadnięcia przeszkodami zapakowali: zostając tak kilka dni w wielkiej ostrożności, aż gdy nikogo z konfederatów na owym placu nieujrzeli, dopiero otworzywszy bramy, podjazd z kilkuset ludzi za Kossakowskim wyprawili.

Uganiał się Kossakowski z Rossyanami po Litwie blisko dwa roki. Nareszcie wpadł za granicę rosyjską. Tam kilka wsi zrabował i spalił, przezco bardziej nieprzyjaciela na siebie rozdrażnił, który zebrawszy się w znaczną siłę, bez odpoczynku Kossakowskiego ścigał, aż go znacznic po kilka razy poraziwszy z całej Litwy wyparował. Z resztą bardzo małą niedobitków przebrał się Kossakowski do Puławskiego, w twierdzy częstochowskiej nateuczas będącego. — Tam przyszły na niego dwa ordynanse od generalności preszowskiej, jeden do Puławskiego, drugi do Zaremby w bliskości Częstochowy stojącego: aby Kossakowskiego jako zdrajcę konfederacji schwytac i kryminalnie exekwować. Zadawano mu w tych ordynansach, że będąc w Turecczyźnie pożyczone pieniądze od Turków na rzecz konfederacyi zabrał i z niemi uszedł, do ostatniej nędzy tym sposobem konfederacyą w obcym kraju przyprowadziwszy. Co mogło być i prawdą; bo w konfederacyi wiele się takich przypadków zdarzało, mając za regułę weneckie prawo podług przysłowia: *beatus, qui tenet*, napisał Wcnet. — Ale Puławski będąc przyjacielem Kossakowskiego, jeszcze w Barze polubionym, miasto exekucyi ordynansu generalności, dał mu protekcyą: odpisawszy generalności, iż nicmoże imać Kossakowskiego, którego zna być poczciwym człowiekiem i mężnym kawalerem.

Zaremba też jako zawsze obojętny, tém chętniej na zdanie Puławskiego przypadł. Odpisał generalności: iż dla protekcyi Puławskiego niemoże ordynansu generalności (acz go wielce poważa) do skutku przywieść. Tak Kossakowski zabezpieczony bawił się przy Puławskim blisko ćwierć roku. Nareszcie niedowierając przygodzie, aby który z naczelników konfederacyi (gdyby generalność nalegała) nieposięgnął po jego głowę, wyszedł z fortocy pod pozorem podjazdu, wyniósł

się do Litwy, gdzie otrzymawszy pardon z Warszawy, osiadł spokojnie w domu. — Miał konia tureckiego perłowego, na którym o zakład rogałki przed bramą częstochowską nad chłopa wyższe przesakał.

### ***O innych konfederatach litewskich.***

Było i więcej konfederatów litewskich, ale ci nic dobrego nie zrobili, ani się z nieprzyjacielem potykali: tylko kraj niszczyli i swoich ziomków za partyzantów rosyjskich poczytanych rabowali. Tacy byli Borzęcki, Oskierko i Kierkur pułkownik, który ostatni jako rabuś ścigany od obywatelów uszedł z Litwy w Krakowskie, gdzie w partyi Puławskiego bawił z pół roku. — Jednego razu w Krzepicach grając w karty niepomysłnie, chorążego swego o lafę zaległą przykrzającego się mu, porwawszy się od kart sztychem szabli na wylot przebił, i zabitego wywlec z pokoju jak psa i w ziemię zakopać kazał, nie doznawszy od współgraczy za tak szkaradną zbrodnię najmniejszej przykrości: za którą atoli lękając się sprawiedliwej kary, wyniósł się z obozu Puławskiego do Litwy, gdzie (jak wieść niosła) od Branickiego złapany i jako rabuś powieszony został.

### ***O Bęklewskim.***

Jeszcze był jeden znaczny konfederat litewski, Bęklewski, marszałek konfederacyi brzesko-litewskiej. Tego dywizya wynosiła do kilkuset ludzi, z którą kilka potyczek niepomysłnych z Rossyanami odprawiwszy, unikając dalszych, przechodził się po różnych województwach koronnych, wszędzie podatki i kontrybucye wybierając, za które ludzi swoich strojno i porządnie trzymał, od Rossyan zaś jak najpilniej stronił. Na tego konfederacye koronne schodziły tak jak na rabusia, ponieważ z żadną konfederacją łączyć się nie chciał, wszystkie zaś w należącym żołdzie zachwycaniem podatków pokrzywdzał. — Raz udybany z małą garstką swoich od Rutkowskiego, rotmistrza z partyi Ulejskiego, w Tucholi mieście prowincyi pruskiej, już był na plac do rozstrzelania wyprowadzony, ale prośbami usilnemi Płazy, burmistrza tamtejszego, człowieka zacnego, od śmierci wyproszony, wolno puszczony został z kondycją, aby się z Prus wyniósł, co Bęklewski przysięgą stwierdzić musiał. Lecz we dwie niedziele potem udybawszy tegoż sa-

meo Rutkowskiego w témże samém mieście Tucholi, bez ludzi, głuchy na wszystkie owegoż Płazy burmistrza prośby i włączenia się u nóg, natychmiast, niepozwoliwszy mu nawet księdza żadanego, rozstrzelać kazał. Po téj sprawie przebrzydłej wyniósł się Bęklewski aż w województwo lubelskie. W rok potem, gdy konfederacja pruska oddaliła się była z siedliska swego w inne województwa, powrócił znowu do Prus. Obywatele łożący koszta na własną konfederacyą, chcąc się pozbyć próżniaka daremnie kraj niszczącego, dali znać o nim Malczewskiemu, w Poznaniu natenczas z izbą konsyliarską bawiącemu, przydawszy do oznajmienia ważne skargi o różne nciemnienia i zdzierstwa Bęklewskiego. Malczewski wyprawił na niego Morawskiego i Skórzewskiego pułkowników. Bęklewski posłyszawszy o téj na siebie wyprawie, zamknął się w Chojnicach, mieście murem opasaném. Morawski i Skórzewski mając zlecenie, aby się starali zabrać Bęklewskiego bez rozlania krwi, gdy się dobrowolnie poddać niechciał i bronić się do upadłej oświadczył: opasali miasto do koła, udając, jakoby w niem Bęklewskiego szturmem dobywać zamysłali, czego przy kawale muru obalonego w jednej ścianie i tylko dylami naprędce założonego łatwo dokazać, acz nie bez zabójstwa wzajemnego, byli mogli. Dzień zszedł w takim przygotowaniu na perswazyach nieskutecznych. Nazajutrz rano zażyli na niego takiej sztuki: pokładli na półwozia kłocę, które z daleka wydawały się jak armaty; dobrali kilkadziesiąt pocztów w czerwonych mundurach, jaki kolor był natenczas u wszystkiej piechoty krajowej; postawili przed temi pocztami Szarfieza z dziadą porucznika od regimentu pieszego Gołczowskiego, kilką niedzielami wprzód z czterdziestą gimejnami przez Morawskiego w Chodzieżu zabranego, po zostawionych gimejnach w Poznaniu z Morawskim w téj wyprawie będącego. Tę paradę uszykowali w boru Chojnie bliskim. Na rozświetaniu dobrém kazali Szarficzowi postępować z nią ku Chojnicom. Dzień był mglisty (jake bywać zwykły w jesieni, w którą się to działo). Straż Bęklewskiego osadzona na wieży, postrzegłszy piechotę z mniemanemi armatami pokazującą się z lasu, przeraziła go takowém oznajmieniem, któremu dając wiarę, natychmiast wszedł w ugodę; wymówiwszy sobie to jedno, aby niebył rozbrojony, lecz żeby z bronią i wszelkim munderunkiem, jako dobrowolnie przystępujący do jedności konfederacyi, szedł pospołu

z Morawskim i Skórzewskim do Poznania: na co chętnie pozwolono. — Otworzono tedy bramy, pułki otaczające weszły natychmiast w miasto, pomieszały się z ludźmi Bęklewskiego i zabawiwszy kilka godzin na powitaniu wzajemném, ruszyły ku Poznaniowi. — Gdy Bęklewski w marszu niewiedział ani armat, ani piechoty, wypytywał się, gdzie się obróciły; a dowiedziawszy się, że to była rzecz żmyślona na postrach jego, wstydził się mocno, że się dał podejść. — Przyprawiony do Poznania, tak dobrze umiał rzecz swoją udać przed Malczewskim marszałkiem i izbą konsyliarską, że traktując go przez pięć dni z honorem, pozwolili mu odciągnąć z całą partją do Litwy. Wywody skłaniające do przebaczenia w ustach człowieka wymownego przy śmiałej prezencji bardziej rozkazującej niż proszącej, były następujące: że ażaradowawszy dla konfederacyi życie, w wielu potyczkach w Litwie na cel wystawione, tudzież fortunę znaczną, całą od Rossyan w perzynę obróconą, niezostawszy przy niczém więcej tylko przy jednej żonie (którą woził z sobą, urodziwą i płakać kiedy trzeba umiejącą, a oraz temi dwiema powabami ujmującą), w nie-szczęściu od swoich doznaje prześladowania; że z potrzeby musiał cokolwiek pozwolić sobie w obcych województwach, mając w takowym razie wszystkie dochody kraju za wspólne; że w podobnych okolicznościach niebroniliby Wielkopolanom schronienia równego w swoich województwach litewskich, ani by poczytał za zdzierstwo furaków i podatków wybieranie. Takowemi obronami wysłiznąwszy się z Poznania, udał się ku Litwie, gdzie niedługo chodząc, rozpędzony i sam złapany od Rossyan, dla szczególnego pismem imperatorowej rossyjskiej obrażenia w manifestie podnoszącym konfederacyą, będąc źle traktowany w niewoli, z nędzy i frasunku umarł.

### • Ogiński.

Po zgastłej konfederacyi litewskiej, a konającej koronnej, Ogiński hetman wielki litewski, czyli dla zjednania sobie sławy wojownika, którym nigdy niebył, czyli dla przypodobania się generalności, która wzywać do oręża obywatelów nieprzestawała, obiecując wkrótce pomoc francuzką, podniósł konfederacyą pod pozorem okażki wojakowej, albo jak teraz nazywają, rewii. Dotąd albowiem hetmanem litewskim władza absolutna nad wojskiem niebyła odebrana. — Skoro się do-

wiedzano w Warszawie o tém ściąganiu wojska litewskiego, natychmiast wydano ordynans do bliższej komendy rossyjskiej, aby zbieraniu się téj małej w samej rzeczy garstce żołnierza litewskiego przeszkodziła, i na dawne leże zwróciła. Do Ogińskiego zaś napisano, aby dla wytłumaczenia się, na jaki koniec bez uwiadomienia stanów chciał czynić tę rewia, do Warszawy przybył. Lecz hetman postępując dalej w swoim zamiarze, z ciągnącym do siebie korpusem rossyjskim zwiódł potyczkę pod Nieświeżem dosyć szczęśliwie, w której z małą stratą swoich trupem na placu położył ośmset nieprzyjaciela, i sam pułkownik rossyjski komenderujący, nazwiskiem Aubicz, od kuli armatniej zginął. — Ten miał żonę Polkę z domu Siemieszkównę, synek jego mały chował się pod ten czas w Białym-Stoku u panien miłosiernych. — Po téj porażce od wojska lekce ważonego zadanej, wyprowadzono na hetmana znaczniejszą siłę. Ogiński z wojskiem swoim lokował się w Stołowiczach, dobrach do kawalerów maltańskich należących. — Rossyanie zeszli obóz litewski w nocy tak cicho, że nie przyszło do bitwy. Wojsko zagarnione zostało ze wszystkiém przygotowaniem wojenném. Bielak tylko jeden pułkownik lekkiego pułku, mając się na lepszej ostrożności, uszedł z swoimi obronną ręką. Udał się na leżą swoją, z której był ściągany. Pchnął coprędzej sztafetę do króla, ekzując się: iż jeżeli stawał przeciwko Rossyanom, czynił to za ordynansem hetmańskim, pod którego zostawał władzą. Że się nie dał zabrać, honor żołnierza tak mu kazał. Gdy zaś hetman wyniósł się z kraju, niezdawszy nikomu nad wojskiem komendy, uznaje w takowym razie najwyższą i bezpośrednią nad sobą władzę króla i rzeczypospolitęj, chcąc ję być posłusznym. — Exkuza takowa, w samej rzeczy sprawiedliwa, łatwo mu zjednała przebaczenie, tak jak i całemu wojsku litewskiemu. — Przypisano tę sromotną klęskę Chomińskiemu, całą rzeczą hetmańską rządzącemu, który miał być sekretnym przyjacielem królewskim, i nie bez sprawiedliwego podejrzenia: gdyż Chomiński na następującym sejmie zaraz po konfederacyi został marszałkiem sejmowym, która godność zazwyczaj dostawała się tym osobom, których sobie król życzył; nieżyczył zaś innych, tylko sobie przyjaznych. Pomagają do takiego podejrzenia okoliczności samej sprawy. Kiedy dawano znać hetmanowi, że Rossyanie na niego ciągną, Chomiński te wiadomości

zbijał przeciwnemi, jakoby uwiadomiony od szpiegów najświeższych, że się nigdzie w bliskości nieprzyjacieli nieznajduje. Gdy przybiegły do Chomińskiego pierwsze podsłuchy, opowiadając, że ich kozacy spędzili, on ich złażał, jakoby tchórzów nocnymi marami przestraszonych. Gdy do zbliżających się już Rossyan chcieli palić z armat, znaleziono te miasto kulami i prochem, gnojem ponabijane. A gdy już Rossyanie wchodzili w obóz, dopiero Chomiński pobiegł budzić hetmana, twardym snem zasypiającego, z którego oczucony w jednym szlafroku uciekł, dopadłszy konia z Chomińskim.

Wyzuty Ogiński o jeden raz z całej siły swojej, nieoparł się aż w Paryżu, gdzie kilka lat bawił.

Przed tą potyczką Ogiński hetman mając przy sobie księdza Wiaziewicza, wiernika (nie tego, który był audytorem u Podolskiego prymasa, lecz innego), oddał mu szkatułkę z papierami i klejnotami, aby ją gdzie sekretnie zachował, samemu nawet hetmanowi miejsca schowania nieoznajmując, z tej przyczyny: iż jeżeliby kiedy hetman wpadł w ręce rossyjskie, i był przymuszany do wydania papierów, aby się mógł złożyć przysięgą, jako o nich niewie. Wiaziewicz tę szkatułkę wywiózł do przyjaciela swego księdza Dziurdziewicza, plebana w Stolnikach. Lecz w owej sprawie wpadłszy w ręce rossyjskie w Stołowiczach, wzięty na gorące pytanie, wydał, gdzie ową szkatułkę przekrył. Gdy dostawszy ją Rossyanie przekonali się, iż biskup wileński Massalski wchodził w związek z hetmanem, posłali coprędzej na schwytanie jego. Lecz biskup jak prędko dowiedział się o porażce hetmana, domyślając się nieszczęścia i na siebie z owęj szkatułki wyniknąć mogącego, coprędzej ujechał z domu. Jakoż pogoń rossyjska za nim tak spieszna była, że ledwo zdążył przed nią tuż tuż ścigającą umknąć za granicę. Udał się za hetmanem do Paryża, gdzie pięć lat mieszkał. W jego pałacu znaleźli Rossyanie bronie i mundurów na trzy tysiące ludzi, co wszystko zabrali. — Taki był koniec rokoszu hetmańskiego, który ze wszystkiemi nietrwał dłużej nad sześć niedziel.

### ***O potyczce pod Kompieltem.***

Ta potyczka zaszła między Polakami i Prusakami po zgazowanej zupełnie konfederacji drugiego roku, a pierwszego po pierwszym podziale Polski, czyli oberznięciu jej dokoła przez

potencye pograniczne, z  rodkiem jeszcze dosyć znacznym Polakom zostawionym. Kr  l pruski Fryderyk II., nieprzestaj c na cz  ci sobie przez traktat podzia owy przypadaj cej, zajmowa  sznurem swoim wi cej na kilka mil Polski. — Rada nieustaj ca warszawska wyda a ordynanse do chor gwi polskich, tu i owdzie nad granic  polsk  rozstawionych, a eby si  ile mo no ci Prusakom za kres traktatem opisany przest puj cym opiera y, gdy ona tymczasem protekcyi przeciw takiemu zaborowi u imperatorowej rossyjskiej Katarzyny II., jako garrantki reszty Polski, zebra a. — Genera  Kraszewski mia  komend  nad temi garstkami Polak w, o kt rym generale musz  tu cokolwiek nadmienić, co by  zacz .

By to szlachcic szczup ej fortuny z wojew dztwa brzeskiego-kujawskiego, urody pi knej i modni , po Szaniawskim staro cie k kolownickim w ca ej koronie Polskiej najpierwszym modnisiu, drugi. Przyt m by  prezencyi wielkiej, udawa  si  za maj tnego, cho  w samej rzeczy by  z liczby chudeusz w; za rycerza, cho  w  adnej wojnie nieus u y  i prochu niepow cha . Z m lodszych lat bawi  si  przy dworach wielkich pan w, nadskakuj c temu i owemu, gdzie baczyl  zysk dla siebie. Za interesami magnat w bieg  po sejmikach i trybuna ach, maj c dosyć rozumu naturalnego i o wiecenia w sprawach publicznych. Perorowa  g adko i miesza  sentencye łaci skie z s yszenia nabyte, cho  nieby  wysoce uczonym, ani nawet legist . Co si  st d pokaza o, gdy raz z tak  nowin , na figiel jemu od ksi ż cia prymasa Poniatowskiego wymys on , i z nam wion  kompani  na pokojach kr lewskich z ust do ust sobie podawan ,  e Rossyianie Turkom Pontum Euxinum spalili (by to podczas wojny tureckiej z Rosy ), pobieg  cz mpred ej do kr  la, maj c zwyczaj co gdzie nowego zas ysza , wszystkich z doniesieniem tego kr  lowi wy ciga : lecz zawstydzony wyt umatzeniem sobie przez kr  la,  miej cego si , co to jest Pontus Euxinus, wi cej z podobnemi plotkami niebiega . — Za panowania Augusta III. najwi cej asystowa  Potockiemu, wojewodzie kijowskiemu, albo Janowi Klemensowi Branickiemu, kasztelanowi krakowskiemu, hetmanowi wielkiemu koronnemu. Po  mierci Augusta III. przeni   si  do partyi Czartoryskich; a  e umia  nadskakiwa  i (jak m wi  poprostu) ba    wieci , znalaz  pr dko przyst p do kr  la Poniatowskiego, kt ry pierwszy zaszczyci  wielu po polsku si  nosz cych rang  general-



ską, przedtém polskiej sukni nieznaną, między którymi przyozdobił taką rangą Kraszewskiego.

Ten tedy Kraszewski miał wtenczas komendę nad rzeczonymi wyżej Polakami. Umieścił się z ośmiądziestą ludzi od Prusaków z różnych stanowisk pospędzanymi w Kompiełu, wiosce w swojej posesyi będącej, którą Prusacy w swoją ścianę odgraniczyli. Niechciał ustąpić Prusakom przez cztery niedziele, zamknąwszy się w podwórzu. Prusacy, chcąc tę małą garstkę Polaków, przeciw rozumowi (jak mówili) opierających się potędze swojej niezmiernie większej, zagarnąć bez rozlania krwi, zebrali się do półtora tysiąca piechoty i jazdy pod komendą generała L., przez zdzierstwa rozmaite i niezmierną moc zboża z Wielkopolanów wydartego i po zasypanych magazynach w wodach naostatku topionego, tudzież przez wybranie młodzieży z krajów wielkopolskich i czterech set dziewczek z ziemi Dobrzyńskiej z taką liczbą krów i świń, oraz z dwiema czerwonymi złotem do każdej, na osadę pustyń Pomeranii — długo Polakom pamiętnego, który opasawszy dokoła żołnierzem swoim pomienioną wioskę Kompieł, chciał Polaków najprzód głodem do poddania się przymusić. Lecz gdy mu się to przedsięwzięcie długiem być zdawało, a podobno odebrawszy naganę, iż nad tak bagatelną sprawą daremnie czas mitrężył, postanowił naostatek całą siłą uderzyć na nich, załoczyć ich swoim wojskiem i zabrać. Polacy, nieczekając aż ich bardziej ściśnię, wyruszyli z łożyska swego, i poszli obces na przebój. W tej garstce Polaków połowa była niemających koni, które w poprzedzających gonitwach z Prusakami, spędzani z stanowiska jednego do drugiego, potracili. A między tymi bezkonnymi liczył się Piechowski, towarzysz kawalerii narodowej, który podczas konfederacji służył najprzód porucznikiem, potem rotmistrzem w pułku Morawskiego. — Ten tedy Piechowski uszykowawszy swoich piechotnych jak umiał, prowadził prosto na Prusaków, gdzie widział zastęp słabszy, dając do nich ognia plutonami. Ci zaś, którzy byli na koniach, broniąc swoim boku i tyłu, przerznęli się wszyscy szczęśliwie za linią pruską, która okrążająca dokoła wieś Kompieł, niezdążyła wszystka zebrać się w jeden hufiec ku zastąpieniu Polakom. Generał L. widząc, że mu Polacy uchodzą do bliskiego lasu, natarł na nich żywo z tymi, których miał bliżej siebie: lecz mając pod sobą konia zabitego, dostał się w ręce

jednego szeregowego i towarzysza Bonkowskiego. Ci obrawszy go naprędce z orderu, pałasza i zegarka, niemogąc dla zbiegających się Prusaków uprowadzić z sobą wołającego o pardon, puscili; sami z drugimi uchodząc w las jak najspieszniej. Zginął w tej potyczce jeden major pruski, jeden podchorąży, czternastu gimejnów i kilkunastu zostało ranionych. Z Polaków zginęło dwóch szeregowych, a czterech dostało się w niewolę.

Generał Kraszewski jak nigdy niebył żołnierzem, tak też w tej potyczce nic nierządząc, tylko uchodząc wraz z drugimi na skrzydle, dostał lekkim ciosem w głowę od huzara. Ale umiał całe szczęście i chwałę tej potyczki przeciągnąć na swoją osobę. Dowiedziawszy się o zegarku, pałaszu i orderze wziętym generałowi L., zabrał to do siebie: posłał sztafetą na znak zwycięstwa do Warszawy. Samego zaś siebie opisał ciężko ranionym, i dla tego do Warszawy przybyć niemogącym: a puszczając przez kilka niedziel ogłos chorującego niebezpiecznie, wyłudził dla siebie wielkie względy. Król mając dawniej dobre serce do Kraszewskiego, tém chętniej przy czynił mu łask swoich za tę akcyą, w samej rzeczy sławę Polakom przynoszącą. Zaszczycił go orderem Śgo Stanisława, udarował znaczną summą pieniężną, temu jasnie - wielmożnemu chudeuszowi arcy potrzebną, nadał mu więc dobrą po Jezuitach, i dopomógł do bogatego ożenienia. Nadto jeszcze w późniejszym trochę czasie interesowaniem się swoim za Kraszewskim sprawił, że mu Sosnkowski, opat czerwński kanoników regularnych, nadzieją biskupstwa złudzony (którego niedoczekał, umarłszy wkrótce), dobra klasztoru błońskiego tychże kanoników puścił w dzierżawę emphyteutyczną na lat kilkadziesiąt, włożywszy obowiązek na Kraszewskiego dawania klasztorowi błońskiemu corocznie pewnej kwoty pieniężnej i zboża: czego na potrzeby klasztorne niewystarczającego gdy jeszcze punktualnie klasztor nieodbierał, przyszło do tego, że opat z dochodów swoich i klasztoru czerwńskiego kanoników błońskich suplementować musiał, co go w grób wpędziło, jako uczynek prawom kościelnym przeciwny i zmaż symoniacką oddający.

Piechowski zaś, sprawca najznakomitszy tego dzieła, nic więcćj nie dostał, tylko chorążostwo w kawalerji narodowej.

Rozumiano w Warszawie, że król pruski będzie się mścił za ten wstyd swoim żołnierzom wyrządzony, dla tego zamieszono do niego skargę na generała L. o napasć mieszluszną żołnierza polskiego, swoich granic pilnującego. Lecz król pruski, takowe czyny składać na generałów swoich w zwyczaju mający, odpisał Radzie nieustającej: iż tę zaczepkę Polaków poczytuje za występpek swemu generałowi, i że go za nią przyzwolicie ukarze. Jakoż był L. kilka dni w areszcie: lecz nie za to, że Polaków zaczepił, ale za to, że zaczepiwszy wstyd sobie i królowi uczynił. Wieś jednak Kompel i inne w zakres pruski wpadające, zostały w nim lat kilka.

### ***O osobach składających rząd państwa.***

Taki był koniec pierwszój rewolucyi, oraz pierwszego tomu mojej historyi, do którój to jeszcze przydać należy:

Lubo ta potyczka zbyt jest drobna, że jednak garstka Polaków obroniła się nierównie większój sile ćwiczonego wojska pruskiego, niejest bez pochwały sprawiedliwej i pokazuje, że Polacy mają serce. Gdyby mieli wodza, pewnieby się niedali rozerwać sąsiadom. Ale któż o tém myślił? Nikt. Do piór udali się wszyscy. Pisali książki o sposobach ratowania ojczyzny i ulepszenia jej losu. Jedni drugich zbijali wywodami, a żaden się do istotnej obrony ginącej ojczyzny nieposiagnął. Systematyków, statystów, polityków, sobie i innym zawracających głowy aż nadto, działających nic. Senatorowie, ministrowie, generałowie, ludzie młodzi, pieszczono wychowani, bez doświadczenia, za panowania Poniatowskiego do rządów państwa i wojska przybrani, dla szczupłych fortun swoich zysku prywatnego nie publicznego dobra upatrujący, i ci tylko byli, którzy majestat królewski otaczali. Ci zaś, którzy byli wielkich fortun, zapatrując się, że król tylko się powierzał swoim faworytom, ludziom małym, Włochom, Niemcom i innym cudzoziemcom, lub nacyonalistom z gminu do stanu szlacheckiego wyniesionym, siedzieli po dobrach swoich, albo się włączyli po cudzych krajach, niechcąc w gabinecie królewskim przez naturalną dumę iść w rząd z takimi ludźmi, którzy za przeszłego panowania saskiego ledwo do sali królewskiej pierwszój przystęp mieli. — Komarzewski, człowiek nieznanomy jakiego urodzenia, generałem-adjutantem przy boku królewskim najpierwszy, w sekretnych interesach królewskich często bie-

gał do Berlina i Petersburga. Tego niemogąc cierpieć, ani też wyrugować z łaski królewskiej zbyt dumny Rzewuski, marszałek nadworny koronny, za ministra gabinetowego od króla przybrany, ze cztery lata pobyt przy królu, podziękował i za ministerstwo i za marszałkowsstwo wyniósłszy się za granicę, gdzie też niepowracając więcej do ojczyzny umarł w Paryżu roku 1801. czyli 2go. Do téj nienawiści ku Komarzewskiemu nadarzyła się druga przyczyna uchylecia się od dworu. Ta zaś była, że go łaska wielka koronna po Jerzym Mniszchu, marszałku w. kor. wakująca, minęła, a która jemu obiecana była. Trzeba wiedzieć, że prócz jednego króla, który coś wielkiego w Rzewuskim upatrzył, wszyscy inni i mali i wielcy nie lubili go dla nieznosnej pychy. Łatwiej było dostać się do króla, niż do Rzewuskiego, i można było więcej pomówić z pierwszym, niż z drugim. Gdy tedy zaważowała łaska wielka, jako masz wyżej, familia cała królewska opadła króla, aby łaskę wielką dał Lubomirskiemu Stanisławowi, mającemu za sobą siostrę cioteczną królewską Czartoryską, wojewodżiankę ruską. Król niemogąc się oprzeć familii, i nie chcąc narazić sobie Rzewuskiego, poszedł pierwój do niego i zażył go takim sposobem: »Będę cię, rzekł, prosił o jedną rzecz, ale wprzód mnie upewnisz, że ją dla mnie uczynisz.« Rzewuski niespodziewając się nigdy takiej sztuki po królu, z łatwością odpowiedział królowi: iż mu miło będzie uczynić zadosyć chęciom j. k. mci. Dopiero król: »Ustąpże ten raz łaski wielkiej koronnej Lubomirskiemu, o którą mnie dla niego już drugi dzień familia morduje.« Rzewuski, jakoby ognia na niego nasypał, odpowiedział królowi z passją: »Nietylko łaski, ale wszystkich względów w. król. mci ustępuję i jemu i każdemu.« Poczém wprędce wyniósł się z zamku królewskiego, w którym jako minister mieszkał, a potem i z całego kraju.

Drugi konsyliarz tajny królewski, Ryx, kamerdyner, do stanu szlacheckiego wyniesiony, i starostwem piaseczyńskim udarowany, od młodych lat, jeszcze gdy król był stolnikiem litewskim, jemu służący, w interesach miłosnych dogodny królewski minister. — Trzeci takżeż faryny człowiek, Bacciarelli, Włoch, malarz, nagich niewiast wytworném malowaniem królowi jmcu do żywych ognia dodający. Ten pod pozorem wydoskonalenia sztuki malarskiej założył muzeum malarskie, do którego schodzili się malarze przedniejsi warszawscy: a mię-

dzy nich na stół wchodziła płatna niewiasta, rozbierała się do naga, i układała się w różne figury, jak jej kazano, w których ją malarze malowali: król zaś jnić siedząc w łoży między malarzami, przypatrywał się z gustem oryginałowi do kopijowania wystawionemu. — Czwarty Kortycelli, ród swój z Kurlandyi wywodzący, indygenatem szlactwa polskiego zaszczycony, z młodu w regimencie gwardyi pieszej koronnej od kadeta prostego do rangi kapitańskiej służący: z którego regimentu wyjść musiał z przyczyny, iż nabywszy choroby francuzkiej, dręczącej go przez lat kilka, przesadzony merkuryuszem, z prostego i dorodnego mężczyzny stał się mocno garbatym. Tego garbusa, w szulerniach i miłosnych intrygach sprawnego, przyjął król do swojej konfidencyi: umiał bowiem przedziwnie roznawiać o prawach natury podług Woltera, Rusa, Helwecyusza i Spinozy, których filozofów maxymy rządziły skrycie Poniatowskiem, na pozór katolika udającym. — Ryx, jako kamerdyner, zawsze był przy królu. Komarzewskiego, Bacciarrellego i Kortycellego często król wysyłał do cudzych krajów w swoich interesach. Dwaj pierwsi powracali z plotkami, jakich mogli gdzie nzbierać; ostatni zaś zawsze królowi juci oprócz tandetnych nowin przywiózł jaką dziewicę. — Rzecz ledwo do wierzenia podobna, którą jednak mam za pewną, jako od najpoufalszych z gabinetu królewskiego wyniesioną, iż w Wiedniu Kortycelli omaniwszy namowami zwodniczymi jedną panienkę, niemając do tego gdzieindziej sposobności, upatrzywszy porę, w kościele za ołtarzem przebrał po męsku i wywiózł do Warszawy. — W roku 1788. użył król tego swego faworyta za plenipotentą z wyroku Rady nieustającej do zaarendowania na skarb rzeczypospolitej soli wielickiej. Lecz ten minister, sprawniejszy w kopalniach miłosnych niżeli solnych, zabawiając się po kaffenhauzach i szulerniach wiedeńskich, nie dał należytego baczenia na kamerę ekonomiczną cesarską, w której tę sól Polakom, jako niedawno ich własność, przyobiecana, minister pruski na swego monarchę przerabiał, i za gnusnością Kortycellego przerobił. Skądinąd zaś padło na Kortycellego porozumienie, iż się on dał przekupić pięcią tysiącami czerwonych złotych. To porozumienie na tém się wspiera, że Rada nieustająca warszawska pisała do Kortycellego po dwa razy, aby dobijał targu, ponieważ ma wiadomość z Berlina, że rząd pruski stara

się sekretnie o arendę tejże soli. Kortycelli odpisał Radzie: iż to niejest prawda, że on ma dobre oko na ten interes, który zwolna nie nagle traktując, dobieje z lepszym pożytkiem dla Rzeczypospolitej. — Gdy się dowiedziała Rada nieustająca o kontrakcie zawartym z rządem pruskim, wielce była urażona na króla, że takiego łotra podsunął do interesu tak wielkiej wagi dla całego kraju. Król sam udawał dźno urażonego. Posłano od Rady Kortycellemu rozkaz, aby natychmiast stawał przed nią do dania sprawy z takowej czynności. Lecz Kortycelli długo niestanał, choć był naglony rozkazami. Stanał nakoniec po zniesieniu Rady, i pokazawszy list jeden królewski, zbył się wszystkiej surowości. Domyślać się należy, że król polski, zawsze grzeczny dla ościennych monarchów, ujęty od rządu pruskiego, kazał Kortycellemu tak rzeczy robić, aby się sól dostała monarsze pruskiemu. Sejmowi zatem marszałkowie, niewiedząc jakby z Kortycellim postąpić o taką winę mającą w współnictwie drugiego mocnego winowajcę króla, woleli rzecz zatrzeć milczeniem, niż daremnym rozcierać ją hałasem, który nieprzyniosłby żadnej za poniesioną szkodę nagrody. A do tego niewypadało temu przyjacielowi żałować soli, który już wtenczas wyciągał rękę do aliansu z Polakami, wkrótce przybitego.

Piąty faworyt królewski, Arnold Byszewski, wcale innego od pierwszych gatunku człowiek, bez żadnego światła publicznego, pisać nawet więcej nad swoje imię nieumiejący, dla tego też niemieszający się do spraw publicznych, pilnował swoich koni, któremi handlował, sprzedając je panom i samemu królowi jak najdrożej. Ta była cała jego doskonałość. Dostał się do króla takim sposobem. Służąc pokojowcem Cywińskiemu, podczaszem poznajskiemu, panu na młodzież ostremu, gdy raz polując zamiast sarny zabił ogara, i spodziewając się za ten trafunek pewnych stu batogów, więcej do Cywińskiego niepowrócił, ale się udał do przyjaciół jego, starając się o przeprosiny. Lecz Cywiński żadną miarą niechciał go inaczej przyjąć, tylko po wyliczeniu mu wprzód stu batogów za najukochańszego psa zabitego. Na naleganie naostatku przyjaciół Cywiński przewiodł tyle na sobie, że go zarekomendował za koniuszego panu natenczas Stanisławowi Poniatowskiemu, stolnikowi litewskiemu, potem królowi polskie-

mu. Dał mu Cywiński parę koni i parę sukien z siebie: to była cała fortuna natenczas Byszewskiego; niedowierzając jednak sobie, aby go kijem niezwałił za ogara, niepozwolił mu ucałować nóg swoich; wszystko między nim i sobą stało się przez trzecie osoby. — O fortune! jak niedościgłe twoje drogi i przeznaczenia! Byszewski, czerkiesik przystojny, składny do korda, uczy w kije pana swego, jak ma w przygodzie robić szablą, stąd łaska, stąd podarunki, stąd nakoniec przywiązanie wielkie, stąd względy na jego instancye, a za instancjami sypiące się do szkatuły Byszewskiego tysiące, naostatku pułkownikowstwo w lekkiej kawalerii i generalstwo aktualne w wojsku, niebywszy żołnierzem ani godziny, aż i order Śgo Stanisława, aż i żona bogata z cztermiśmiaciu stu tysięcy złotych polsk. z domu Skórzewska, podkomorzanka poznańska. Po tym zaś wzroście śmierć we dwa roki po królu, z zgryzoty nieszczęściem królewskim nabywszy suchot. Umarł w Komorzu wsi pod Pyzdrami w Kaliskiem.

### ***O tajnych konsyliarzach królewskich.***

Druga partya tajnych konsyliarzów królewskich była: Kazimierz Poniatowski, brat najstarszy królewski, który całą fortunę swoją, urzędy podkomorstwa koronnego, generalstwa gwardyi konnej koronnej sprzedane przemarnowawszy na metresy, choć miał żonę, ale od wielu lat od uczestnictwa małżeńskiego odsadzoną, Ustrzycką z domu; tudzież na inne dziecinne zabawy: stawianie domków i osóbek karlich, na malowidła mężczyzn i niewiast nagich, i tym podobnych fraszek i bezeceństw, w których się zanurzył. Straciwszy mowę fortunę, żył z skarbu królewskiego. — Drugi konsyliarz pani kasztelanowa krakowska, hetmanowa w. kor. po Klemensie Branickim, hetmanie i kasztelanie krakowskim wdowa, siostra rodzona królewska, o której więcej w poprzedzających kartach. Ta niedrabując interesów publicznych, mało w jej rozum wpadających, a za to będąc dobrą gospodynią, najwięcej pracowała około ujęcia próżnych wydatków brata króla, mianowicie na metresy. — Trzeci konsyliarz decydujący i prawie rozkazujący Michał książę prymas, najmłodszy brat królewski, u którego w pałacu wprzód się rozcierano wszystko, co miało być traktowane w radzie, lub na sejmie, albo w senacie. — Król tedy najpierwej powierzał tajemnice owym czterem: Ko-

marzewskiemu, Bacciarellemu, Ryzowi i Kortycellemu, a zasięgnąwszy zdania z osobna od każdego, toż dopiero naradzał się z drugą partją konsyliarzów dopiero wspomnioną, i według zdania, które się mu najlepsze widziało, postępował. — Dla tego inni wszyscy panowie, widząc się odsadzonymi od poufałości królewskiej, stracili do niego serce, pozachodzili z nim w niechęci wielkie, które się niemało do zguby ojczyzny przyłożyły. — Pisarze peryodyczni, wielbiciela królewscy, głodni pochlebcy, przeklinają w pismach swoich tych wszystkich, którzy dla niechęci do króla, dla ambicyi, dla interesu prywatnego, psują zbawienne myśli jego królewskiej mości około dobra publicznego. Lecz tego żaden nienapisał, że u króla to tylko było zbawiennem, co dla niego pomyślnem i co go od ulubionęj spokojności i miękkiego życia nieodrywało. Cokolwiek zaś było przykre, mężnęj odwagi potrzebujące, to niebezpieczne i zgubą ojczyzny grożące.

---



# R E J E S T R.

---

	<i>Strona.</i>
Panowanie Augusta III. . . . .	1.
O głodzie pod panowaniem Augusta III. . . . .	2.
O powietrzu na bydło . . . . .	3.
O zabiciu Tarła . . . . .	4.
O sejmie walnym 1746. . . . .	9.
O szarańczy 1748. . . . .	10.
O różnych zdarzeniach w roku 1749. . . . .	12.
O różnych zdarzeniach w roku 1750. . . . .	14.
O pośle tatarskim . . . . .	16.
O sejmie extraordynaryjnym 1750. . . . .	16.
O staroście warszawskim . . . . .	18.
O szlachectwie Bryła . . . . .	19.
O trybunale i księciu Sanguszk. 1750. . . . .	20.
O obrazach . . . . .	24.
O sejmie 1752. w Grodnie . . . . .	24.
O groszach nowych . . . . .	24.
O Sulerzyckim straconym 1752. . . . .	25.
O ordynacyi ostrogskiej . . . . .	27.
1754. . . . .	28.
O pośle tureckim . . . . .	29.
O wojnie ogranicznój siedmioletniej . . . . .	31.
O królu w Warszawie . . . . .	32.
O księżęciu Sułkowskim . . . . .	33.
O Rossyanach w Polsce 1758. / . . . .	34.
O inwastyturze kurlandzkiej królewicza Karóla 1759. . . . .	36.
O trybunale 1759. i 1760. . . . .	37.
O sejmach . . . . .	39.
O Iszėj rednkeyi monety . . . . .	41.
O komissyi rossyjskiej w Toruniu . . . . .	45.
Powtórna redukcyja . . . . .	47.
O wojnie w Polsce Prusaków z Rossyą . . . . .	47.
O rednkeyi approbowanej . . . . .	48.
O redukcyi IIIciej 1762. . . . .	48.
O cesarstwie rossyjskiem . . . . .	49.
O sejmie ordynaryjnym 1762. . . . .	51.
O trybunale roku tegoż 1762. . . . .	57.
O senatns Cconsilium tegoż roku . . . . .	57.
O senatns Cconsilium w Warszawie 1763. . . . .	58.
O wyjeździe królewskim z Polski . . . . .	59.

	<i>Strona.</i>
O śmierci i przymiotach Augusta III. . . . .	60.
O trybunale i zaczęciem interregnum czyli bezkrólowiu 1763. . . . .	67.
O Paczkowskim, rotmistrzu pruskim . . . . .	72.
O sejmie convocationis 1764. . . . .	73.
O sejmie electionis 1764. . . . .	87.
O exystencyi króla po elekeyi 1764. . . . .	91.
O dalszych dziejach po elekeyi 1763. . . . .	91.
O koronacyi króla 1764. . . . .	92.
O sejmie coronationis 1764. . . . .	97.
O rozdzieleniu trybunatu 1765. . . . .	99.
O konfederacyi toruńskiej 1767. . . . .	100.
O konfederacyi powszechnej 1767. . . . .	102.
O początkach konfederacyi radomskiej . . . . .	104.
O konfederacyi radomskiej 1767. . . . .	105.
O konfederacyi barskiej 1767. . . . .	106.
O generalności w Preszowie 1769. . . . .	112.
O buncie ukraińskim . . . . .	114.
O Rydzyńskim . . . . .	117.
O Bierzyńskim . . . . .	118.
O Ulejskim . . . . .	121.
O konfederacyi krakowskiej . . . . .	123.
O Kiedrzyńskim . . . . .	123.
O Puławskim i Szycu . . . . .	124.
O konfederacyi krakowskiej . . . . .	126.
O Malczewskim i Gogolewskim . . . . .	128.
O Chlebowskim . . . . .	131.
O Szczygłe i Bętkowskim . . . . .	132.
O Gogolewskim . . . . .	134.
O czynnościach Malczewskiego i opanowaniu Częstochowy . . . . .	138.
O Malczewskim i o konfederacyi pruskiej . . . . .	141.
O Mazowieckim i o drobnych konfederacyach . . . . .	142.
O Bachowskim . . . . .	146.
O Zbikowskim . . . . .	147.
O Morawskim . . . . .	152.
O Morawskim i Malczewskim . . . . .	153.
O izbie konsyliarskiej . . . . .	160.
O potyczce pod Radominem . . . . .	163.
O izbie konsyliarskiej . . . . .	166.
O końcu izby konsyliarskiej i o Malczewskim . . . . .	167.
O potyczce Malczewskiego pod Błoniem . . . . .	167.
O Morawskim . . . . .	169.
O pierwszej niewoli Morawskiego . . . . .	172.
O ucieczce Morawskiego . . . . .	174.
O drugim powstaniu konfederacyi sieradzkiej . . . . .	175.
O Zarembie . . . . .	176.
O Zarembie i Puławskim . . . . .	180.
O Puławskim . . . . .	181.

	<i>Strona</i>
O Zarembie . . . . .	182.
O potyczce Zaremby pod Kościanem . . . . .	184.
O Zarembie po potyczce pod Kościanem . . . . .	186.
O buncie Malczewskiego . . . . .	188.
O Zarembie pod Poznaniem . . . . .	191.
O ataku Częstochowy . . . . .	196.
O Drewiczu . . . . .	200.
O Zarembie . . . . .	201.
O dalszych czynnościach Zaremby . . . . .	202.
O Zarembie, Sieraszewskim i Skórczewskim . . . . .	205.
O niewoli Skórczewskiego . . . . .	206.
O potyczce Zaremby z Branickim pod Widawą . . . . .	206.
O powtórnej niewoli i końcu Morawskiego . . . . .	213.
O Zarembie po potyczce widawskiej i o Puławskim . . . . .	215.
O uwięzieniu zamku krakowskiego . . . . .	215.
O porwaniu króla i uwiecznieniu z Warszawy 1771. . . . .	217.
O przywróceniu króla do Warszawy . . . . .	221.
O końcu konfederacji 1772. . . . .	225.
O poddaniu się Zaremby . . . . .	227.
O śmierci Zaremby . . . . .	228.
O końcu Puławskiego i reszty konfederacji . . . . .	230.
O Sawie Calińskim . . . . .	232.
O Kossakowskim . . . . .	235.
O innych konfederatach litewskich . . . . .	237.
O Bęklewskim . . . . .	237.
O Ogińskim . . . . .	239.
O potyczce pod Kompielem . . . . .	241.
O osobach składających rząd państwa . . . . .	245.
O tajnych konsyliarzach królewskich . . . . .	249.

